

YASMINA KHADRA

CO DZIEŃ
ZAWDZIĘCZA
NOCY



YASMINA KHADRA
CO DZIEŃ
ZAWDZIĘCZA
NOCY

Z języka francuskiego przełożyła
Bożena Sęk



*W Oranie, jak gdzie indziej,
z braku czasu i zastanowienia trzeba kochać,
nie wiedząc o tym.*
Albert Camus, *Dżuma*
przeł. J. Guze

Lubię Algierię, bo dobrze ją zapamiętałem.
Gabriel García Márquez

I

Jenane Jato

Mój ojciec był szczęśliwy.

Nie sądziłem, że jest do tego zdolny.

Chwilami niepokoiła mnie jego twarz uwolniona od trosk. Przycupnął na kopczyku kamieni, rękami obejmując kolana, i patrzył, jak wiatr zagarnia kłosa na smukłych źdźbłach, pochyła je i niecierpliwie w nich buszuje. Lany zbóż falowały niczym grzywy tysięcy koni galopujących równiną. Widok przypominał morze, gdy wzbierają na nim fale. A mój ojciec się uśmiechał. Nie pamiętam, żebym wcześniej widział go uśmiechniętego; nie zwykł okazywać zadowolenia – czy kiedykolwiek je czuł?... Ciężko doświadczony, chodził z wieczną czujnością w oczach, jego życie było niekończącym się pasmem porażek; wystrzegał się jak najgorszej zarazy nagłych zwrotów perfidnego nieuchwytnego jutra. Nigdy nie słyszałem, żeby miał przyjaciół.

Żyliśmy na uboczu na naszym splachetku ziemi jak zjawy skazane na siebie, w kosmicznej ciszy ludzi, którzy nie mają sobie wiele do powiedzenia: matka w mroku chaty pochylona nad garnkiem, machinalnie mieszająca zupę z bulw o wątpliwym smaku; młodsza ode mnie o trzy lata Zahra zapomniana w jakimś kąciku, tak cichutka, że często nie zauważaliśmy nawet jej obecności; i ja, cherlawy samotny chłopczyk, który zwiądl, ledwie zdążył rozkwitnąć, dźwigający swoje dziesięć lat niczym ciężkie brzemie.

To nie było życie; wegetowaliśmy po prostu.

Każde przebudzenie rankiem zakrawało na cud, wieczorem zaś, szykując się do snu, zastanawialiśmy się, czy nie lepiej by było zamknąć oczy na dobre, skoro dokonaliśmy oglądu spraw i wyszło nam, że nie warto poświęcać im czasu. Dni były rozpaczliwie podobne jeden do drugiego; nigdy niczego nie przynosiły, a przemijając, tylko nas pozbawiały nielicznych złudzeń, które dyndały nam przed nosem jak marchewka na kiju zmuszająca osła do marszu.

W latach trzydziestych XX wieku bieda i epidemie z niewiarygodną intensywnością dziesiątkowały ludzi i bydło, a kto uszedł śmierci, skazany był na wygnanie lub na żebranie. Nasi nieliczni krewni nie dawali znaku życia. Co do odzianych w łachmany nieboraków, których sylwetki rysowały się w oddali, wiedzieliśmy na pewno, że tylko przemkną jak wiatr – zryta koleinami dróżka wiodąca do naszej chaty zaczynała znikać.

Ojciec nie dbał o nią.

Lubił być sam, pochylony dreptać za pługiem z ustami białymi od piany. Czasami zlewał mi się z jakimś bóstwem stwarzającym własny świat, tak że godzinami obserwowałem go zafascynowany jego krzepą i nieustępliwością.

Kiedy matka kazała mi zanieść mu posiłek, lepiej było, żebym się nie ościągał. Ojciec jadał o stałej porze, wstrzemięźliwie, pragnąc jak najszybciej wrócić do roboty. Wyczekiwałem, żeby obdarzył mnie jakimś ciepłym słowem, choć przez minutę zainteresował się mną; dla niego wszakże liczyła się tylko praca. Jedynie na polu, w tym świecie słomkowej barwy, był w swoim żywiole. Nic ani nikt, nawet osoby mu najbliższe, nie był w stanie go od tego świata oderwać.

Kiedy wieczorem wracał do chaty, blask w jego oczach przygasał wraz z zachodzącym słońcem. Stawał się wtedy innym człowiekiem, istotą pospolitą, nieatrakcyjną i nieciekawą; a ja się czułem niemal zawiedziony.

Od kilku tygodni jednak był w siódmym niebie. Zapowiadały się znakomite zbiory, znacznie powyżej jego oczekiwań. Ojciec był zadłużony po uszy, obciążył hipoteką ziemię odziedziczoną po przodkach i wiedział, że toczy walkę decydującą, posyła do boju ostatnie armaty. Tyrał za

dziesięciu bez chwili przerwy ze złością bużującą w trzewiach; bezchmurne niebo wprawiało go w przerażenie, najmniejsza chmurka elektryzowała. Nigdy nie widziałem, aby się modlił i uwijał z takim samozaparciem. Kiedy zaś nadeszło lato i zboże okryło pole migotliwymi pajetkami, ojciec zasiadał na stercie kamieni i nie ruszał się stamtąd.

Tkwiał skulony w kapeluszu z ostnicy, przez większość dnia kontemplując przyszłe zbiory, które po tylu niepomysłnych chudych latach wreszcie pozwalały liczyć na zmianę na lepsze.

Żniwa były już niedaleko. A im bardziej się zbliżały, tym większe podniecenie ogarniało ojca. Już widział, jak zamaszystymi ruchami kosi łąny, w setki snopków wiąże swoje zamiary i zwozi do stodoły nadzieje w takiej obfitości, że nie wie, co z nimi począć.

Ledwie tydzień wcześniej kazał mi usiąść koło siebie na dwukółce i udaliśmy się do wioski leżącej w odległości kilkuset metrów od naszego wzgórza. Zwykle nigdzie mnie nie zabierał. Być może uznał, że skoro sprawy zaczynają się układać, należy odbudować stosunki między nami i nawiązać świeże relacje, myśleć po nowemu. W drodze zaczął nucić beduińską melodię. Wtedy po raz pierwszy w życiu słyszałem go śpiewającego. Głos rozchodził się dokoła, a ojciec tak fałszował, aż uszy wędły, lecz dla mnie było to zgoła uroczyste wydarzenie – żaden baryton nie dorastał mu do pięt. Zaraz jednak się zreflektował zaskoczony, że tak go poniosło, zawstydzony nawet, że się wygłupił przy latorośli.

Wioska ledwie zasługiwała na takie miano. Była to dziura zabita dechami, śmiertelnie ponura, z lepiankami popękanymi pod brzemieniem nieszczęść i zrujnowanymi uliczkami, które już nie wiedziały, dokąd uciec, by ukryć swoją brzydotę. Poogryzane przez kozy pojedyncze rachityczne drzewa stały w swojej udręce niczym szubienice. Pozbawieni zajęcia ludzie, którzy przesiadywali u ich stóp, naprawdę cienko przędli. Byli jak połamane strachy na wróble porzucone w tym miejscu, póki nawałnice nie rozproszą ich po świecie.

Ojciec zatrzymał wózek przed obskurnym sklepikiem, przy którym krążyła banda znudzonych wyrostków. Jako kandury nosili przycięte byle jak jutowe worki, chodzili boso. Pokryte ropiejącymi strupami wygolone głowy sprawiały, że w ich wyglądzie było coś nieodwracalnego, jakby piętno potępienia. Otoczyli nas z ciekawością lisiej rodziny, która widzi, że obcy naruszają jej terytorium. Ojciec gestem kazał im się odsunąć, po czym popchnął mnie do sklepiku, gdzie pośród pustych półek drzemał mężczyzna. Nawet nie raczył się podnieść, aby nas przywitać.

– Będę potrzebował ludzi ze sprzętem do żniw – powiedział mój ojciec.

– Tylko tyle? – ze znużeniem zapytał sklepikarz. – Sprzedaję też cukier, sól, olej i kaszę.

– To później. Mogę na ciebie liczyć?

– Kiedy chcesz tych ludzi z ekwipunkiem?

– W następny piątek?...

– Ty tu rządzisz. Zawołasz, to będziemy.

– No to powiedzmy w piątek w przyszłym tygodniu.

– Umowa stoi – burknął sklepikarz, nasuwając turban na twarz. – Miło wiedzieć, że uratowałeś zbiory.

– Przede wszystkim uratowałem własną duszę – odparł mój ojciec, wychodząc.

– Do tego najpierw trzeba mieć duszę, stary.

Ojciec zadrżał na progu budy. W słowach sklepikarza jakby pochwycił zjadliwą insynuację. Podrapał się w kark, po czym wsiadł na dwukółkę i ruszył w stronę domu. Jego miłość własna diabelnie ucierpiała, wzrok rankiem promienny teraz spochmurniał. W odpowiedzi sklepikarza dopatrzył się pewnie złej wróżby. Tak to już z nim było: wystarczyło mu coś wytknąć, a zaraz szykował się na najgorsze, pochwalić zapał, by poczuł się narażony na wpływ złego oka. Miałem pewność, że w głębi ducha żałuje, iż pozwolił sobie odtrąbić zwycięstwo, gdy tymczasem nic jeszcze nie było przesądzone.

W drodze powrotnej niczym wąż zwinął się w kłębek i ustawicznie smagał batem zad muła; w jego ruchach czuć było tłumiony gniew.

Czekając na umówiony piątek, powyciągał stare sierpaki i zdezelowane sierpy oraz inne narzędzia, aby je ponaprawiać. Chodziłem za nim w pewnej odległości wraz z moim psem, czyhając na jakieś polecenie, które dałoby mi poczucie, że jestem przydatny. Ojciec jednak radził sobie bez niczyjej pomocy. Doskonale wiedział, co ma zrobić i gdzie znaleźć to, czego potrzebuje.

Po czym naraz pewnej nocy nieoczekiwanie spadło na nas nieszczęście. Nasz pies szczekał i szczekał jak opętany... Myślałem, że słońce urwało się z nieba i spadło na nasze pole. Było chyba koło trzeciej rano, a w naszej chacie jasno jak w dzień. Matka oniemiała tkwiła w progu, trzymając się oburącz za głowę. Blask idący z zewnątrz rzucał jej zwielokrotniony cień na ściany wokół mnie. Moja siostra z palcami w ustach i wzrokiem bez wyrazu skuliła się na macie w swoim kątku, siedząc na piętach.

Wypadłem na podwórko i ujrzałem snop szalejących płomieni, które trawiły nasze pole; ich blask sięgał niebios pozbawionych choćby jednej gwiazdy czuwającej nad naszym plonem.

Mój ojciec półnagi, z torsem w czarne pręgi, zlany potem, miotał się jak oszalały. Jakimś nędznym wiaderkiem nabierał wody z koryta, pędził do ognia, zniknął wśród płomieni, przybiegał po wodę i wracał do piekła. Nie zdawał sobie sprawy, jak śmiesznie wygląda ten jego upór, aby się nie godzić z faktami: że on tu nic nie poradzi, że żadna modlitwa, żaden cud nie przeszkodzi jego marzeniom ulecieć z dymem. Matka doskonale wiedziała, że wszystko przepadło. Patrzyła na męża, który zapamiętale walczył, i tylko się bała, że więcej nie wyjdzie z płomieni. Ojciec bowiem był zdolny chwycić naręcza kłosów i spłonąć wraz z nimi. Czyż pośród pól nie był w swoim żywiole?

O świcie nadal polewał wodą dymiące spopielone łany. Z plonów nic nie zostało, on jednak za nic nie chciał tego przyznać. Ze złości.

To była czysta niesprawiedliwość.

Na trzy dni przed rozpoczęciem żniw.

O dwa palce od zbawienia.

O jedno tchnienie od odkupienia.

Późnym rankiem ojciec w końcu zaakceptował rzeczywistość. Z wiadrem w ręce ośmielił się nareszcie podnieść wzrok na bezmiar swojej kłęski. Z przekrwionymi białkami, wykrzywioną twarzą długo się kołysał na uginających się nogach; potem padł na kolana, położył się na brzuchu i na naszych niedowierzających oczach zrobił to, czego mę ż c z y z n a nie powinien nigdy robić przy ludziach – zapłakał... wylewał łzy, póki mu ich starczyło.

Zrozumiałem wtedy, że wszyscy święci odwrócili się od nas aż po dzień Sądu Ostatecznego i odtąd nieszczęście będzie naszym przeznaczeniem.

Czas się dla nas zatrzymał. Oczywiście dzień nadal czmychał przed nocą, wieczór następował po świtanu, drapieżne ptaki krążyły w przestworzach, lecz jeśli o nas chodzi, wszystko jakby osiągnęło kres. Otwierała się nowa karta, nas jednak na niej nie było. Ojciec bez wytchnienia przemierzał wypalone pola. Od brzasku po zmierzch błąkał się pośród popiołów i zgłiszczy. Rzekłbyś, zjawa uwięziona w ruinach. Matka obserwowała go przez otwór w ścianie pełniący rolę dymnika. Ilekroć uderzał się dłonią na płuśk w uda lub w policzki, zęgnęła się, kolejno wymawiając imiona miejscowych marabutów; była przekonana, że jej mąż postradał rozum.

Tydzień później zjawił się u nas pewien człowiek. Wyglądał jak sułtan w paradnym stroju, ze starannie przyciętą brodą i piersią obwieszoną orderami. Był to kaid eskortowany przez swoich gwardzistów. Nie wysiadając z kolaski, wezwał mojego ojca, aby złożył odciski palców na

dokumentach, które zabiedzony błąd Francuz, odziany na czarno od stóp do głów, skwapliwie wyciągnął z teczki. Ojciec nie kazał się dwa razy prosić. Przyłożył palce do gąbki nasączonej atramentem i odbił je na formularzach. Zaraz po podpisaniu dokumentów kaid odjechał. Ojciec tkwił na podwórku, spoglądając to na swoje powalane atramentem ręce, to na kolaskę pnącą się zboczem wzgórza. Ani matka, ani ja nie mieliśmy odwagi podejść do niego.

Nazajutrz matka pozbierała nasz nędzny dobytek i załadowała na dwukółkę.

To był koniec.

Przez całe życie nie zapomniałem dnia, kiedy mój ojciec przeszedł na drugą stronę lustra. Był to dzień przygnębiający, słońce jak z krzyża zdjęte wsiadło nad wzgórzem i odległym horyzontem. Chociaż dochodziło już południe, miałem uczucie, że się rozmywam w półcieniach, w których wszystko zamarło, dźwięki były przygłuszone, cały swat się usuwał, by dokładniej nas odgrodzić w tej naszej rozpacz.

Ojciec trzymał lejce z głową wciśniętą w ramiona i wzrokiem wbitym w dno wozu, pozwalając mułowi, aby szedł, gdzie mu się podoba. Matka się skuliła w rogu przy drabiniastej burcie zasłonięta chustą, ledwie dostrzegalna pośród tobołków. A moja siostra z nieobecny wzrokiem nie wyjmowała palców z ust. Rodzice nie byli świadomi, że ich córka przestała przyjmować pokarm, że coś w jej głowie pękło tamtej nocy, kiedy szatańskie moce zawzięły się na nasze pole.

Pies podążał za nami w pewnej odległości ze zwieszonym pyskiem. Od czasu do czasu zatrzymywał się na kopcu, przysiadł na zadzie, by ocenić, czy da radę, pókiśmy nie zniknęli, wtedy zeskakiwał na drogę i czym prędzej ruszał za nami z nosem przy ziemi. W miarę jak nas doganiał, zwalniał coraz bardziej i znów schodził na bok, gdzie przystawał nieszczęśliwy i stropiony. Zgadywał, że tam, dokąd się udajemy, nie będzie dla niego miejsca. Ojciec dał mu to do zrozumienia, ciskając w niego kamieniami, kiedy wyjeżdżaliśmy z podwórka.

Bardzo lubiłem tego psa. Był moim jedynym przyjacielem, jedynym powiernikiem. Zastanawiałem się, co z nami oboma będzie teraz, gdy nasze drogi się rozchodzą.

Jechaliśmy i jechali, przebyliśmy niezliczone mile, nie spotykając żywego ducha. Można by powiedzieć, że los wyludnił całą okolicę, by mieć nas tylko dla siebie... Droga ciągnęła się przed nami sucha, posępna. Przypominała naszą smutną dolę.

Późnym popołudniem udręczeni słońcem dostrzegliśmy nareszcie czarny punkt w oddali. Ojciec skierował muła w tamtą stronę. Był to namiot sprzedawcy jarzyn, trzymające się na słowo honoru jutowe płachty podparte palikami na kompletnym bezludziu, widok zupełnie jak z omamu. Ojciec polecił matce, by zeszła z wozu i poczekała przy skale. U nas kobiety muszą się trzymać na uboczu, kiedy mężczyźni się spotykają; nie ma większego świętokradztwa jak żona oglądana przez innego mężczyznę. Matka z Zahrą na rękach posłusznie zsiadła i przycupnęła we wskazanym miejscu.

Sprzedawca był drobnym wysuszonym człowieczkiem o świdrującym spojrzeniu wpadniętych oczu i twarzy upstrzonej czarniawymi krostami. Odziany był w arabskie portki obszarpane nad sfatygowanymi klapkami, z których wystawały powykrzywiane duże palce u stóp. Niemal kompletnie przetarty kaftan ledwie zasłaniał wychudłą pierś. Prowadził nas wzrokiem, siedząc w cieniu tego swojego żalostnego namiotu z pałką w ręce. Kiedy się zorientował, że nie jesteśmy złodziejami, odłożył kij i postąpił krok do światła.

– Ludzie są wredni, Isa – powiedział do mojego ojca. – To jest w ich naturze. Nie ma co obrażać się o to.

Ojciec zatrzymał dwukółkę na wysokości mężczyzny i przesunął dźwignę hamulca. Pojął, do czego sprzedawca czyni aluzję, lecz nie odpowiedział.

Handlarz klasnął w dłonie z oburzeniem.

– Jak zobaczyłem tamtej nocy ogień w oddali, zrozumiałem, że jakiś nieborak wraca do piekła, tyle że w głowie mi nie powstało, że chodzi o ciebie.

– Wola Boga – odparł mój ojciec.

– Bzdura, dobrze o tym wiesz. Gdzie rządzą się ludzie, Bóg nie ma nic do gadania. Niesłusznie obwiniamy Go o krzywdy, do których sami doprowadzamy. Kto się uwziął na ciebie tak bardzo, że spalił ci plony, biedaku?

– Bóg decyduje, jakie klęski na nas spadają – rzekł ojciec.

Sprzedawca wzruszył ramionami.

– Ludzie wymyślili Boga, żeby odegnać swoje demony.

Kiedy ojciec zsiadał z wozu, jedna poła kandury zaczęła o siedzenie. Odczytał to jako kolejny zły znak. Twarz mu wykrzywił tłumiony gniew.

– Jedziesz do Oranu? – spytał handlarz.

– Skąd wiesz?

– Jak kto straci wszystko, zawsze jedzie do miasta. Ale uważaj, Isa. To nie jest miejsce dla nas. W Oranie aż się roi od łotrów bez czci ni wiary, groźniejszych niż kobra, podstępniejszych niż Szatan.

– Czemu opowiadasz mi takie brednie? – zirytował się ojciec.

– Bo nie wiesz, gdzie się pchasz. Miasta to przeklęte miejsca. Błogosławieństwo przodków w nich nie działa. Kto raz tam się zapuścił, więcej nie wrócił.

Ojciec podniósł rękę, prosząc tym gestem, aby handlarz swoje wywody zatrzymał dla siebie.

– Proponuję ci mój wóz. Koła i dno są solidne, a muł nie ma czterech lat. Ile dasz, tyle wezmę.

Sprzedawca zerknął na zaprzęg.

– Obawiam się, Isa, że niewiele mogę ci zaproponować. Nie myśl tylko, że wykorzystuję sytuację. Mało kto tędy przejeżdża, także często zostają z całym towarem.

– Zadowolę się tym, co mi dasz.

– W gruncie rzeczy nie potrzebuję wozu ani muła. Mam parę groszy w zanadrzu. Chętnie się z tobą podzielę. Kiedyś często mnie wspierałeś w potrzebie. A zaprzęg możesz tu zostawić, w końcu znajdę dla niego nabywcę. Wrócisz po pieniądze, kiedy ci będzie pasowało. Nie tknę ich.

Ojciec nawet się nie zastanawiał nad propozycją handlarza. Nie miał wyboru. Wyciągnął rękę, by przybić umowę.

– Przyzwoity z ciebie człowiek, Milud. Wiem, że nie oszukujesz.

– Nigdy się nie oszukuje na własną szkodę, Isa.

Ojciec podał mi dwa tobołki, sam zarzucił sobie na plecy resztę i wsunąwszy do kieszeni kilka monet, które wręczył mu sprzedawca, szybkim krokiem ruszył tam, gdzie czekała matka, ani jednym spojrzeniem nie obdarzając tego, co zostawiał za sobą.

Szliśmy tak długo, aż nie czuliśmy już nóg. Słońce nas wykańczało; odbite od jałowej pustynnej ziemi światło raziło oczy. Matka, niczym zmumifikowana zjawa w całunie, chwiejnym krokiem podążała za nami, przystając tylko po to, aby przełożyć moją siostrę na drugą rękę. Ojciec zupełnie ją ignorował. Szedł przed siebie sztywnym krokiem, zmuszając nas do pośpiechu. Ani matka, ani ja nie mogliśmy poprosić, by nieco zwolnił, to w ogóle nie wchodziło w grę. Sandały poobcierały mi pięty, w gardle mnie paliło, trzymałem się jednak. Aby oszukać zmęczenie i głód, skupiałem się na spoconych plecach rodziciela, na tym, jak dźwiga tobołki, na jego miarowym twardym kroku, na każdym stąpieniu, które zdawało się deptać złe duchy. Ani razu się nie obejrzał, aby sprawdzić, czy idziemy za nim.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy dotarliśmy do „szosy rumich”, czyli drogi asfaltowej zbudowanej przez chrześcijan. Ojciec wybrał samotne drzewo oliwne za wzniesieniem, zasłonięte przed niedyskretnym wzrokiem innych, i wziął się za usuwanie przy nim ciernistych

krzewów, żebyśmy mogli się rozlokować. Sprawdził następnie, czy aby martwe pole widzenia nie zasłania drogi, po czym zadowolony polecił nam postawić swoje brzemie na ziemi. Matka ułożyła śpiącą Zahię pod drzewem, okryła ją sztuką odzieży i z wiklinowego kosza wydobyła rondel i warząchew.

– Ognia nie będzie – rzekł ojciec. – Dziś zjemy suszonego mięsa.

– Nie mamy. Zostało mi parę surowych jaj.

– Mówię przecież, że nie będzie ognia. Nie chcę, żeby ktoś się zorientował, że tu jesteśmy...

Muszą nam wystarczyć pomidory i cebula.

Skwar w końcu zmałał, lekki wietrzyk zaczął poruszać liśćmi na gałęziach drzewa oliwnego. Słychać było, jak wśród wyschniętych traw biegają jaszczurki. Słońce rozlało się na horyzoncie niczym rozbite jajko.

Ojciec leżał pod pobliską skałą z jedną nogą ugiętą i kolanem wysoko podciągniętym, z turbanem na twarzy. Nic nie zjadł. Wyglądało to tak, jakby się na nas gniewał.

Tuż przed zapadnięciem nocy na szczycie wzniesienia stanął jakiś mężczyzna i zaczął do nas machać. Nie mógł podejść z powodu obecności mojej matki. Z obyczajności. Ojciec posłał mnie do niego z pytaniem, czego od nas chce. Był to pasterz odziany w łachmany, pomarszczony na twarzy, o sękatych dłoniach. Proponował nam schronienie i strawę. Ojciec odrzucił zaproszenie. Pasterz nalegał – sąsiedzi nigdy by mu nie wybaczyli, gdyby pozwolił rodzinie zostać w szczerym polu niedaleko swojego namiotu. Ojciec kategorycznie odmówił. „Nie chcę nic nikomu zawdzięczać”, burknął. Pasterz odebrał to jako zniewagę. Wrócił do swego skromnego stadka kóz, mamrocząc coś pod nosem i wściekle wałąc nogami w ziemię.

Spędziliśmy noc pod gołym niebem. Matka i Zahra u stóp drzewa. Ja nakryty swoją kandurą. Ojciec na warcie na skale z kosą między udami.

Kiedy rankiem się przebudziłem, ojciec był innym człowiekiem. Ogolił się, obmył twarz w strumieniu i włożył czyste odzienie: kaftan na wyblakłą koszulę, marszczone w biodrach tureckie szarawary, w których go nigdy nie widziałem, oraz skórzane babusze sfatygowane, lecz świeżo wyczyszczone.

Autobus przyjechał w chwili, gdy słońce zaczynało się piąć po niebie. Ojciec umieścił nasze rzeczy na dachu pojazdu, po czym kazał nam usiąść na ławce w tyle. Wtedy pierwszy raz w życiu widziałem autobus. Kiedy ruszył szosą, wczepiłem się w siedzenie równocześnie zachwycony i wystraszony. Kilku podróżnych drzemało tu i tam, w większości byli to rumi, chrześcijanie, wbici w nędzne garnitury. Nie mogłem się napatrzeć na widoki, które przemykały po obu stronach za szybami. Byłem pod wrażeniem kierowcy siedzącego na przodzie. Widziałem tylko jego szerokie jak szaniec plecy i silne ramiona, które pewnie obracały kierownicą. Po mojej prawej bezzębny starzec w rytm wiraży kołysał się na boki, u stóp trzymając sfatygowany wiklinowy kosz. Po każdym skręcie autobusu zanurzał w koszu rękę i sprawdzał, czy wszystko w nim jest jak należy.

Niežnośny smród spalin i ciasne zakręty zmogły mnie w końcu; przysnąłem z żołądkiem wywróconym na nice i głową wielką jak nadmuchany pęcherz.

Autobus zatrzymał się na placu otoczonym drzewami przed dużym budynkiem z czerwonej cegły. Pasażerowie rzucili się do swoich bagaży.

W tym pośpiechu niektórzy deptali mi po nogach; nie byłem tego świadom. Tak mnie zdumiewało wszystko, na co patrzyłem, aż zapomniałem pomóc ojcu przy zdejmowaniu z dachu naszych rzeczy.

Miasto!...

W życiu nie przypuszczałem, że mogą istnieć miejsca, gdzie jest tyle murowanych budynków. W głowie mi się kręciło. Przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy z powodu mdłości, które

mnie dopadły w autobusie, wzrok nie płała mi figli. Jak daleko spojrzeć za placem ciągnęły się domy uroczo przytulone jeden do drugiego, z ukwieconymi balkonami i wysokimi oknami. Ulice były asfaltowe, wzdłuż nich biegły chodniki. Nie posiadałem się ze zdziwienia, nie potrafiłem nawet nazwać rzeczy, które na mgnienie rzucały mi się w oczy i znikwały, bo już moją uwagę zwróciło coś innego. Nieco w głębi za pomalowanym na czarno ogrodzeniem wznosiły się piękne domostwa, imponujące i wyrefinowane. Rodziny poroziadały się na werandach przy białych stołach zastawionych karafkami i wysokimi szklankami z oranżadą, rumiane dzieci o złotawych włosach goniły się po ogrodach; ich dźwięczne śmiechy tryskały pośród zieleni jak fontanny. Z tych miejsc dla wybranych emanował spokój i błogość niemożliwe, jak sądziłem, do osiągnięcia – absolutne przeciwieństwo zasmrodzonych moich stron, gdzie warzywniki wydawały ostatnie tchnienie pod warstwą pyłu, a zagrody zwierzęce wyglądały mniej przygnębiająco niż nasza chata.

Znalazłem się na innej planecie.

Dreptałem za ojcem oszołomiony zielonymi przestrzeniami, które oddzielały murki z ciosanych kamieni albo ogrodzenia z kutego żelaza, szerokimi słonecznymi alejami i majestatycznie sztywnymi latarniami podobnymi do świecących wartowników. A samochody!... Z dziesięć ich naliczyłem. Wyłaniały się znienacka, strzelając silnikami, szybkie jak spadające gwiazdy, i znikwały za rogiem, zanim zdążyło się ułożyć życzenie.

– Co to za miejsce? – zapytałem ojca.

– Milcz i idź – odparł. – I patrz pod nogi, jeśli nie chcesz wpaść w dziurę.

Byliśmy w Oranie.

Ojciec maszerował pewnym krokiem, ani trochę nie onieśmielony prostymi ulicami, oszołamiającymi budowlami, które bez ustanku wyrastały przed nami tak do siebie podobne, że człowiek odnosił wrażenie, iż tylko przebiera nogami w miejscu. Dziwna rzecz: kobiety nie nosiły chust. Spacerowały z odkrytymi twarzami; stare miały na głowie jakieś osobliwe nakrycia; młode chodziły półnagie, z rozwianymi włosami, wcale się nie krępowały bliskością mężczyzn.

Nieco dalej ruch zmalął. Zagłębiliśmy się w spokojną cieniastą okolicę pogrążoną w ciszy ledwie mąconej przejazdem powozu albo zgrzytem żelaznej kraty. Nieliczni starzy Europejczycy, purpurowi na obliczach, przesiadywali przed swoimi drzwiami. Nosili obszerne krótkie spodnie, koszule rozpięte na opasłym brzuchu i zsunięte na tył głowy kapelusze z szerokimi kresami. Pokonani skwarem rozprawiali o czymś tam przy szklaneczce anyżówki postawionej wprost na ziemi, machinalnie poruszając wachlarzem dla ochłody. Ojciec przechodził przed nimi, nie pozdrawiając ich ani na żadnego nie spoglądając. Starał się tak zachowywać, jakby ich tam nie było, lecz naraz jego krok stał się nie tak pewny i sprężysty.

Wyszliśmy na szeroką ulicę, na której gapie stali z nosami przyklejonymi do witryny. Ojciec się zatrzymał, by przepuścić tramwaj, po czym ruszył na drugą stronę jezdni. Wskazał matce, gdzie ma na niego czekać, zostawił przy niej wszystkie nasze tobołki, a mnie kazał iść z sobą. Poszliśmy do apteki na końcu ulicy. Najpierw zerknął do środka przez okno frontowe, aby się upewnić, że nie pomylił adresu, następnie poprawił turban, wygładził kaftan i wszedł. Wysoki wąły mężczyzna za kontuarem, odziany w dopasowany trzyczęściowy garnitur, w czerwonym fezie na jasnych włosach, pisał coś w dużej księdze. Miał niebieskie oczy i drobną twarz przeciętą cienkim wąsikiem, który podkreślał wąską kreskę pełniącą rolę ust. Ujrawszy mojego ojca, zmarszczył brwi, po czym podniósł z boku kawałek lady i wyszedł przed kontuar, aby nas przywitać.

Padli sobie w ramiona.

Uścisk był krótki, lecz dość mocny.

– To mój bratanek? – zapytał nieznajomy, podchodząc do mnie.

- Tak – odparł ojciec.
- Boże! Jaki on śliczny!

To był mój stryj. Nie wiedziałem nawet, że w ogóle mam stryja. Ojciec nigdy nie mówił o swojej rodzinie. Ani o nikim innym. Ledwie się do nas odzywał.

Stryj przykucnął, aby mnie przytulić.

- Masz diabelnego przystojniaka, Isa.

Ojciec wolał tego nie komentować. Poruszał nieznacznie ustami, zrozumiałem zatem, że w myślach recytuje wersety koraniczne, by odwrócić złe oko.

Mężczyzna się wyprostował i stanął przed moim ojcem. Po chwili milczenia wrócił za kontuar i nadal mierzył wzrokiem mojego ojca.

– Niełatwo cię wyciągnąć z twojej nory, Isa. Zgaduję, że stało się coś poważnego. Od lat nie odwiedziłeś starszego brata.

Ojciec nie owijał w bawełnę. Jednym tchem opowiedział, co nam się przydarzyło: o płonach puszczonech z dymem, o wizycie kaida... Stryj uważnie słuchał, nie przerywając mu. Patrzyłem na jego ręce: to czepiał się nimi kontuaru, to znów zaciskał je w pięści. Kiedy opowieść dobiegła końca, zsunął fez na czubek głowy i otarł czoło chusteczką. Był załamany, niemniej trzymał się dzielnie.

– Mogłeś poprosić, Isa, żebym ci pożyczył pieniędzy, zamiast obciążać hipoteką nasze ziemie. Dobrze wiesz, na czym to polega. Wielu naszych połknęło haczyk i sam widziałeś, jak skończyli. Jak mogłeś dopuścić, żeby i ciebie tak okpili?

W słowach stryja nie było wyrzutu, tylko ogromne rozczarowanie.

- Co się stało, to się nie odstanie – rzekł mój ojciec, nie mając argumentów. – Bóg tak chciał.

– Przecież nie On rozkazał, żeby zniszczono twoje pola... Bóg nie ma nic wspólnego z ludzką niegodziwością. Szatan też nie.

Ojciec podniósł rękę, by zakończyć ten temat.

- Przyjechałem, żeby zamieszkać w mieście – oznajmił. – Zona z córką czekają na rogu.

– Chodźmy do mnie. Odpoczniecie w domu kilka dni, ja się tymczasem zorientuję, co mogę zrobić...

– Nie – przerwał stryjowi mój ojciec. – Kto chce odrobić straty, powinien zacząć od razu. Potrzebny mi własny dach nad głową, i to od dzisiaj.

Stryj nie nalegał. Zbyt dobrze znał upór młodszego brata, aby liczyć, że mu przemówi do rozsądku. Zabrał nas na drugi koniec miasta... Trudno o coś bardziej przygniatającego niż nagła zmiana oblicza miasta. Wystarczy minąć jeden kwartał, by przejść od dnia do nocy, od życia do śmierci. Do dziś nie potrafię opanować dreszczu, ilekroć wspominam tamto piorunujące doświadczenie.

„Przedmieście”, na którym wylądowaliśmy, przełamało naraz cały czar, który mną owładnął kilka godzin wcześniej. Byliśmy nadal w Oranie, lecz w otoczeniu prezentującym się zgoła inaczej. Piękne domostwa i ukwiecone aleje ustąpiły niewiarygodnemu chaosowi na terenie naszpikowanym ponurymi budami, odrażającymi spelunkami, otwartymi na cztery strony świata namiotami nomadów i zagrodami dla zwierząt.

– To Jenane Jato – oświadczył stryj. – Dziś dzień suku. Zwykle jest tu spokojniej – dodał, by podnieść nas na duchu.

Jenane Jato: bez ładu ni składu wyrosłe pośród zarośli rudery między którymi roiło się od skrzypiących dwukółek, żebraków, przekupniów, poganiaczy osłów walczących ze swoimi zwierzętami, wozowodów, szarlatanów wszelkiej maści i obszarpanej dzieciarni; brunatne chaszczki wyprażone słońcem, zapyłone i zasmrodzone, wszczepione w granice miasta niczym złośliwy guz. W tym miejscu, którego niepodobna opisać, nędza przechodziła wszelkie pojęcie.

Ludzie, chodzące dramaty, dosłownie się rozmywali we własnym cieniu. Rzekłbyś, potępieńcy usunięci z piekła bez sądu i bez uprzedzenia, po czym omyłkowo zesłani do tego kieratu; byli ucieleśnieniem wszystkich daremnych trudów na tym padole.

Stryj przedstawił nam wynędzniałego człowieczka o rozbieganych oczkach i krótkiej szyi. Był to pośrednik zwany Blis, sęp czyhający na okazję, by dołożyć się do czyjejś nędzy. W tamtych czasach łupieżców jego pokroju były tysiące; masowy napływ ludzi do miast z powodu dyzenterii sprawiał, że tacy jak on stawali się nieubłagani jak rzucony zły czar. Nasz pośrednik nie był wyjątkiem. Wiedział, że toniemy i jesteśmy zdani na jego łaskę. Pamiętam, że miał bródkę krasnala, która niesamowicie wydłużała mu podbródek, i wyświechtaną szasziję na łysej guzowatej głowie. Nie spodobał mi się od pierwszego wejrzenia ze względu na jadowity uśmiech i zacieranie rąk, jakby się szykował pożreć nas na surowo.

Przywitał mojego ojca skinieniem głowy, słuchając stryja, który objaśniał mu nasze położenie.

– Chyba coś mam dla pańskiego brata, doktorze – rzekł pośrednik, który jak się zdawało, dobrze znał mojego stryja. – Jeśli ma być tymczasowo, to nic lepszego nie znajdziecie. Pałac to nie jest, ale miejsce spokojne i sąsiedzi porządni.

Zaprowadził nas do jednej z posesji. Poprosił, abyśmy zaczekali na ulicy, głośno odchrząknął u wejścia na wewnętrzne podwórze na znak, że kobiety powinny się usunąć – taki był zwyczaj, gdy mężczyzna wchodził do domostwa. Kiedy droga była wolna, skinął na nas.

Patio wyglądało jak zagroda dla zwierząt na dnie cuchnącej studni. Po obu jego stronach znajdowały się oddzielne izby, gnieździły się w nich całe zbłąkane rodziny, które uciekły przed głodem i tyfusem szalejącym na wsi.

– To tutaj – powiedział pośrednik, odsuwając materię zasłaniającą izbę.

Puste, pozbawione okna pomieszczenie było niewiele większe od grobu i równie przygnębiające. Śmierdziało w nim kocimi szczynami, martwym drobiem i rzygowinami. Ściany stały chyba tylko cudem, były poczerńiałe i ociekały wilgocią; podłogę pokrywała gruba warstwa zwierzęcego łajna i szczurzych bobków.

– Spokojniejszego mieszkania tutaj nie znajdziecie – zapewnił pośrednik.

Ojciec zatrzymał wzrok na kolonii karaluchów, które zawładnęły zaświnionym otworem ściekowym, potem spojrzął do góry, na pajęczyny ustrojone martwymi owadami – pośrednik tymczasem śledził go kątem oka niczym gad obserwujący ofiarę.

– Biorę – oświadczył ojciec ku wielkiej uldze pośrednika.

I zaraz począł zrzucać nasze tobołki w jednym kącie izby.

– Wspólne ustępy są w głębi patia – mówił entuzjastycznie pośrednik. – Jest też studnia, tyle że wyschła. Trzeba pilnować, żeby dzieci się nie zbliżyły do cembrowiny. Opłakiwaliśmy tu w zeszłym roku dziewczynkę, bo ktoś przez gapiostwo zapomniał zamknąć wieko. Poza tym wszystko gra. Moi lokatorzy to przyzwoici ludzie, nie sprawiają kłopotów. Wszyscy przyjechali z głębi kraju, żeby ciężko pracować, i nigdy się nie skarżą. Gdybyście czegoś potrzebowali, zwracajcie się do mnie, tylko do mnie – podkreślił. – Znam różnych ludzi, potrafię wszystko załatwić i w dzień, i w nocy, jeśli tylko chętny ma czym zapłacić. Dla informacji dodam, że wynajmuję też maty, kołdry, lampy naftowe i grzejniki olejowe. Wystarczy poprosić. Własnoręcznie dostarczę wam tu strumyk, jeśli zapłacicie jak należy.

Ojciec w ogóle nie słuchał; już go nienawidził. Kiedy zaprowadzał jaki taki ład w naszym nowym mieszkaniu, zauważyłem, że stryj odprawia pośrednika, na odchodnym dyskretnie wsuwając mu coś w rękę.

– Za to mają mieć spokój przez jakiś czas.

Pośrednik podniósł banknot pod światło i oglądał z niezdrową rozkoszą. Przyłożył go następnie do czoła, później do ust i zaskrzeczał:

– Pieniądze nie śmierdzą, tylko Boże mój, pięknie pachną!

Ojciec nie zamierzał marnować czasu. Niezwłocznie pragnął się wziąć za odrabianie strat. Już nazajutrz o świtaniu zabrał mnie ze sobą na poszukiwanie roboty mogącej przynieść parę groszy. Tyle że nie bardzo wiedział, gdzie się obrócić w mieście ani od czego zacząć. O zmierzchu wróciliśmy z niczym zupełnie wykończeni. Matka tymczasem ogarnęła nieco naszą izbę i poukładała rzeczy. Zjedliśmy łączywie wieczerzę i zaraz ułożyliśmy się do snu.

Następnego dnia jeszcze przed brzaskiem ruszyliśmy znowu z ojcem na poszukiwanie pracy. Po długiej forsownej wędrówce naszą uwagę przyciągnęło jakieś zamieszanie.

– Co tam się dzieje? – zapytał ojciec żebraka okrytego łachmanami. – Szukają wołów roboczych do rozładunku w porcie.

Ojciec uznał, że to jego życiowa szansa. Kazał mi czekać na tarasie przedpotopowej garkuchni i pobiegł w stronę zbiegowiska. Widziałem, jak się rozpycha łokciami, po czym znikł w ciżbie. Kiedy przepelniona ciężarówka z robotnikami odjechała, ojciec się nie zjawił; udało mu się nająć do pracy.

Wiele godzin czekałem na niego w palącym słońcu. Dokoła obdarci ludzie gromadzili się przy budach, przysiadali w kucki i trwali w niewiarygodnym bezruchu ukryci w cieniu ruder. Wszyscy mieli wzrok bez wyrazu i na twarzach widoczne dotknięcie nocy. Z jakąś mroczną cierpliwością zdawali się wyglądać czegoś, co nigdzie się nie objawiało. Wieczorem znużeni martwością w większości rozeszli się w milczeniu. W okolicy zostali tylko bezdomni, paru nawiedzonych krzykaczy i jakieś podejrzanе indywidua o świdrującym spojrzeniu. Naraz ktoś krzyknął: „Łapać złodzieja!” i wtedy jakby się otwarła puszka Pandory: głowy się poderwały, ciała skoczyły niczym pchnięte sprężyną. I na własne oczy ujrzałem, jak garstka rozczochranych wariatów rzuca się na obszarpanego chłopca, który zmykał co sił w nogach. To właśnie był złodziej. W mgnieniu oka dokonano na nim samosądu przy wtórze krzyków, które tygodniami później nawiedzały mnie w snach. Kiedy karę wymierzono, w pyłe pozostało zalane krwią bezwładne ciało wyrostka. Byłem tak wstrząśnięty, że aż podskoczyłem, gdy ktoś się nade mną pochylił.

– Nie chciałem cię nastraszyć, mały – powiedział mężczyzna, unosząc obie ręce, żeby mnie uspokoić. – Siedzisz tu od rana, ale już pora wracać do domu. To nie miejsce dla ciebie.

– Czekam na ojca – odparłem. – Odjechał ciężarówką.

– No i gdzie jest ten kretyn twój ojciec? Też pomyśl, żeby zostawić dzieciaka w takim miejscu... Daleko mieszkasz?

– Nie wiem...

Mężczyzna wyglądał na zmartwionego. Był to chłop na schwał o owłosionych ramionach, twarzy spalonej słońcem i jednym oku okaleczonym. Rozejrzał się dokoła z rękami na biodrach, po czym niechętnie pchnął w moją stronę stołek i poprosił, żebym usiadł przy stole czarnym od brudu.

– Zaraz noc, będę zamykał. Nie możesz się tu pętać, kapujesz? Niedobra ta okolica, wkoło same wariaty... Jadłeś?

Pokręciłem głową.

– Tak też myślałem.

Wszedł do środka i przyniósł mi metalową miskę, w której zastygła gęsta zupa.

– Chleba brakło...

Siadł koło mnie i patrzył, jak chłopcę markotnie z miski.

– No naprawdę ten twój ojciec to osioł! – rzekł z westchnieniem.

Zapadła noc. Mężczyzna zamknął garkuchnię, lecz nie odchodził.

Zawiesił lampę na belce i naburmuszony dotrzymywał mi towarzystwa. Na pograżonym w ciemności placu tu i ówdzie poruszały się cienie. Zgraja bezdomnych rozgaszczała się w pobliżu, jedni zasiedli przy ognisku, drudzy pokładli się na ziemi do snu. Mijały godziny, przycichał gwar, a mojego ojca wciąż nie było. W mężczyźnie złość narastała wraz z upływającym czasem. Spieszno mu było wrócić do domu, tymczasem miał pewność, że jeśli choć na minutę zostawi mnie samego, przepadłem. Kiedy ojciec wreszcie się zjawił błąd z niepokoju, mężczyzna napadł na niego oburzony:

– Durniu, myślisz, że gdzieś jest? W Mekce? Co ci strzeliło do łba, żeby zostawić dzieciaka w tym zakazanym kącie? Tu nawet twardziel może dostać w czapę!

Ojciec czuł taką ulgę, znalazłszy mnie całego, że wysłuchał połajanek jak chórów anielskich. Rozumiał, że popełnił wielki błąd i że gdyby mężczyzna nie zajął się mną, najpewniej przepadłbym na zawsze.

– Zabrali mnie ciężarówką – wymamrotał nieprzytomnie. – Myślałem, że przywiozą nas tu z powrotem. Myliłem się. Nie jestem z miasta, a port nie leży dwa kroki stąd. Zgubiłem się. Nie wiedziałem, gdzie jestem ani jak tu dojść. Już parę godzin kręcę się w kółko...

– Kółko to ci na czole można wyrysować, chłopie! – zawołał mężczyzna, biorąc do ręki lampę. – Jak się szuka roboty, dzieciaka zostawia się w domu... No chodźcie, tylko uważać, gdzie stawiacie nogi. Trzeba przejść przez najgorsze gniazdo żmij, jakie Bóg stworzył na tym świecie.

– Bardzo ci dziękuję, bracie – powiedział ojciec.

– Nic wielkiego nie zrobiłem. Nie lubię po prostu, jak ktoś się dobiera do dzieci. Mały by nie przeżył wśród tych mętów, a mnie by dręczyło sumienie.

Pomógł nam gładko przejść przez szemrane tereny, następnie wytłumaczył, jak w drodze powrotnej ominąć niebezpieczne dzielnice, i znikł w ciemnościach.

Ojciec skrzętnie wcielił w życie zalecenia mężczyzny z garkuchni. Powierzył mnie matce. Kiedy się budziłem rankiem, jego już nie było. Kiedy wracał wieczorem, już spałem.

W ogóle nie widywałem ojca.

Brakowało mi go.

Na podwórku nie było dla mnie nic ciekawego. Nudziłem się. Rosłem dotąd sam, jedynym moim towarzystwem był tylko starzejący się pies, nie wiedziałem, jak się przyłączyć do chłopaków, którzy stale się czubili na podwórku. Miotali się niczym zjawy przywołane na seansie spirytystycznym. Byli młodszy ode mnie, niektórzy ledwie odrośli od ziemi, ale wrzask podnosili diabelski. Siedząc w wejściu do naszej izby, obserwowałem ich tylko, z respektem się odnosząc do ich nieprawdopodobnych zabaw, które niezmiennie kończyły się rozciętym czołem lub obtartym kolanem.

Przy naszym podwórku mieszkało pięć rodzin, wszystkie przybyły z głębi kraju, zrujnowani chłopcy albo chammisowie – czyli dzierżawcy oddający cztery piąte zarobku – którzy zerwali umowę. Pod nieobecność mężczyzny, od bladego świtu ciężko harujących, kobiety spotykały się przy studni i próbowały tchnąć nieco ducha w tę szurzącą norę zwaną mieszkaniem, ani trochę nie zważając na bijatyki, którym się oddawały ich latorośle. Uważały, że malcy zwyczajnie się zaprawiają do trudów życia i nikczemności świata. A im wcześniej się nauczą, tym lepiej. Były niemal szczęśliwe, gdy widziały, jak ich synowie okładają się po pyskach, później schodzi im trochę na wyplakanie się, po czym się godzą i z podziwu godnym zapalem znowu skaczą sobie do oczu. Kobiety dobrze się dogadywały i służyły sobie nawzajem wsparciem. Jeśli

któraś zaniemogła, tak się organizowały, aby w jej garnku także coś się znalazło, zajmowały się niemowlęciem i czuwały przy niej na zmianę. Bywało, że dzieliły się między sobą odrobiną jakichś łakoci, a drobne życiowe kłopoty akceptowały ze wzruszającą pokorą. Wydawały mi się w tym niesamowite. Była wśród nich bojowa Badra, kawał baby, uwielbiała wygadywać sprośności. Na wszystkich działała ożywczo jak łyk tlenu. Jej rubaszna mowa wprawiała moją matkę w zakłopotanie, inne kobiety jednak uwielbiały jej słuchać. Badra była matką pięciorga brzdąców i dwóch trudnych wyrostków. Za pierwszego męża miała pastucha gamonia, który prawie się nie odzywał. Mawiała o nim, że wyposażony był jak osioł, tyle że zupełnie się nie znał na rzeczy... Była Batul, chuda i ciemna jak goździk, posiwała w wieku czterdziestu lat, z pokrytą tatuażami twarzą, która marszczyła się w śmiechu, zanim Badra zdążyła otworzyć usta. Na siłę wydana za męża za starca w wieku jej dziadka, twierdziła, że ma dar jasnowidzenia – czytała z ręki i interpretowała sny. Kobiety z sąsiedztwa i inne regularnie zasięgały jej rady. Przepowiadała im przyszłość w zamian za kilka bulw, parę groszy lub kawałek mydła. Od mieszkających w naszym podwórzu nic nie brała... Była otyła, o obfitej piersi ruda Jazza, którą mąż pijak tłukł co drugą noc. Głowę miała wiecznie poobijaną regularnie otrzymywanym laniem, a w ustach niewiele zębów. Jej winą było, że nie rodziła dzieci, i przez to mąż tym gorzej ją traktował. Była Mama z kupą niesfornych diabląt, robotna jak dziesięć gospoś i gotowa uczynić wszystko, byle tylko dach nie zawalił jej się na głowę... I wreszcie była Hadda, urodziwa niczym hurysa, Hadda, która ledwie wyrosła z wieku pacholącego, a już miała dwójkę dzieci. Jej mąż wyszedł pewnego ranka na poszukiwanie pracy i więcej się nie pokazał. Porzucona, nie mając znikąd wsparcia ani żadnych dochodów, utrzymanie zawdzięczała solidarności współmieszkanek z podwórka.

Codziennie te damy spotykały się przy studni i większość czasu spędzały na gmeraniu w przeszłości niczym nożem w otwartej ranie. Rozprawiły o skonfiskowanych warzywniakach, o łagodnych wzgórzach straconych na zawsze, o pozostawionych tam, w krainie wszelkich nieszczęść, bliskich, których na pewno rychło nie zobaczą. Twarze spowijał im wtedy smutek i głos się łamał. Kiedy się zanosilo, że żalność zdominuje nastrój, Badra wskakiwała na niezborne koitalne szaleństwa pierwszego męża i jak pod wpływem rzuconego zaklęcia smętne wspomnienia odchodziły w niebyt, kobiety zaś tarzały się po ziemi ze śmiechu; dobry humor brał górę nad rozpamiętywaniem toksycznej przeszłości i patio odzyskiwało część swego ducha.

Żartom nie było końca, póki nie zapadła noc. Czasami rozzuchwalony nieobecnością mężczyzn Blis pośrednik przychodził na podwórze pozadzierać nosa. Kiedy w korytarzu rozlegało się jego gromkie pochrząkiwanie, kobiety w jednej chwili się ulatniały. Pośrednik wpadał na wyludnione patio, opitalał smarkaterię, której nie znosił, czepiał się o byle co i zaczynał nam wymyślać od niewdzięcznych kmiotów i motłochu z powodu najdrobniejszej ryski wypatrzonej na murze. Ostentacyjnie ustawiał się na wprost okna pięknej Haddy i podstępny jak dzika wesz groził, że wyrzuci nas w s z y s t k i c h na ulicę. Po jego odejściu kobiety znów wylęgały na dziedziniec rozchichotane, bardziej ubawione niż wystraszone pohukiwaniami pośrednika. Blis był mocny w gębie i na tym się kończyło. W życiu nie odważyłby się pokazać swej szczerzej mordki na podwórzu, gdyby w domu przebywał choć jeden mężczyzna, nawet obłożnie chory czy umierający. Badra utrzymywała, że Blis przystawia się do Haddy. Młoda kobieta była łatwym łupem, bezbronnym i kruchym, osobą podatniejszą na perswazje ze względu na opóźnienia w regulowaniu czynszu; pośrednik wywierał na nią presję i tylko czekał, aż się ugnie.

Pragnąc mnie uchronić przed świntuszeniem Badry, matka pozwalała mi wychodzić na ulicę – jeśli w ogóle można to nazwać ulicą. Była to zwykła wydeptana ścieżka obstawiona po obu stronach blaszanymi budami i rozpadającymi się szopami. Stały tam tylko dwa murowane domy:

nasz z wewnętrznym dziedzińcem i jakby obora, w której gnieździło się kilka rodzin. Na rogu urzędował balwierz, konus w nieokreślonym wieku wzrostu siedzącego psa, tak wątpliwy, że co silniejsi odmawiali mu zapłaty. Jego zakład pod gołym niebem składał się ze skrzynki po amunicji przytarganej z wojskowego śmietnika, z ułamka lustra wyjętego z drzwi szafy i ze spróchniałej deski, na której królował garnek, wyliniały pędzel do golenia, wykrzywione nożyczki i zestaw wyszczerbionych brzytw. Jeśli nie golił starców usadowionych wprost na ziemi, kuczał przy skrzynce i śpiewał. Głos miał zdarty, słowa nie zawsze dokładnie pamiętał, jednakże w tym, jak zaklinał swoją dolę, było coś, co przemawiało do głębi. Nigdy nie miałem dość słuchania jego pień.

Koło balwierza wznosił się stos osobliwości szumnie zwany sklepem. Na sprzedawcę wołano Kuternoga; był to zwolniony ze służby stary goumier, który część ciała zostawił na polu minowym. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem wtedy drewnianą nogę. Dziwna mi się wydawała. Sklepiarz wyraźnie był z niej dumny; uwielbiał podtykać ją pod nos ulicznikom, którzy wiecznie się kręcili w pobliżu jego słojów.

Kuternodze handlowanie nie sprawiało satysfakcji. Brakowało mu bitewnych woni i atmosfery koszar. Marzył o powrocie do armii i o walce z wrogiem. Czekał, aż urwana noga mu odrośnie, sprzedawał na czarno konserwy, głowy cukru i podrabiany olej. W wolnych chwilach sprawował funkcję dentysty – nieraz wdziłem, jak zardzewiałymi kleszczami usuwa chłopakom spróchniałe piątki; jakby im wrywał serce.

Dalej był kawał ugoru, a za nim makia. Zapaściłem się tam kiedyś, gdy się zagapiłem na regularną bitwę rozgrywaną między dwiema bandami uliczników, jedną pod komendą niejakiego Dahu, dzikusa wygolonego na zero z wyjątkiem kędzierzawego kosmyka nad czołem, a drugą dowodzoną przez chyba opóźnionego w rozwoju prawie dorosłego chłopaka, który miał się za zwycięzcę. I nagle ziemia jakby mi się usunęła spod nóg. Zanim zdążyłem zrozumieć, co się dzieje, w ułamku sekundy las rąk pozbawił mnie w locie butów, kandury i szaszijji. Próbowali nawet zaciągnąć mnie za krzaki, żeby tam z h a ń b i ć. Nie mam pojęcia, jak zdołałem się wyrwać; wydarzenie to tak głęboko przeżyłem, że nigdy więcej moja noga nie powstała w tej przeklętej okolicy.

Ojciec tyrał jak galernik, lecz i tak cienko prządł. Rannych ptaszków było na kopy, a zajęcia jak na lekarstwo. Zbyt wielu nędzarzy zdychało na śmietnikach z żołądkiem przyrośniętym do kręgosłupa, a jeszcze żywi za skibkę czerstwego chleba potrafili wypruć flaki z drugiego człowieka. Czasy były ciężkie, miasto zaś, z oddali kuszące tyłoma nadziejami, okazywało się ostatecznie arcyłgarzem. Raz na dziesięć razy ojcu udawało się załapać do roboty na akord, zarabiał jednak tyle, że nie wystarczało nawet na mydło, aby się potem obmył. Bywały wieczory, że wracał, chwiejąc się na nogach, z twarzą wykrzywioną bólem i grzbietem tak bardzo obolałym po całodziennym dźwiganiu ładowanych bądź rozładowywanych ciężarów, że w nocy spał na brzuchu. Był wymordowany, przede wszystkim zaś zrotpaczony. Pod brzemieniem zwątpienia zaczynał się łamać w swoim uporze.

Mijały tygodnie. Ojciec chudł w oczach. Stawał się coraz bardziej porywczy i zawsze znajdował jakiś pretekst, by wyładować gniew na matce. Nie bił jej; zadawała się krzykami, a matka stoicko zwieszała głowę jak winna, nie odzywając się słowem. Sprawy nam się wymykały, noce przesiąknięte były goryczą. Ojciec przestał sypiać. Bez przerwy burczał pod nosem i uderzał dłonią o dłoń. Słyszałem, jak po ciemku krąży po izbie; czasami wychodził na podwórze, siadał na ziemi z brodą między podciągniętymi kolanami, nogi obejmował rękami i tkwił tak do świtu.

Pewnego ranka kazał mi włożyć mniej zniszczoną kandurę i zaprowadził mnie do swego brata. Stryj był w aptece, ustawiał na półkach pudełka i flakoniki.

Ojciec zawahał się przed wejściem do środka. Potem dumny i zakłopotany długo mówił ogródkami, zanim przeszedł do celu wizyty: potrzebował pieniędzy... Stryj jakby się tego spodziewał, natychmiast bowiem sięgnął do szuflady kasy i wyjął banknot o dużym nominale. Ojciec utkwiał w nim udręczony wzrok. Stryj zrozumiał, że jego brat nie wyciągnie ręki. Wszedł zza kontuaru i wsunął mu banknot do kieszeni. Ojciec stał jak skamieniały z pochylonym nisko karkiem. Głos miał stłumiony, głuchy, ledwie słyszalny, gdy mówił „dziękuję”.

Stryj wrócił za ladę. Widać było, że coś mu leży na sercu, lecz nie śmie tego wyrzucić z siebie. Wzroku nie odrywał od oczu swojego ojca, białymi czystymi palcami bębnił nerwowo w drewniany blat. Skrupulatnie rozważywszy wszystkie za i przeciw, zebrał się w końcu na odwagę i rzekł:

– Wiem, że to niełatwe, Isa. Ale też wiem, że zdołałbyś sobie poradzić... gdybyś pozwolił, żebym ci trochę pomógł.

– Zwrócę ci wszystko co do grosza – zapewnił mój ojciec.

– Isa, nie chodzi o to. Oddasz, kiedy zechcesz. Jeśli o mnie idzie, w ogóle nie musisz oddawać. Mogę ci nawet dać więcej. Dla mnie to żaden problem. Jestem twoim bratem, w każdej chwili i w każdej sprawie chętnie ci pomogę. Nie wiem, jak to powiedzieć... – dodał i odchrząknął. – Zawsze ciężko mi się z tobą rozmawiało. Boję się, że cię urażę, chociaż próbuję tylko być bratem. Ale pora nauczyć się słuchać, Isa. Nie ma nic złego w słuchaniu. Życie ciągle nas czegoś uczy. Wydaje nam się, że dużo wiemy, tymczasem wiemy coraz mniej, tak bardzo świat się zmienia, a wraz z nim natura ludzi.

– Poradzę sobie...

– Nie wątpię, Isa. Nie wątpiłem ani przez sekundę. Tylko że dobre chęci potrzebują wsparcia niezbędnych środków. Żelazna wiara nie wystarczy.

– Co właściwie chcesz powiedzieć, Mahi?

Stryj szalenie podenerwowany wykręcał sobie palce. Szukał słów, układał je w myślach w zdania, wreszcie zaczerpnął głęboko tchu i rzekł:

– Masz żonę i dwoje dzieci. Dla mężczyzny bez pieniędzy to duży ciężar. Wiąże ręce, podcina skrzydła.

– To m o j a rodzina.

– Ja też jestem twoją rodziną.

– To nie to samo.

– Owszem, Isa, to samo. Twój syn jest moim bratankiem. Jest z mojej krwi. Oddaj go mnie. Doskonale wiesz, że idąc twoim śladem, daleko nie zajdzie. Co zamierzasz z nim zrobić? Wykierować go na tragarza, pucybuta, oślarza? Trzeba prawdzie spojrzeć w oczy. Przy tobie chłopak do niczego nie dojdzie. Powinien pójść do szkoły, nauczyć się czytać i pisać, rosnąć w przyzwoitych warunkach. Wiem, mali Arabowie nie rodzą się, żeby chodzić do szkół. Przeznaczona im jest praca w polu i przy bydle.

Aleja mogę go posłać do szkoły, wykierować na mężczyznę wykształconego... Błagam, nie odbieraj źle moich słów. Zastanów się tylko minutę. Ten chłopak przy tobie nie ma żadnej przyszłości.

Ze spuszczonego wzrokiem i zaciśniętymi zębami ojciec długo medytował nad tym, co powiedział mu brat. Kiedy podniósł głowę, nie miał twarzy; zamiast niej widniała blada nieruchoma maska.

Z głębokim smutkiem rzekł:

– Szkoda gadać, ty nigdy nic nie zrozumiesz, bracie.

– Robisz błąd, że tak do tego podchodzisz, Isa.

– Nic nie mów... Proszę, nie pogarszaj sprawy... Nie mam takiej wiedzy jak ty i bardzo tego

żałuję. Ale jeśli wiedza sprowadza się do tego, żeby pomiatać innymi, to nie chcę jej.

Stryj próbował coś powiedzieć, lecz mój ojciec pohamował go stanowczym gestem. Wyjął z kieszeni banknot i położył na ladzie.

– Twoich pieniędzy też nie chcę.

Po czym złapał mnie za rękę z taką złością, że omal mi jej nie wyrwał, i wypchnął na ulicę. Stryj usiłował nas zatrzymać; nie ośmielił się jednak pobiec za nami, tylko został przed apteką przekonany, że błąd, który właśnie popełnił, nigdy, przenigdy nie zostanie mu wybaczony.

Ojciec nie szedł, lecz parł naprzód niczym głąz staczający się po zboczu wzgórza. Tak wściekłego jeszcze nigdy go nie widziałem. Niewiele brakowało, żeby go rozsadziło. Po twarzy przebiegały mu tiki; patrzył takim wzrokiem, że każdy wolałby się schować przed nim pod ziemię. Nic nie mówił i to kipiące milczenie tak bardzo wzmacniało napięcie wyczuwalne w krokach, że bałem się najgorszego.

Kiedy byliśmy już daleko od apteki, przyparł mnie do ściany i wbił oszalały wzrok w moje przestraszone oczy; tak potężnie nie wstrząsnąłby mną nawet strzał z bliska.

– Myślisz, że ze mnie takie zupełne nic? – rzekł zdławionym głosem. – Myślisz, że spłodziłem dzieciaka po to, by oglądać, jak zdycha powoli?... Ha, mylisz się. I ten obłudnik twój stryj też się myli. I los, który myśli, że mnie upodli, myli się jak stąd do Mekki... A wiesz czemu?... Bo straciłem wprawdzie ojcowiznę, ale nie straciłem ducha. Żyję i mam w sobie ogień. I żelazne zdrowie, i siłę w rękach taką, że dam radę przenosić góry. I dumę nie do zdarcia.

Zaciskał palce na moich ramionach tak mocno, aż bolało. Nie był tego świadom. Oczy w twarzy latały mu jak rozgrzane do białości kule.

– Prawda, nie dałem rady uratować ziemi, pamiętaj jednak, że wyhodowałem na niej zboże!... A to, co się stało później, to nie moja wina. Modlitwy i wysiłki niweczy czasem ludzka chciwość. Byłem naiwny. Ale już nie jestem. Nikt więcej nie wymierzy mi ciosu w plecy... Zaczynam od zera. Tylko że zaczynam nauczony doświadczeniem. Będę harował, jak jeszcze żaden wół nie harował, przeciwstawię się wszelkim urokom i na własne oczy zobaczysz, ile wart jest twój ojciec. Wydobędę rodzinę z dołu, który nas wciągnął, zmuszę go, żeby nas wypluł, przysięgam. Czy przynajmniej ty mi wierzysz?

– Tak, tato.

– Spójrz mi w oczy i powiedz, że wierzysz.

On nie miał już oczu, miał dwa pełne łez i krwi otwory, które groziły, że nas obu pochłoną.

– Spójrz na mnie!

Złapany za brodę musiałem podnieść głowę.

– Nie wierzysz mi, co?

W gardle miałem wielką kluchę. Nie mogłem słowa wykrztusić ani znieść wzroku ojca. Stałem tylko dlatego, że on mnie trzymał.

Wtem jego druga dłoń spadła na mój policzek.

– Nic nie mówisz, bo myślisz, że bredzę. Głupi smarkaczu! Nie masz prawa we mnie wątpić, rozumiesz? Nikt nie ma prawa. Ten śmieć twój stryj nie ma o mnie wysokiego mniemania, bo sam nie jest wart więcej niż ja.

Pierwszy raz w życiu podniósł rękę na syna. Nic nie rozumiałem, nie wiedziałem, w czym zawiniłem, dlaczego tak się zawziął. Wstydzilem się ogromnie, że go rozgniewałem, i bałem się, że się mnie wyrzeknie, a był przecież najważniejszy na świecie.

Znowu podniósł rękę. I zatrzymał ją w powietrzu. Palce mu dygotały. Napuchnięte powieki zniekształcały twarz. Zacharczał naraz jak ranione zwierzę, ze szlochcem przytulił mnie do piersi i ścisnął tak mocno i długo, aż zacząłem się dusić.

Kobiety usadowiły się w kącie podwórza wokół niskiego stolika. Popijały herbatę, złocąc się w słońcu. Była wśród nich moja matka, powściągliwa, z Zahrą na rękach. Od jakiegoś czasu dołączała do grupki sąsiadek, chociaż w rozmowach nie brała udziału. Była nieśmiała, toteż kiedy Badra snuła te swoje sprośne opowieści, matka często kraśniała na twarzy i ze wstydu aż ją zatykało. Tego popołudnia gawędziły ot tak, skacząc z tematu na temat, byle jakoś przetrwać nieznośny skwar. Ruda Jazza paradowała z podbitym okiem; poprzedniego dnia jej mąż znowu wrócił pijany. Inne kobiety zachowywały się jakby nigdy nic. Z przyzwoitości. Jazza była dumna; podłość męża zносиła z godnością.

– Od paru nocy mam dziwny sen – powiedziała Mama do Batul wróżki. – Ten sam sen: leżę po ciemku na brzuchu i ktoś wbija mi nóż w plecy.

Kobiety skierowały wzrok na Batul, ciekawe interpretacji. Jasnowidzka najpierw się skrzywiła, potem podrapała w głowę; nic nie widziała. – Ten sam sen, powiadasz?

– Identyczny.

– Leżysz na brzuchu po ciemku i ktoś wbija ci nóż w plecy? – upewniała się Badra.

– No właśnie – potwierdziła Mama.

– Jesteś pewna, że to faktycznie nóż? – dopytywała Badra, przewracając roześmianymi oczami.

Do kobiet dopiero po kilku sekundach dotarła sugestia Badry, tak że z opóźnieniem wybuchnęły śmiechem. A że Mama nie pojmowała, co tak rozbawiło sąsiadki, Badra jej pomogła zrozumieć:

– Musisz powiedzieć mężowi, żeby wchodził pomaluśku.

– Tobie zawsze tylko jedno w głowie! – zdenerwowała się Mama. – A ja mówię poważnie.

– Ja też, wyobraź sobie.

I kobiety z szeroko otwartymi ustami znów zaczęły się pokładać ze śmiechu. Mama boczyła się przez chwilę, zniesmaczona ich brakiem umiaru, w końcu jednak, widząc je zgięte wpół, ona także jęła się najpierw uśmiechać, potem otwarciem chichotać.

Tylko Hadda się nie śmiała. Siedziała skulona, taka drobna, lecz zachwycająco piękna z wielkimi uwodzicielskimi oczami i ślicznymi dołeczkami w policzkach. Wydawała się smutna, słowem się nie odezwała, odkąd usiadła przy tym stoliku. Naraz wyciągnęła nad nim rękę i otworzyła dłoń przed Batul.

– Powiedz mi, co widzisz.

W jej głosie brzmiało wielkie przygnębienie.

Batul się zawahała. Widząc rozpacz w oczach młodej kobiety, końcami palców ujęła jej niedużą dłoń i musnęła paznokciem linie, które przecinały przejrzyste wnętrza.

– Masz rękę czarodziejki, Hadda.

– Powiedz, co widzisz. Muszę wiedzieć. Dłużej nie wytrzymam.

Batul długo się wpatrywała w dłoń Haddy. W milczeniu.

– Widzisz mojego męża? – ponagliła ją wreszcie Hadda. – Gdzie on jest? Co robi? Wziął sobie inną kobietę czy nie żyje? Błagam, powiedz, co widzisz. Zniosę każdą prawdę.

Batul westchnęła; pochyliła ramiona.

– Biedulko, nie widzę na tej ręce twojego męża. Nigdzie. Nie czuję jego obecności ani w ogóle żadnego śladu. Albo odszedł bardzo daleko, tak daleko, że zapomniał o tobie, albo nie ma

go już na tym świecie. Jedno jest pewne: nie wróci.

Hadda przełknęła ślinę, lecz zachowała panowanie nad sobą. Wbiła wzrok w oczy wróżki.

– Jaka przyszłość jest mi pisana, sąsiadko? Cóż ja pocznę z dwojgiem małych dzieci, bez rodziny, samiuteńka?

– Nie zostawimy cię – obiecała Badra.

– Skoro mąż mnie zostawił, nikt nie weźmie sobie takiego ciężaru na kark – powiedziała Hadda. – Powiedz, Batul, co ze mną będzie?

Muszę wiedzieć. Kiedy jest się przygotowanym na najgorsze, można złagodzić ciosy.

Batul nachyliła się nad dłonią sąsiadki, raz i drugi przesunęła paznokciem po krzyżujących się liniach.

– Widzę koło ciebie, Hadda, wielu mężczyzn. Ale bardzo niewiele radości. Szczęście nie jest ci przeznaczone. Widzę drobne chwilowe zmiany na lepsze, choć upływ lat szybko je pochłonie, widzę strefy mroku i smutku, z tym że ty się nie poddasz.

– Wielu mężczyzn? Zostanę kilka razy wdową czy będę kilka razy odprawiona?

– To dość niejasne. Za dużo koło ciebie ludzi, za duży gwar. Przypomina to sen, ale nie jest snem. To... to bardzo dziwne. Może plotkę coś bez sensu... Czuję się dzisiaj trochę zmęczona. Wybacz...

Batul wstała od stolika i ciężkim krokiem wróciła do swojej izby.

Moja matka skorzystała z odejścia wróżki i także się usunęła.

– Nie wstyd ci przesiadywać z kobietami? – zbeształa mnie cicho za zasłoną zamykającą naszą izbę. – Ile razy mam ci powtarzać, że chłopiec nie powinien słuchać, o czym matki rozmawiają? Idź na ulicę, tylko nie odchodź za daleko.

– Na ulicy dla mnie nic nie ma.

– Przy kobietach też nic dla ciebie nie ma.

– Jeszcze mi spuszcza łomot.

– To się broń. Nie jesteś dziewczynką. Wcześniej czy później będziesz musiał radzić sobie sam, a nie nauczysz się tego, podsłuchując babskie gadanie.

Nie lubiłem wychodzić. Tamta przygoda na ugorze zapadła mi głęboko w pamięć. Na ulicę odważałem się wyjść, dopiero gdy dokładnie przepatrzyłem poblizę, a potem oczy starałem się mieć dookoła głowy i gotów byłem brać nogi za pas przy najmniejszym podejrzanym ruchu. Okropnego miałem stracha przed różnej maści łobuziakami, szczególnie przed tym Dahu, przysadzystym hultajem, podłym i złośliwym jak dzinn. Jego potwornie się bałem. Ledwie wytknął nos na ulicę, zaczynałem cały dygotać jak w febrze; wlaźłbym na mur, byle przed nim uciec. Ponure z niego było chłopaczysko, nieprzewidywalne jak grom. Gnębił całą okolicę na czele bandy młodych hien równie jak on łajdackich i okrutnych. Nikt nie wiedział, skąd się tu wziął ani kim są jego rodzice, wszyscy jednak zgodnie twierdzili, że skończy na stryczku albo jego łeb zatkną na pal.

Poza tym był El Moro – dawny skazaniec, który przeżył siedemnaście lat galer. Wielkie z niego było chłopisko, niemal olbrzym o szerokim czole i ramionach atlety. Całe ciało pokrywały mu tatuaże, na wybitym oku nosił skórzaną przepaskę. Przez jego twarz od prawej brwi po podbródek biegła szrama, która przecinała usta, tak że miał zajęcze wargi. El Moro siał postrach samą swoją obecnością. Ilekroć gdzieś się pojawiał, wszystko naraz cichło i ludzie czmychali, trzymając się blisko murów. Któregoś ranka zobaczyłem go całkiem z bliska. Wraz z czeredą dzieciarni tkwiłem przy Kuternodze, naszym sklepikarzu. Były goumier opowiadał nam o swoich wyczynach wojennych w marokańskich górach Rif – walczył przeciwko berberyjskiemu buntownikowi Abd al-Karimowi. Spijaliśmy słowa z jego ust, gdy wtem nasz bohater poblądł jak prześcieradło. Wyglądał, jakby mu serce naraz w piersi się zatrzymało. Ale nic z tych rzeczy: po

prostu za nami objawił się El Moro i z rękami na biodrach stał na nogach jak pnie. Patrzył na sklepikarza, śmiejąc się szyderczo.

– Chcesz posłać tych gówniarzy na wojnę, zakuty łbie? Dlatego im wciskasz taki kit? Czemu im nie powiesz, jak po latach wiernej służby panowie oficerowie rzucili cię psom lżejszego o jedną nogę?

Kuternodze nagle odebrało mowę; kłapał tylko ustami jak ryba wyjęta z wody.

El Moro mówił dalej coraz bardziej rozeźlony:

– Podpalasz duary, wyrzynasz bydło, walisz do nieboraków z karabinu, a potem wystawiasz te swoje nędzne łupy na publicznym placu. I to nazywasz wojną?... Wiesz, co ci powiem? Tchórz z ciebie i rzygać mi się chce na twój widok. Ręka mnie świerzbi, żeby cię nadziać na tę pałę, która ci robi za nogę, aż gały wyleżą ci uszami... Tacy jak ty bohaterowie nie doczekają się pomnika ani nawet napisu na zbiorowym dole, który będzie ich grobem. Z ciebie jest wredna kupa gnoju, która myśli, że ukryje mordę, jak się wysmarka w sztandar swojego pana.

Nieborak goumier rozdygotał się i pozieleniał na twarzy; grdyka jak oszalała skakała mu na szyi. Naraz rozszedł się od niego smród – nafajdał w gacie.

Jednakże w Jenane Jato żyli nie tylko ulicznicy i osiłki. Większość ludzi nie była zła. Bieda nie zabiła w nich duszy, trudy życia nie pozbawiły ich dobroci. Wiedzieli, że kroczą kamienistą ścieżką, lecz ciągle liczyli na mannę z nieba, trwali w przekonaniu, że w końcu kiedyś ścigający ich niefart dostanie zadyszki i szcześnie, a wtedy na jego popiołach odrodzi się nadzieja. Ci ludzie byli poczciwi, niektórzy nawet interesujący i zabawni; przetrwała w nich wiara, dzięki czemu rozporządzali niewiarygodną cierpliwością. Dzień targowy w Jenane Jato był czymś w rodzaju wiejskiego festynu i każdy się przykładał, by podtrzymać tę iluzję. Chochla spisywała się równie dobrze jak pałka, sprzedawcy zupy zatem dziarsko się nią oganiali od żebraków. Za pół dinara można było kupić polewkę składającą się z wody, ciecierzycy i kminku. Zawsze znalazło się parę obskurnych jadalni, wokół których snuły się gromady wygłodzonych nędzarzy, głęboko wdychając kuchenne zapachy. Obowiązkowo stawiali się złodzieje; ściągali z całego miasta, czyhając na jakąś sprzeczkę czy chwilę nieuwagi, które z pożytkiem wykorzystywali. Ludzie z Jenane Jato nie ulegali prowokacjom. Wiedzieli, że jak kto ma naturę oszusta, nigdy się nie zmieni, od takich woleli więc komediantów. Przepadali za nimi wszyscy, duzi i mali. Do ulubieńców „jarmarku” należeli bazarze. Zwabiali istne tłumy w pobliże swoich podwyższeń. Nie wszystko, co wygadywali, docierało do ludzi – ich opowieści były równie cudaczne jak przyrodziewek – potrafili jednak zręcznie skupiać uwagę audytorium i podtrzymywać napięcie od początku do końca swoich udziwnionych historii. Stanowili swego rodzaju operę dla ubogich, nasz teatr pod gołym niebem. Dzięki nim dowiedziałem się na przykład, że woda morska była słodka, zanim nie zasoliły jej łzy wdów po żeglarzach... Po bazarach wielkim wzięciem cieszyli się zaklinacze węży. Straszili nas, ciskając nam swoje gady pod nogi. Widziałem takich, którzy do połowy połykali szamoczące się żmije, po czym niespostrzeżenie ukrywali je w rękawie kandury odrażające to było i zarazem hipnotyzujące; nocami śniłem potem koszmary... Największymi krętaczami byli szarlatani wszelkiego autoramentu gestykulujący za straganami, na których poukładali buteleczki z tajemniczymi miksturami, amulety, woreczki z talizmanami i suszone owady uchodzące za afrodyzjaki. Mieli leki na wszystkie dolegliwości: głuchotę, zepsute zęby, bóle stawów, paraliż, lęki, bezpłodność, łupież, bezsenność, zły urok, pech, oziębłość płciową – i ludzie niewiarygodnie naiwnie łapali się na to. Niektórzy nawet pięć sekund po wypiciu mikstury rzucali się na ziemię i turlając się w pyle, wrzeszczeli o cudzie. Było to niesamowite. Czasami jacyś nawiedzeni grobowym głosem przemawiali do tłumów, z namaszczeniem ilustrując swoje słowa gestami. Wspinali się na byle podwyższenie i niesieni lirycznymi porywami, głosili wszem wobec powszechne zepsucie i nieuchronnie nadchodzący

Dzień Ostatni. Prawili o apokalipsie, ludzkim gniewie, fatalizmie i nieczystych kobietach; wytykali palcem przechodzących obok i gromili ich wprost albo wdawali się w wywodzenie jakichś ezoterycznych teorii, których końca nie było widać... „Iluż niewolników zbuntowało się przeciw imperiom, po czym skończyło na krzyżu? – grzmiał jeden, trzęsąc zmierzwioną brodą. – Iluż królów myślało, że zmieni bieg historii, a potem zgniło w lochu? Iluż proroków usiłowało ulepszyć naszą naturę, a doprowadziło nas do jeszcze większego opętania?”. „Ile razy trzeba ci powtarzać, żeś śmiertelnie wkurzający? – odpowiadał mu tłum. – Nałóż maskę na ten swój sowi pysk i pokaż nam taniec brzucha, zamiast prawić głodne kawałki”. Do największych atrakcji zaliczał się także Sulajman z katarynką zawieszoną na brzuchu i marmozetką na ramieniu; przemierzał plac, obracając korbą skrzynki, a małpeczka wyciągała do słuchaczy czapeczkę chłopca stajennego; kiedy widzowie wrzucali jej drobne, nagradzała ich śmiesznymi grymasami... Nieco na uboczu, w pobliżu zagród dla zwierząt, urzędowali oślarze, sprytni naganiacze i kłamliwi handlarze koni o tak przekonującej gadce, że potrafili muła przedstawić jako wierzchowca czystej krwi. Uwielbiałem słuchać, jak zachwalają swoje zwierzęta; człowiekowi było prawie przyjemnie, że go zbałamucili, odnosił bowiem wrażenie, że został potraktowany z uszanowaniem należnym, jak mu się wydawało, jedynie wielmożom... Niekiedy pośród ciżby pojawiała się trupa gnaua, obwieszeni amuletami Murzyni, którzy bosko tańczyli, szeroko otwierając mlecznobiałe oczy. Z daleka słyhać było trzaskanie ich karkabów, żelaznych kastanietów, i opętane dudnienie bębna. Przybywali tylko z okazji święta marabuta Sidiego Biała, patronującego im świętego męża. Przyprawiali byczka ofiarnego przystrojonego w barwy bractwa i krążyli od drzwi do drzwi, by zebrać fundusze potrzebne na złożenie rytualnej ofiary. Ich przejazd przez Jenane Jato nieodmiennie wprowadzał zamęt we wszystkich domostwach; kobiety mimo zakazu wybiegały do drzwi, a dzieciarnia wypryskiwała niczym kamienie wyrzucone z procy, aby się przyłączyć do trupy; tumult robił się przez to jeszcze potężniejszy.

Spśród tych niesamowitych postaci najwięcej zgarniał Sulajman. Z katarynki jak ze źródła płynęła piękna słodka muzyka, a małpeczka była przepocieszna. Ludzie powiadali, że Sulajman urodził się jako chrześcijanin we francuskiej zamożnej i wykształconej rodzinie, po czym zakochał się w Beduinie z Tadmaitu i nawrócił na islam. Mówiono również, że mógł być wieść wygodne życie, ponieważ rodzina się go nie wyrzekła, ale wolał zostać wśród przybranego ludu i wraz z nim dzielić trudy i radości. Bardzo nas to poruszało. Żaden Arab ani Berber, nawet z najgorszych szumowin, nie odmawiał mu szacunku i nigdy nie odnosił się do niego niezyczliwie. Bardzo lubiłem tego człowieka. Jak daleko sięga moja pamięć, z najgłębszym przekonaniem starca, jakim teraz jestem, mogę oświadczyć, że nikt z taką jak on niebywałą wyrazistością nie wyróżniał się tym, co uważam za najdoskonalszy przejaw dojrzałości: *roztropnością* – cnotą dzisiaj tak rzadko spotykaną, cnotą, która uszlachetniała mój lud w czasach, kiedy miano go za nic.

Tymczasem udało mi się zyskać przyjaciela o kilka lat starszego ode mnie. Nazywał się Huwari. Był szczupły, wręcz wychudzony, o jasnych, prawie rudych włosach, gęstych brwiach, z haczykowatym nosem zakończonym ostro jak sierp. Zasadniczo niezupełnie był moim przyjacielem; wydawało się, że moje towarzystwo mu nie przeszkadza, a ponieważ ja potrzebowałem jego obecności, stawałem na głowie, aby na nią zasłużyć. Huwari był prawdopodobnie sierotą, a może uciekł od rodziny, bo ani razu nie widziałem, żeby wchodził do jakiegoś domu lub z niego wychodził. Klepał biedę za wielkim stosem żelastwa w czymś na kształt ptaszarni upstrzonej odchodami. Zajmował się łapaniem szczygłów na sprzedaż.

Huwari nigdy nic nie mówił. Mogłem przy nim gadać godzinami, w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Tajemniczy był z niego samotnik, on jeden w całej dzielnicy nosił miastowe spodnie i beret, podczas gdy my wszyscy chodziliśmy w kandurach i szaszijach. Wieczorem szykował

pułapki: gałęzie drzewa oliwnego, które zamaczał w lepie. Rano szedłem z nim w makię i pomagałem mu je ukryć w krzakach. Jak tylko ptak siadał na takiej gałęzi i przerażony zaczynał łopotać skrzydełkami, rzucaliśmy się go łapać, wkładaliśmy do klatki i przyczajaliśmy się znowu. Potem szliśmy na ulice, proponując łupy doświadczonym ptasznikom.

Właśnie z Huwarim zarobiłem pierwsze pieniądze. Huwari nie oszukiwał. Po takiej turze, która trwała kilka dni, zabierał mnie w jakiś ustronny kąt i wysypywał na ziemię zawartość woreczka służącego mu jako sakiewka. Jedną monetę przesuwiał w swoją stronę, drugą w moją i robił tak, dopóki nie podzielił wszystkiego. Później odprowadzał mnie na moje podwórze i znikał. Nazajutrz znowu szedłem do tej jego ptaszarni. Myślę, że on nigdy by się nie pofatygował po mnie, wyglądało bowiem na to, że z powodzeniem obszedłby się bez mojej pomocy – że w ogóle nie potrzebował niczyjej pomocy.

Dobrze się czułem przy Huwarim. Byłem pewny i spokojny. Nawet ten piekielnik Dahu zostawiał nas w spokoju. Huwari miał wzrok posepny, twardy, nieprzenikniony, zniechęcający wszelkich natrętów. Niewiele wprawdzie mówił, lecz kiedy marszczył brwi, łobuzy tak szybko brały nogi za pas, że ich cienie nie mogły za nimi nadążyć. Chyba z Huwarim byłem szczęśliwy. Spodobało mi się polowanie na ptaki i sporo się nauczyłem o pułapkach i sztuce kamuflażu.

Po czym pewnego wieczoru, gdy sądziłem, że ojciec poczuje się ze mnie dumny, wszystko runęło. Zaczekałem, aż zjemy kolację, i wyjąłem sakiewkę z kryjóWKi. Dłonią dygoczącą z emocji podałem rodzicowi owoc swojej ciężkiej pracy.

– A to co? – zapytał nieufnie.

– Nie potrafię liczyć... To pieniądze, które zarobiłem na sprzedaży ptaków.

– Jakich ptaków?

– Szczygłów. Chwytam je na gałęzi oblane lepem...

Ojciec ze złością złapał mnie za rękę, żeby mi przerwać. Znowu jego oczy przypominały rozgrzane do białości kule. Zmienionym drżącym głosem powiedział:

– Nastaw uważnie uszu, moje dziecko. Nie potrzebuję ani twoich pieniędzy, ani imama przy łożu śmierci.

Ścisnął mi rękę coraz mocniej, w miarę jak z bólu wykrzywałem twarz.

– Widzisz? Sprawiam ci ból. Twoje cierpienie czuję głęboko w sobie. Nie staram się zmiażdżyć ręki, próbuję tylko wbić ci do łepetyny, że nie jestem duchem, że jestem z krwi i kości, żyję i mam się dobrze.

Czułem, jak w jego garści zbijają mi się w jedną kości palców. Łzy zamazywały mi wzrok. Aż mnie zatykało z bólu, lecz nie było mowy, abym jęknął czy uronił łzę. W moich stosunkach z ojcem wszystko się zasadzało na honorze; a miarą honoru była nasza zdolność do pokonywania przeciwności.

– Co widzisz tu, przed swoim nosem? – spytał, wskazując niski stolik, na którym znajdowały się jeszcze pozostałości po posiłku.

– Kolację...

– Uczta to nie jest, ale najadłeś się do syta, prawda?

– Tak, tato.

– Czy odkąd wylądowaliśmy w tej izbie, zdarzyło ci się położyć spać z pustym brzuchem?

– Nie, tato.

– Czy stolik, przy którym jesz, mieliśmy, kiedyś tu przyjechali?

– Nie, tato.

– A ten piecyk na olej tam, w kącie... czy ktoś nam go podarował? A może znaleźliśmy go na ulicy?

– Ty go kupiłeś, tato.

– Po przyjeździe oświetlaliśmy izbę kagankiem, prawda? Pamiętasz ten lichy knot w kropli oleju?... Co się pali dzisiaj?

– Lampa naftowa.

– A maty, kołdry, poduszki, wiadro, miotła... skąd to się wzięło?

– Tyje kupiłeś, tato.

– Więc czemu nie postarasz się zrozumieć, chłopcze? Powiedziałem ci kiedyś: choć straciłem ojcowiznę, nie straciłem ducha. Zawaliłem, nie przekażę ci w spadku ziemi naszych przodków i bardzo tego żałuję. Nie wyobrażasz sobie jak bardzo. Nie ma chwili, żebym sobie tego nie wyrzucił. Ale nie opuszczam rąk. Tyram jak wół, żeby się odkuć. Bo tylko do mnie, do m n i e j e d n e g o należy odrobienie strat. Rozumiesz to, dziecko? Nie chcę, żebyś czuł się winien tego, co nas spotyka. Nie ponosisz za to żadnej odpowiedzialności. I niczego mi nie jesteś dłużny. Nie posłę cię do byle roboty, żebym ja mógł związać koniec z końcem. Na to się nie piszę. Padam i podnoszę się, taka jest cena i do nikogo nie mam o to pretensji. Bo dopnę swego, przyrzekam ci. Tymi rękami mogę góry przenosić, pamiętasz? Więc na naszych zmarłych i żywych, jeśli chcesz ulżyć mojemu sumieniu, nigdy więcej nie rób tego, co zrobiłeś dzisiaj, i pamiętaj, że każdy grosz, który przyniesiesz do domu, pogrąży mnie w jeszcze większym wstydzie.

Puścił mnie. Moja dłoń i sakiewka zwały się w jedno – nie byłem w stanie poruszyć palcami. Rękę miałem zdrętwiałą aż po łokieć.

Nazajutrz poszedłem oddać Huwariemu swoje zarobione pieniądze.

Huwari nieznacznie zmarszczył brwi, gdy zobaczył, że wsuwam sakiewkę do jego chlebaka. Zaraz wszakże zdziwienie mu przeszło. Jakby nigdy nic wrócił do szykowania pułapek.

Reakcja ojca potwornie mną wstrząsnęła. Jakże mógł tak źle odebrać mój skromny wkład? Czyż nie byłem jego synem, krwią z jego krwi, kością z kości? Jakiż osobliwy obrót rzeczy powoduje, że dobre intencje przeradzają się w zniewagę? Taki byłbym dumny, gdyby przyjął moje pieniądze! Tymczasem tylko go uraziłem.

Chyba od tamtej nocy przestałem ufać w słuszność swoich dobrych chęci. Zwątpienie owładnęło moim jestestwem, całkowicie nad nim zapanowało.

Nie rozumiałem.

Niczego już nie byłem pewien.

Ojciec na powrót brał sprawy w swoje ręce. Przede wszystkim starał się mi udowodnić, że stryj grubo się mylił co do niego. Harował na okrągło i wcale tego przed nami nie ukrywał. On, który zwykle nie wyjawiał swoich zamierzeń, aby je ustrzec przed złym okiem, teraz szczegółowo opowiadał matce o tym, co przedsięwzię, aby mieć szersze pole manewru i więcej zarabiać – umyślnie podnosił wtedy głos, żebym też słyszał. Obiecywał nam cuda-niewidy, wracając, pobrzękiwał zarobionymi monetami, z błyszczącym wzrokiem opowiadał o naszym przyszłym domu, takim prawdziwym, z okiennicami, drewnianymi drzwiami wejściowymi i kto wie? może nawet z niedużym warzywnikiem, w którym będzie rosła kolendra, mięta, pomidory i soczyste bulwy rozpływające się w ustach szybciej niż słodkości. Matka słuchała szczęśliwa, że jej mąż snuje marzenia zapierające dech w piersiach, i nawet jeśli nie wszystko przyjmowała za dobrą monetę, udawała, że mu wierzy, nie posiadając się z radości, kiedy ujmował jej dłoń – czegoś takiego nigdy wcześniej nie widziałem.

Ojciec dwoił się i troił. Pragnął jak najszybciej wyjść na prostą, wydobyć się z tarapatów. Przed południem pomagał zielarzowi; po południu zastępował obwoźnego sprzedawcę jarzyn; wieczorem był masażystą w łaźni tureckiej. Rozważał nawet otwarcie własnego interesu.

Ja tymczasem wałęsałem się po ulicach samotny i zagubiony.

Pewnego ranka ten łobuz Dahu naszedł mnie z dala od domu. Na ramieniu miał owiniętego

gada; zielonkawego ohydneho węża. Zapędził mnie w jakiś kąt i zaczął mi przed nosem wymachiwać gadzim łbem, przewracając oczami, którymi patrzył wyzywająco. Nigdy nie mogłem znieść widoku węży; śmiertelnie się ich bałem. Dahu drażnił się ze mną, wkładając w to całe serce, ucieszony moją paniką; wyzywał mnie od mięczaków, dziewuch... Już myślałem, że zemdleję, gdy naraz Huwari spadł mi jak z nieba. Dahu natychmiast zaprzestał dręczenia, gotów wziąć nogi za pas, jeśli przyjaciel ruszy mi na pomoc. Huwari jednak palcem nie kiwnął w mojej sprawie; zerknął na nas tylko i jakby nigdy nic poszedł dalej. Nie posiadałem się ze zdumienia. Dahu zaś odzyskał pewność siebie i dalejże znowu mnie straszyć węzem, naśmiewając się w głos. Mógł się śmiać do upojenia, miałem to gdzieś. Owładnął mną smutek większy niż strach: już nie miałem przyjaciela.

Za ladą Kuternoga drzemał z turbanem nasuniętym na twarz i toporną protezą w zasięgu ręki, gotów ją przypiąć, gdyby jakiś natręt odważył się zanadto zbliżyć do jego słodkości. Upokorzenie, które mu zafundował El Moro, było już tylko odległym wspomnieniem. Długa służba w wojsku kolonialnym nauczyła go nie przejmować się zbytnio. Przypuszczam, że skoro przez całe życie znosił szykany podoficerów, odpowiadając na nie tępym posłuszeństwem, napady gorliwości ze strony osiłków z Jenane Jato traktował jak takie samo nadużywanie władzy. Dla niego życie składało się ze wzlotów i upadków, z chwil brawurowej odwagi i załamania; ważne było, żeby się podnieść po porażce i panować nad sobą, kiedy ciosy sypały się gradem... Skoro nie natrzęsano się z niego po „wpadce” z El Moro, świadczyło to, że ktokolwiek by się wdał w taką konfrontację, straciłby jakąś część duszy. El Moro nie dawał szans na normalną walkę; El Moro był chodzącą śmiercią, plutonem egzekucyjnym. Mieć z nim do czynienia i wyjść z tego, straciwszy ledwie kilka piórek, było nie lada wyczynem; a wyjść bez żadnej straty, tylko z zapaskudżonymi portkami, zakrawało na cud.

Balwierz kończył golić głowę jakiemuś starcowi. Klient siedział ze skrzyżowanymi nogami, z rękami na kolanach, w rozchylonych ustach widać mu było spróchniałe pieńki zębów. Wyglądało na to, że skrobanie brzytwą po skórze sprawia mu niesłychaną przyjemność. Balwierz opowiadał o swoich rozczarowaniach; starzec go nie słuchał; z zamkniętymi oczami rozkoszował się każdym pociągnięciem brzytwy po czaszce gładkiej jak wyjęty z rzeki otoczek.

– Gotowe – zawołał balwierz, zakończywszy swoją opowieść. – Masz głowę tak nagą, że można odczytać twoje ukryte myśli.

– Na pewno nic nie przegapiłeś? – upewniał się starzec. – Jeszcze coś mi lekko mąci myśli.

– Jakie myśli, dziadku? Nie wmówisz mi, że zdarza ci się główkować.

– Ostrzegam, mozem i stary, ale nie zgrzybiały. Przyjrzyj się dobrze, musiałeś przeoczyć jeden czy drugi włos, które mi wadzą.

– Naprawdę nic nie zostało. Głowa łyśa jak jajo.

– Proszę cię – nalegał starzec – obejrzyj dobrze.

Balwierz nie był głupi. Wiedział, że starzec napawa się chwilą. Pooglądał swoje dzieło, skrupulatnie sprawdził, czy nie przeoczył jakiegoś włoska na pomarszczonej szyi klienta, po czym odłożył brzytwę, dając mu do zrozumienia, że czas wypoczynku dobiegł końca.

– Dość tego dobrego, dziadku Dżaburi, zmykaj. Wracaj do swoich kóz.

– Proszę...

– Koniec radości, mówię. Jakbym nie miał nic innego do roboty.

Starzec podniósł się z ociąganiem, przejrzał w ułomku lusterka i zaczął sumiennie przetrząsać kieszenie.

– Chyba zapomniałem zabrać z domu pieniądze – powiedział, udając, że jest na siebie zły.

Balwierz się uśmiechnął; wiedział, do czego klient zmierza.

– Ano tak, dziadku Dżaburi.

– Myślałem, że włożyłem je rano do kieszeni, przysięgam. Może zgubiłem po drodze.

– To nic – rzekł balwierz z rezygnacją. – Bóg mi zwróci.

– Nie ma mowy – zaskrzeczał starzec obłudnie. – Już po nie idę.

– Wzruszające! Tylko teraz ty nie zgub się po drodze.

Starzec zawiązał sobie turban na głowie i czym prędzej odmaszerował.

Balwierz zde gustowany wiódł za nim wzrokiem, po czym przykucnął przy swojej skrzynce po amunicji.

– Zawsze to samo. Myślą, że tyram dla przyjemności czy co? – mamrotał. – Tak zarabiam na życie, psiamac! I za co dzisiaj będę jadł?

Mówił tak w nadziei, że sprowokuje Kuternogę.

A Kuternoga zupełnie go ignorował.

Balwierz długą chwilę czekał; a ponieważ goumier nie reagował, zaczerpnął głęboko powietrza i zapatrzony w chmurę na niebie, zaczął śpiewać:

Brakuje mi twych oczu I staję się ślepcem
Kiedy patrzysz gdzie indziej
Co dzień umieram
Kiedy pośród żywych
Nie widzę cię nigdzie
Czymże jest życie miłości moja
Kiedy wszystko na tym świecie
Mówi mi że cię nie ma
Na cóż potrzebne mi dłonie
Jeśli twoje ciało nie jest
Pulsem Boga...

– Odchrzań się! – warknął Kuternoga.

Na balwierza jakby wylano kubeł lodowatej wody. Był wstrząśnięty wulgarnością sklepikarza, który zniszczył i magię chwili, i piękno pieśni. Nawet mnie było przykro; zostałem ściągnięty z wyżyn marzenia.

Balwierz starał się nie zważać na sklepikarza. Pokręcił głową, znowu odchrząknął, by oczyścić gardło i podjąć śpiew, lecz struny głosowe nijak nie chciały się rozluźnić; serca także już w tym nie było.

– Ależ ty potrafisz być wkurzający!

– Uszy pękają od tego kretyńskiego śpiewu – narzekał Kuternoga, kołysząc się leniwie.

– A popatrzże dokoła – zaprotestował balwierz. – Nic tu nie ma. Człowiek się nudzi, wkurza, dogorywa. Te nory nas pochłaniają, smrody zagazowują i żadna gęba nie raczy się choćby ociupinę uśmiechnąć. Więc jeśli do tego nie wolno już śpiewać, to do licha co nam zostaje?

Kuternoga kciukiem wskazał zwój konopnych sznurków zawieszony na haku nad swoją głową.

– To ci zostaje. Wybierasz sobie, przywiązujesz do gałęzi, potem zakładasz na szyję i jednym ruchem podkurczasz obie nogi. Później na wieczność masz święty spokój i żadne gówno nie zakłóca ci snu.

– Ha, to czemu ty tego nie zrobisz pierwszy, skoroś najbardziej z nas wszystkich skwaszony?

– Nie mogę. Mam protezę. Nie da się podkurzyć.

Balwierz machnął na niego ręką. Skulił się przy skrzynce i objął rękami głowę, pewnie po to, by nucić sobie nadal w duchu... Wiedział, że śpiewa na darmo. Jego muza nie istniała. Wymyślał ją sobie w miarę swoich rojeń, mając pełną świadomość, że nigdy na nią nie zasłuży. Ułomek lustra ukazywał mu jasno, że jego nieciekawa powierzchowność idzie w parze z absurdalnością nadziei. Był niski, prawie garbaty, chudy, szpetny i biedny jak Hiob; nie miał dachu nad głową, nie miał rodziny i nijak się nie zanosilo, by choćby odrobinę polepszył się jego psi żywot. Zadowalał się zatem nadawaniem kształtu swojemu marzeniu tylko po to, aby czegoś się ucześcić, gdy reszta świata mu umykała – marzeniu dławionemu, niemożliwemu, marzeniu, którego realizacji niepodobna się domagać, nie okrywając się śmiesznością, marzeniu, które mimo wszystko obracał na wszystkie strony w swoim kątku, jak pies obraca kość pachnącą mięsem, lecz zupełnie ogryzioną.

Serce mi pękało.

– Podejdź tu, mały – rzekł do mnie Kuternoga, odkręcając słoje ze słodyczami. Podał mi cukierek, zaprosił, abym usiadł obok, i długo mi się przyglądał. – Pokaż no pyszczek, niech ci się raz przyjrzę, kurde – rozkazał, podnosząc mi podbródek jednym palcem. – Hm, można powiedzieć, że Bóg miał wyjątkowe natchnienie, kiedy cię rzeźbił, chłopcze. Naprawdę. Rzadki

talent!... Jakim cudem masz niebieskie oczy? Twoja matka to Francuzka?

– N i e .

– To może babka?

– N i e .

Szorstką dłonią zmierzwił mi włosy, potem przesunął nią po policzku.

– Masz naprawdę buźkę jak aniołek, mały.

– Zostaw chłopaka w spokoju – ostrzegawczo rzekł Blis pośrednik, wyłaniając się zza rogu.

Stary goumier szybko cofnął rękę.

– Nie robię nic złego – burknął.

– Dobrze wiesz, o czym mówię – powiedział Blis. – Uprzedzam, jego ojciec nie jest łatwy.

Ani byś się spostrzegł, jakby ci wyrwał drugą nogę, a ja nie byłbym zadowolony, gdyby na mojej ulicy plątał się beznogi. To podobno przynosi pecha.

– Chłopie, co ty wygadujesz?

– Innym możesz kminie, lubieżniku. Skoro tak ci pasuje walka, czemu nie pojedziesz do Hiszpanii, zamiast gnić w tej dziurze, obśliniając chłopaczków? Tam zawsze coś się dzieje i potrzebują mięsa armatniego.

– Nie może tam jechać – wtrącił balwierz. – Ma protezę, a proteza się nie zgina.

– A ty, karaluchu jeden, zleż ze mnie – sarknął Kuternoga, by ratować twarz. – Inaczej po kolei wepchnę ci do gardła te twoje uszlajane brzytwy.

– Musiałbyś mnie najpierw złapać. Poza tym nie jestem karaluchem. Nie wyłażę ze ścieku i nie mam czułek na czole.

Blis pośrednik gestem kazał mi zmykać.

Kiedy się podnosiłem, skądś wyłonił się mój ojciec. Pobiegłem mu na spotkanie. Wracał wcześniej niż zwykle; po promiennej minie i pakunku, który ścisnął pod pachą, poznałem, że jest zadowolony. Spytał, skąd mam cukierek, i zaraz zawrócił do sklepikarza, by zapłacić. Kuternoga nie chciał przyjąć pieniędzy, przekonywał, że to tylko odrobina słodczy, którą dał mi z dobroci serca; ojciec jednak inaczej to widział i twardo obstawał, by sklepikarz wziął należność.

Potem wróciliśmy do domu.

Ojciec na naszych oczach rozwinął duży szary papier i każdemu wręczył podarunek: matce chustę, mojej młodszej siostrze sukienkę, a mnie parę nowiuteńkich gumiaków.

– To szaleństwo – powiedziała matka.

– Dlaczego?

– Wydałeś dużo, a potrzebujesz pieniędzy.

– To dopiero początek – ekscytował się ojciec. – Obiecuję wam, że niedługo się przeprowadzimy. Ciężko pracuję i dopinam swego. Wszystko wskazuje na to, że sprawy idą dobrze, więc dlaczego z tego nie skorzystać? W czwartek jestem umówiony z kupcem, który ma duży sklep. To poważny gość, zna się na interesach. Bierze mnie na wspólnika.

– Proszę, Isa. Nie mów o swoich planach, jeśli chcesz je zrealizować. Nigdy nie miałeś szczęścia.

– No, nie o wszystkim mówię. To będzie pioruńska niespodzianka. Mój przyszły wspólnik żąda określonej sumy za przyjęcie do spółki, a ja... mam tę s u m ę !

– Błagam, nic więcej już nie mów – przeraziła się matka, spluwając pod siebie, by nie zauroczyć. – Niech się rzeczy toczą dyskretnie. Złe oko nie wybacza gadatliwym.

Ojciec umilkł, niemniej oczy mu błyszczały radością, jakiej nigdy jeszcze w nich nie widziałem. Uparł się tego wieczoru, by uczcić jego pojednanie się z losem. Zabił koguta u handlarza drobiu, oskubał go i wypatroszył na miejscu, po czym przyniósł do domu w koszyku; wieczeraliśmy późno, ukradkiem z szacunku dla innych mieszkających w podwórku sąsiadów,

którzy często niewiele mieli do jedzenia.

Ojciec nie posiadał się z radości. Banda wesółków wypuszczona na zabawę trwającą w najlepsze nie miała takiej uciechy. Odliczał dni na palcach: jeszcze pięć, jeszcze cztery, jeszcze trzy...

Nadal chodził do pracy, tyle że zjawiał się w domu wcześniej. A ja wybiegałem mu na spotkanie. Gdybym się położył spać przed jego przyjściem, zepsułbym mu radość. Wolał, żebym był na nogach, kiedy wracał; upewniał się w ten sposób, iż w pełni jestem świadom, że wiatr inaczej zawiewa, że znad naszych głów znikają chmury, że mój ojciec jest silny jak dąb i gołymi rękami może góry przenosić.

I nadszedł w końcu ów tak wyczekiwany czwartek.

Są takie dni, do których żadna pora roku się nie przyznaje. Przeznaczenie się ich wystrzega i demony także. Święci patroni się pod nimi podpisują jako abonenci nieobecni, a ludzie zostawieni samym sobie gubią się w nich na zawsze. Taki był ten czwartek. Ojciec od razu to spostrzegł. Od świtu nosił oznaki tego na twarzy. Ten dzień będę pamiętał przez resztę życia. Był paskudny, posępny, nieznośny, bez ustanku coś opłakiwał ulewnym deszczem i grzmotami, w których pobrzmiwało przekleństwo. Czerń spowijała niebiosa, które nie potrafiły się spod niej wyrwać, miedziane chmury przewalały się niczym napady złości.

– Nie pójdziesz chyba w taką pogodę? – odezwała się matka.

Ojciec stał w progu izby ze wzrokiem utkwionym w ciemnych wybroczynach złowieszczo rozrzuconych po niebie. Zastanawiał się, czy nie powinien przełożyć spotkania. Tyle że szczęście nie uśmiecha się do niezdecydowanych. Wiedział o tym i podejrzewał, że dręczące go przeczucie to po prostu Szatan, który usiłuje go odwieść od powziętego zamiaru. Naraz odwrócił się do mnie i nakazał, abym mu towarzyszył. Być może sądził, że zabierając mnie ze sobą, zmiekczy los, złagodzi jego ciosy wymierzane poniżej pasa.

Włożyłem kandurę mającą kaptur, gumiaki i stanąłem gotowy obok ojca.

W pobliże miejsca spotkania dotarliśmy przemoczeni do suchej nitki. W gumiakach chlupała mi woda, a kaptur zwisał na ramionach ciężki niczym jarzmo. Ulica świeciła pustką. Tylko na chodniku leżał przewrócony wózek, poza tym nie było nikogo... a raczej prawie nikogo. Znalazł się tam bowiem El Moro; rzekłbyś, drapieżny ptak czyhający na ludzki los. Ujrzawszy nas, wyłonił się z ukrycia. Jego oczy przypominały lufę myśliwskiej dwururki; czaiła się w nich śmierć. Ojciec nie spodziewał się go tutaj. El Moro się nie patyczkował: zaprawił go bykiem, kopnął, poprawił pięścią. Zaskoczony ojciec potrzebował chwili, aby się pozbierać. Bronił się dzielnie, odpowiadał na każdy cios, gotów drogo sprzedać skórę. El Moro miał wszakże wprawę; jego zwody i uskoki zaprawionego do walki zabijaki przeważały nad odwagą mojego ojca, wieśniaka nienawykłego do rękoczynów, skromnego i małowównego. Upadł, gdy El Moro zręcznie podstawił mu nogę. Ten drań tłukł go ile wlezie, tak że nie było szans, aby ojciec się podniósł, obsypywał gradem ciosów, wyraźnie zamierzając go wykończyć. Stałem skamieniały. Jak w złym śnie. Chciałem krzyknąć, biec na pomoc ojcu; ani jedno ścięgno, ani jeden mięsień nie odpowiadały na wezwanie. Krew mojego ojca zmieszana z deszczówką spływała strumykiem do ścieku. El Moro nie dbał o to. Doskonale wiedział, czego chce. Kiedy ojciec przestał się bronić, drapieżca przykucnął przy swej ofierze, podciągnął jej kandurę; twarz mu pojaśniała niczym noc od błyskawicy, kiedy odkrył schowaną pod pachą sakiewkę wypchaną pieniędzmi. Jednym sieknięciem noża odciął paski, którymi była przymocowana do ramienia, zważył ją w ręce z satysfakcją, po czym odszedł, nie obdarzywszy mnie bodaj spojrzeniem.

Ojciec długo leżał na ziemi z pokierszowaną twarzą, w kandurze podartej na nagim brzuchu. Nic nie mogłem dla niego zrobić. Byłem na zupełnie innej planecie. Nie pamiętam, jak

wróciliśmy do domu.

– Zostałem sprzedany – wściekał się ojciec. – Ten pies był tam z mojego powodu. Czekał na mnie. Wiedział, że mam pieniądze ze sobą. Wiedział, wiedział... To nie był przypadek, o nie, ten śmieć był tam z mojego powodu...

Potem zamilkł.

Przez wiele dni nie powiedział ani słowa.

Wiedziałem, jak topią się świece, jak osuwają się bryły ziemi pod wpływem ulewy, to samo oglądałem, patrząc na ojca. Dosłownie nikł w oczach zaszyty w swoim kącie, nie pijąc ani nie jedząc. Z twarzą wspartą na kolanach i rękami splecionymi na karku przeżuwał w milczeniu trawiący go gniew i rozczarowanie. Zdawał sobie sprawę, że cokolwiek zrobi, cokolwiek powie, i tak zły los zawsze będzie miał ostatnie słowo i ani żadne zarzekanie się, ani życzenia choćby najpobożniejsze nie są w stanie zmienić biegu przeznaczenia.

Pewnej nocy pijak zaczął się awanturować na ulicy, klnąc na czym świat stoi. Nieprzyzwoite pomstowania wirowały na podwórku jak złowróżbny wiatr wciskający się do grobowca. Głos był dziki, przepojony złością i pogardą, wyzywał mężczyzn od psów, a kobiety od świń i obiecywał ciężkie czasy nikkzemnikom i łajdakom; głos donośny, okrutny, w pełni świadom swojej bezkarności, przez co brzmiał jeszcze paskudniej; głos, który zwyczajni ludzie nauczyli się identyfikować pośród tysiąca groźnych dźwięków: wydawał go z siebie El Moro!... Kiedy ojciec go rozpoznał, poderwał głowę tak gwałtownie, że jej tyłem mocno uderzył w ścianę. Przez kilka sekund trwał skamieniały; następnie niczym duch wyłaniający się z mroku wstał, zapalił lampkę naftową, pogrzebał w stercie bielizny w narożnej szafce, wydobył starą, mocno wytartą skórzaną torbę, otworzył ją. Oczy mu błyszczały w mdłym świetle lampki. Wstrzymał oddech, pomedytował nad czymś, po czym zdecydowanie włożył rękę do torby. Zalśniło ostrze noża rzeźnickiego. Wyprostował się, nałożył kandurę i wsunął nóż do kaptura. Zobaczyłem, że matka poruszyła się w swoim kącie. Zrozumiała, że jej mąż oszalał, nie śmiała jednak przywozić go do rozsądku. Do takich spraw kobiety nie powinny się mieszać.

Ojciec wyszedł w ciemność. Słyszałem jego cichnące na podwórku kroki, które w porywach wichru brzmiały jak modlitwa. Zaskrzypiała zamykana brama ogrodu; potem nastąpiła cisza... otchłanna cisza, która trzymała mnie w swych czeluściach do samego rana.

Ojciec wrócił o brzasku. Ukradkiem. Ściągnął kandurę, rzucił ją byle gdzie, schował nóż do torby i skierował się do kąta, w którym przesiadywał od tamtego przeklętego czwartku. Skulił się tam i zastygł w bezruchu.

Wieść rozeszła się po Jenane Jato lotem błyskawicy. Blis pośrednik nie posiadał się z radości. Chodził od bramy do bramy, wołając: „El Moro nie żyje, odetchnijcie, dobrzy ludzie! El Moro już nie będzie miał postrachu. Ktoś go wykończył, ktoś wpakował mu nóż prosto w serce”.

Dwa dni później ojciec zaprowadził mnie do apteki stryja. Drżał jak w febrze, oczy miał czerwone, brodę zmierzwioną.

Stryj nie wyszedł zza kontuaru, nie zbliżył się do nas. W jego mniemaniu nasze poranne wtargnięcie w porze, gdy sklepikarze dopiero zaczynali podnosić metalowe żaluzje, nie zwiastowało nic istotnego. Uznał, że ojciec przyszedł, aby zmyć plamę na honorze po poprzedniej wizycie, toteż ze spokojem słuchał, kiedy jego brat bezbarwnym głosem powiedział:

– Miałaś rację, Mahi. Przy mnie mój syn nie ma przyszłości.

I wtedy stryj oniemiał.

Ojciec przykucnął przede mną. Jego palce sprawiły mi ból, kiedy chwycił mnie za ramiona. Popatrzył mi w oczy i rzekł:

– To dla twojego dobra, dziecko. Nie porzucam cię, nie wyrzekam się ciebie. Próbuje tylko

dać ci szansę.

Pocałował mnie w głowę – ten gest zarezerwowany był dla szanowanych starców – próbował się uśmiechnąć, lecz nie zdołał, wyprostował się i niemal biegiem wypadł z apteki, niewątpliwie pragnąc ukryć łzy.

Stryj mieszkał w europejskiej części miasta na końcu asfaltowej ulicy, przy której po obu stronach stały murowane domy, zadbane i spokojne, z okiennicami, otoczone ogrodzeniem z kutego żelaza. Ulica była piękna, miała czyste trotuary ozdobione starannie przyciętymi figowcami. Co kawałek stała ławka, na której dla zabicia czasu zasiadali starcy. Na skwerkach ganiały się dzieci. Nie nosiły łachmanów ani złowieszczych oznak na buziach jak dzieciarnia z Jenane Jato i zdawały się ze szczerą rozkoszą czerpać z życia pełnymi garściami. W tej dzielnicy panował niewyobrażalny spokój; słychać było tylko piski dzieci i ptasi świergot.

Dom stryja był piętrowy, z niedużym ogródkiem od frontu i krótką alejką z boku. Bugenwilla wyrastała nad murek, który pełnił rolę ogrodzenia, i opadała od ulicy obsypana fioletowymi kwiatkami. Nad werandą bujnie krzewiła się winorośl.

– W lecie wszędzie wiszą kiście winogron – powiedział stryj, otwierając furtkę. – Wystarczy, że staniesz na palcach, by je zrywać. – Oczy błyszczały mu ogniście. Był w siódmym niebie. – Spodoba ci się tutaj, chłopcze.

Drzwi otworzyła nam ruda kobieta w wieku około czterdziestu lat. Była piękna, twarz miała okrągłą i dwoje wielkich oczu zielonych jak woda. Kiedy mnie zobaczyła na podeście, podniosła złożone ręce do serca i przez kilka chwil stała bez słowa w oniemieniu. Później pytająco spojrziała na stryja i z wielką ulgą odetchnęła, gdy kiwnął głową.

– Mój Boże, jaki on śliczny! – zawołała, przykucając przede mną, aby popatrzeć z bliska.

Chwyciła mnie tak gwałtownie, że omal nie padłem na wznak. Była krzepką kobietą o ruchach czasami kanciastych, niemal męskich. Przycisnęła mnie mocno do piersi, tak mocno, że poczułem bicie jej serca. Pachniała przyjemnie jak pole lawendy, a łzy, które zebrały się pod powiekami, jeszcze podkreślały zieleń jej oczu.

– Droga Germaine – ozwał się stryj drżącym głosem – pozwól, że ci przedstawię: to Junus, do wczoraj mój bratanek, od dzisiaj n a s z syn.

Poczułem, że kobietę przebiegł dreszcz; łza wzruszenia, która migotała zawieszona na rzęsach, spadła i potoczyła się jej po policzku.

– Jonasię... – powiedziała, starając się powściągnąć szloch. – Jonasię, gdybyś wiedział, jaka jestem szczęśliwa!

– Mów do niego po arabsku. Nie chodził do szkoły.

– Nic nie szkodzi. Zaradzimy temu.

Wyprostowała się, z drżeniem wzięła mnie za rękę i wprowadziła do sali, która wydała mi się większa od obory, a ozdobiona była imponującymi sprzętami. Światło dnia wpadało przez wielkie przeszklone drzwi z zasłonami po bokach, widać przez nie było werandę, na której rozpięły się dwa fotele na biegunach przy okrągłym stoliku.

– To twój nowy dom, Jonasię – powiedziała Germaine.

Stryj uśmiechnięty od ucha do ucha szedł za nami z paczką pod pachą.

– Kupiłem parę ubrań. Resztę sprawisz mu jutro.

– Świetnie, daj mi je. Twój klienci pewnie się niecierpliwią.

– Hola, chcesz go tylko dla siebie?

Germaine znowu przykucnęła, żeby mi się przyjrzeć.

– Myślę, że się dogadamy, prawda, Jonasię? – powiedziała po arabsku.

Stryj położył paczkę z ubraniami na komodzie i rozsiadł się wygodnie na kanapie z rękami na

kolanach, z fezem zsuniętym na tył głowy.

- Chyba nie zamierzasz siedzieć tu i podglądać nas? – rzekła Germaine. – Wracaj do pracy.
- Nie ma mowy, droga połowico. Dzisiaj świętuję. W moim domu pojawiło się dziecko.
- Nie mówisz poważnie?
- W życiu nie byłem poważniejszy.
- No dobrze – ustąpiła Germaine. – Teraz wykąpiemy Jonasa.
- Nazywam się Junus – przypomniałem jej.

Obdarzyła mnie czułym uśmiechem, przesunęła dłonią po moim policzku i szepnęła mi do ucha:

– Już nie, skarbie... – Po czym zwróciła się do stryja: – Skoro tu jesteś, przydad się na coś i nagrzej mi wody.

Poszliśmy razem do malutkiego pomieszczenia, gdzie stało coś w rodzaju wielkiego żeliwnego kotła, tam żona stryja odkręciła kran i kiedy kadź się napełniała, zaczęła mnie rozbierać.

– Najpierw pozbędziemy się tych łachmanów, dobrze, Jonasie?

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Wodziłem wzrokiem za jej białymi dłońmi, które przebiegały po moim ciele, zdejmowały ze mnie szasziję, kandurę, wytarty trykot, gumki. Miałem wrażenie, że po kolei ściąga mi warstwy skóry.

Przyszedł stryj z parującym żelaznym wiadrem. Dyskretnie przystanął w korytarzu. Germaine pomogła mi wejść do kadzi, namydliła mnie od stóp do głów i kilka razy umyła, mocno nacierając jakimś pachnącym płynem, potem wytarła dużym ręcznikiem i poszła po nowe ubrania. Kiedy byłem odziany, podprowadziła mnie do dużego lustra; stałem się kimś zupełnie innym. Miałem na sobie mundurek złożony z marynarskiej bluzy z szerokim kołnierzem ozdobionej z przodu czterema dużymi miedzianymi guzikami, krótkie spodenki z kieszeniami po bokach i taki sam beret jak Huwari.

Stryj się podniósł, aby mnie powitać, gdy wszedłem do salonu. Był taki szczęśliwy, aż czułem się speszony.

– Czyż nie wspaniale się prezentuje mój bosonogi książę? – zawołał.

– Przestań, bo jeszcze ściągniesz z niego złe oko... A skoro o bosych nogach mowa: zapomniałeś mu kupić buty.

Stryj plasnął się dłonią w czoło.

– No przecież!... Gdzie ja miałem głowę?

– Ani chybi w chmurach.

Stryj natychmiast wyszedł z domu. Wrócił po jakimś czasie z trzema parami butów w różnych rozmiarach. Najmniejsze pasowały. Były to czarne sznurowane trzewiki, które ocierały w kostkach, ale cudownie osłaniały stopy. Pozostałych stryj nie odniósł do sklepu; zostawił je dla mnie na p r z y s z ł e l a t a ...

Nie odstępowali mnie na krok, krążąc niczym dwie ćmy wokół źródła światła; pokazali mi cały dom, którego przestronne pokoje o wysokich sufitach mogłyby pomieścić wszystkich lokatorów Blisa pośrednika. Fale zasłon spływały po obu stronach okien o niepokalanie czystych szybach zaopatrzonych w okiennice pomalowane na zielono. Dom był piękny, słoneczny, z początku trochę się w nim gubiłem przy tyłu korytarzach, ukrytych drzwiach, krętych schodach i wbudowanych w ściany szafach, które brałem za wejścia do pokojów. Myślałem o ojcu, o chacie na naszej utraconej ziemi, o szurzej norze w Jenane Jato; różnica wydała mi się tak wielka, aż w głowie się kręciło.

Germaine się uśmiechała, ilekroć podnosiłem na nią wzrok. Już mnie rozpieszczała. Stryj nie wiedział, jak mi dogodzić, lecz nie odstępował nas nawet na krok. Chcieli, żebyśmy wszystko od

razu obejrzał, śmiali się z byle czego; czasami trzymając się za ręce, tylko mnie obserwowali rozczuleni do łez, kiedy ja oniemiały odkrywałem nowoczesny świat.

Wieczorem jedliśmy obiad w salonie. I tu kolejna osobliwość: stryj nie potrzebował lampki naftowej, by rozjaśniała ciemność nocy; wystarczyło wcisnąć przełącznik, a pod sufitem zapalało się kilka kul. Przy stole było mi bardzo nijako. Przywykłem jeść z jednej miski z całą rodziną, toteż nieswojo się czułem, mając talerz tylko dla siebie. Mało co przełknąłem, taki byłem speszony spojrzzeniami, które ustawicznie tropiły każdy mój gest, i rękami, które co rusz gładziły mnie po włosach lub szczypały w policzek.

– Nie ponagłaj go – powtarzała Germaine co chwilę stryjowi. – Dajmy mu czas, żeby się oswoił z nowym otoczeniem.

Stryj na trochę dawał spokój, po czym od nowa ulegał uniesieniu i zaczynał swoje, na równi zapalony i niezręczny.

Po obiedzie poszliśmy na piętro.

– To twój pokój, Jonasie – oznajmiła Germaine.

Mój pokój...Znajdował się w głębi korytarza i był dwa razy większy niż izba, w której żyła moja rodzina w Jenane Jato. Środek zajmowało duże łóżko, po obu jego stronach strażowały dwa stoliki nocne. Na ścianach wisiały obrazy, jedne przedstawiały jakieś urojone pejzaże, drugie modlące się osoby z rękami złożonymi pod brodą i z głową otoczoną złotą aureolą. Brązowy posążek skrzydlatego dziecka na cokolicu górował nad kominkiem, nad którym z kolei wisiał krucyfiks. Nieco z boku stało nieduże biurko w towarzystwie wyściełanego krzesła. W pomieszczeniu unosił się ledwie wyczuwalny dziwny słodkawy zapach. Przez okno widać było drzewa przy ulicy oraz dachy domów naprzeciwko.

– Podoba ci się?

Nie odpowiedziałem. Agresywny przepych tego domu napawał mnie strachem. Bałem się, że przy najmniejszym nieopatrzonym ruchu wszystko zrzucę na ziemię, tak bardzo ład przestrzenny otoczenia wydawał się dopracowany w najdrobniejszym szczególe i jakże kruchy, wiszący dosłownie na włosku.

Germaine poprosiła stryja, żeby nas zostawił samych. Poczekala, aż wyszedł, po czym zaczęła mnie rozbierać, a następnie położyła do łóżka, jakbym bez jej pomocy nie potrafił tego zrobić; głowa zapadła mi się między poduszkami.

– Słodkich snów, chłopcze.

Otuliła mnie przykryciem, przycisnęła usta do mojego czoła w pocałunku bez końca, zgasiła lampę przy łóżku i wyszła na palcach, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

Ciemność mi nie wadziła; byłem samotnym chłopcem o niezbyt wybujałej wyobraźni, zasypiałem łatwo. Jednakże w tym przytłaczającym pokoju jakaś niepojęta trwoga chwyciła mnie za trzewia. Tęskniłem za rodzicami. Ale nie z powodu ich nieobecności miałem ściśnięty brzuch. Było w tym pokoju coś dziwnego, czego nie potrafiłem umiejscowić, ale wyczuwałem to w powietrzu, coś niewidocznego, a zarazem ciężkiego. Czy do głowy uderzał mi zapach pościeli czy też woń dochodząca z zakamarków pokoju? A może dyszący oddech, który rozlegał się to tu, to tam, niekiedy w kominku? Miałem pewność, że nie jestem sam, że obserwuje mnie coś przyczajonego w mroku. Włos mi się zjeżył na głowie i zapało mi dech, gdy poczułem na twarzy muśnięcie chłodnej dłoni. Za oknem księżyc w pełni rzucał na ulicę blask. Wiatr gwizdał między kratami ogrodzenia, drzewa szeleściły koronami pod wpływem jego porywów. Mocno zacisnąłem powieki, kurczowo trzymając się pościeli. Lodowata dłoń wciąż się nie odsuwała. A czyjaś obecność stawała się coraz bardziej dojmująca. Czułem ją w nogach łóżka, czułem, że lada chwila coś skoczy na mnie. Powietrze się jakoś rozrzedziło; a mnie serce o mało nie pękło. Rozwarłem powieki i ujrzałem naraz, że posążek obraca się wolno na kominku. Wpatrywał się

we mnie ślepyimi oczami z twarzą zastygłą w smutnym uśmiechu... Przerażony wyskoczyłem z łóżka i przycupnąłem z boku. Posążek skrzydlatego dziecka wykręcił szyję, aby mi spojrzeć w twarz; jego monstrialny cień zasłonił całą ścianę. Zanurkowałem pod łóżko, naciągnąłem na siebie skraj prześcieradła i zamknąłem oczy pewien, że gdybym je otworzył, zobaczyłbym wpatrzony we mnie posążek na czworakach.

Tak bardzo się bałem, że nie wiem, czy przysnąłem czy też zemdlałem...

– Mahi!

Podskoczyłem, słysząc wrzask; mocno uderzyłem głową w spód łóżka.

– Jonasa nie ma w pokoju! – krzyczała Germaine.

– J a k t o: nie ma w pokoju? – zdumiał się stryj.

Słyszałem, jak pędzą korytarzem, trzaskają drzwiami, biegną po schodach.

– Nie wyszedł z domu. Klucz jest przekreślony dwa razy – powiedział stryj. – Drzwi na werandę też zamknięte. Zaglądałaś do ubikacji?

– Przed momentem. Ani śladu – panikowała Germaine.

– Na pewno nie ma go w pokoju?

– No przecież mówię: łóżko jest puste!

Szukali na dole, przesuwali meble, potem wrócili na piętro i do mojego pokoju.

– O Boże! Jonas!... – zawołała Germaine, gdy zobaczyła, że siedzę na skraju łóżka. – Gdzieś ty się podziewał?

Prawy bok miałem stłuczony, kości obolałe. Stryj nachylił się nad niedużym guzem, który wyrósł mi na czole.

– Spadłeś z łóżka?

Wyciągnąłem zeszywniałą rękę w stronę posążka.

– Cały czas się ruszał.

Germaine zaraz mnie przytuliła.

– Och, Jonasiu, czemu nie zawołałeś, skarbie? Cały jesteś blady. To moja wina.

Następnego wieczoru w moim pokoju nie było posążka skrzydlatego dziecka; ani krucyfiksu i obrazów. Germaine została ze mną i jakąś mieszaniną francusko-arabską opowiadała różne historie, głaszcząc mnie po włosach, póki oczu nie skleił mi sen.

Minęło kilka tygodni; tęskno mi było za rodzicami. Germaine nie szczędziła wysiłków, aby mi uprzyjemnić życie. Idąc przed południem na zakupy, zabierała mnie do sklepów i zawsze wtedy wracałem do domu z jakąś słodkością albo zabawką. Po południu uczyłem się pisać i czytać. Chciała, żebym zaczął chodzić do szkoły, lecz stryj wolał niczego nie przyspieszać. Czasem pozwalał, abym poszedł z nim do apteki. Sadzał mnie za biureczkiem na zapleczu i w czasie gdy on obsługiwał klientów, ja miałem przepisywać w zeszycie litery alfabetu. Germaine uważała, że szybko chłonę wiedzę, i nie rozumiała, czemu stryj waha się z powierzeniem mojej edukacji prawdziwemu nauczycielowi. Po dwóch miesiącach umiałem już sylabizować słowa, z rzadka się tylko potykając. Stryj wszakże był nieprzejednany; nie chciał słyszeć o posłaniu mnie do szkoły, zanim nie nabierze całkowitej pewności, że mój ojciec się nie rozmyśli i nie zabierze od nich syna.

Gdy pewnego wieczoru błąkałem się po domu, zaprosił mnie do swojego gabinetu. Było to surowe pomieszczenie z jedną tylko lukamą, która ledwie, ledwie je rozjaśniała. Ściany zastawione były książkami w kartonowych okładkach; wszędzie było ich pełno – na regałach, komodach, stole. Stryj w okularach zsuniętych na czubek nosa siedział na krześle z opasłą księgą. Wziął m n i e n a kolana i obrócił w stronę portretu jakiejś pani zawieszono na ścianie.

– Musisz jedno wiedzieć, chłopcze. Nie wypadłeś sroce spod ogona... Widzisz tamtą panią na zdjęciu? Pewien generał przeważał ją Joanną d'Arch. Była jakby władczynią i wodzem.

Nazywała się Lalla Fatna i miała ziemie rozległe jak cały kraj. Równiny pełne były jej stad bydła, a miejscowi notable jedli jej z ręki. Nawet francuscy oficerowie jej nadskakiwali. Powiadają, że gdyby znał ją emir Abd al-Kadir, zmieniłby się bieg historii... Przyjrzyj się jej dobrze, chłopcze. Ta dama, postać legendarna... otóż to twoja prababka.

Piękna była ta Laña Fatna. Rozparta na poduszkach, z dumnie podniesioną głową na wyprostowanej szyi, w kaftanie haftowanym złotem i klejnotami zdawała się władać zarówno ludźmi, jak i ich marzeniami.

Stryj przeszedł do drugiego zdjęcia przedstawiającego trzech mężczyzn w burnusach wielmożów: twarze mieli pełne, brody wypielęgnowane, spojrzenie zaś tak przenikliwe, że wydawało się żywe na fotografii.

– Ten pośrodku to mój ojciec, czyli twój dziadek. Pozostali to jego bracia. Po prawej jest Sidi Abbas. Wyjechał do Syrii i nigdy stamtąd nie wrócił. Po lewej Abd al-Mumin, błyskotliwy erudyta. Mógł zostać chlubą elity ulemów, tak niewiarygodną posiadał wiedzę, szybko jednak uległ pokusom. Bywał na salonach europejskich wielkich panów, zaniedbywał swoje ziemie i stada i szastał pieniędzmi w domach uciech. Znalaziono go martwego w jakimś zaułku: ktoś zadał mu cios sztyletem w plecy.

Stryj odwrócił mnie do trzeciego portretu, większego niż tamte.

– Tutaj widzisz swojego dziadka pośrodku i jego pięciu synów. Miał trzy córki z pierwszego małżeństwa, ale nigdy o nich nie mówił. Po prawej jest najstarszy z braci, Kaddur. Nie za dobrze się dogadywał z głową rodziny i został wydziedziczony, kiedy wyjechał do stolicy, żeby podjąć działalność polityczną... Ten po lewej to Hasan. Wiódł hulaszczę życie, zadawał się z kobietami lekkich obyczajów i obsypywał je klejnotami, a za plecami rodziny ubijał interesy, które pochłoneły dużą część naszych ziem i stad koni. Kiedy naszego ojca zaczęto ciągać po sądach, było już za późno, by cokolwiek zrobić. Po tym twój dziadek nigdy się nie pozbierał. Koło Hasana widzisz Abd as-Samada, twardziela, który wyniósł się z domu, kiedy rodziciel zabronił mu poślubić kuzynkę, ponieważ jej rodzina podporządkowała się Francuzom. Poległ śmiercią żołnierza gdzieś w Europie pod koniec wielkiej wojny... A te dwa brzdące, które widzisz u stóp swojego dziada, to Isa, twój ojciec, najmłodszy z nas, i ja, starszy od niego o dwa lata. Bardzośmy się kochali... Potem ciężko zachorowałem i ani lekarze, ani znachorzy nie potrafili mnie wyleczyć. Byłem mniej więcej taki duży jak ty teraz. Twój dziadek wpadł w rozpacz. Ktoś mu doradził, żeby zwrócił się o pomoc do zakonnicy, ale kategorycznie odmówił. Ponieważ jednak gasłem w oczach, pewnego ranka wbrew sobie zastukał do bramy klasztoru.

Stryj wskazał portret, na którym widniała grupa zakonnicy.

– Uratowały m n i e te mniszki. Leczenie trwało latami, potem zdałem maturę. Twój dziadek, zrujnowany hipotekami i epidemiami, zgodził się opłacić moje studia farmaceutyczne. Być może zrozumiał, że mam większe szanse poradzić sobie dzięki wiedzy, niż dojść do ładu z wierzycielami. Kiedy na wydziale chemii poznałem Germaine, która studiowała biologię, twój dziadek, chociaż na pewno upatrzył dla mnie jakąś kuzynkę albo córkę powinowatego, nie sprzeciwił się naszemu związkowi. Otrzymałem dyplom i wtedy zapytał, co zamierzam zrobić ze swoim życiem. Postanowiłem, że zamieszkać w mieście i otworzę aptekę.

Zgodził się, nie narzucając mi żadnych warunków. I tak oto kupiłem ten dom i sklep... Twój dziadek nigdy nie odwiedził mnie w mieście. Nawet kiedy brałem ślub z Germaine. Nie wyrzekł się mnie, po prostu chciał dać mi szansę. Jak twój ojciec tobie, kiedy cię tutaj przyprowadził... Twój ojciec to dzielny, uczciwy i pracowity człowiek. Próbował ratować, co się da, ale był sam. Nie ma w tym jego winy. Był po prostu ostatnim kołem u wozu, który się staczał. Dotąd uważa, że we dwóch zdołalibyśmy sobie poradzić, tyle że los zdecydował inaczej.

Kciukiem i palcem wskazującym ujął mnie za podbródek i popatrzył mi w oczy.

– Na pewno się zastanawiasz, dlaczego ci to wszystko mówię, chłopcze... Cóż, abyś wiedział, że masz swoje dziedzictwo. W twoich żyłach płynie krew Lalli Fatny. Może tobie się uda to, co nie powiodło się twojemu ojcu: może zdołasz się wspiąć na szczyt, z którego się wywodzisz. – Pocałował mnie w czoło. – A teraz idź do Germaine. Pewnie nudno jej bez ciebie w salonie.

Zsunąłem się z jego kolan i pobiegłem do drzwi.

Stryj podniósł brwi, gdy zobaczył, że naraz przystanąłem.

– Co takiego, chłopcze?

Teraz ja popatrzyłem mu w oczy i spytałem:

– Kiedy zabierzesz mnie w odwiedziny do siostry?

Uśmiechnął się.

– Pojutrze. Obiecuję.

Stryj wrócił wcześniej niż zwykle. My z Germaine byliśmy na werandzie, ona czytała w fotelu bujanym, ja próbowałem odnaleźć żółwia, którego poprzedniego dnia wypatrzyłem wśród roślin w ogrodzie. Germaine odłożyła książkę na stolik i zmarszczyła brwi; stryj nie podszedł, aby jak co dzień ucałować ją na powitanie. Odczekała kilka minut, a gdy nadal się nie pojawiał, wstała, by go poszukać.

Był w kuchni, siedział na krześle z łokciami na stole, rękami obejmując głowę. Germaine zrozumiała, że coś się stało. Zobaczyłem, że siada naprzeciw niego i ujmuje go za rękę w przegubie.

– Problemy z klientami?

– Niby czemu miałbym mieć problemy z klientami? – uniósł się stryj. – Nie ja im zapisuję leki, które mają zażywać...

– Jesteś bardzo zdenerwowany.

– Trudno się dziwić. Wracam z Jenane Jato.

Germaine lekko drgnęła.

– Zdaje się, że jutro miałaś tam zabrać małego, prawda?

– Woląłem wcześniej zbadać grunt.

Germaine poszła po karafkę i nalała mężowi do szklanki wody, którą wypił duszkiem. Zauważywszy, że stoję na środku salonu, wskazała palcem sufit.

– Poczekaj na mnie w swoim pokoju, Jonasie. Powtórzymy to, czego uczyliśmy się ostatnio.

Udałem, że idę po schodach na górę, odczekałem chwilę na podeście, zszedłem kilka stopni i nastawiłem ucha. Nazwa Jenane Jato wzbudziła we mnie niepokój. Chciałem się dowiedzieć, co się kryje za zgaszoną miną stryja. Czy u rodziców stało się coś złego? Może ojca wytropiono i aresztowano za zabójstwo El Moro?

– I co? – zagadnęła Germaine po cichu.

– Z czym? – spytał stryj ze znużeniem.

– Widziałeś się z bratem?

– No, nie przyjął mnie z otwartymi ramionami, co to, to nie.

– Dałeś mu jakieś pieniądze?

– Nie żartuj! Ledwie sięgnąłem do kieszeni, zeszywniał, jakbym wyciągał broń. Nie sprzedałem ci dziecka, powiedział. Powierzyłem ci je. Wstrząsnęło to mną potwornie. Isa jest na równi pochyłej. Obawiam się najgorszego.

– Czyli?

– Przecież to jasne. Gdybyś widziała jego oczy! Jak u zjawy.

– To zabierzesz jutro Jonasa do matki?

– N i e .

– Obiecałeś mu.

– Zmieniłem zdanie. Ledwie zaczął wychodzić z tego bagna. Nie chcę go wpychać w nie z powrotem.

– Mahi...

– Nie nalegaj. Wiem, czego nie należy robić. Nasz chłopak musi odtąd patrzeć tylko przed siebie. Za nim są same zgliszcza.

Usłyszałem, że Germaine poprawia się nerwowo na krześle.

– Za szybko się poddajesz, Mahi. Brat cię potrzebuje.

– Myślisz, że nie próbowałem? Isa jest jak detonator: wystarczy go dotknąć, żeby wybuchł. On mi nie daje żadnej szansy. Odciałby mi ramię, gdybym wyciągnął do niego dłoń. Dla niego wszystko, co pochodzi od innych, to jałmużna.

– Ty nie należysz do „innych”. Jesteś jego bratem.

– Sądzisz, że on o tym nie wie? Ale w tym swoim mózdzku nie dopuszcza tego. Jego problem polega na tym, że nie potrafi się pogodzić z faktami: że naprawdę nisko upadł. Teraz został z niego tylko cień i wadzi mu wszystko, co jaśniej świeci. Prócz tego ma do mnie żal. Nie zdajesz sobie sprawy, jak wielki ma żal. On uważa, że gdybym został z nim, we dwóch zdołalibyśmy uratować nasze ziemie. Jest o tym święcie przekonany. A dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek. Zafiksował się na tym bez dwóch zdań.

– A ty poczuwasz się do winy...

– Być może, ale on ma obsesję. Znam go dobrze. W milczeniu przeżuwa gniew. Gardzi mną. W jego mniemaniu sprzedałem duszę diabłu. Wyparłem się rodziny, poślubiłem niewierną, za bezcen sprzedałem swoją ziemię, by kupić dom w mieście, zamieniłem kandurę na europejski garnitur i chociaż na głowie noszę fez, on ma pretensje, że pozbyłem się turbanu. My się nigdy nie zrozumiemy.

– Mogłeś po kryjomu wsunąć jakieś pieniądze jego żonie.

– Nie wzięłaby. Wie, że Isa by ją zabił.

Czym prędzej pospieszyłem do swojego pokoju i zamknąłem się, przekręcając klucz dwa razy.

Nazajutrz w południe stryj opuścił w aptece metalowe żaluzje i przyszedł po mnie. Musiał to sobie przemyśleć jeszcze raz na spokojnie albo Germaine go przekonała. W każdym razie dążył do ostatecznego wyjaśnienia sytuacji. Miał dość życia w ciągłym strachu, że mój ojciec się wycofa. Niepewność warzyła jego szczęście; układał jakieś plany wobec mnie, lecz dręczyła go ewentualność całkowitego odwrócenia spraw. Mój ojciec był zdolny zjawić się bez uprzedzenia, wziąć mnie za rękę i zabrać, nie racząc rzucić choćby słowa wyjaśnienia.

Udaliśmy się ze stryjem do Jenane Jato. I Jenane Jato wydało mi się jeszcze okropniejsze niż przedtem. Tutaj czas biegł w kółko. Bez żadnego wpływu na życie. Te same śniade twarze wbijały w otoczenie zamglony wzrok, te same chińskie cienie zlewały się z półmrokiem. Kuternoga szybkim ruchem nasunął turban na głowę, gdy zobaczył, że się zbliżamy. Balwierz omal nie uciął ucha starcowi, któremu golił właśnie głowę. Dzieciarnia przerwała zajęcia, którym się oddawała, i wszyscy ustawili się rzędem przy ścieżce, by obejrzeć nas sobie dokładnie. Łachmany powiewały na ich wychudzonych ciałach.

Stryj nie chciał oglądać wszechobecnej tu nędzy; kroczył wyprostowany, z zadartym podbródkiem, spojrzeniem nieuchwytnym.

Nie wszedł ze mną na podwórko, wolał poczekać na zewnątrz.

– Zostań, jak długo chcesz, chłopcze.

Popędziłem na patio. Dwaj synowie Badry handryczyli się przy cembrowinie studni, walcząc ze sobą zapamiętane. Mniejszy twardo trzymał starszego na ziemi, usiłując mu wykręcić rękę. W kącie przy ustępach Hadda prała pochylona nad balią wydrażoną w pniu drzewa. Podciągnięta do

połowy ud suknia poddawała jej nagie piękne nogi pieszczocie słońca. Stała do mnie tyłem i nie wyglądało na to, żeby jej przeszkadzała wolnoamerykanka, którą z rzadkim zacięciem uprawiały dwa wisusy sąsiadki.

Podniosłem zasłonkę na wejściu do naszej izby i musiałem odczekać kilka sekund, by wzrok mi przywykł do półmroku panującego w pomieszczeniu. Zobaczyłem leżącą na wyrku matkę otuloną przykryciem, z głową zawiniętą w chustkę.

– To ty, Junus? – wyjęczała.

Podbiegłem i skoczyłem na nią. Objęła mnie i przytuliła do piersi; uścisk jednak był słaby. Matka płonęła z gorączki.

Odepchnęła mnie słabo; na pewno mój ciężar utrudniał jej oddychanie.

– Czemu wróciłeś? – spytała.

Moja siostra siedziała koło niskiego stolika. Nie od razu ją zauważyłem, taka była cicha i nie rzucająca się w oczy. Patrzyła wielkimi oczami bez wyrazu, zastanawiając się, gdzie mnie widziała. Nie mieliśmy kontaktu raptem od kilku miesięcy, a ona już nie pamiętała, kim jestem. Nadal nie mówiła. Nie przypominała innych dzieci w swoim wieku i wydawało się, że nie chce dorastać.

Z niedużej torebki wyjąłem zabawkę, którą dla niej kupiłem, położyłem ją na stoliku. Siostra nie wzięła jej do ręki; obrzuciła ją tylko wzrokiem, po czym na powrót wpatrzyła się we mnie. Podniosłem zabawkę – niedużą szmacianą lalkę – i włożyłem jej do rąk. Nawet tego nie zauważyła.

– J a k udało ci się odnaleźć nasze podwórko? – zapytała matka.

– Stryj czeka na ulicy.

Matka krzyknęła przenikliwie, siadając na łożku. Znowu objęła mnie i przytuliła do piersi.

– Cieszę się, że cię widzę. Jak ci jest u stryja?

– Germaine jest bardzo miła. Codziennie mnie myje i kupuje mi wszystko, co chcę. Mam pełno zabawek i słoiki konfitur, i buty... Wiesz, mam, dom jest wielki. Mają dużo pokojów i miejsce dla wszystkich. Czemu nie zamieszkacie z nami?

Matka się uśmiechnęła i całe cierpienie, które znaczyło jej twarz, zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Piękna była moja mama z czarnymi włosami sięgającymi bioder i oczami ogromnymi jak spodki. Kiedy mieszkaliśmy jeszcze na wsi, często widywałem, jak spogląda na pola ze szczytu pagórka, i jawiła mi się wtedy niby sułanka. Miała imponującą prezencję i wdzięk, a gdy schodziła z boczem wzgórze, bieda, która uwieszała się rąbka jej sukni niczym zgraja psów, nie potrafiła jej dogonić.

– Naprawdę – upierałem się – czemu nie chcecie zamieszkać z nami w domu mojego stryja?

– Wśród dorosłych to nie takie proste, synku – odparła, wycierając mi coś z policzka. – Poza tym twój ojciec nigdy nie zechce mieszkać u kogoś. On pragnie samodzielnie stanąć na nogi i nic nikomu nie zawdzięczać... Dobrze wyglądasz – dodała. – Zdaje mi się, żeś urósł... A jaki elegant z ciebie w tym ubraniu! Wyglądasz zupełnie jak mały rumi.

– Germaine nazywa mnie Jonas.

– Kto to jest?

– Żona stryja.

– To nic. Francuzi przekręcają nasze imiona. Nie robią tego umyślnie.

– Umiem czytać i pisać...

Zmierzwiała mi włosy palcami.

– Bardzo dobrze. Ojciec nigdy by cię nie zostawił u stryja, gdyby nie oczekiwał po nim, że da ci to, czego ojciec nie jest w stanie ci dać.

– Gdzie on jest?

– Pracuje. Bez wytchnienia... Zobaczysz, kiedyś przyjdzie po ciebie i zaprowadzi cię do swojego wymarzonego domu... Wiesz, że urodziłeś się w pięknym domu? Chata, w której urosłeś, należała do rodziny wieśniaków pracujących dla twojego ojca. Na początku byliśmy prawie bogaci. Cała wioska świętowała nasze zaślubiny. Przez tydzień trwały śpiewy i zabawa. Nasz dom był murowany, dookoła mieliśmy ogrody. Twój trzech starsi bracia urodzili się jak książęta. Nie przeżyli. Ty przyszedłeś na świat po nich i ganiałeś po tamtych ogrodach do utraty tchu. Potem Bóg postanowił, że zima zastąpi wiosnę, i nasze ogrody zmarniały. Takie jest życie, moje dziecko. Co nam daje jedną ręką, drugą odbiera. Ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby to odzyskać. Tobie się to uda. Pytałam Batul wróżkę. Wyczytała w zmarszczkach na wodzie, że tobie się uda. Dlatego ilekroć mnie dopadnie tęsknota za tobą, wymyślam sobie od egoistek i powtarzam: bardzo mu dobrze tam, gdzie jest. Został uratowany.

Nie zostałem długo z matką. A może zostałem całą wieczność. Nie pamiętam. Czas się nie liczył; znaczenie miało co innego, coś bardziej doniosłego i fundamentalnego. Jak w więziennej rozmównicy, gdzie ważne jest zawsze to, co się zapamiętuje z chwil spędzonych z osobą, której odwiedzającemu brakuje. Wówczas nie zdawałem sobie sprawy ze szkód, jakie wyrządziłem bliskim swoim odejściem, nie byłem świadom, jak okaleczyłem rodzinę. Matka nie uroniła ani łezki. Zapłacze później. Nie wypuszczając mojej dłoni, mówiła do mnie z uśmiechem. Uśmiech mojej matki był wybaczeniem.

Powiedzieliśmy sobie mniej więcej to, co mieliśmy do powiedzenia, czyli niewiele, w każdym razie nic, czego już byśmy nie wiedzieli.

– To miejsce tutaj nie jest dobre dla ciebie – oznajmiła.

Wtedy jej słowami niespecjalnie się przejąłem. Byłem przecież dzieckiem, dla którego słowa rzadko znaczyły więcej niż to, co wyraziły usta. Czy zapadły we mnie? Czy zastanowiłem się nad nimi?... W sumie jakie to ma znaczenie? Tak czy owak już byłem przecież gdzie indziej.

Ona mi przypomniała, że nie przyszedłem sam, że stryj czeka na ulicy i pora na mnie; i wieczność prysła, zgasła, jak gasną lampy, kiedy nacisnąć wyłącznik, zgasła tak szybko, że mnie zaskoczyła.

Nad podwórkiem zawisła cisza. Ustała wrzawa, ustały odgłosy walki. Podwórko milczało; czy podsłuchiwało u naszego wejścia? Wyszedszy z izby, zastałem wszystkich naszych sąsiadów zgromadzonych przy cembrowinie studni. Badra, Mama, Batul wróżka, piękna Hadda, Jazza i ich dzieci przypatrywały mi się z dala. Wyglądało to tak, jakby się bały, że mnie uwalają, jeśli podejść. Urwisy Badry prawie nie oddychały. Te chłopaczyska zawsze wszędzie wtykały palce, a teraz stały na baczność. Aby ich wszystkich speszyc, wystarczyło, że zmieniłem ubranie. Do dzisiaj się zastanawiam, czy koniec końców świat nie składa się z samych pozorów. Masz gębę jak uschnięte winogrono i zwisający na brzuchu jutowy worek, więc jesteś biedakiem. Umyjesz sobie twarz, przejedziesz grzebieniem po włosach, włożysz czyste spodnie i już jesteś kimś innym. Tak niewiele trzeba. W wieku jedenastu lat deprymują cię przebudzenia. Ponieważ na pytania brakuje odpowiedzi, zadowolasz się tymi, które ci pasują. Ja byłem przekonany, że bieda wcale nie wynika z przeznaczenia, lecz jest efektem wyłącznie umysłu. Wszystko rodzi się w głowie. Co oczy widzą, umysł akceptuje i człowiek uważa, że to właśnie jest niezmienna rzeczywistość istot i rzeczy. Tymczasem wystarczy na moment odwrócić uwagę od złej passy, by wypatrzeć inną drogę, nowiutką jak spod igły i tak tajemniczą, aż człowiek ze zdumieniem stwierdza, że się rozmarzył... W Jenane Jato nikt nie marzył. Ludzie uznali, że ich los został przypieczętowany i że nic innego nie ma ani dokoła, ani za nimi, ani poniżej. Zawsze na życie spoglądali pod kątem swoich słabości, toteż w końcu patrzenie zezem stało się ich drugą naturą.

Stryj wyciągnął do mnie rękę. Chwyciłem ją skwapliwie. Kiedy jego palce objęły moją dłoń, przestałem się oglądać za siebie.

Już byłem gdzie indziej.

Niewiele zapadło mi w pamięć z pierwszego roku w nowej rodzinie. Uspokojony stryj zapisał mnie do szkoły oddalonej o dwa kwartały przy naszej ulicy. Mieściła się w banalnym budynku z nieciekawymi korytarzami i dwoma olbrzymimi platanami na dziedzińcu. Zdaje mi się, że w środku było dość mroczno, że światło dzienne docierało tylko do górnych pięter szkoły.

Nauczyciel, człowiek szorstki i surowy, uczył nas francuskiego, mówiąc z silnym akcentem z Owernii, który część uczniów perfekcyjnie naśladowała, w przeciwieństwie zaś do niego nauczycielka była cierpliwa i łagodna. Lekko przy kości, zawsze nosiła ten sam ponury fartuch, a kiedy szła między rzędami ławek, jej zapach podążał za nią jak cień.

Do mojej klasy chodzili tylko dwaj Arabowie, synowie dygnitarzy Abd al-Kadir i Ibrahim, których służący odbierali ze szkoły po lekcjach.

Stryj strzegł mnie jak żrenicy oka. Jego dobry nastrój dodawał mi śmiałości. Od czasu do czasu stryj ponawiał zaproszenie do swego gabinetu i opowiadał mi historie, których znaczenia ani wagi zupełnie nie pojmowałem.

Oran był wspaniałym miastem. Miał osobliwy koloryt, który do jego śródziemnomorskiej dobroduszości dokładał niezniszczalny czar. Cokolwiek tam przedsięwzięto, wszystko do niego pasowało jak rękawiczka. Miasto potrafiło żyć i nie ukrywało tego. Wieczory były iście magiczne. Kiedy po upalnym dniu powietrze chłodziło, ludzie wystawiali krzesła na chodniki i godzinami gawędzili przy szklaneczce anyżówki. Z werandy widzieliśmy, jak ćmią papierosy, słyszeliśmy, co sobie opowiadają. Ich tajemniczo brzmiące rubaszne słowa mknęły przez noc jak spadające gwiazdy, a lubieżny śmiech przetaczał się aż do naszych stóp podobny do fal, które liżą palce na brzegu morza.

Germaine była szczęśliwa. Ilekroć na mnie spojrzała, w podzięcie posyłała niebiosom modlitwę. Miałem świadomość, że uszczęśliwiam ją i jej męża, i bardzo mi to pochlebiało.

Stryj miewał gości przybywających czasem z bardzo daleka. Arabów i Berberów, jednych ubranych na modłę europejską, drugich odzianych w tradycyjne stroje. Byli to wpływowi ludzie, bardzo dystygowani. Wszyscy rozprawiali o kraju, który nazywali Algierią; nie o kraju wszakże, o którym uczono w szkole, ani nie o kraju bogatych dzielnic, lecz o innym, o kraju złupionym, podbitym, uciemienionym i przeżuwanym gniew niczym zepsuty pokarm – o Algierii miejsc takich jak Jenane Jato, o otwartych ranach i wypalonych ziemiach, o wyrobnikach i tragarzach... o kraju, który należało na nowo zdefiniować, o kraju, do którego jak się wydawało, ściągnęły wszystkie paradoksy świata, obierając go na swoje wieczne siedlisko.

Chyba byłem szczęśliwy u stryja. Niespecjalnie mi brakowało Jenane Jato. Kolegowałem się z dziewczynką, która mieszkała naprzeciwno. Nosiła imię Lucette. Chodziliśmy do jednej klasy i ojciec pozwalał jej bawić się ze mną. Miała dziewięć lat, była niezbyt ładna, za to miła i szlachetna i bardzo lubiłem jej towarzystwo.

W szkole sprawy się poukładały w drugim roku. Udało mi się wrosnąć w klasę. Chociaż mali rumi byli naprawdę dziwnymi dziećmi. Mogli cię przyjąć z otwartymi ramionami i zaraz potem odtrącić.

Między sobą świetnie się dogadywali. Bywało, że się tłukli w czasie przerwy, nienawidzili wzajemnie, wystarczyło jednak, że pojawił się jakiś intruz – zazwyczaj Arab lub „ubogi krewny” z ich kręgu – a natychmiast zwierali szeregi. Bojkotowali go, natrząsali się z niego i regularnie jego wskazywali, kiedy szukano winnego. Na początku niejaki Maurice, skory do bitki próżniak, stale mnie dręczył. Kiedy chłopcy spostrzegli, że jestem tylko „miękkim niedołęgą” niezdolnym oddać cios ani iść na skargę, dali mi spokój. I jeśli trafiało im się nowe popychadło, tolerowali mnie na obrzeżu swojej grupy. Niezupełnie byłem jednym z nich, czego nie omieszkali przypominać mi przy każdej okazji. Co ciekawe, wystarczyło, że wyjąłem z tornistra drugie śniadanie, a natychmiast pasowali; nagle wszyscy byli moimi dobrymi kolegami, którzy darzyli mnie rozbijającym respektem. Kiedy rozczęstowałem drugie śniadanie i zniknęła ostatni okruszek, znów odtrącali mnie tak szybko, aż w głowie mi się kręciło.

Pewnego wieczoru wróciłem do domu wściekły do szaleństwa. Potrzebowałem wyjaśnień, i to natychmiast. Wkurzyłem się na Maurice'a, na nauczyciela i w ogóle na całą klasę. Ucierpiała

moja miłość własna i po raz pierwszy dotarło do mnie, że taka udręka wcale nie musi się wiązać tylko z rodziną, ale może się także rozciągać na ludzi, którzy mi ani brat, ani swat, lecz za sprawą jednego afrontu stają się równie bliscy jak matka i ojciec. Incydent miał miejsce w czasie lekcji. Oddawaliśmy zadanie domowe, a tu się okazało, że Abd al-Kadir zapomniał je odrobić. Nauczyciel złapał go za ucho, zaciągnął na katedrę i postawił przed klasą. „Może będzie pan łaskaw wyjaśnić, czemu nie ma pan zadania, mości Abd al-Kadir?”. Przydybany uczeń stał ze zwieszoną głową purpurowy ze wstydu. „Dlaczego to, mości Abd al-Kadir? Dlaczego nie odrobił pan zadania?”. Nie słysząc odpowiedzi, nauczyciel zwrócił się do klasy: „Czy ktoś może powiedzieć, dlaczego wielmożny pan Abd al-Kadir nie odrobił zadania?”. Na to Maurice, nie podniósłszy palca, odparł z głębi sali: „Bo Arabowie to lenie, proszę pana”. Wesołość, którą to stwierdzenie wywołało, dosłownie mnie zdruzgotała.

Po powrocie do domu od razu udałem się do gabinetu stryja.

– To prawda, że Arabowie są leniwi?

Stryja zaskoczył mój napastliwy ton. Odłożył książkę, którą przeglądał, i odwrócił się do mnie. Wzruszył go wyraz mojej twarzy.

– Chodź tu, chłopcze – powiedział, rozkładając ramiona.

– Nie... Chcę wiedzieć, czy to prawda. Czy Arabowie są leniwi?

Stryj ujął się za brodę kciukiem i palcem wskazującym, patrząc na mnie uważnie. Tu nie było żartów: m u s i a ł mi wytłumaczyć.

Po zastanowieniu stanął przede mną i rzekł:

– Nie jesteśmy leniwi. Po prostu korzystamy z życia. Inaczej jest z ludźmi Zachodu. Dla nich czas to pieniądz. A dla nas czas nie ma ceny. Nas potrafi uszczęśliwić filiżanka herbaty, im do szczęścia wiecznie czegoś brakuje. Ot cała różnica, chłopcze.

Nigdy więcej nie odezwałem się do Maurice’a i przestałem się go bać.

A później przyszedł dzień – jeszcze jeden – który kompletnie mnie zaskoczył, ponieważ uczyłem się właśnie marzyć.

Odprowadziłem Lucette do jej cioci, krawcowej szyjącej spodnie, której zakład mieścił się w Choupot, dwie dzielnice od naszej, i wracałem piechotą do domu. Był październikowy poranek, słońce wielkie jak dynia zdobiło niebo. Jesień ogołacała drzewa z resztek przyodziewku, a wiatr jak w transie na oślepił zwałami suchych liści. Przy alei, na której lubiliśmy z Lucette gapić się na wystawy sklepów, znajdował się bar. Nie przypominam sobie szyldu zawieszono nad wejściem, pamiętam natomiast bywających w lokalu pijaków, skorych do bitki hałaśliwych ludzi, których policja często uspokajała pałkami. W chwili gdy dochodziłem do niego, wybuchła jakaś gwałtowna awantura. Po serii przekleństw rozległ się łoskot przewracanych stołów i krzesel, po czym ujrzałem rozsierdzonego grubasa, który złapał jakiegoś żebraka za kark i siedzenie spodni i wyrzucił na ulicę. Biedak wylądował u moich stóp jak wiązka słomy. Był zalany w trupa.

– Nie pokazuj się w tej okolicy, wszarzu! – ryknął za nim człowiek z baru od wejścia. – To nie miejsce dla ciebie!

Wszedł do lokalu i zaraz wyłonił się ponownie z babuszem w ręce.

– I zabieraj swój babusz, wszarzu. Szybciej doleżesz do własnej zguby.

Żebrak wtulił szyję w ramiona, kiedy babusz trafił go w głowę. Leżał rozciągnięty przez całą szerokość chodnika, tarasując mi drogę, a że nie wiedziałem, czy mam go przekroczyć czy zejść na jezdnię i ominąć, stałem w miejscu jak wrośnięty.

Pijak sapał na ziemi z policzkiem przyciśniętym do chodnika, turbanem zsuniętym na kark. Widziałem go od tyłu. Gorączkowo macał przed sobą, usiłując się czegoś uchwycić, ale był zbyt

mocno zaprawiony, żeby coś zdziałać. Po kilku nieudanych próbach udało mu się wreszcie usiąść, po omacku znalazł babusz, nałożył go, potem podniósł turban i niedbale owinął nim głowę.

Nie pachniał ładnie; myślę, że oddał mocz pod siebie.

Chwiejnie siedząc, podparły jedną ręką, by znowu się nie rozłożyć jak długi, drugą szukał swojego kostura, zauważył go w pobliżu rynsztoka i podczołgał się do niego. Naraz zdał sobie sprawę z mojej obecności i znieruchomiał. Podniósł głowę, zobaczył mnie i zmienił się na twarzy.

To był mój ojciec!

Mój ojciec... który był zdolny przenosić góry, rzucać na kolana zwątpienie, skręcać kark przeznaczeniu!... Leżał u moich stóp na chodniku w cuchnącym odzieniu, z obrzmiałą twarzą, śliną wyciekającą z kącików ust, błękitem oczu równie tragicznym jak sińce na obliczu!... Wrak... ruina... dramat!

Popatrzył na mnie jak na zjawę. Załzawione podpuchnięte oczy coś mu zasnuło, twarz się zmarszczyła jak stary papier pakunkowy w rękach gałganiarza.

– Junus?... – wykrztusił.

To nie był krzyk... ledwie bełkot mieszczący się pomiędzy bezdźwięcznym zawołaniem a szlochem...

Stałem oniemiały.

Uświadomiwszy sobie naraz powagę sytuacji, spróbował się podnieść. Nie spuszczając mnie z oczu, z twarzą napiętą z wysiłku oparł się na kosturze i stanął na nogach, pilnując się, by nie wyrwał mu się jęk. Kolana jednak ugięły się pod nim i smętnie padł prosto do rynsztoka. A ja się czułem, jakby oto rozpadał się mój zamek z piasku, jakby wczorajsze obietnice i moje najdroższe pragnienia ulatywały z powiewem sirocca. Cierpiałem okrutnie. Chciałem nachylić się nad nim, zarzucić sobie jego ramię na szyję i podnieść go. Chciałem, aby wyciągnął rękę, wsparł się na mnie. Chciałem zrobić tysiąc innych rzeczy, na tysiąc innych sposobów przyjść mu z ratunkiem, z odsieczą, tymczasem mogłem tylko nie dopuszczać do siebie tego, co oglądałem, ponieważ żaden z moich członków nie odpowiadał na wezwanie. Zbyt mocno kochałem ojca, aby przez myśl mi przeszło, że zobaczę go u swoich stóp ubranego jak strach na wróble, z żalobą pod paznokciami i rozdętymi nozdrzami...

Nie będąc w stanie przemóc wpływu alkoholu, przestał się daremnie wysilać i znużonym gestem poprosił, żebym odszedł.

Jednakże w ostatnim porywie dumy nabrał głęboko powietrza i znowu wsparł się na kosturze. Musiał sięgnąć głęboko do resztek godności, aby wykrzesać z siebie siły na taki wyczyn, pociągnęło go do przodu, rzuciło w tył, oparł się w końcu o mur na uginających się kolanach; całą siłą woli, wytężając każdy mięsień ciała, walczył o ustanie na nogach. Uczepiony kurczowo swojej wątpliwej podpory przywodził na myśl schorowanego starego konia, który tylko patrzeć, jak zwali się na ziemię. Potem z trudem przestawiając stopy, ramieniem szorując o fasadę baru, ruszył naprzód. Przy każdym kroku starał się korygować chód, odsunąć nieco od ściany, aby mi udowodnić, że jest w stanie iść prosto. W tej patetycznej walce, którą toczył ze sobą, było to, co w nieszczęściu jest najbardziej wartościowe i groteskowe zarazem. Zbyt pijany, żeby odejść daleko, po paru metrach dostał zadyszki i obejrzał się, by zobaczyć, czy odszedłem. A ja stałem w tym samym miejscu ze zwieszonymi rękami, równie jak on oszołomiony. Wtedy rzucił mi spojrzenie, które będzie mnie przesładowało przez całe życie; spojrzenie człowieka upadłego, które pochłonęłoby każde przyrzeczenie łącznie z tym, jakie złożyłby najpocziwszy z ojców najlepszemu z synów... Spojrzenie, jakie rzuca się tylko jeden jedyny raz w życiu, ponieważ za nim ani po nim nie ma już nic... Zrozumiałem, że skierował na mnie wzrok po raz ostatni; że

tych oczu, które mnie fascynowały i przerażały, chroniły i ostrzegały, kochały i pieściły, nigdy więcej na sobie nie poczuje.

– Jak dawno to ma? – zapytał lekarz, chowając stetoskop do torby.

– Wrócił w południe – odparła Germaine. – Wyglądał normalnie. Usiedliśmy potem do stołu. Zjadł trochę, po czym nagle się zerwał, wybiegł i zwymiotował do bidetu.

Lekarz był wysokim kościstym jegomościem o pociągłej bladej twarzy. Ubranie barwy antracytu niosło skojarzenia z marabutem. Pewną ręką zapiął paski torby, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Nie umiem powiedzieć, co mu jest – wyznał. – Nie gorączkuje, nie poci się i nie ma żadnych oznak wyziębienia.

Stryj, który stał z Germaine w nogach mojego łóżka, nic nie mówił. Z uwagą obserwował badanie, od czasu do czasu zerkając z niepokojem na lekarza, który obejrzał mi gardło, zaświecił latareczką w oczy, dokładnie obmacał miejsce pod uszami, posłuchał oddechu. Wstając, skrzywił się nieznacznie.

– Przepiszę mu leki przeciwwymiotne. Dzisiaj niech zostanie w łóżku. W zasadzie powinno mu przejść. Musiał zjeść coś, co jego organizm odrzuca. Jeżeli nie minie, proszę mnie wezwać.

Po odejściu lekarza Germaine została ze mną. Nie była uspokojona.

– Zjadłeś coś na ulicy?

– Nie.

– Boli cię brzuch?

– Nie.

– No to co ci dolega?

Nie wiedziałem, co mi dolega. Czuję, że rozlatuję się na wszystkie strony. W głowie mi się kręciło, ilekroć ją podniosłem. Wydawało mi się, że trzewia splątały mi się dokumentnie, że na duszę spływa odrętwienie...

Była noc, gdy się przebudziłem. Uliczne hałasy ucichły. Księżyc w pełni rozjaśniał mój pokój, lekki wietrzyk figlarnie poruszał koronami drzew. Musiało być późno. Sąsiedzi zwykle kładli się spać, policzywszy wszystkie gwiazdy. W ustach miałem gorzki smak żółci, paliło mnie w gardle. Odrzuciłem przykrycie i wstałem. Nogi mi drżały. Podszedłem do okna i z nosem przyklejonym do szyby czekałem, że pojawi się czyjaś postać. W każdym nocnym przechodniu chciałem ujrzeć ojca.

Tak mnie zastała Germaine: z twarzą wilgotną od pary z oddechu, przemarzniętego. Czym prędzej położyła mnie do łóżka. Nie słyszałem, co mówiła. Chwilami jej twarz niknęła za twarzą mojej matki; potem zamiast nich pojawiał się ojciec i wtedy brzuch ścisnęła mi gwałtowne skurcze.

Nie wiem, jak długo chorowałem. Kiedy poszedłem w końcu do szkoły, Lucette mi powiedziała, że się zmieniłem, że nie jestem taki jak przedtem. Coś we mnie pękło.

Blis pośrednik odwiedził mojego stryja w aptece. Poznałem go, ledwie odchrząknął. Głos zawsze oczyszczał jak nikt inny. Kiedy przyszedł, siedziałem na zapleczu, powtarzając lekcje. Widziałem go przez szparę w zasłonce oddzielającej aptekę. Miał na sobie przemoczony do suchej nitki połatany za duży burnus, szarawary utyłane w błocie i kauczukowe sandały, które zostawiały brudne ślady na posadzce.

Stryj przerwał sprawdzanie rachunków i podniósł głowę. Przybycie pośrednika nie wróżyło nic dobrego. Blis zupełnie wyjątkowo zjawiał się w dzielnicy europejskiej. Po spojrzeniu osaczonego zwierzęcia stryj odgadł, że przywiały go wyjątkowo niepomysłne wiatry.

– Tak?...

Blis wsunął rękę pod szasziję i energicznie podrapał się w czubek głowy; była to u niego oznaka wielkiego zakłopotania.

– Chodzi o twojego brata, doktorze.

Stryj zatrzasnął księgę rachunkową i odwrócił się do mnie. Zdał sobie sprawę, że ich obserwuję. Wyszedł zza kontuaru, ujął Blisa za łokieć i pociągnął w kąt pomieszczenia. Wstałem z taboretu i przybliżyłem się do zasłonki, aby posłuchać, co mówią.

– Co znowu z moim bratem?

– Zniknął.

– Co?... Jak to: zniknął?

– No, nie wrócił do domu.

– Kiedy?

– Trzy tygodnie temu.

– Trzy tygodnie?! I dopiero teraz mi to mówisz?

– To przez jego żonę. Wiesz, jakie są nasze kobiety, kiedy męża zabraknie. Każda prędzej by puściła dom z dymem, niż poprosiła sąsiada o pomoc. Zresztą dowiedziałem się o tym od Batul wróżki dziś rano. Żona twojego brata radziła się jej wczoraj. Poprosiła, żeby Batul wyczytała z ręki, co się dzieje z jej mężem, i w ten sposób Batul się dowiedziała, że twój brat nie dał znaku życia od trzech tygodni.

– Mój Boże!

Wróciłem pospiesznie do stołu.

Stryj odgarnął zasłonkę i zobaczył, że siedzę pochylony nad zeszytem z tekstem, którego uczyłem się na pamięć.

– Idź do Germaine i powiedz, żeby mnie zastąpiła w aptece. Muszę pilnie coś załatwić.

Zabrałem zeszyt i wyszedłem z apteki. Mijając Blisa, próbowałem zajrzeć mu w oczy, lecz odwrócił wzrok. Jak wariat pognałem ulicami.

Germaine nie mogła usiedzieć na miejscu. Ledwie obsłużyła klienta, stawała za zasłonką oddzielającą zaplecze i przyglądała mi się z troską. Mój spokój ją martwił. Od czasu do czasu, nie mogąc się powstrzymać, podchodziła do mnie na palcach i zaglądała mi przez ramię do zeszytu, z którego uczyłem się tekstu na pamięć. Gładziła mnie*po włosach, po czym zsuwała mi dłoń na czoło, sprawdzając, czy mam gorączkę.

– Na pewno dobrze się czujesz?

Nie odpowiadałem.

Ostatnie spojrzenie, które posłał mi ojciec tamtego dnia, kiedy zataczał się od alkoholu i wstydu, znowu mnie toczyło niczym żarłoczny robak.

Noc dawno już zapadła, a stryj ciągle nie wracał. Na wyludnionej ulicy w ulewnym deszczu koń runął na ziemię, przewracając wóz, który ciągnął. Węgiel rozsypał się na jezdni i woźnica, klnąc na zwierzę i na parszywą pogodę, bezskutecznie próbował jakoś zaradzić swojemu kłopotowi.

Patrzyliśmy z Germaine przez witrynę na rozciągnięte na ziemi zwierzę z podkurczonymi przednimi nogami i wykręconą szyją. Pod wpływem strug deszczu jego grzywa falowała na bruku.

Woźnica poszedł po pomoc i wrócił z garścią ochotników, którym niestraszna była ulewa i pioruny. Jeden z nich przykucnął przy koniu.

– Ta szkapa zdechła – powiedział po arabsku.

– Gdzie tam, tylko się pośliznęła.

– Mówię ci, że to trup.

Woznica nie dowierzał. On także przykucnął przy zwierzęciu, nie śmiąc go dotknąć.

– Niemożliwe. Miał się dobrze.

– Zwierzęta nie potrafią się skarżyć – rzekł pomocnik. – Pewnieś przesadził z batem, stary.

Germaine ujęła korbę i opuściła do połowy metalową żaluzję na witrynie; następnie wręczyła mi swój parasol, zgasiła światło i wypchnęła mnie na zewnątrz. Pozamykała wszystkie kłódki, wzięła parasol, przytuliła mnie do siebie i pospieszyliśmy do domu.

Stryj zjawił się dopiero późną nocą przemoczony do cna. Germaine w sionce zabrała od niego ociekający wodą płaszcz i buty.

– Czemu on nie śpi? – burknął, wskazując mnie brodą.

Germaine wzruszyła ramionami i szybko weszła schodami na piętro. Stryj z uwagą mi się przyglądał. Jego mokre włosy błyszcząły w świetle plafoniery, spojrzenie miał jednak mroczne.

– Powinieneś już spać. Nie zapominaj, że jutro idziesz do szkoły.

Germaine wróciła ze szlafrokiem, który stryj natychmiast włożył.

Bose stopy wsunął w pantofle i podszedł do mnie.

– Bądź tak miły, chłopcze, i idź do swojego pokoju.

– Wie o ojcu – uznała za stosowne poinformować Germaine.

– Wiedział wcześniej niż ty, ale to nie powód.

– Przecież i tak nie zmrzy oka, póki nie usłyszysz wszystkiego od ciebie. W końcu chodzi o jego ojca.

Ostatnie słowa Germaine nie spodobały się stryjowi. Popatrzył na nią groźnie, lecz nie zrezygnowała. Martwiła się i rozumiała, że ukrywanie prawdy przede mną dowodziłoby braku rozsądku.

Stryj oparł mi ręce na ramionach.

– Szukaliśmy go wszędzie – powiedział. – Nikt go nie widział. W miejscach, gdzie bywał, nie pamiętają, żeby się pojawiał w ostatnim czasie. Twoja matka nie ma pojęcia, gdzie się podziewa. Nie rozumie, dlaczego odszedł... Będziemy go jeszcze szukać. Poleciałem pośrednikom i trzem zaufanym ludziom, żeby przetrząsnęli miasto w poszukiwaniu jego śladów...

– A ja wiem, gdzie jest – oświadczyłem. – Wyjechał, żeby zbić majątek, i wróci niedługo pięknym samochodem.

Stryj popatrzył na Germaine pytająco, lękając się, że bredzę. Uspokoiła go nieznacznym przymknięciem powiek.

Kiedy znalazłem się w swoim pokoju, utkwilem wzrok w suficie i wyobraziłem sobie, jak mój rodziciel gdzieś tam migiem gromadzi majątek niczym w filmach, na które ojciec Lucette zabierał nas w niedzielne popołudnia. Germaine kilka razy zaglądała do mnie, sprawdzając, czy zasnąłem. Udawałem, że tak. Przemykała do łóżka, ukradkiem dotykała mojego czoła, poprawiała mi poduszki, otulała mnie kołdrą i wychodziła. Kiedy drzwi się zamykały, odrzucałem przykrycie i wpatrzony w sufit jak dzieciak oczarowany jakimś nadzwyczajnym widokiem, śledziłem przygody ojca jak na ekranie.

Blis pośrednik i trzech zaufani ludzie, którym stryj powierzył odnalezienie mojego ojca, wrócili z niczym. Szukali w komisariatach, w szpitalu i domach publicznych, na wysypiskach śmieci i bazarach, pytali wśród grabarzy i włóczęgów, pijaków i stręczycieli... Mój ojciec wyparował.

Kilka tygodni po jego zniknięciu udałem się do Jenane Jato, nikomu o tym nie mówiąc. Poznałem już miasto wystarczająco dobrze i chciałem odwiedzić matkę, nie pytając Germaine o pozwolenie i bez stryja. Matka ostro mnie zbeształa. Oświadczyła, że głupio postąpiłem, i kazała mi obiecać, że więcej tego nie zrobię. Na przedmieściach roiło się od ludzi niezbyt zasługujących na szacunek, toteż dobrze ubranego chłopca jak nic mogliby posiekać na kawałki szubrawcy

przesiadający w mordowniach. Tłumaczyłem jej, że przyszedłem, aby się dowiedzieć, czy ojciec wrócił. Matka rzekła na to, że ojciec nie potrzebuje, aby się o niego kłopotano, i że zdaniem Batul wróżki ma się znakomicie, zbijając teraz właśnie majątek. „Kiedy wróci, najpierw ciebie zabierze od stryja, a dopiero potem przyjdzie po nas, po twoją siostrę i po mnie, żeby w s z y s t k i c h r a z e m zawieźć do wielkiego domu otoczonego ogrodem i mnóstwem drzew owocowych”.

Następnie posłała najstarszego syna Badry po Blisa pośrednika, by natychmiast odprowadził mnie do stryja.

Bezapelacyjne odtrącenie przez matkę długo mnie gnębiło.

Miałem poczucie, że jestem przyczyną wszelkich nieszczęść na ziemi.

Później miesiącami zamykałem nocą oczy, dopiero gdy dokładnie przepatrzyłem sufit. Od jednego końca do drugiego. Wzdłuż i wszerz. Kładłem się na plecach i z głową wciśniętą w poduszkę wałkowałem wciąż od nowa przeżycia ojca, które jak pozbawiony logiki film przewijały się nad moim łóżkiem. Wyobrażałem go sobie jako dostojnego bogacza pośród sług, rozbójnika grabiącego odległe krainy, poszukiwacza złota odkrywającego jednym uderzeniem łopaty żyłę złota, jakiej świat nie widział, nawet jako gangstera w nienagannie skrojonym trzyczęściowym garniturze, z grubym cygarem w zębach. Czasami ogarnięty niepojętą trwogą widziałem, jak się wałęsa po zakazanych dzielnicach przedmieść pijany i nędznie odziany, ścigany naigrzaniem się miejscowych łobuziaków. W te noce rękę w przegubie miażdżyło mi imadło – imadło takie jak to, które omal nie wgniotło mi monet w ciało tamtego wieczoru, kiedy myślałem, że uszczęśliwię ojca, oddając mu pieniądze zarobione na sprzedaży szczygłów.

Zniknięcie ojca stało mi kością w gardle; nie mogłem tego ani przełknąć, ani wykrztusić. Poczuałem się do odpowiedzialności za jego odejście. Ojciec nigdy by nie zostawił na pastwę losu i pewną nędzę mojej matki i siostry, gdyby nie spotkał mnie na swojej drodze tamtego dnia. Wróciłby nocą do Jenane Jato i trzeźwiałyby w swoim kącie, tak że sąsiedzi o niczym by nie wiedzieli. Był człowiekiem z zasadami; dążył zawsze do tego, by wszystko brać pod rozwagę, i baczył, żeby sprawy się nie poplątały. Powiadał, że można stracić majątek, ziemię i przyjaciół, perspektywy i powodzenie, ciągle jednak pozostanie możliwość, choćby i minimalna, na odbudowanie gdzieś wszystkiego; jeśli natomiast straci się twarz, nie ma już co ratować.

Wtedy w Choupot mój ojciec stracił twarz. Przeze mnie. Zobaczyłem go na dnie i tego nie mógł znieść. Tak bardzo się starał mi udowodnić, że za punkt honoru stawia sobie, by zła passa nie okryła cieniem jego wizerunku... Spojrzenie, które mi rzucił koło baru, gdy komicznie próbował ustać prosto na nogach, zadecydowało inaczej... Są spojrzenia, które wiele mówią o rozpacz człowieka; spojrzenie mojego ojca było nieodwołalne.

Wyrzucałem sobie, że poszedłem tamtą ulicą, mijałem tamten bar akurat w chwili, gdy wykidajło cisnął na ziemię mojego ojca i cały mój świat; wyrzucałem sobie, że tak szybko się pożegnałem z Lucette, że nie pogapiłem się troszkę dłużej niż zwykle na wystawy sklepów...

W ciemnościach pokoju przeżuwałem tylko swoją winę, nie mając pojęcia, gdzie szukać okoliczności łagodzących. Byłem taki nieszczęśliwy, że pewnego wieczoru poszedłem do komórki po posążek anioła, który śmiertelnie mnie przeraził pierwszej nocy w domu stryja. Wytropiłem go na dnie pudła pełnego jakichś staroci, wytarłem z kurzu i na powrót ustawiłem na kominku naprzeciw łóżka. I nie spuszczałem go z oczu święcie przekonany, że w końcu zobaczę, jak rozkłada skrzydła i obraca głowę do mnie... A tu nic. Figurka tkwiła jak zaklęta na postumencie, nieodgadniona i żałośnie zbędna, przed świtem zaś musiałem ją odnieść do pudła ze starociami.

– Bóg jest zły!

– Bóg nie ma z tym nic wspólnego, chłopcze – odparł stryj. – Twój ojciec odszedł, koniec, kropka. Ani Szatan go nie opętał, ani anioł Gabriel nie poprowadził za rękę. To proste: jak mógł, tak walczył, ale w końcu nie wytrzymał i pękł. Życie składa się ze wzlotów i upadków i nikt nie potrafi znaleźć złotego środka. Człowiek nie musi nawet ograniczać się do siebie. Nieszczęście, które nas dotyka, wcale nie robi tego z rozmysłem. Spada jak grom i jak grom się rozchodzi, nie wnika w dramaty, które nam przynosi, nawet o nich nie wiedząc. Jeśli chcesz płakać, płacz; jeśli

chcesz mieć nadzieję, módl się, ale na litość, nie szukaj winnego tam, gdzie nie znajdujesz sensu swojego cierpienia.

Płakałem i modliłem się; potem w miarę upływu czasu ekran nad moją głową zaczął przygasać i w końcu sufit odzyskał dawny wygląd płaskiej powierzchni. Niczemu nie służyło wchodzenie w skórę własnych upiórów. Wróciłem do szkoły, znów kolegowałem się z Lucette. Gromady chłopców w moim otoczeniu także nie ponosiły żadnej winy. To byli chłopcy, tylko chłopcy również doświadczający niedoli, pokutujący za rozmaite grzechy i godzący się z nimi. Nie stawiali sobie za wiele pytań wyłącznie dlatego, że bardzo często odpowiedzi nic dobrego nie przynosiły.

Stryj nadal przyjmował tajemniczych gości. Przyjeżdżali osobno w środku nocy, zamykali się w salonie i godzinami tam siedzieli, kopiąc jak kominy. Dym z ich papierosów zasmradzał cały dom. Rozmowy zawsze się zaczynały i kończyły tak samo: początkowo stłumione, potem przerywane chwilami zamyślenia, rozogniały się ostatecznie tak bardzo, że groziły obudzeniem sąsiadów. Słyszałem, jak stryj, korzystając z praw przysługujących gospodarzowi, łagodzi dysputy. Kiedy rozbieżnych poglądów nijak nie dawało się pogodzić, goście wychodzili zaczerpnąć powietrza w ogrodzie. Końce ich papierosów żarzyły się wściekle w ciemnościach. Po zebraniu wychodzili na palcach osobno, jeden za drugim, i rozwiewali się w mroku nocy.

Następnego dnia widziałem, jak stryj w gabinecie bez końca coś pisze w kajecie oprawionym w karton.

Pewnego wieczoru, który nie przypominał wcześniejszych, stryj pozwolił mi przyłączyć się do gości w salonie. Z dumą mnie im przedstawił. Parę osób rozpoznałem, atmosfera była mniej napięta, niemal uroczysta. Głos zabierał tylko jeden człowiek. Kiedy otwierał usta, całe towarzystwo wbijało w nie wzrok i spijało jego słowa z wyraźną rozkoszą. Była to wybitna osobistość, charyzmatyczna, którą stryj darzył nieskrywanym uwielbieniem... Dopiero dużo później, przeglądając czasopismo polityczne, zdołałem przypisać tej twarzy nazwisko: Missali al-Hadždz, czołowy przedstawiciel algierskiego nacjonalizmu.

W Europie wybuchła wojna. Jakby pękł wrzód.

Pod nazistowskim naporem zaskakująco łatwo padła Polska. Ludzie spodziewali się dzikiego oporu, tymczasem skończyło się na żalonych potyczkach szybko duszonych przez czołgi opatrzone swastyką. Piorunujące tempo marszu wojsk niemieckich wzbudzało zarówno przerażenie, jak i fascynację. Ogół śmiertelników zgodnie skierował uwagę na północ i skupił ją na tym, co się działo po drugiej stronie Morza Śródziemnego. Przychodzące wieści nie krzepiły; widmo powszechnej pożogi dręczyło myśli wszystkich. Przy stolikach na kawiarnianym tarasie nie było nikogo, kto by nie trzymał w rękach gazety otwartej na tym, co go trapiło. Przechodnie przystawali, zagadywali do siebie, tłumnie ściągali do barów bądź gromadzili się na ławkach w parkach publicznych, by mierzyć puls Zachodu, który w przyspieszonym tempie zmierzał ku zatraceniu. W szkole nauczyciele dawali nam trochę luzu. Zjawiali się rankiem ze świeżymi wieściami i takimiż pytaniami, wieczorem zaś wracali do domu z tymi samymi pytaniami i obawami. Dyrektor otwarcie zainstalował w swoim gabinecie odbiornik radiowy i przez większość dnia słuchał wiadomości, zupełnie nie zwracając uwagi na łobuziaków, których w tych niespokojnych czasach nad podziw się namnożyło na szkolnym dziedzińcu.

W niedzielę po mszy Germaine nigdzie mnie nie zabierała. Zaszywała się w swoim pokoju i na kolanach przed krzyżem bez końca odmawiała litanie. Nie miała rodziny w Europie, lecz z całych sił modliła się o to, aby rozsądek wziął górę nad szaleństwem.

Ponieważ stryj także wymykał się z domu, pod płaszczem ukrywając torbę wypchaną ulotkami i odezwaniami, byłem skazany na towarzystwo Lucette. Zabawy tak nas pochłaniały, że

trzeba nas było wołać, gdy przyszła pora posiłku albo snu.

Ojciec Lucette na imię miał Jérôme i był inżynierem w fabryce położonej niedaleko naszej dzielnicy. Czasem siedział z nosem w książce technicznej, czasem mościł się na starej kanapie przed gramofonem, z którego do znużenia płynęły dźwięki Schuberta, i nigdy nie zadał sobie trudu, by choćby zerknąć, co też porabiamy. Wysoki, chudy, w okrągłych okularach, zdawał się obracać w bańce przyciętej na swój rozmiar, skrupulatnie zachowując dystans wobec wszystkiego i wszystkich, łącznie z wojną, która zaczynała się rozlewać na cały glob. Zarówno zimą, jak i latem chodził w tej samej koszuli khaki z pagonami i dużymi kieszeniami na bokach zawsze wypchanymi ołówkami. Jérôme odzywał się tylko wtedy, kiedy zadano mu pytanie, a odpowiadał niezmiennie z nutką irytacji w głosie. Jego żona odeszła kilka lat po narodzinach Lucette, co ciężko przeżył. Oczywiście niczego nie odmawiał Lucette, ale nigdy nie widziałem, żeby ją wziął za rękę albo przytulił. Mógłbym przysiąc, że w kinie, do którego nas prowadzał na nieme filmy w odcinkach, zniknął, ledwie pogasły światła. Chwilami budził we mnie przerażenie, szczególnie odkąd obojętnym tonem oświadczył mojemu stryjowi, że jest ateistą. W tamtym czasie nie sądziłem, że ludzie tego rodzaju w ogóle istnieją. Wokół mnie byli sami wierzący: stryj był muzułmaninem, Germaine katoliczką, nasi sąsiedzi żydami lub chrześcijanami. Zarówno w szkole, jak i w naszej dzielnicy Bóg był na ustach wszystkich i w każdym sercu, niewąsko mnie zatem zdumiało, że Jérôme radzi sobie bez Niego. Słyszałem kiedyś, jak mówił do kaznodziei, który chciał go nawracać: „Każdy dla siebie jest bogiem. Dlatego jeśli wybiera sobie innego, wypiera się sam siebie i staje się ślepy i niesprawiedliwy”. Kaznodzieja zmierzył go takim wzrokiem, jakby miał przed sobą Szatana we własnej osobie.

W święto Wniebowstąpienia zabrał nas, Lucette i mnie, na oglądanie panoramy miasta z góry Murdzadzu. Najpierw wspięliśmy się na szczyt, by zwiedzić średniowieczną warownię, potem dołączyliśmy do tłumów pielgrzymów zmierzających do kaplicy Santa Cruz. Setki kobiet, starców i dzieci przepychały się u stóp Matki Boskiej. Niektórzy weszli zboczem góry boso, czepiając się ciernistych krzewów, inni przybyli na kolanach, raniąc je sobie do krwi. Cały ten ludźka kołysał się w palącym słońcu, z wywróconymi oczami i pobladłym obliczem, prosząc świętych i błagając Pana, by oszczędzony został ich nędzny żywot. Lucette mi wyjaśniła, że ci wierni są Hiszpanami, którzy co roku w dzień Wniebowstąpienia zadają sobie torturę w podzięce Matce Boskiej za to, że oszczędziła Stary Oran, gdy epidemia cholery w roku 1849 okryła żalobą tysiące rodzin.

- Ale oni się strasznie kaleczą! – powiedziałem wstrząśnięty rozmiarami umartwienia.
- Robią to dla Boga – rzekła Lucette żarliwie.
- Bóg niczego od nich nie żąda – sucho stwierdził Jérôme.

Jego głos zabrzmiał jak trzask bicia, niwecząc mój entuzjazm. Nie widziałem już pielgrzymów, lecz potępieńców w transie, i nigdy piekło nie wydało mi się tak bliskie jak owego dnia wielkich modłów. Od urodzenia przestrzegano mnie przed bluźnierstwem. Nie trzeba było go wygłosić, aby za nie pokutować; już samo usłyszenie go było grzechem. Lucette zauważyła mój niepokój. Czuję, że jest wściekła na ojca, wzbraniałem się jednak przed odpowiedzią na jej zakłopotany uśmiech. Chciałem już znaleźć się w domu.

Do miasta wróciliśmy autobusem. Wijąca się ciasnymi serpentynami nad urwiskiem szosa, która prowadziła do Starego Oranu, jeszcze pogorszyła moje samopoczucie. Na każdym zakręcie wszystko podchodziło mi do gardła. Zwykle lubiliśmy z Lucette powłóczyć się po Scalerze, zjeść paellę albo jakieś danie z kociołka w hiszpańskiej garkuchni, kupować różne drobiazgi u sefardyjskich rzemieślników w Derby. Tego dnia nie mieliśmy do tego serca. Wysoka sylwetka Jérôme'a rzucała cień na moje strapienia. Bałem się, że jego „bluźnierstwo” ściągnie na mnie nieszczęście.

Tramwajem dotarliśmy do europejskiej części miasta i dalej poszliśmy piechotą prosto do naszej dzielnicy. Była piękna pogoda. Orańskie słońce przechodziło siebie, na mnie jednak nie działały uroki jego blasku ani dobiegające zewsząd pogodne głosy. Lucette na darmo ścisnęła moją rękę – nie była w stanie sprawić, żebym się przecknął...

I to, czego się obawiałem, spadło na mnie jak obuch: na naszej ulicy było pełno ludzi. Po obu stronach stali sąsiedzi z rękami założonymi na piersi, palcem podpierając policzek.

Jérôme spojrzał pytająco na człowieka w szortach stojącego w swojej bramie. Mężczyzna, który podlewał ogród, zakręcił kurek z wodą, położył wąż w alejce, wytarł dłonie o przód podkoszulka i rozłożył ręce na znak niewiedzy.

– To na pewno pomyłka – powiedział. – Policja zatrzymała pana Mahiego aptekarza. Dopiero co go załadowali do suki. Gliniarze nie wyglądali miło.

Stryja wypuszczono po tygodniu. Musiał czekać na zapadnięcie zmroku, aby wrócić do domu. Przemykając pod ścianami. Z wpadniętymi policzkami i zgaszonym spojrzeniem. Kilka dni w więzieniu wystarczyło, by całkowicie go odmienić. Był nie do poznania. Niechlujny zarost podkreślał wymęczone rysy twarzy i zagubionej minie dodawał widmowego wyglądu. Można by sądzić, że głodzili go i nie pozwalali mu zmrużyć oka ani w dzień, ani w nocy.

Ulga Germaine trwała tyle, ile trwało powitanie. Zaraz się zorientowała, że męża jej zwrócono nie w pełni. Stryj był jak otępiały. Nie od razu docierało do niego, co się mówi, podskakiwał jak oparzony, gdy

Germaine pytała, czy czegoś potrzebuje. W nocy słyszałem, jak krąży po pokoju, mamrocząc niezrozumiałe wyrzekania. Kiedy czasem będąc w ogrodzie, podniosłem wzrok na okno na piętrze, zgadywałem, że stoi ukryty za firanką. Stryj bez przerwy obserwował ulicę, jakby się spodziewał, że lada chwila wylądują u niego demony z samych piekieł.

Germaine zajęła się wszystkimi rodzinnymi sprawami, osobiście też prowadziła aptekę. W natłoku obowiązków rychło zaczęła mnie zaniedbywać. W oczach pogarszał się stan umysłu jej męża, który kategorycznie odmawiał badania lekarskiego, co wprawiało ją w przerażenie. Czasami nie wytrzymała i wybuchała szlochem na środku salonu.

Jérôme podjął się odprowadzać mnie do szkoły. Co rano Lucette cała w skowronkach czekała przed naszą bramą ze wstążkami wplecionymi w warkocz. Brała mnie za rękę i zmuszała do biegu, abyśmy dogonili jej ojca będącego już w dole ulicy.

Myślałem, że stryj się pozbiera w ciągu kilku tygodni, tymczasem było z nim coraz gorzej. Zamykał się w swoim pokoju i nie chciał otworzyć, kiedy ktoś pukał do drzwi. W domu jakby zagościł zły duch. Germaine była w rozpacz. A ja nic z tego nie rozumiałem. Dlaczego aresztowano mojego stryja? Co się stało na policji? Dlaczego stryj za żadne skarby świata nie chciał nawet Germaine nic powiedzieć o pobycie w więzieniu?... Jednakże to, co dom za wszelką cenę pragnie ukryć, ulica wcześniej czy później obwieści wszem wobec: mój stryj, człowiek wykształcony, skrzętnie i wnikliwie śledzący zmiany wstrząsające światem arabskim, duchem solidaryzował się ze sprawą narodową, która ogarniała coraz szersze kręgi arabskich intelektualistów. Nauczył się na pamięć tekstów Szakiba Arslana, wycinał z gazet wszelkie artykuły dotyczące walki o sprawę, sporządzał ich spisy, opatrywał je notatkami i komentował w długich opracowaniach. Pochłonięty teoretyczną stroną wrzenia politycznego, zupełnie nie brał pod uwagę rzeczywistego ryzyka, jakie niesło jego działanie, choć z realnej zaangażowanej walki znał tylko słowne uniesienia, finansowanie tajnych stowarzyszeń, w którym partycypował, i sekretne zebrania, które przywódcy ruchu organizowali u niego. Jako narodowiec z przekonania opowiadający się za wypracowaniem zasad, a nie za radykalnymi działaniami, które były domeną Ludowej Partii Algierskiej, ani przez moment nie przypuszczał, że mógłby przestąpić próg

komisariatu lub spędzić noc w cuchnącej celi w towarzystwie szczurów i pospolitych bandziorów. W gruncie rzeczy mój stryj był pacyfistą, demokratą chodzącym z głową w chmurach, intelektualistą wierzącym w siłę słowa, w slogany i manifesty, a jak morowej zarazy nienawidzącym przemocy. Jako obywatel przestrzegający prawa, świadom pozycji społecznej, jaką mu zapewniały dyplomy uniwersyteckie i status farmaceuty, w życiu by nie pomyślał, że policja zaskoczy go we własnym domu, usadowionego wygodnie w fotelu, z nogami opartymi na pufie i z nosem w „El-Ouma”, piśmie jego partii.

Powiadano, że był w marnym stanie, zanim jeszcze wszedł do suki, i że sypał od pierwszego przesłuchania, a wykazywał taką chęć do współpracy, że zwolniono go, nie stawiając mu żadnych zarzutów – czemu do końca życia zaprzeczał. Ponieważ nie potrafił znieść takich niegodziwych pomówień, kilka razy z tego powodu dosłownie odszedł od zmysłów.

Odzyskawszy niejaką przytomność umysłu, stryj podzielił się z Germaine swoim planem: nie ma mowy, żebyśmy w tych okolicznościach zostali w Oranie; bezwzględnie musimy zmienić otoczenie.

– Policja chce mnie wykorzystać przeciwko towarzyszom – powiedział z rozpaczą. – Rozumiesz to? Jak mogli sądzić, że zrobią ze mnie kapusia? Czyja wyglądam na zdrajcę, Germaine? Na litość Boga, czyja jestem zdolny wydać ludzi o takich jak moje przekonaniach?

Wy tłumaczył jej, że jest teraz załatwiony, spalony; że będzie bacznie obserwowany i tym samym narazi rodzinę i przyjaciół.

– Masz przynajmniej pomysł, gdzie wyjedziemy? – spytała Germaine zasmucona, że musi opuścić rodzinne miasto.

– Zamieszkamy w Río Salado.

– Dlaczego w Río Salado?

– To miścina, ale przyzwoita. Byłem tam kiedyś, żeby sprawdzić, czy byłaby możliwość otwarcia apteki. Znalazłem lokal na parterze dużego domu...

– Chcesz sprzedać wszystko, co mamy tu, w Oranie? Dom, aptekę?...

– Nie mamy innego wyjścia.

– Czyli nie zostawiasz nam żadnej furtki, żeby kiedyś wrócić tu, gdzie tyleśmy marzyli...

– Przykro mi.

– A jeśli w Río Salado sprawy przybiorą niepomyślny obrót?

– To pojedziemy do Tilimsanu, a jak i tam się nie uda, to do Sidi Balabbas albo na Saharę. Boży świat jest rozległy, nie pamiętasz?

Zostało gdzieś zapisane, że przyjdzie mi odchodzić, wечно odchodzić i wszędzie zostawiać cząstkę siebie.

Lucette stała przed bramą swojego domu z rękami założonymi za plecy, ramieniem oparta o mur. Nie wierzyła, kiedy jej powiedziałem, że się przeprowadzamy. Teraz, gdy ciężarówka przyjechała, była na mnie zła.

Nie miałem odwagi przejść przez jezdnię, aby ją zapewnić, jak bardzo ja także to przeżywam. Patrzyłem tylko, jak tragarze ładują nasze meble i skrzynie do auta. Jakby pozbawiali kości moich bogów i aniołów stróżów.

Germaine popchnęła mnie w stronę kabiny. Silnik ciężarówki ryknął. Wychyliłem się, by popatrzeć na Lucette. Miałem nadzieję, że podniesie rękę, że choćby skinie mi na pożegnanie; Lucette nie wykonała żadnego gestu. Wyglądała, jakby nie docierało do niej, że naprawdę wyjeżdżam. A może nie chciała tego do siebie dopuścić.

Ciężarówka ruszyła i szofer zasłonił mi przyjaciółkę. Wykręcałem głowę, że o mało kregi w

szy mi nie popękały, próbując zabrać ze sobą chociażby namiastkę uśmiechu, dowód, iż Lucette rozumie, że nie ma w tym żadnej mojej winy, że ja jestem równie jak ona nieszczęśliwy. Na próżno. Ulica zostawała w tyle pośród klekotu żelastwa, potem zniknęła...

Zegnaj, Lucette!

Długo uważałem, że jej oczy napełniały moją duszę słodką błogością. Teraz mam świadomość, że nie oczy, lecz spojrzenie – łagodne i dobre, ledwie rozkwitłe, a już macierzyńskie, spojrzenie, które spoczywając na mnie...

Río Salado leżało około sześćdziesięciu kilometrów na zachód od Oranu. Nigdy podróż nie wydała mi się tak długa. Ciężarówka stękała na drodze jak stary wielbłąd u kresu sił. Silnik się krztusił przy każdej zmianie biegu. Szofer ubrany był w spodnie ubrudzone smarem i koszulę, która czasy świetności dawno miała za sobą. Krótkonogi, barczysty, z pucołowatą gębą zapaśnika po chorobie, prowadził w milczeniu, trzymając kierownicę owłosionymi rękami przypominającymi tarantule. Przyciśnięta do drzwi Germaine też się nie odzywała, obojętna na uroki sadów, które się rozciągały po obu stronach szosy. Po palcach skrzyżowanych dyskretnie w fałdzie spódnicy poznałem, że się modli.

Z kłopotami przejechaliliśmy przez Misarghin z powodu wozów tłoczących się na drodze. Był dzień targowy, gospodynie uwijały się przy straganach, przy których nieliczni Beduini, rozpoznawalni po turbanach, proponowali swoje usługi w charakterze tragarzy. Po placu dumnym krokiem przechadzał się porządkowy, od niechcenia wywijając pałką. Uniżenie kłaniał się mijanym paniom z daszkiem kepi zsuniętym po same brwi, następnie oglądał się za nimi, z lubością wlepiając wzrok w miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę.

– Nazywam się Costa – odezwał się naraz szofer. – Coco dla przyjaciół. – Zerknął na Germaine. Ponieważ uśmiechnęła się uprzejmie, zuchwale dodał: – Jestem Grekiem. – Zaczął nagle podskakiwać na siedzeniu. – Ta ciężarówka w połowie należy do mnie. Nie wyglądam na takiego, co? Ale to prawda. Za niedługo sam sobie będę szefem i wtedy nie ruszę się z biura... Ci dwaj na pace to Włosi. Mogliby rozładować parowiec w niecały dzień. Już w brzuchu matki musieli być tragarzami. – Zabłyśły mu oczy otoczone wałeczkami tłuszczu. – A wie pani, że bardzo pani podobna do mojej kuzynki Ameliny? Jakem przedtem panią zobaczył, myślałem, że mam przywidzenie. Nie do wiary, jak pani ją przypomina. Te same włosy, ten sam kolor oczu, ten sam wzrost... Pani przypadkiem nie jest Greczynką z pochodzenia?

– N i e .

– A skąd pani pochodzi?

– Z Oranu. Czwarte pokolenie.

– Ho, ho! Skoro tak, to pani przodek walczył ze świętym patronem Arabów... Ja jestem w Algierii dopiero piętnaście lat. Byłem marynarzem. Zawinęliśmy tu do portu. W funduku poznałem Bertę. I zaraz żem sobie powiedział: koniec trasy! Ożeniłem się z Bertą i osiedliśmy w Scalerze... Oran to piękne miasto.

– Tak – przyznała Germaine ze smutkiem. – To naprawdę piękne miasto.

Szofer gwałtownie skręcił kierownicą, by ominąć dwa osły stojące na środku drogi. W budzie ciężarówki zahurgotały meble, dwaj tragarze bluznęli przekleństwami w jakimś bardzo malowniczym żargonie.

Ciężarówka wyrównała tor i przyspieszyła, aż zawory zaklekotały pod maską.

– Lepiej pilnuj drogi, zamiast mleć ozorem, Coco! – dobiegło nas z paki.

Szofer kiwnął głową i umilkł.

Po obu stronach szosy znów pojawiły się sady. Gaje pomarańczowe i winnice rozpychały się na zboczach wzgórz i równinach. Tu i ówdzie wyłaniały się piękne zabudowania gospodarstw, najczęściej na wzniesieniu, by górować nad okolicą, otoczone majestatycznymi drzewami i

ogrodami. Prowadzące do nich drogi były wysadzone drzewami oliwnymi bądź smukłymi palmami. Czasami zauważaliśmy farmera wracającego z pól na piechotę bądź pędzącego wierzchem co koń wyskoczy ku nie wiedzieć jakiemu szczęściu. Po czym nieoczekiwanie, jakby pragnąc zakłócić czarowne widoki, spośród pagórków wynurzały się niebywale odrażające rudery przygniecione ciężarem nędzy i czarów. Niektóre wstydliwie kryły się za murem figowców – ledwie widoczne były tylko ich dachy grożące zawaleniem na osłaniany świat; inne tuliły się do skał z wejściem niczym wstrętne bezzębne usta, ścianami ulepionymi z gliny na podobieństwo maski pośmiertnej.

Szofer znowu popatrzył na Germaine i powiedział:

– Nie do wiary, jaka pani podobna do mojej kuzynki Ameliny.

II
Río Salado

Lubiłem Río Salado – Flumen Salsum dla starożytnych Rzymian, dzisiejsze Al-Malah. Nadal zresztą je lubię, nie potrafię sobie wyobrazić, że miałbym się starzeć pod niebem wiszącym nad miastem innym niż ono albo umrzeć z dala od jego upiorów. Było uroczym kolonialnym miasteczkiem z zielonymi ulicami i bogatymi domami. Rynek, gdzie odbywały się bale i przewijały najbardziej znane grupy muzyczne, rozwijał swój brukowany dywan o dwa kroki od merostwa, które otaczały wyniosłe palmy połączone jedna z drugą przez girlandy obwieszane lampionami. Na tym rynku produkować się będą Aimé Barelli, Xavier Cugat ze swoim słynnym chihuahua schowanym w kieszeni, Jacques Hélian, Pérez Prado, legendarne nazwiska i orkiestry, których Oran ze swoim zmanierowaniem i rangą zachodniej stolicy nie mógł sobie zafundować. Río Salado lubiło się popisać, odgrywało się za przewidywania wieszczące mu ongiś sromotną porażkę. Dwory, które demonstracyjnie się pyszniły przy głównej alei, miały pokazać ludziom tędy przejeżdżającym, że ostentacja jest cnotą, kiedy pozwala podważyć arbitralne wyroki, skatalogować drogi przez mękę pokonane po to, aby z nieba zdjąć księżyc. Niegdyś były to ziemie zupełnie wyludnione, królestwo jaszczurek i skał, gdzie czasami nieopatrznie zapuścił się pasterz i więcej nogi tu nie postawił; królestwo krzewów i wyschłych rzek, gdzie wszechwładnie rządziły hieny i dziki – krótko mówiąc, ziemia wyklęta przez ludzi i aniołów, którą pielgrzymi przebywali na skrzydłach wiatru, jakby mieli do czynienia z potępionymi cmentarzyskami... Potem rozmaite wyrzutki i obieżyświaty skierowały uwagę na tę parszywą krainę, która ze wszech miar przypominała ich nędzny los. W większości byli to Hiszpanie – zakasali rękawy i postanowili poskromić zrudziałe równiny: karczowali lentyszki, w zamian natychmiast sadząc winorośl, okopywali nierówny teren, wytyczając granice gospodarstw. I Río Salado weszło z tego fantastycznego zacięcia, jak na mogiłach wschodzą świeże pędy roślin.

Wygodnie rozparte pośród winnic i piwnic winogradników – było ich około stu – Río pozwalało, aby je degustować niczym miejscowe wino, między jednym a drugim winobranem niecierpliwie wypatrując upojenia rozśpiewanym jutrem. Mimo że był akurat raczej chłodny styczeń i brzemienne śniegiem niebo nisko wisiało, z rozmaitych zakamarków sączyły się wiecznie zapachy lata. Mieszkańcy, chwacka pogodna społeczność, oddawali się swoim zajęciom, o zachodzie słońca zaś schodzili się gdzieś na kielicha bądź rozprawiali o jakimś lokalnym wydarzeniu; w promieniu mili słychać było, jak się śmieją lub oburzają.

– Spodoba ci się w tym miasteczku – zapewnił mnie stryj, witając nas z Germaine na progu naszego nowego domu.

Mieszkańcy Río Salado w większości byli Hiszpanami i Żydami dumnymi, że własnoręcznie wzniesli tam każdy budynek, a ziemi zrytej norami wydarli pola rodzące takie winogrona, że wino z nich w zachwyty by wprawiło bogów na Olimpie. Byli uprzejmi, spontaniczni i uparci; lubili nawoływać się z daleka, osłoniwszy usta dłońmi. Można by pomyśleć, że wyszli spod jednej sztancy, tak bardzo byli do siebie podobni. I znali się wszyscy jak łyse konie. Zupełne przeciwieństwo Oranu, gdzie przechodząc z dzielnicy do dzielnicy, człowiek miał wrażenie, że wędruje w czasie, trafia na inną planetę. W Río Salado mile czuć było swojską atmosferę, odświętność nawet za witrażami kościoła stojącego na prawo od merostwa, odrobinę w głębi, by nie drażnić hulaków.

Stryj miał słuszność. Río Salado było dobrym miejscem, aby odbudować życie. Nasz dom wznosił się we wschodniej flance miasta. Otaczał go wspaniały ogród, a z balkonu widać było

morze winorośli. Dom był duży, rozległy i przestronny, z wysokim parterem przerobionym na aptekę, której przedłużeniem było tajemnicze zaplecze naszpikowane półkami i sekretnymi szafami. Kręte schody prowadziły na piętro do ogromnego salonu, do którego przylegały trzy duże pokoje i łazienka wykładana płytkami, z żeliwną wanną spoczywającą na lwich łapach z brązu. Poczujęm się w swoim żywiole w chwili, gdy wychylony przez balustradę skąpaną w słońcu zaczęłam spojrzeć na lecącej przepiórcie i o mało nie pozwoliłam mu z nią odfrunąć.

Byłem olśniony. Urodziłem się pośród pól i teraz po kolei odkrywałem bliskie mi niegdyś składniki krajobrazu, zapach ziemi uprawnej i ciszę pagórków. Odradzałem się w swej wieśniaczej skórze, z radością stwierdzając, że miejski przyrodziewek nie wypaczył mi duszy. Miasto było dla mnie iluzją, wieś będzie narastającymi ustawicznie emocjami; każdy wstający nad nią dzień przypomina zaranie ludzkości, każdy zapadający wieczór jakby sprowadzał ostateczne ukojenie. Od pierwszej chwili polubiłem Río Salado. Była to kraina łaski. Można by przysiąc, że bogowie i tytani tutaj zaznają wytchnienia. Na każdego zstępował tu spokój, dawne demony przepadały. Nocą zaś, kiedy szakale podchodziły burzyć sen ludzi, budziły pragnienie, aby iść za nimi w głębiny lasów. Bywało, że wymykałem się na balkon, by wypatrywać ich sylwetek przemykających pośród kosmatych liści winorośli. Zapominałem się wtedy i godzinami nastawiałem ucha na najdrobniejszy szmer, podziwiałem księżyc, muskałem go rękami...

...Potem zjawiła się Emilie.

Kiedy pierwszy raz ją zobaczyłem, siedziała w bramie wjazdowej naszej apteki, na głowie miała kaptur od płaszcza, palcami skręcała sznurówki butów z cholewką. Była śliczną dziewczynką o łekliwych oczach czarnych jak węgiel. Mógłbym ją uznać za anioła, który zstąpił z niebios, gdyby jej marmurowo blada buzia nie nosiła piętna ciężkiej choroby.

– Serwus – powiedziałem. – Mogę jakoś pomóc?

– Czekam na tatę – odparła, usuwając się na bok, aby mi zrobić przejście.

– Możesz poczekać w środku. Na ulicy jest zimno.

Pokręciła głową.

Kilka dni później znów przysła pod eskortą wielkoluda jakby wyciętego z potężnego głazu. To był jej ojciec. Oddał ją w ręce Germaine i czekał w aptece przed kontuarem, wyprostowany i sztywny jak słup. Germaine zabrała dziewczynkę na zaplecze, a po kilku minutach przyprowadziła ją do ojca. Mężczyzna położył banknot na kontuarze, wziął córkę za rękę i oboje wyszli.

– Co jej zrobiłaś? – zapytałem Germaine.

– Zastryk... Jak w każdą środę.

– To poważna choroba?

– Bóg jeden wie.

W następną środę specjalnie pospieszyłem się z powrotem ze szkoły, żeby spotkać dziewczynkę. Była w aptece, siedziała na ławce naprzeciwko kontuaru zastawionego fiolkami i słoiczkami. Nieuważnie kartkowała książkę w kartonowej okładce.

– Co czytasz?

– Album o Gwadelupie.

– Co to takiego ta Gwadelupa?

– Duża francuska wyspa na Karaibach.

Podszedłem do niej na palcach, żeby nie przeszkadzać. Wydawała się taka delikatna i krucha.

– Nazywam się Junus.

– A ja Emilie.

– Za trzy tygodnie skończę trzynaście lat.

– Ja skończyłam dziewięć w listopadzie.

- Cierpisz?
- Nie bardzo, ale to męczące.
- Co ci jest?

– Nie wiadomo. W szpitalu nie mogą do tego dojść. Lekarstwa, które mi przepisali, nic nie pomagają.

Przyszła Germaine, by zabrać ją na zastrzyk. Emilie zostawiła książkę na ławce. Na komodzie obok stał wazon z kwiatami; wyjąłem z niego różę i wsunąłem do książki, po czym udałem się do swojego pokoju.

Kiedy wróciłem do apteki, Emilie już nie było.

W następną środę nie przyszła na zastrzyk. W kolejnych tygodniach także nie.

– Pewnie zatrzymali ją w szpitalu – zgadywała Germaine.

Ponieważ przez kilka tygodni Emilie nie dawała znaku życia, straciłem nadzieję, że jeszcze ją zobaczę.

Później poznałem Isabelle, bratanicę Pepego Rucillia, najmajątniejszego człowieka w Río. Isabelle była ślicznotką o wielkich fiołkowych oczach i długich prostych włosach, które jej sięgały pośladków. Ale Boże! jakaż z niej była pozerka! Wszystkich traktowała z góry. Kiedy jednak spoglądała na mnie, stawała się pokorniutka, biada natomiast nierozważnej dziewczynie, która by się ośmieliła mną zainteresować. Isabelle chciała mnie mieć tylko dla siebie. Jej rodzice, osławieni kupcy winni, pracowali na rzecz Pepego, który poniekąd pełnił rolę głowy rodziny. Mieszkali w przestronnej willi niedaleko cmentarza żydowskiego, przy ulicy, przy której ze wszystkich fasad spływały kaskady bugenwilli.

Isabelle po matce – Francuzce, osobie skomplikowanej, podobno wywodzącej się ze zubożałego rodu i nie przepuszczającej żadnej okazji, by przypomnieć potwarcom, że w jej żyłach płynie błękitna krew – niewiele odziedziczyła, z wyjątkiem może przesadnego upodobania do ładu i dyscypliny; za to był z niej wykapany ojciec – ogorzały, niemal śniady Katalończyk. Miała jego twarz o wydatnych kościach policzkowych, ostry język i przenikliwe spojrzenie. W wieku trzynastu lat, zadzierając nosa i nosząc się jak udzielna księżna, doskonale wiedziała, czego chce i w jaki sposób to uzyskać, i w tym celu pilnowała, z kim się zadaje, równie surowo, jak dbała o swój wizerunek na pokaz. Wyznała mi, że w poprzednim wcieleniu była kasztelanką.

To ona mnie wypatrzyła na rynku w odpust. Podeszła i zapytała: „To pan jest Jonas?”. Mówiła „pan, pani” do wszystkich, małych i dużych, i wymagała, żeby tak samo zwracano się do niej. Nie czekając na odpowiedź, dodała stanowczo: „W czwartek są moje urodziny. Jest pan serdecznie zaproszony”. Trudno powiedzieć, czy była to prośba czy rozkaz. We czwartek na patiu, gdzie czułem się mocno zagubiony wśród kipiącego energią tłumu kuzynów i kuzynek, Isabelle chwyciła mnie za łokieć i przedstawiła rodzinie: „To mój ulubiony kolega”.

Pierwszego pocałunku z dziewczyną właśnie dzięki niej posmakowałem. Byliśmy u niej w głównym salonie, we wnęce między dwojgiem przeszklonych drzwi. Isabelle grała na pianinie sztywno wyprostowana, z zadartym podbródkiem. Siedząc obok niej na taborecie, patrzyłem na jej kształtne palce, które biegały po klawiaturze jak błędne ogniki. Miała niewiarygodny talent. Naraz przerwała grę i bardzo, ale to bardzo delikatnie zamknęła pokrywę instrumentu. Po krótkiej chwili wahania, a raczej zastanowienia, odwróciła się do mnie, ujęła moją twarz w dłonie i zamknąwszy oczy, z natchnioną miną położyła usta na moich wargach.

Wydawało mi się, że ten pocałunek trwa bez końca.

Isabelle otworzyła oczy, zanim się odsunęła.

- Coś pan poczuł, *monsieur*?
- Nie – odpowiedziałem.

– Ja też nie. Dziwne, w kinie takie mi się to wydawało wspaniałe... Mniemam, że trzeba osiągnąć dojrzały wiek, by naprawdę czuć te rzeczy. – Zatopiła spojrzenie w moich oczach i oznajmiła: – Ale co tam! Poczekamy, jak długo będzie trzeba!

Isabelle miała cierpliwość tych, którzy trwają w przekonaniu, że przyszłość będzie należeć do nich. Mówiła, że jestem najpiękniejszym chłopcem na ziemi, że w innym życiu na pewno byłem księciem z bajki i że wybrała mnie na narzeczonego, ponieważ *jestem wart świeczki*.

Nie pocałowaliśmy się więcej, lecz spotykaliśmy się niemal codziennie, aby w ukryciu przed złym okiem snuć marzenia godne faraona.

Po czym naraz, absolutnie niespodzianie, nasz uczuciowy związek zakończył się jak nożem uciął. Było to w niedzielne przedpołudnie; pętałem się po domu, nie wiedząc, co ze sobą począć. Stryj, który znowu zaczął się zamykać w swoim pokoju, udawał, że go nie ma, a Germaine poszła do kościoła. Bez entuzjazmu przerzucałem się z grania w pojedynkę do czytania książki. Była piękna pogoda. Zapowiadała się fenomenalna wiosna. Jaskółki się pospieszyły, a w słychać z kwiatów Río w każdym zakątku pachniało jaśminami.

Wyszedłem połączyć po ulicy z rękami założonymi za plecy i z głową w chmurach. Bezwiednie dotarłem pod dom Rucilliów. Zawołałem Isabelle przez okno. Jak zwykle. Nie wyszła, aby mi otworzyć. Długo mnie obserwowała przez okiennice, w końcu z gniewnym traskiem otworzyła oba skrzydła i krzyknęła:

– Kłamca!

Z jej oschłego tonu i płonącego spojrzenia wywnioskowałem, że jest na mnie śmiertelnie obrażona. Isabelle zawsze używała takiego tonu i spojrzenia, kiedy zamierzała okazać niechęć.

Tkwiałem w miejscu oniemiały, nie mając pojęcia, o co jej chodzi, zaskoczony takim zimnym przyjęciem.

– Nie chcę cię więcej widzieć – oświadczyła banalnie.

Po raz pierwszy usłyszałem, że zwraca się do kogoś „ty”.

– Dlaczego?... – krzyknęła zirytowana moim osłupieniem. – Dlaczego mnie okłamałeś?

– Nigdy pani nie okłamałem.

– Czyżby?... Na imię masz Junus, prawda? *J u n u s*? ... No to czemu każesz na siebie wołać Jonas?

– Wszyscy mówią mi Jonas... Co to zmienia?

– Wszystko! – wrzasnęła, aż się dławiając. Jej wykrzywiona twarz buzowała rozczarowaniem. – To zmienia wszystko!

Kiedy odzyskała oddech, bezapelacyjnie oświadczyła:

– Nie należymy do tego samego świata, panie *J u n u s*. Do tego trzeba czegoś więcej niż same twoje niebieskie oczy.

Zanim zatrzasnęła mi przed nosem okiennice, prychnęła wzgardliwie i dodała:

– Jestem z Rucilliów, zapomniałeś? Wyobrażasz sobie mnie jako żonę Araba?... Prędzej umrę!

W wieku, kiedy przejrzenie na oczy jest równie bolesne jak pierwsze krwawienie u dziewczynki, coś takiego piętnuje cię niczym żelazo rozgrzane do czerwoności. Byłem wstrząśnięty, spłoszony jak po wybudzeniu ze sztucznego snu. Od tej pory wszystko już miałem postrzegać inaczej niż dotąd. Pewne drobiazgi, które dziecięca naiwność rozmywa tak bardzo, że w końcu nikną, kiedyś urastają i zaczynają cię ciągnąć w dół, nękać ustawicznie, tak że nawet gdy mocno zaciskasz powieki, pojawiają się w twojej głowie – natarczywe i zachłanne, podobne do wyrzutów sumienia.

Isabelle wyjęła mnie ze złotej klatki i wrzuciła do studni.

Adam wypędzony z rajy nie czuł się tak zagubiony jak ja, a jego jabłko nie było tak twarde jak

kamień, który utkwiał mi w gardle.

Po tym przywołaniu do porządku zacząłem zwracać większą uwagę na to, gdzie chadzam. Najpierw zauważyłem, że na ulicach naszego miasteczka nie powiewa ani jeden haik Mauretanki, potem że mizeraki w turbanach, które tyrają w sadach od świtu po zmierzchu, nie ośmielają się nawet zbliżyć do granic Río zazdrośnie strzegącego swego statusu kolonii i tylko mój stryj – przez wielu uważany za Turka z Tilimsanu – zdołał się tu zaczepić przez nie wiadomo czyje niedopatrzenie.

Isabelle mnie powaliła.

Parokrotnie później nasze drogi się skrzyżowały. Mijała mnie, nie zauważając, z nosem wysoko jak rzeźnicki hak, zachowywała się, jakbym nigdy w ogóle nie istniał... I na tym nie koniec. Wadą Isabelle było to, że narzucała innym swoje upodobania i awersje. Jeśli ktoś nie cieszył się jej względami, żądała, aby wszyscy w jej otoczeniu również go odtrącili. Toteż mocnemu ograniczeniu uległy moje zabawy z innymi dziećmi, koledzy z klasy ostentacyjnie mnie unikali. A na dodatek aby ją pomścić, Jean-Christophe Lamy szukał ze mną zwady na szkolnym podwórku i w końcu rozkwasił mi twarz, aż przykro było patrzeć.

Jean-Christophe był starszy ode mnie o rok. Jako syn małżeństwa dozorców nie mógł się poszczycić swoją pozycją społeczną, był jednak do szaleństwa zakochany w nieprzystępnej bratanicy Pepego Rucillia. Spuścił mi zdrowe manto, aby jej pokazać, jak bardzo ją kocha i do czego jest dla niej zdolny.

Przerażony moją poharataną twarzą nauczyciel polecił mi wejść na katedrę i wskazać „dzikusa”, który tak mnie urządził. Ponieważ milczałem jak zakłęty, przyłożył mi parę razy linijką w dłoń i kazał stać w kącie do końca lekcji. Potem zarządził, że mam zostać w klasie, licząc, że wydobędzie ze mnie nazwisko sprawcy. Próbował różnych gróźb, zrozumiał jednak w końcu, że nic nie wskóra, i pozwolił mi odejść, zapowiadając na pożegnanie, że napisze do moich rodziców.

Germaine o mało nie dostała apopleksji, ujrzawszy moje dotkliwie pokiereszowane oblicze. Ona także chciała się dowiedzieć, kto mnie doprowadził do takiego stanu, lecz milczałem zrezygnowany. Postanowiła zatem, że natychmiast pójdziemy do szkoły wyjaśnić tę sprawę. Stryj, który wiał w kącie salonu, wyperswadował jej ten pomysł: „Nigdzie nie pójdziecie. Najwyższy czas, żeby chłopak nauczył się bronić”.

Kilka dni później, gdy wałęsałem się na obrzeżach winnic, zobaczyłem, że Jean-Christophe Lamy oraz Simon Benyamin i Fabrice Scamaroni, jego nieodłączni kumple, idą na przelaj w moim kierunku. Nie wyglądali na źle nastawionych, niemniej ogarnął mnie strach. Nigdy się tutaj nie zapuszczali, woleli ruchliwy rynek i nieużytki, gdzie wrzeszcząc do woli, grali w piłkę. Ich obecność w tej okolicy nie wróżyła nic dobrego. Znałem trochę Fabrice'a, który chodził klasę wyżej i którego regularnie widywałem podczas przerw na podwórku szkolnym z nosem w książce. Spokojny był z niego chłopak, tyle że zawsze gotów służyć jako alibi temu urwisowi Jeanowi-Christophe'owi. Nie wykluczałem, że w razie czego przychodzi mu z pomocą, chociaż Jean-Christophe raczej nie potrzebował wsparcia: potrafił zręcznie zadawać ciosy i unikać ich. Ponieważ nikt jeszcze nie dał mu rady, nie miałem pewności, czy kumpel aby się nie włączy, jeśli sprawy obróć się na jego niekorzyść. Simonowi natomiast za grosz nie ufałem. Był nieprzewidywalny, mógł bez powodu przywalić z byka koledze tylko dlatego, że mu się nudziło. Chodził do mojej klasy, wiecznie błaznował w ostatniej ławce, dokuczając kujonom i lepszym uczniom. Był jednym z nielicznych próżniaków, którzy protestowali, kiedy nauczyciel stawiał im złą ocenę, i przejawiał szczerą niechęć do dziewczyn, zwłaszcza ładnych i pracowitych. Miałem z nim do czynienia zaraz na początku, gdy zacząłem chodzić do tej szkoły. Skrzyknął wokół mnie innych leni i otwarcie się natrząsał z moich gołych kolan, z buzi „głupiej dziewczuchy” i z

nowych butów, które dla niego były jakieś żabie. Nie zareagowałem na jego zaczepki, toteż wyzwiał mnie od lalusiów i odtąd zupełnie ignorował.

Jean-Christophe niósł pod pachą paczkę. Śledziłem jego spojrzenie, czyhając na umówiony znak pod adresem jego towarzyszy. Nie miał przebiegłej miny ani napięcia na twarzy, które podkreślało jego rysy, kiedy szykował się spuścić komuś łomot.

– Nic ci nie zrobimy – zapewnił z daleka Fabrice.

Jean-Christophe podszedł do mnie. Nieśmiało. Był zmieszany, nawet skrępowany, wydawało się, że na ramionach spoczywa mu niewidoczne brzemię.

Niepewnie podał mi paczkę.

– Przepraszam – powiedział.

Wahałem się, czy wziąć paczkę, obawiałem się bowiem jakiegoś wyglupu, włożył mi ją zatem w ręce.

– To drewniany konik. Dla mnie jest bardzo cenny. Daję ci go w prezencie. Jeżeli mi wybaczasz, przyjmij go.

Fabrice wzrokiem zachęcił, abym wziął podarunek.

Kiedy Jean-Christophe cofnął ręce i stwierdził, że trzymam paczkę, szepnął:

– I dzięki, żeś mnie nie wydał.

Tamtego dnia przypieczętowaliśmy we czwórkę najpiękniejszą przyjaźń, jakiej było mi dane dostąpić.

Dowiedziałem się później, że Isabelle, rozżłoszczona wrednym postępkami Jeana-Christophe'a, kazała mu przeprosić mnie, i to w obecności świadków.

Nasze pierwsze lato w Río Salado źle się zaczęło. W dniu 3 lipca 1940 roku krajem wstrząsnęła operacja „Katapulta”, w której brytyjska eskadra Forcé H ostrzelała francuskie okręty stojące na redzie w bazie marynarki wojennej w Al-Marsa al-Kabirze. Trzy dni później, zanim jeszcze zdołaliśmy ogarnąć rozmiary tragedii, samoloty jego królewskiej mości podstępnie dokończyły dzieła.

Siostrzeniec Germaine, kucharz na pancerniku Dunkerque, był jednym z tysiąca dwustu dziewięćdziesięciu siedmiu marynarzy poległych w tym ataku. Mój stryj, który stopniowo pograżał się coraz bardziej w trwałym autyzmie, odmówił wyjazdu na uroczystości pogrzebowe, tak że musieliśmy jechać sami z Germaine.

W Oranie panowała atmosfera głębokiego szoku. Całe miasto tłoczyło się na nabrzeżach, w oszołomieniu patrząc na koszmarnie zamieszanie w okolicy płonącej bazy marynarki. Niektóre okręty i budynki stały w ogniu od pierwszego ataku; czarny dym zasmradzał miasto i spowijał zbocza góry. Ludzie byli przerażeni i nie posiadali się z gniewu, zwłaszcza że ostrzelane okręty były w trakcie rozbijania na mocy zawieszenia broni podpisanego dwa tygodnie wcześniej. Wojna, której w żadnym razie nie spodziewano się u wybrzeży Morza Śródziemnego, dotarła oto do bram miasta. Po strachu i poruszeniu nastąpiło oszołomienie. Posypały się spekulacje wszelkiego sortu, dając asumpt do najbardziej absurdalnych alarmujących domniemań. Mówiono o wypadach niemieckich oddziałów, nocnych zrzutach spadochroniarzy w głębi kraju, rychłym desancie morskim, nowych zmasowanych bombardowaniach, które tym razem będą wymierzone w ludność cywilną i pograżą Algierię w otchłannej zawierusze już cofającej Europę do epoki kamiennej.

Chciałem jak najszybciej wrócić do Río.

Po pogrzebie Germaine dała mi trochę pieniędzy i pozwoliła iść do Jenane Jato w towarzystwie Bertranda, jednego z jej siostrzeńców, żebym wrócił cały i zdrowy z tej „wyprawy”.

W pierwszej chwili Jenane Jato wydało mi się odmienione. Rozrastające się miasto zepchnęło bliżej dzielnicy Petit Lac rudery nędzarzy i namioty nomadów. Makia ustępowała pod naporem betonu zbrojonego, w miejsce łąk zarzuconych odpadkami i mordowni pod gołym niebem pojawiały się pola budowy, mackami maszyn zagarniając kolejne przestrzenie. Tam gdzie dawniej mieścił się suk, spośród gęstwy zarośli wyłaniały się fundamenty garnizonu wojskowego albo więzienia. Niewyobrażalne tłumy oblegały biura, gdzie prowadzono nabór robotników, niektóre złożone tylko z samotnego stolika ustawionego przy górze żelastwa... Ciągłe wszakże panowała tu niepokonana bieda; dzielnie stawiała czoło wszystkiemu, łącznie z najlepiej nawet rokującymi projektami władz miasta. Takie same jak wcześniej cherlawe postacie podpięły mury, tacy sami odziani w łachmany nędzarze gnili w kartonowych budach; najmizerniejsi trzymali wartę przed smrodliwymi garkuchniami, by swój suchy chleb choćby owiać woniami gotowanego jedzenia, owinięci w burnusy niczym mumie stali z poszarzonymi jak popiół twarzami i stężonym wzrokiem. Kiedy mijaliśmy ich, patrzyli na nas, jakbyśmy byli wcieleniem czasu, jakbyśmy się wyłonili ze świata równoległego. Bertrand, który wyglądał na zahartowanego, przyspieszał kroku, ilekroć rzucano pod naszym adresem jakiś docinek albo gdy ktoś z ukosa zerknął na nasze ładne ubrania. Tu i ówdzie przewijał się jakiś rumi, zdarzali się muzułmanie odziani po europejsku i w fezie na bakier, w powietrzu jednak wisiła nadchodząca nieuchronnie burza. Czasami natykaliśmy się na jakieś zamieszanie, które przeradzało się w bijatykę albo naraz cichło i zapadała niepokojąca cisza. Niepewność była ogromna, a cierpliwość na wyczerpaniu. Brzękotliwy taniec nosiwodów, krążących w swoich barwnych uprzężach obwieszonych dzwoneczkami, nie potrafił zapobiec szkodliwym oddziaływaniom.

Za dużo, o wiele za dużo było tu cierpienia...

Jenane Jato ugięło się pod brzemieniem zwiędłych marzeń. Dzieci zostawione samym sobie błąkały się w cieniu starszych od siebie, oszołomione głodem i palącym słońcem; każde z nich stanowiło rodzaj się dramat, każde odstręczało brudem i napastliwością, na bosaka goniły za ciężarówkami, aby się ucześcić z tyłu, na własnoręcznie zmajstrowanych kariku przemykały między wozami radosne i bez troskie, flirtując ze śmiercią przy każdym przyspieszeniu. Gdziekolwiek skupiały się przy szmacianej piłce albo siłowaniu; w ich wywołujących dreszcze samobójczych zabawach było tyle egzaltacji, aż w głowie się kręciło.

– Nie to samo co Río, co nie? – zagadnął Bertrand dla dodania sobie animuszu.

Jego uśmiech rychło przygask; pot kropli! mu się na twarzy, jakby Bertrand wyszedł z wody. Ja też się bałem, ale kula, która parzyła mnie w trzewiach, zniknęła w chwili, gdy ujrzałem Kuternogę w progu sklepika. Biedaczysko wychudł i diabelnie się postarzał.

Zmarszczył brwi na mój widok tak samo jak poprzednio, kiedy tu zawitałem, równocześnie zdumiony i uradowany.

– Możesz mi podać namiary na swoją szczęśliwą gwiazdę, Niebieskooki? – zawołał, opierając się na łokciu. – Jeśli jest jakiś bóg, czemu nigdy nie popatrzysz w moją stronę?

– Nie bluźnij – napomniał go balwierz, którego nie zauważyłem, tak bardzo się zlewał ze swoim prymitywnym oprzyrządowaniem. – Może przez twoją szkaradną mordę odwraca się do nas tyłem.

Balwierz się nie zmienił. Tylko w poprzek twarzy biegła mu paskudna rana po cięciu brzytwą.

Nie obdarzył mnie uwagą.

Jenane Jato przesuwano się, lecz nie wiedziałem, w jakim kierunku. Zniknęły blaszaki przyczajone za rzędami krzewiastych jujub. W ich miejsce pośrodku rozległego wykarczowanego terenu ciemnoczerwonej barwy wydrążono zakratowane szczeliny. Była to podbudowa wielkiego mostu, który niebawem miał stanąć nad torami kolejowymi. Za naszym podwórkiem, tam gdzie do reszty rozsypywała się wiekowa budka dróżnika, zaczynała się wznosić ku niebu gigantyczna

fabryka przylegająca do muru, który ją otaczał.

Kuternoga kciukiem wskazał słój z cukierkami.

– Chcesz jednego, mały?

– Nie, dziękuję.

Skulony pod przedpotopową lampą gazową sprzedawca wafli, z blaszanką z odzysku przewieszoną na pasie przez pierś, trząsał czymś, co wyglądało na metalowe zawory. Zaproponował nam swoje wafle w kształcie różka; błysk w jego oczach sprawił, żeśmy obaj poczuli ciarki na plecach.

Bertrand przezornie popchnął mnie naprzód. Niczyja twarz w okolicy, niczyj cień nie wydawały mu się godne zaufania.

– Zaczekam na ulicy – powiedział, kiedy dotarliśmy do naszej bramy. – Ale nie musisz się spieszyć.

Naprzeciw podwórka, tam gdzie dawniej stała woliera Huwarięgo, wyrósł murowany dom, a kamienny murek odchodzący od jego lewego boku piął się ścieżką, którą biegaliśmy na nieużytki, gdzie łobuzy omal mnie ongiś nie zlinczowały.

Przyszedł mi na myśl Huwari. Wspomniałem, jak uczyłem się przy nim łapać szczygły, i zastanowiłem się, co teraz porabia.

Badra zmrużyła oczy, ujrawszy mnie na podwórku. Rozwieszała pranie z rąbkiem sukni założonym za pstry sznur, który służył jej jako pasek, tak że świeciła nogami gołymi prawie po uda. Oparła ręce na rozłożystych biodrach i stanęła w szerokim rozkroku niczym policjant broniący dostępu do budynku.

– Proszę, proszę! Przypomniałeś sobie, że masz rodzinę!

Zmieniła się. Jej otyłe ciało jakoś zmiękło, a twarz, niegdyś taka stanowcza, rozlała się w okolicy podbródka. Badra była teraz sflaczałym workiem mięsa pozbawionym wigoru i wyrazistości.

Nie wiedziałem, czy przekomarza się ze mną, czy mnie łaje.

– Twoja matka wyszła z twoją siostrą – oznajmiła, wskazując zamknięte drzwi naszej izby. – Ale niedługo wróci.

Odsunęła nogą miskę z praniem, by oswobodzić taboret i pchnąć go w moją stronę.

– Siadaj – powiedziała. – Dzieci... Wszystkieście takie same. Ssiecie mleko z piersi do ostatniej kropli, a ledwie staniecie na nogach, ulatniacie się, zostawiając nas w biedzie. Tak samo jak wasi ojcowie zwiewacie cichcem, na paluszkach, gwiżdżąc na to, co będzie z nami.

Odwróciła się do mnie tyłem i wróciła do rozwieszania prania. Widziałem tylko jej poruszające się ciężko przygarbione ramiona. Przerwała na chwilę, aby wytrzeć nos albo łzę, pokręciła głową i znów zaczęła rozpinać wyżęte ubrania na starym konopnym sznurku, który przecinał podwórko na dwoje.

– Z twoją mamą nie jest dobrze – mówiła. – Naprawdę z nią niedobrze. Ja tam jestem pewna, że twojego ojca spotkało jakieś nieszczęście, ale ona tego do siebie nie dopuszcza. Wielu mężczyzn zostawia rodzinę i przenosi się gdzie indziej, żeby zacząć od zera, to prawda, ale nie tylko o to chodzi. W tych czasach stale na ludzi napadają jakieś oprychy. Czuję, że twój ojciec dał się zadźgać i wylądował gdzieś w rowie. Z niego był przyzwoity gość. Nie z tych, co to porzucają dzieciaki. Na pewno go zadźgali. Jak mojego biednego męża. Zabili go dla paru nędznych groszy. Na środku ulicy. Łup! I dostał nożem pod żebra. Jeden cios i wszystko się skończyło. Wszystko. Jak człowiek może tak łatwo umrzeć, skoro ma kupę gąb do nakarmienia? Jak można dać się tak podejść smarkaczowi niewiele większemu od taboretu?...

Badra mówiła i mówiła, i mówiła, nie przerywając nawet dla zaczerpnięcia tchu. Jakby znięcka otworzyła się w niej puszcza Pandory.

Jakby tylko to jej pozostało – mówienie. Przechodziła jednym ciągiem od dramatu do dramatu, do słów dołączając niekiedy gest zniechęcenia, to znów milknąc na chwilę. Widziałem jej podrygujące ramiona za pierwszym rzędem rozwieszzonego prania, w dole gołe kostki nóg, czasem nieforemne flakowate biodra w szparze między zwisającymi ze sznurka sztukami odzieży. Powiadomiła mnie, że Blis pośrednik przegonił z podwórka piękną Haddę z dwójkiem dzieci w objęciach i nędznym tobołkiem zarzuconym na plecy; opowiedziała o tym, jak pewnej burzliwej nocy nieszczęsna Jazza, mocno obita przez męża pijaka, skoczyła do studni, żeby z tym raz na zawsze skończyć; o Batul wróżce, która zdołała wyciągnąć tyle pieniędzy od zasięgających jej rady biedaków, że sprawiła sobie hamam i dom w Village Nègre; o nowej lokatorce, która przybyła z nie wiadomo jakiego piekła i w porze, gdy wszystkie okiennice są pozamykane, otwiera swoją izbę przed zboczeńcami; o Blisie pośredniku, który teraz, kiedy w podwórku zabrakło mężczyzn, odkrył w sobie zdolności stręczyciela.

Skończywszy rozwieszanie prania, wylała do ścieku brudną wodę z balii, opuściła dół sukni i poszła do siebie. Bez chwili przerwy złorzeczyła i narzekwała w swojej szcurzej norze aż do powrotu mojej matki.

Matka się nie zdziwiła, ujrawszy mnie na podwórku siedzącego na taborecie. Ledwie mnie poznała. Kiedy się podniosłem, żeby ją uścisnąć, cofnęła się lekko. Dopiero gdy mocno do niej przywarłem, po chwili wahania wreszcie otoczyła mnie ramionami.

– Czemu wróciłeś? – spytała i jeszcze raz powtórzyła to samo, i jeszcze.

Wyjąłem pieniądze, które Germaine dała mi dla niej, lecz nie zdążyłem ich podać. Dłoń matki tylko mignęła, chwytając zwitek banknotów, które zniknęły jak w sztuczce iluzjonisty. Poczulem, że mnie popycha do naszej izby, a kiedyśmy weszli do środka, wydobyła zza pazuchy pieniądze i liczyła je raz po raz, aby się upewnić, że to nie sen. Wstyd mi było za jej podniecenie, wstyd za rozczochrane włosy, które ewidentnie od wieków nie widziały grzebienia, wstyd za niemal zupełnie przetarty haik, który niczym stara tapeta smętnie zwisał z jej drobnych ramion, wstyd za głód i udręki, które ją szpeciły – ją, kobietę piękną kiedyś jak jutrzeńka.

– To dużo pieniędzy – powiedziała. – Są od twojego stryja?

Obawiając się, że zareaguje odmownie jak niegdyś ojciec, skłamałem:

– To moje oszczędności.

– Pracujesz?

– Tak.

– Nie chodzisz do szkoły?

– Chodzę.

– Nie chcę, żebyś rzucił szkołę. Chcę, żebyś został człowiekiem wykształconym i żył spokojnie do końca swoich dni, rozumiesz?... Nie chcę, żeby twoje dzieci przymierały głodem jak szczenięta. – Oczy jej płonęły ogniami, kiedy chwyciła mnie za ramiona. – Obiecuj mi, Junus... obiecuj, że będziesz miał tyle dyplomów co twój stryj i prawdziwy dom, i szanowany zawód.

Tak mocno wbijała mi palce w ciało, że niemal miażdżyła kości.

– Obiecuję... Gdzie Zahra?

Przezornie cofnęła się o krok, po czym wspomniawszy, że jestem jej synem, a nie zazdrosną kąśliwą sąsiadką, szepnęła mi na ucho:

– Uczy się zawodu... Będzie szyła spodnie. Oddałam ją do terminu do krawcowej w europejskiej dzielnicy. Chcę, żeby jej życie też było lepsze.

– Wyzdrowiała?

– Nie była chora. Ani niespełna rozumu. Po prostu nie słyszy i nie mówi. Ale jest pojętna i szybko się uczy, tak powiedziała krawcowa. Przyzwoita z niej kobieta. Mam u niej pracę trzy

razy w tygodniu. Sprzątam. Czy tu sprzątam, czy u kogoś, na jedno wychodzi. A przecież z czegoś trzeba żyć.

– Czemu nie zamieszkacie z nami w Río Salado?

– Nie! – krzyknęła, jakbym powiedział coś nagannego. – Nie ruszę się stąd, póki twój ojciec nie wróci. Wyobraź sobie, że przychodzi, a nas nie ma. Gdzie miałyby nas szukać? Nie mamy rodziny ani przyjaciół w tym potwornym mieście. Poza tym gdzie jest to twoje Río Salado? Twojemu ojcu do głowy by nie przyszło, że opuściliśmy Oran... Nie, zostanę tutaj, na tym podwórku, póki on nie wróci.

– Może nie żyje...

Chwyciła mnie ręką za gardło i pchnęła, aż uderzyłem głową w ścianę.

– Rozum ci odebrało?... Jak śmiesz?... Batul wróżka ma pewność. Kilka razy czytała i z mojej ręki, i ze zmarszczek na wodzie. Twój ojciec jest cały i zdrowy. Robi majątek i kiedyś wróci po nas bogaty. Będziemy mieli piękny dom z podjazdem i warzywnikiem i garaż na samochód, i odegramy się za całą przeszłą i obecną biedę. A kto wie? Może nawet wrócimy na nasze ziemie i piędź po piędzi odzyskamy wszystko, wszystkie radości, które musieliśmy zostawić.

Szybko mówiła moja matka. Bardzo, bardzo szybko mówiła. Z drżeniem w głosie. I z osobliwymi ognikami w oczach. Jej rozgorączkowane dłonie rysowały w powietrzu niezmierzone złudzenia. Gdybym wiedział, że mówi do mnie po raz ostatni, uwierzyłbym we wszelkie jej chimery i zostałbym z nią. Skąd jednak miałem wiedzieć?

Tym razem także ponaglała mnie, żebym już szedł, wracał jak najszybciej do przybranych rodziców.

Mówili na nas „zęby wideł”.

Byliśmy nierozłączni.

Do paczki należał Jean-Christophe Lamy, szesnastoletni, ale jaki wyrośnięty! Jako najstarszy przewodził nam. Włosy miał pszeniczne, a na ustach uśmiech wiecznego zalotnika; śniła o nim większość dziewcząt z Río Salado. Odkąd jednak Isabelle Rucillio zgodziła się tymczasowo wziąć go na swojego „narzeczonego”, bardzo się pilnował.

Dalej był Fabrice Scaroni, młodszy ode mnie o dwa miesiące subtelny chłopak z sercem na dłoni i głową w chmurach; jego ambicją było zostać powieściopisarzem. Matka Fabrice’a, lekko stuknięta młoda wdowa, miała sklepy w Río i w Oranie. Żyła tak, jak uznawała za stosowne, i była w okolicy jedyną kobietą, która prowadziła samochód. Złośliwcy melli jęzorami na jej temat, aż im śliny brakowało; pani Scaroni miała to w głębokim poważaniu. Była piękna. Bogata. Niezależna. Czegóż trzeba więcej?... Wiecie sadzała nas czterech na tylnej kanapie swojego solidnego samochodu, sześciocyndrowego dziewięćdziesięciokonnego citroena z przednim napędem, i wiozła na plażę w Terdze. Po kąpieli urządzała piknik i napychała nas czarnymi oliwkami, szaszłykami z jagnięciny i sardynkami pieczonymi w ognisku.

No i był Simon Benyamin, miejscowy Żyd, piętnastolatek jak ja. Krótkonogi, już dostający brzuszka, można powiedzieć: zażywny, kawalarz, jakich ze świecą szukać. Wesoły był z niego kompan, trochę melancholijny z powodu emocjonalnych porażek, lecz ujmujący, jeśli tylko się trochę postarał. Marzył o karierze teatralnej lub filmowej. Jego rodzina nie miała w Río wysokich notowań. Ojca Simona ścigał wybitny niefart; co rozkręcił jakiś interes, zaraz łamał sobie na nim zęby, tak że pieniądze winny był dosłownie wszystkim, łącznie z robotnikami sezonowymi.

Z Simonem spędzałem najwięcej czasu. Mieszkaliśmy o rzut beretem od siebie, codziennie wstępował zatem po mnie, po czym razem dołączaliśmy do Jeana-Christophe’a na wzgórze. Wzgórze było naszym sztabem. Lubiliśmy schodzić się pod stuletnim drzewem oliwnym, które wieńczyło szczyt, i patrzeć na Río migoczące w skwarze na dole, u naszych stóp. Fabrice przychodził ostatni z torbą pełną kanapek z koszerną kiełbasą, z marynowaną papryką i owocami sezonowymi. Przesiadywaliśmy tam do późnego wieczoru, snując nieprawdopodobne plany i wysłuchując szczegółowych opowieści Jeana-Christophe’a o mękach, jakie przeżywał z powodu Isabelle Rucillio. Fabrice natomiast upajał nas swoimi poematami i dyzenteryjną prozą napisaną wyszukany stylem z użyciem słów, które tylko on potrafił wynaleźć w słowniku.

Czasami, jeśli mieliśmy humor, dopuszczaliśmy do swojego towarzystwa innych kolegów, zwłaszcza kuzynów nazwiskiem Sosa: Joségo, ubogiego krewnego, który dzielił z matką służbówkę i rano i wieczorem jadał gazpacho, oraz Andrégo, zwanego Dédé, nieodrodzonego syna swojego ojca, którym był niezłomny Jaime Jimenez Sosa, właściciel jednego z największych gospodarstw w kraju. André był typem pospolitego tyra, twardego wobec podwładnych, lecz sympatycznego wobec kolegów. Jako chłopak bardzo rozpieszczony, wygadywał czasem wierutne bzdury zupełnie tego nieświadom. Nigdy nie udało mi się zareagować na to obrażą, chociaż wygłaszał nader przykre słowa na temat Arabów. Wobec mnie był raczej miły. Ilekroć zapraszał do siebie kolegów, mnie nigdy nie pomijał, tyle że bez żenady w mojej obecności wyrzekał na muzułmanów, jakby to było coś zupełnie naturalnego. Jego ojciec wszechwładnie panował na swoich włościach, jak by było upychając na nich liczne rodziny muzułmańskie, które dla niego harowały. W tropikalnym hełmie na głowie, ze szpicrutą smagającą cholewy butów do

konnej jazdy, Jaime Jimenez Sosa co dzień pierwszy był na nogach i ostatni kładł się do łóżka, zmuszając do pracy swoich „galerników” aż do utraty przytomności. I biada symulantom! Swoje winnice darzył wciąż absolutną, a jeśli ktoś nieproszony wtargnął na jego pola, traktował to jako profanację. Ludzie opowiadali, jak zabił kozę, która ośmieliła się wejść między sadzonki winorośli, i strzelił do oszołomionej pasterki, gdy próbowała wyprowadzić zwierzę.

Takie to dziwne były czasy.

Jeśli o mnie chodzi, los nie zbaczał ze swego toru. Stawałem się mężczyzną: urosłem trzydzieści centymetrów, a kiedy oblizywałem usta, czułem pod językiem meszek na skórze.

Lato 1942 roku zastało nas na plaży, złociliśmy się w promieniach słońca. Morze było wspaniałe, a powietrze tak przejrzyste, że widać było wyspy Al-Habibat. Fabrice i ja wylegiwaliśmy się pod parasolem, Simon tymczasem, bardzo zadowolony ze swoich śmiesznych kąpielówek, zabawiał publikę komicznymi wygłupami w wodzie. Miał nadzieję, że tym sposobem wpadnie w oko pewnej dziewczynie, lecz jego indiańskie pohukiwania straszyły tylko dzieciarnię i irytowały starsze panie spoczywające na leżakach. Jean-Christophe natomiast popisywał się, paradując po plaży z brzuchem mocno wciągniętym i rękami na biodrach, aby podkreślić sylwetkę korpusu w kształcie litery V. Niedaleko nas kuzynowie Sosa postawili namiot. André kochał efekciarstwo. Kiedy inni przynosili składane krzesła, on zjawiał się z namiotem; kiedy inni stawiali namioty na piasku, on rozkładał karawanseraj. W weku osiemnastu lat miał dwa samochody, w tym jeden kabriolet, którym szpanował w Oranie albo dokładnie w porze sjesty pędził przez Río z ogłuszającym rykiem silnika. Tego dnia z braku lepszego zajęcia wyżywał się na Dżallulu, swoim osobistym słudze. Trzy razy posyłał go do miasteczka w palącym słońcu. Najpierw po papierosy; potem po zapaliki; wreszcie dlatego, że jaśnie pan życzył sobie bastosy, a nie papierosy furmana. Do miasteczka był kawał drogi. Z biednego Dżallula lało się jak z kostki lodu.

Fabrice i ja od początku obserwowaliśmy te korowody. André czuł, że działa nam na nerwy takim traktowaniem sługi, i drażnił nas ze złośliwą rozkoszą. Ledwie Dżallul wrócił, po raz czwarty kazał mu iść do miasteczka po otwieracz do konserw. I Dżallul, wątpy chłopak, ze stoickim spokojem obrócił się na pięcie i ruszył w górę skarpy, która o tej porze popołudnia była nagrzana jak piekarnik.

– Daj mu trochę dychnąć, Dédé – wstawił się za chłopakiem José, kuzyn Andrégo.

– To jedyny sposób, żeby nie spał – odparł André, zakładając ręce za głowę. – Na chwilę mu odpuścisz i za minutę słyszysz chrapanie.

– Jest co najmniej trzydzieści siedem stopni – zauważył Fabrice. – Ten nieborak jest z krwi i kości jak ty i ja. Dostanie udaru.

José podniósł się, aby przywołać Dżallula. André złapał go za przegub i zmusił, by usiadł.

– Nie wtrącaj się, José. Ty nie masz służących, więc nie wiesz, jak to jest... Arabowie są jak ośmiornice: trzeba ich łać równo, żeby osłabli. – Uświadomiwszy sobie, że ja też jestem Arabem, zaraz się zmytygował: – No... to znaczy niektórzy Arabowie.

Po czym dotarło do niego, że dopuścił się niewybaczalnej podłości, zerwał się więc i pobiegł do morza.

Patrzyliśmy, jak pływa, wzbijając fontanny wody. Pod namiotem zapanowało skrępowanie. José z trudem się hamował, by nie wyrazić oburzenia; widać był o, jak wściekle pracuje szczękami. Fabrice zamknął książkę, którą czytał, i popatrzył na mnie surowo.

– Powinieneś być kazać mu, żeby się zamknął, Jonas.

– W jakiej sprawie? – spytałem niechętnie.

– Arabów. Moim zdaniem jego zachowanie było nie do przyjęcia i spodziewałem się, że pokażesz mu, gdzie jego miejsce.

– On jest na swoim miejscu, Fabrice. To ja nie wiem, gdzie jest moje.

Co powiedziawszy, wziąłem swój ręcznik i wyszedłem na drogę, kciuk wystawiając w kierunku Río. Fabrice mnie dogonił. Namawiał, żebym został jeszcze. Ja jednak czułem obrzydzenie, a plaża naraz wydała mi się niegościnna jak dzika wyspa. Właśnie wtedy czterosilnikowy samolot zburzył spokój plażowiczów, przelatując nisko nad szczytem wzgórza. Smuga dymu wydobywała się z jego boku.

– Pali się! – krzyknął przejęty José. – Roztrzaska się...

Uszkodzony samolot znikł za grzbietami pagórków. Na plaży wszyscy stali, rękami osłaniając oczy. Czekali na wybuch lub chmurę ognia wskazującą miejsce upadku maszyny... A tu nic. Samolot dalej leciał z rykiem silników, nie rozbił się jednak, co przyjęto z powszechną ulgą.

Czy była to zła wróżba?

Kilka miesięcy później, 7 listopada, kiedy zmierzch obejmował we władanie wyludnioną plażę, potężne cienie wynurzyły się z głębi horyzontu. Na wybrzeżu orańskim zaczął się desant wojsk alianckich.

– Wystrzelone trzy pociski! – grzmiał rozjuszony Pepe Rucillio, stojąc na rynku, choć raczej nie lubił publicznych zgromadzeń. – I gdzież się podziała nasza waleczna armia?

W Río Salado wieść o desancie przyjęto jak wieść o gradzie padającym na sadzonki winorośli. Wszyscy mężczyźni z miasteczka spotkali się przed merostwem. Na ich twarzach widniał gniew i niedowierzanie. Najbardziej wystraszeni siedzieli na chodniku i zwiniętą pięścią walili w drugą dłoń na znak rozpacz. Mer czym prędzej udał się do swego gabinetu, a jego najbliżsi współpracownicy mówili, że pozostaje w stałym kontakcie telefonicznym z dowództwem garnizonu w Oranie.

– Amerykanie natrzęsają się z nas – wściekał się najbogatszy człowiek w regionie. – Nasi żołnierze czekali w bunkrach, a okręty wroga opłynęły linie obrony od strony Góry Lwów i bez przeszkód dotarły do plaży w Arziwie. Potem przeszły pod Tulajlat, nie spotykając żywego ducha, i zaatakowały Oran od tyłu. Amerykanie defilowali przez bulwar Mascara, a nasi ciągle czekali na nich na nabrzeżach. I uwaga! nie było nawet namiastki potyczki! Wróg wszedł do Oranu jak do stodoły... Co się teraz z nami stanie?

Przez cały dzień w szalonym tempie napływały wieści i rodziły się komentarze. Nikt nie spostrzegł, kiedy zapadła noc, wielu wróciło do domu dopiero o świtaniu, wszyscy byli kompletnie zdezorientowani – niektórzy się zaklinali, że słyszeli ryk czołgów w winnicach.

– Co cię napadło, żeby do tak późna siedzieć na ulicy? – zrugła mnie Germaine, otwierając drzwi. – Umierałam z niepokoju. Gdzieś znowu łaził?... Kraj stoi w ogniu, a ty się włóczysz po mieście!

Stryj wyszedł ze swojego pokoju. Siedział w salonie głęboko wciśnięty w fotel, nie wiedząc, co zrobić z rękami.

– To prawda, że Niemcy wylądowali? – zapytał.

– Nie Niemcy. Amerykanie.

Zmarszczył brwi.

– Czemu Amerykanie? Czego oni u nas szukają? – Zerwał się nagle, z niewysłowioną wzdargą zadarł nos i donośnie oznajmił: – Idę do swojego pokoju. Jak tu przyjdą, powiedzcie im, że nie chcę ich oglądać. Mogą podłożyć ogień pod dom.

Nikt nie podłożył ognia pod nasz dom, żaden powietrzny zwiad nie naruszył spokoju okolicznych pól. Raz tylko od strony Bu Hadżaru, sąsiedniego miasteczka, zauważono dwóch motocyklistów, którzy pomylili drogę. Pokręcili się, zawrócili i odjechali. Niektórzy mówili, że to byli niemieccy żołnierze, inni twierdzili, że amerykański patrol; ponieważ nikt ze snujących spekulacje nie widział z bliska nikogo z obu wrogich armii, położono krzyżyk na sporze i

wrócono do swoich zajęć.

Pierwszy do Oranu udał się André Sosa.

Wrócił kompletnie zdębiały.

– Ci Amerykanie wszystko kupują – oświadczył. – Co tam wojna! Oni się zachowują jak turyści. Wszędzie ich pełno, w barach, w burdelach, dzielnicach żydowskich, nawet w Village Nègre, chociaż dowództwo im zakazało. Biorą wszystko: dywany, maty, szaszijje, burnusy, malowidła na płótnie. I to bez targów! Widziałem, jak gościu stawał na głowie, żeby od jednego goumiera odkupić zardzewiały bagnet z Wielkiej Wojny.

Na poparcie swoich słów z tylnej kieszeni spodni wyjął banknot i rozłożył na stole.

– Patrzcie tylko, jak traktują swoje pieniądze. O, taki banknot studolarowy. Widzieliście kiedyś francuski banknot tak zabazgrany? Same podpisy. Głupie to, ale na tym polega ulubiona zabawa Amerykańców. Nazywają to *Short Snorter*. Z innymi banknotami też tak robią. Niektórzy mają całe zwitki takich pieniędzy. Nie żeby chcieli się wzbogacić. Po prostu je kolekcjonują... Widzicie te dwa podpisy, o tu? To autografy Laurela i Hardy ego. Przysięgam, że prawdziwe. A ten tutaj Enrôla Flynna, Zorra dla każdego na tym świecie... Joe dal mi banknot za skrzynkę naszego wina.

Schował banknot do kieszeni i zacierając ręce, zapowiedział, że jeszcze przed końcem tygodnia wybierze się do Oranu, by robić interesy z Jankesami.

Kiedy nieufność zmaląła i ludzie pojęli, że Amerykanie wcale nie przybywają jako zdobywcy, lecz jako wybawcy, inni mieszkańcy Río również wyruszyli do Oranu, aby sprawdzić, o co w końcu biega. Z wolna wygasły ostatnie ogniska nieufności, tak że nawet mniej wart wystawiano wokół domów i gospodarstw.

André chodził niewiarygodnie podniecony. Co dzień wskakiwał do samochodu i jechał wymieniać się na coraz to inne rzeczy. Po każdej rundzie po lokalach wracał z lupami i rozkładał je na naszych oczach. Nie było rady, my także musieliśmy się udać do Oranu, osobiście sprawdzić, ile jest prawdy w krążących po miasteczku opowieściach o osławionych Jankesach. Jean-Christophe naciskał na Fabrice'a, a Fabrice naciskał na swoją matkę, by zawiozła nas do Oranu. Pani Scamaroni najpierw nie chciała, ale w końcu się zgodziła.

Wyjechaliśmy o świcie. Słońce dopiero zaczynało się wylaniać na horyzoncie, kiedy dotarliśmy do Misarghinu. Szosą pędziły nerwowo nowiutkie jeepy, swobodni półnaczy szeregowi w szczerym polu robili toaletę, śpiewając wniebogłosy, na poboczu co krok w otoczeniu gnuśnych mechaników stała zepsuta ciężarówka z podniesioną maską; u bram miasta czekały konwoje. Oran się zmienił. Rozgorączkowane żołdactwo, które zawładnęło wszystkimi dzielnicami miasta, zrodziło jarmarczną atmosferę. André wcale nie przesadzał: Amerykanie byli wszędzie, na ulicach i na placach budowy, wożąc się półciężarówkami pośród dromaderów i dwukółek, ustawiając w szyku oddziały nieopodal tymczasowych osad nomadów, napełniając powietrze kurzem i wrzawą. Oficerowie beztróska poruszali się w niedużych jeepach, klaksonem wycinając sobie drogę pośród tłumów. Inni, odziani jak bogowie, wypoczywali na tarasach w towarzystwie wytwornej kompanii, fonograf przygrywał im kawałki w wykonaniu Diny Shore. Oran przestawił się na czas amerykański. Wuj Sam wysadził na brzeg nie tylko swoje oddziały – wraz z nimi przybyła również jego kultura: racje żywnościowe wzbogacone mlekiem skondensowanym, tabliczki czekolady, wołowe konserwy; guma do żucia, coca-cola, cukierki Kindy, żółty ser, papierosy z jasnego tytoniu, chleb tostowy. W barach próbowano grać muzykę jankeską, a jauladzi, mali pucybuci przekwalifikowani na sprzedawców gazet, ganiali od placu do przystanku tramwajowego, wrzeszcząc „Stars and Stripes” w jakimś nieodgadnionym języku. Na chodnikach podrywane wiatrem szeleściły różne czasopisma: „Esquire”, „New Yorker”, „Life”... Miłośnicy filmów hollywoodzkich już się zaczęli identyfikować z ulubionymi gwiazdami,

naśladować ich szczególnie sposób bycia i wykrzywiając usta z jednej strony; a sprzedawcy bezwstydnie podawali po angielsku wzięte z sufitu ceny...

Naraz Río Salado wydało nam się straszną dziurą. Oran zawładnął nami bez reszty. Jego gwar wibrował nam w żyłach, tupet dodawał zuchwałości. Czuliśmy się jak pijani, dosłownie byliśmy odurzeni witalnością ulic, przy których gorzały światłami liczne sklepy, a w barach roіło się od ludzi. Powozy, samochody, tramwaje, które zmierzały we wszystkich kierunkach, przyprawiły nas o zawrót głowy, dziewczęta o zniewalających ruchach, frywolne, choć nie bezwstydne, krążyły dokoła, przypominając hurysy.

Ani nam w głowie było wieczorem wracać do Río. Pani Scamaroni udostępniła nam lokum nad jednym ze swoich sklepów przy bulwarze des Chasseurs i kazała obiecać, że nie narobimy głupstw pod jej nieobecność. Ledwie samochód zniknął za rogiem ulicy, ruszyliśmy w miasto. Najpierw plac d'Armes z rokokowym teatrem i merostwem strzeżonym po obu stronach przez dwa monumentalne dostojne lwy z brązu; potem plac Bastylli; pasaż Clauzel, gdzie umawiali się zakochani; lodziarnie, gdzie podawano najzimniejszą na świecie lemoniadę; okazałe kina i wielkie Domy Towarowe Darmon... W Oranie niczego nie brakowało, ani wdzięku, ani zuchwałości. Wszystko tam wybuchalo jak fajerwerk, niewinny dowcip rodził zamieszanie, zwykła popijawa przemieniała się w pijaństwo. Nie było mowy, żeby to miasto, tak łaskawe i żywiołowe, wynalazło jakąś uciechę i nie chciało się nią podzielić. Oran nie cierpiał wszystkiego, co nie przynosiło radości. Zgnębiona twarz nadwerżyłaby jego dumę, skąpiec zwarzyłby mu humor; żadna chmurka nie mogła przysłonić jego życzliwości. Miasto oczekiwało samych szczęśliwych spotkań na każdym zbiegu ulic, festynów na wszystkich placach, a gdzie tylko doszedł jego głos, tam donośnie rozbrzmiewał hymn ku życiu. Z dobrotliwości Oran uczynił sposób bycia, zasadę fundamentalną, wymóg, bez którego zmarnowałoby się wszystko na tym świecie. Piękny, zalotny, świadomy tego, jak fascynuje cudzoziemców, nabierał typowych cech miasta cywilizowanego niepostrzeżenie, dyskretnie i po cichutku, w przekonaniu, że żadna zawierucha – nawet wojna, której odpryski go dosięgły – nie zdoła powstrzymać jego rozwoju. Zrodzony z potrzeby oczarowania, był jednak przede wszystkim lipą. Mówiono o nim „amerykańskie miasto” i wszystkie fantazje świata pasowały do jego nastrojów. Wznosząc się na falezie, na pozór tęsknie spoglądał na morze, był niczym piękna branka wypatrująca z wieży księcia, który ją uratuje. Tyle że Oran niespecjalnie wierzył i w morze, i w księcia z bajki. Spoglądał na morze tylko po to, aby je trzymać na dystans. Szczęście miał w sobie i wszystko mu się udawało.

Byliśmy oczarowani.

– Hej! Kmioty! – przywołał nas André Sosa.

Siedział na tarasie lodziarni w towarzystwie amerykańskiego żołnierza. Po zamaszystych gestach zrozumieliśmy, że chce się popisać. Prezentował się frymuśnie z włosami zaczesanymi do tyłu i przylizanymi na skroniach grubą warstwą pomady, w świeżo wypastowanych butach i okularach słonecznych zakrywających pół twarzy.

– Dosiądźcie się do nas – zaprosił, wstając, by przysunąć dodatkowe krzesła. – Robią tu najlepszą podwójną czekoladę i najpyszniejsze ślimaki w pikantnym sosie.

Żołnierz się przesunął, by zrobić dla nas miejsce, i ufnie patrzył, kiedyśmy go otaczali.

– To mój przyjaciel Joe – rzekł André uszczęśliwiony, że może nam przedstawić swojego Jankesa, którego pewnie wszędzie pokazywał niczym eksponat muzealny. – Nasz amerykański krewniak. Pochodzi z dziury takiej jak nasza. Z Salt Lake City, co znaczy Słone Jezioro. Zupełnie jak u nas: Salt River, Río Salado, Rzeka Słona.

I odrzucił głowę do tyłu ze śmiechem dość dyskusyjnym, nad wyraz zadowolony ze swojego „znaleziska”.

– Mówi po francusku? – zapytał Jean-Christophe.

– Słabo. Joe twierdzi, że jego prababka była Francuzką z Górnej Sabaudii, ale on nigdy nie używał naszego języka. Nauczył się trochę tutaj, kiedy przyjechał do północnej Afryki. Joe jest kapralem. Był na wszystkich frontach.

Joe kiwał głową na potwierdzenie entuzjastycznych słów kumpla, rozbawiony wyrażającymi podziw ruchami naszych brwi. Każdemu po kolei uściśnął rękę, kiedy André przedstawiał nas jako swoich najlepszych przyjaciół i najprzystojniejszych ogierów „Salt River”. Mimo trzydziestki i przeżyć wojennych Joe zachował młodzieńczą twarz o wąskich ustach i rysach zbyt delikatnych jak na swoje gabaryty. Żywe, choć niespecjalnie bystre spojrzenie dodawało mu prostoduszności, zwłaszcza kiedy się uśmiechał od ucha do ucha; a uśmiechał się, ilekroć ktoś na niego popatrzył.

– Joe ma problem – oznajmił André.

– Zdezerterował? – zapytał Fabrice.

– Gdzie tam, to nie tchórz. Do bitki jest pierwszy, tyle że od pół roku nie dymał i jaja ma tak napęczniałe nasieniem, że nie może stawiać nogi przed nogą.

– Czemu? – zapytał Simon. – Nie dają im mydła w jednocie?

– Nie w tym rzecz – odparł André, przyjacielsko poklepując kaprała po rękę. – Joemu marzy się prawdziwe łóżko z krwistoczerwonymi abażurami po obu stronach i ze sprytną kobitką przy kości, która potrafiłaby mu gruchać świństwa na ucho.

Ryknęliśmy śmiechem, Joe nam zawtórował, energicznie kiwając głową. Uśmiech przecinał mu oblicze na dwie części.

– No więc postanowiłem zabrać go do burdelu – oświadczył André, rozkładając ręce dla podkreślenia swej nadzwyczajnej wspaniałomyślności.

– Nie wpuszczą cię – ostrzegł Jean-Christophe.

– Kto by śmiał przeszkodzić Andrému Jiménezowi Sosie iść tam, gdzie chce? W Kamelii mało brakowało, a rozwijałoby przede mną czerwony dywan. Znam właścicielkę. Dałem jej tyle w łapę, że na mój widok rozplywa się jak masło w słońcu. Zaprowadzę tam naszego przyjaciela i pobuszujemy w futerkach do zrzygania, co nie, Joe?

– *Yeah! Yeah!* – przytaknął Joe, miętosząc furazerkę w wielkich łapskach.

– Pasowałoby mi zabrać się z wami – zapalił się Jean-Christophe. Nie miałem jeszcze tak naprawdę kobitki. Dałbyś radę załatwić?

– Skretyniałeś? – zdumiał się Simon. – Chcesz iść do jakiejś zawszonej budy, gdzie każda dziwka zaraża wstydliwą chorobą?

– Zgadzą się z Simonem – poparł go Fabrice. – To nie miejsce dla nas. Poza tym obiecaliśmy mojej matce, że będziemy się dobrze prowadzić.

Jean-Christophe wzruszył ramionami. Nachylił się do Andrégo i coś mu poszeptał na ucho. André zadarł nos, po czym z wyniosłą miną oświadczył:

– Do samego piekła cię wprowadzę, jeśli będziesz chciał.

Zadowolony Jean-Christophe, któremu wyraźnie ulżyło, zwrócił się do mnie:

– Poszedłbyś z nami, Jonas?

– Jasne!

Mnie pierwszego zaskoczyła ta spontaniczna odpowiedź.

Dzielnica uciech w Oranie mieściła się za teatrem, przy rue de l’Aquaduc, cieszącym się złą sławą zaułku, do którego prowadziły dwa ciągi schodów cuchnących uryną i wiecznie pełnych pijaków. Ledwie znaleźliśmy się w „paszczy wilka”, poczułem się nieswojo i musiałem bardzo się starać, by nie wziąć nóg za pas. Joe i André parli naprzód, by jak najrychlej dojść na miejsce.

Jean-Christophe dotrzymywał im kroku; był speszony, a nonszalancja, którą okazywał, wcale nie przekonywała. Od czasu do czasu oglądał się na mnie, puszczając niby to zawadiacko oko, na co odpowiadałem wymuszonym uśmiechem, ale ilekroć jakieś podejrzanе indywiduum wyłaniało się na naszej drodze, uskakiwaliśmy na bok, gotowi wiać gdzie pieprz rośnie. Burdele mieściły się w ciągu jeden obok drugiego za wrotami wypacykowanymi na krzykliwe kolory. Na rue de l'Acqueduc roilo się od ludzi. Byli tam żołnierze, marynarze, Arabowie przemyskający chyłkiem w obawie, że zauważy ich ktoś znajomy albo i krewniak, bosonogie chłopaki z rozdętymi nozdrzami czyhające na jakieś zlecenie, Amerykanie i Senegalczycy, stręczyciele, którzy z błyszczącymi oczami czuwali nad swoją trzódką, za pazuchą trzymając gotowy do użycia nóż sprężynowy, „tubylczy” żołnierze w wysokich czerwonych szaszijjach; wszędzie panowało nerwowe, acz osobliwie stłumione rozgorączkowanie.

Właścicielką Kamelii była rozłożysta jejmość o gromkim głosie. Lokalem zarządzała żelazną ręką, nieustępliwa była zarówno wobec gości, jak i dziewcząt. Akurat w drzwiach zmywała głowę niedelikatnemu klientowi, kiedy dotarliśmy na miejsce.

– Znowu nawaliłeś, Gégé, a to niedobrze. Chcesz jeszcze sypiać z moimi dziewczętami?... To zależy od ciebie, Gégé, rozumiesz? Zachowuj się dalej jak dureń, a twoja noga u mnie nie postanie... Znasz mnie, Gégé. Jak stawiam na kimś krzyżyk, mogę go od razu pogrzebać. Dotarło do ciebie, Gégé, czy mam ci to narysować?

– Łaski mi nie robisz – protestował Gégé. – Płacę, a twoja dziwka ma robić, co do niej należy.

– Swoją forszą możesz się podetrzeć, Gégé. To dom publiczny, a nie izba tortur. Jak ci obsługa nie pasuje, idź gdzie indziej. Bo jeśli jeszcze raz wytniesz taki numer, gołymi rękami wyrwę ci serce.

Gégé, człek wzrostu niemal karlego, wspiął się na palce, aby popatrzeć w oczy bajzelmamie, wydał policzki, lecz pohamował się; purpurowa twarz drgała mu ze złości. Opadł na pięty, po czym wściekły, że publicznie złażała go kobieta, roztrzącił nas i znikł w dumie zapewniającym uliczkę.

– Dobrze powiedziane! – zawołał jakiś żołnierz. – Jak mu obsługa nie pasuje, może se poszukać innej!

– Ciebie to też dotyczy, sierżancie – zauważyła bajzelmama. – Z ciebie też taki święty jak z koziej dupy trąba i dobrze o tym wiesz.

Była w złym humorze, André zatem pojął, że jego negocjacje wiele nie dadzą. Udało mu się wprowadzić Jeana-Christophe'a, którego okazała postać była koronnym argumentem, nic wszakże nie wskórał, jeśli o mnie chodzi.

– Przecież to dziecko, Dédé – rzekła nieprzejednana bajzelmama. – Ma jeszcze mleko pod nosem. Co do tego blondyna, przymknę oko, ale ten niebieskooki aniołek... Nie, nie, nie ma mowy. Zgwałciliby go w korytarzu, zanimby dotarł do najbliższego pokoju.

André nie nalegał. Bajzelmama nie należała do osób zmieniających zdanie. Pozwoliła mi wejść za kontuar i tam poczekać na kolegów, lecz przykazała, żebym niczego nie ruszał i z nikim nie rozmawiał. Ulżyło mi. Teraz, gdy zobaczyłem dom uciech od środka, nie miałem ochoty zapuszczać się dalej. Aż mnie od tego w brzuchu ścisnęło.

W głównej sali spowitej dymem papierosowym klienci wypatrywali swoich wybranek stłoczeni jak bydłeta. Niektórzy byli pijani i bez przerwy coś mamrotali albo się rozpychali. prostytutki prezentowały się na wyściełanej ławce w głębi alkowy wygospodarowanej z części korytarza, który prowadził do pokojów. Siedziały przodem do klientów, jedne niekompletnie ubrane, inne ciasno zawinięte w przejrzysty szal. Widok ten nieodparcie się kojarzył z posepnym obrazem Eugène'a Delacroix przedstawiającym upadłe odaliski. Były wśród nich baryły pokryte fałdami tłuszczu, z biustem wciśniętym w stanik wielkości namiotu; chudzińcy o mrocznym

spojrzeniu wyciągnięte prosto z jakiejś umieralni; brunetki w wulgarnych blond perukach; blondynki umalowane jak klauni, z jedną piersią nonszalancko odsłoniętą; wszystkie w milczeniu paliły wpatrzona w publikę przed sobą, cierpliwie drapiąc się w kroku.

Przyglądałem się zza kontuaru temu światu, żałując, że tu przyszedłem. Czułem się jak w jaskini zbójców. Śmierdziało skwaśniałym winem i wyziewami ciała w rui. Jakieś niepojęte napięcie zasnuwało to miejsce niczym złowróbną woń. Wystarczyłaby jedna iskierka, jedno niestosowne słowo, może nawet samo spojrzenie, aby buda wyleciała w powietrze... Mimo wszystko wystrój, choć nienaturalny i naiwny, w założeniu miał być relaksujący: zasłonki z lekkiej, niemal zwiewnej tkaniny obramowane aksamitnymi kotarami, złożone lustra, tandetne obrazy przedstawiające nimfy w stroju Ewy, kinkiety dobrane pod kolor ścian pokrytych mozaiką, puste krzeselka w różnych zakamarkach. Klienci wszakże nie wyglądali na takich, którzy zwracają na to uwagę. Wyciągając szyje poznaczone pulsującymi żyłami, widzieli tylko rozneglizowane dziewczęta na wyściełanej ławce i aż drżeli z niecierpliwości, żeby się do nich dobrać.

Zaczynało mi się dłużyć. Jean-Christophe odszedł z jakimś wielkim babskiem, Joe z dwiema mocno wypacykowanymi panienkami, a André gdzieś po prostu znikł.

Bajzelmama poczęstowała mnie talerzykiem prażonych migdałów i obiecała mi swoją najlepszą panienkę, by uczcić moją pełnoletniość, kiedy przyjdzie pora.

– Bez urazy, mały?

– Pewnie, proszę pani.

– Jakie to wzruszające... No i przestań mi tu paniować, bo się peszę.

Uspokojona właścicielka budy przyjmowała postawę ugodową; bałem się, że zechce wyświadczyć mi łaskę i każe wybrać coś ze „stosu ciał” eksponowanego na ławce.

– Naprawdę nie masz do mnie żalu?

– Skądże! – zawołałem, truchlejąc na myśl, że zapomni o moim wieku i wskaże mi którąś z dziewcząt. – Szczerze mówiąc – dodałem czym prędzej na wszelki wypadek – nie chciałem przyjść. Nie jestem gotów.

– Rację masz, mały. Nikt nigdy nie jest gotowy, kiedy staje przed kobietą... Za tobą jest lemoniada, jeśli chce ci się pić. Ja stawiam.

Zostawiła mnie i weszła w korytarz, by sprawdzić, czy wszystko idzie jak należy.

Właśnie wtedy zobaczyłem ją. Rozstała się z klientem i dołączyła do koleżanek na ławce. Jej powrót natychmiast wzbudził poruszenie w poczekalni. Jakiś herkulesowej budowy żołnierz przypomniał reszcie, że był tu przed nimi wszystkimi, co sprowokowało falę pomruków. Nie zwracałem uwagi na podekscytowanie ogarniające klientów. Naraz gwar ucichł w moich uszach, zniknęło wszystko w pomieszczeniu. Została tylko ona. Jakby padający nie wiadomo skąd snop światła skupił się na niej, resztę spychając w cień. Poznałem ją od razu, chociaż w tym miejscu w życiu bym się jej nie spodziewał. Na twarzy nie miała ani jednej zmarszczki, dziewczęce ciało owinęła niedbale chustą, kruczoczarne włosy spływały jej na piersi, w policzkach widniały dwa dołeczki: Hadda!. Piękna Hadda! Moja niegdysiejsza sekretna miłość, kobieta, o której fantazjowałem jako szczeniaku... Jak trafiła do tego ohydnygo szamba, ona, która wychodząc na podwórko, rozjaśniała je niczym słońce?

Byłem zbulwersowany, wstrząśnięty, skamieniały z niedowierzania.

Nieoczekiwane pojawienie się Haddy cofnęło mnie o lata – byłem na naszym wewnętrznym podwórku w Jenane Jato, wśród sąsiadek zaśmiewających się w głos pośród zgiełku dzieciarni... Hadda się nie śmiała tamtego ranka. Była smutna... Ujrzałem znowu, jak nad niskim stolikiem naraz wyciąga dłoń zwróconą wnętrzem do nieba: „Powiedz, co widzisz. Muszę wiedzieć. Dłużej nie wytrzymam...”. A Batul wróżka odparła: „Widzę koło ciebie, Hadda, wielu mężczyzn. Ale

bardzo niewiele radości... Przypomina to sen, ale nie jest snem”.

Batul wywróżyła prawdę. Zbyt wielu mężczyzn było koło pięknej Haddy i tak niewiele radości. Jej nowe „podwórko” z jarmarcznymi świecidełkami, przyćmionymi światłami, nierzeczywistymi ozdobami, pijaństwem przypominało sen, lecz snem nie było... Ze zdziwieniem uświadomiłem sobie, że stoję za kontuarem ze zwieszonymi rękami i rozdziawioną buzią, niezdolny wyrazić tę potworność, która wzbierała we mnie niczym podnosząca się mgła i sprawiała, że coraz mocniej pragnąłem stracić panowanie nad sobą.

W sali osiłek o wygolonej głowie złapał dwóch mężczyzn za gardło i przyparł ich do ściany, zaprowadzając w jednej chwili spokój. Z rozdętymi nozdrzami powiódł dzikim wzrokiem po obecnych. Kiedy stwierdził, że żaden klient nie sprzeciwi się jego woli, puścił przyduszonych nieboraków i buńczucznie ruszył w stronę Haddy. Chwycił ją brutalnie za łokieć i popchnął przed sobą. Kiedy szli korytarzem, towarzyszyła im cisza tak ciężka, że dałoby się ją kroić nożem.

Wybiegłem na ulicę, aby zaczerpnąć powietrza nie tak zawiesistego i zacząć znów normalnie oddychać.

André, Jean-Christophe i Joe znaleźli mnie skulonego na stopniu schodów. Uznali, że to z powodu odmowy właścicielki lokalu, lecz nie zamierzali tego roztrząsać. Jean-Christophe był purpurowy ze wstydu. Najwyraźniej nie poszło mu dobrze. André świata nie widział poza swoim Jankesem i gotów był spełnić każde jego życzenie. zaproponował nam, Jeanowi-Christopheowi i mnie, żebyśmy poszli po Simona i Fabrice’a i we czwórkę spotkali się z nim w Majesticu, jednym z najdroższych lokali w europejskiej części miasta.

W szóstkę zakończyliśmy wieczór w wytwornej restauracji na koszt Andrégo, który przejawiał nadzwyczajną hojność. Joe był męczący, kiedy się ululai. Po kolacji zaczął szumieć. Na początek uczeplił się amerykańskiego dziennikarza, który w głębi sali dopieszczał swoją depezę. Joe dosiadł się do niego i zaczął opowiadać swoje wyczyny bojowe, szczegółowo opisywać walki, w których nadstawiał karku. Jako człowiek grzeczny, dziennikarz uprzejmie czekał, kiedy będzie mógł wrócić do pracy, i pomimo niezadowolenia miał opory, aby je okazać, toteż odetchnął z ulgą, kiedy André przyszedł po swojego wojaka. Joe wrócił do naszego stolika podniecony i naelektryzowany jak powietrze przed burzą; co rusz odwracał się do dziennikarza i przez całą salę krzychał do niego: „Załatw mi jedynekę, John. Chcę zobaczyć swoje nazwisko na pierwszej stronie. Jak chcesz moje zdjęcie, nie ma sprawy. Słyszysz, John? Liczę na ciebie!”. Dziennikarz zrozumiał, że nie dokończy artykułu, mając takiego mąciwodę w pobliżu; poskładał papiery, zostawił pieniądze na stole i opuścił restaurację.

– Wiecie, kto to jest? – zapytał Joe, kciukiem wskazując za siebie. – To John Steinbeck, pisarz. Jest korespondentem wojennym „Herald Tribune”. O moim pułku już kiedyś spłodził artykuł.

Kiedy dziennikarz poszedł, Joe poszukał nowych kozłów ofiarnych. Przy barze stanowczo oświadczył, że życzy sobie posłuchać jakiegoś kawałka Glenna Millera; potem wlaź na krzesło i stojąc na baczność, zaintonował „Home on the Range”, po czym zachęcany przez paru amerykańskich żołnierzy, którzy jedli kolację na tarasie, zmuszał kelnera, by powtarzał za nim piosenkę „You’d Be So Nice To Come Home To”. Z wolna śmiechy, które wzbudzał, przemieniały się w uśmiechy, uśmiechy w niewyraźne miny, aż zdesperowani ludzie poprosili Andrégo, by poszedł ze swoim Jankesem gdzie indziej. Teraz Joe nie był życzliwym pocziwcem, jakiego poznaliśmy za dnia. Pijany w sztok, z przekrwionymi oczami i spienioną śliną w kącikach ust, przeholował, kiedy wszedł na stolik, by zaprezentować stepowanie. Wlaź buciarami między talerze, kieliszki, butelki, które roztrzaskały się na ziemi. Zjawił się przy nas kierownik lokalu z uprzejmą prośbą, by skończyć te wygłupy; Joe jednak źle to zrozumiał i pięścią rozkwasił nos kierownikowi. Dwaj kelnerzy nadbiegli szefowi z pomocą i zaraz zostali

srowadzeni do parteru. Kobiety poderwały się z piskiem od stołów. André objął w pół swego protegowanego i błagał, aby się uspokoił. Tyle że wtedy do Joego już nic nie docierało. Wymachiwał pięściami na wszystkie strony. Do rozróby przyłączyli się inni klienci, potem żołnierze z tarasu i skończyło się na nieopisanym zamieszaniu, w którym krzesła latały w powietrzu.

Potrzebna była ostatecznie twarda interwencja żandarmerii wojskowej, by zneutralizować Joego.

W restauracji zapanował względny spokój, dopiero gdy jeep Military Police zniknął w ciemnościach z Joem rozplaszczonym na podłodze.

Po powrocie do naszego lokum przy bulwarze des Chasseurs nie byłem w stanie zasnąć. Przez całą noc rzucałem się w pościeli, nie mogąc się uwolnić od widoku Haddy jako prostytutki. Upiorny głos Batul tłukł mi się po głowie, przesładował mnie, wciskał się do myśli, rozpałał moje obawy, odgrzebywał rzeczy ongiś przemilczane, ukryte w największych głębiach mojego jestestwa. Miałem wrażenie, że asystuję oto przy formułowaniu złej wróżby, która niebawem uderzy we mnie jak obuch. Na próżno nakrywałem głowę poduszką, na próżno przyciskałem ją do twarzy, aż brakowało mi tchu – wizerunek rozneglizowanej Haddy w alkwie domu uciech obracał się wolno wokół własnej osi na podobieństwo mechanicznej tancerki, a głos wróżki owiewał ją niczym złowieszczy wiatr.

Nazajutrz poprosiłem Fabrice'a, by pożyczył mi trochę pieniędzy, i udałem się sam do Jenane Jato, to znaczy na przeciwny koniec miasta, tam, gdzie nie uświadczyło się ani jednego człowieka w mundurze, a modlitwy i westchnienia cuchnęły coraz mocniej. Chciałem się zobaczyć z matką i siostrą, dotknąć ich w nadziei, że pozbędę się przecucia, które trzymało mnie w napięciu do samego rana i nadal nie odstępowało.

Nie zawiodła mnie intuicja. Od mojej ostatniej wizyty w Jenane Jato wiele się zmieniło. Podwórko było puste. Jakby przeszła przez nie wichura i zabrała wszystkich mieszkańców. W bramie rozciągnięto druty kolczaste, by zakazać wstępu, lecz czyjeś śmiałe ręce zdołały wyciąć otwór, przez który precisnąłem się do środka. Podwórko usłane było spopielonymi odpadkami oraz odchodami różnych zwierząt, w tym kocimi. Pokrywa studni spoczywała wygięta na cembrowinie. Drzwi i okna izb zniknęły. Ogień całkowicie zniszczył lewe skrzydło zabudowań; ściany runęły, nieliczne poczerniałe belki zwiisały jeszcze z sufitów otwartych na beznadziejnie błękitne niebo. Nasza izba była pogorzeliiskiem, pośród którego poniewierały się tu i ówdzie zniszczone przybory kuchenne i nadpalone tobołki.

– Nikogo nie ma – usłyszałem naraz za plecami.

Odwróciłem się. Kuternoga. Chwiał się otulony przykrotką kandurą, ręką podparty o mur. W wychudłej twarzy bezzębne usta miał wpadnięte, brzydką jamę siwa broda na próżno usiłowała zasłonić. Dłoń mu drżała, z trudem mógł ustać prosto na bladej nodze poznaczonej miedzianymi plamami.

– Co się stało? – zapytałem.

– Straszne rzeczy...

Przykuśtykał do mnie, po drodze podniósł pojemnik, odwrócił go i zajrzał, czy nie zawiera czegoś przydatnego, po czym odrzucił przez ramię.

Ręką zakreślił przed sobą łuk.

– Tylko na to popatrz... Żal aż ściska!

Ponieważ stałem oniemiały, czekając na wyjaśnienia, podjął:

– Ostrzegąłem Blisa. To porządne podwórko, mówiłem. Nie umieszczaj dziwki między przyzwoitymi kobietami, bo to się źle skończy. Ale Blis nie chciał słuchać. Aż jednej nocy jakieś dwie pijaczyny przyszły na numerek. Dzwinka akurat miała klienta, no to tamci zwalili się do izby

Badry. Szkoda gadać. Istna rzeźnia. Do pijaczków nawet nie dotarło, co się dzieje. Chłopcy wdowy wykrwawili ich do cna. Potem przyszła kolej na dziwkę. Lepiej się broniła niż jej klienci, tyle że nie ta waga. Ktoś przewrócił zapaloną lampkę na jej rzeczy i ogień buchnął szybciej, niż zdążyłeś pomyśleć. Szczęście, że nie przeniósł się na inne domy... Policja zatrzymała Badrę i jej synów, a podwórko zapieczętowała. Już dwa lata jest zamknięte. Ludzie mówią, że nawiedza je duch.

– A moja matka?

– Nie mam pojęcia. Jedno jest pewne: przeżyła pożar. Widziałem ją na drugi dzień z rana z twoją siostrą na rogu. Nie były ranne.

– A Blis?

– Ulotnił się.

– Byli jeszcze inni lokatorzy. Mogą coś wiedzieć.

– Nie wiem, gdzie się podziiali. Przykro mi.

Wróciłem na bulwar des Chasseurs ze zmartwiałą duszą. Wypytywanie kolegów tylko wprawilo mnie w jeszcze większą rozpacz. W końcu miałem tego dość, wyszedłem na ulicę i łąziłem, łąziłem, łąziłem... Z tysiąc razy stawałem na środku jezdni, łapiąc się za głowę, i z tysiąc razy brałem się w garść, powtarzając sobie, że moja matka i siostra na pewno są bezpieczne i mieszkają w lepszym miejscu niż przedtem. Batul wróżka nie myliła się. Naprawdę miała dar jasnowidzenia. Czy nie przepowiedziała, jaki będzie los Haddy?... Mój ojciec wróci – tak zostało zapisane w zmarszczkach na wodzie – i matki nie będzie dłużej dręczyła niepewność.

Właśnie to wszystko chodziło mi po głowie, kiedy wydało mi się, że go widzę...

M o j e g o o j c a !

To był on. Poznałbym go pośród stu tysięcy zjaw przemykających w ciemnościach nocy, pośród stu tysięcy innych gnających na zatracenie... Mój ojciec! Wrócił!... Szedł pośród tłumu przez plac w Village Nègre zgarbiony, w grubym palcie mimo upału. Kroczył prosto przed siebie, powłócząc nogą. Pobiegłem za nim przez gęstą ciżbę. Przepychając się między ludźmi, posuwałem się o krok i zaraz cofałem o dwa ze wzrokiem utkwionym w jego coraz bardziej oddalającej się pochylonej sylwetce w zielonym płaszczu. Nie chciałem go stracić z oczu w obawie, że nie natrafię więcej na jego ślad... Kiedy wreszcie wydostałem się z tłumu po drugiej stronie placu, ojca nigdzie nie było. Znikł.

Szukałem go w tanich garkuchniach, kawiarniach, łaźniach... Na próżno.

Nigdy więcej nie zobaczyłem matki ani siostry. Nie wiem, co się z nimi stało, czy chodzą jeszcze po tym świecie czy też są pyłem pośród pyłu. Kilka razy natomiast widziałem ojca. Mniej więcej co dziesięć lat. Czasami gdzieś na bazarze albo na jakiejś budowie; czasami samego na rogu uliczki bądź w drzwiach opuszczonej szopy... Nigdy nie udało mi się podejść do niego. Kiedyś szedłem za nim aż do ślepej uliczki i byłem pewny, że wreszcie go dopadnę, jakież jednak było moje zdumienie, gdy doszedłem do muru, a tam nikogo nie było... Ponieważ zawsze miał na sobie to samo zielone palto, na którym ani czas, ani zła pogoda nie odcisnęły śladu, zrozumiałem w końcu, że to nie był człowiek z krwi i kości...

Po dziś dzień, a stoję u kresu życia, zdarza mi się jeszcze dojrzeć go gdzieś w oddali: zgarbiony w nieodłącznym zielonym palcie, kuśtyka niespiesznie ku własnemu zapomnieniu.

Morze było tak płaskie, że dałoby się po nim iść. Ani jedna choćby najmniejsza fala nie wylewała się na piach, ani jedno drżenie nie marszczyło lustra wody. Był dzień roboczy tygodnia i plaża należała do naszej bandy. Fabrice drzemał obok mnie wyciągnięty na wznak, z otwartą książką na twarzy. Jean-Christophe na skraju wody odstawiał nieudolne narcystyczne popisy. André i jego kuzyn José postawili namiot i ruszt jakieś sto metrów od nas; grzecznie czekali na koleżanki z Lourmel. Nieliczne rodziny wylegiwały się w słońcu rozproszone na całej długości brzegu zatoki. Gdyby nie błaznowanie Simona, można by sądzić, że trafiliśmy na jakąś zagubioną na morzu wysepkę.

Promienie słoneczne padały prostopadle niczym strumień płynnego ołowiu. Na nieskazitelnym niebie baraszkowały mewy upojone przestrzenią i swobodą. Od czasu do czasu pikowały, ścigały się tuż nad powierzchnią morza, po czym jak strzały ulatywały w górę, zlewając się z lazurowym niebem.

Dzień był przepiękny.

Jakaś samotna pani siedząca pod parasolem wpatrywała się w horyzont. Miała kapelusz z szerokim rondem opasany czerwoną wstążką i okulary słoneczne. Biały strój kąpielowy przylegał do jej opalonego ciała jak druga skóra...

I na tym by się skończyło, gdyby nie nagły podmuch wiatru. Gdyby ktoś mi wcześniej powiedział, że zwykły podmuch wiatru może zmienić bieg życia, byłbym może coś przedsięwziął. Ale w wieku siedemnastu lat człowiek się czuje zdolny spaść na cztery łapy, cokolwiek się przydarzy.

Zerwała się południowa bryza i ukryty za nią poryw wiatru skorzystał z okazji, by mnać na plażę. W paru miejscach wzbil tumany piasku, porywając po drodze parasol tej pani, która zdążyła tylko przytrzymać kapelusz, aby i on nie uleciał. Parasol zawিrował w powietrzu, potoczył się po plaży, a potem koziołkował i koziołkował. Jean-Christophe próbował go złapać, lecz bez sukcesu. Gdyby mu się udało, moje życie szłoby dalej swoim biegiem. Los wszakże postanowił inaczej: parasol upadł u moich stóp, a ja wyciągnąłem po niego rękę.

Pani doceniła mój gest. Patrzyła na mnie, gdy szedłem w jej stronę z parasolem pod pachą, podniosła się na powitanie.

– Dziękuję – powiedziała.

– Drobiazg.

Przyklękąłem u jej stóp, poszerzyłem dołek, w którym osadzony był parasol, zanim odleciał, pogłębiłem go silnymi rękami, na powrót umieściłem w nim trzonek i udeptałem mocno piasek, by kolejny poryw wiatru sobie nie poradził.

– Bardzo pan uprzejmy, panie Jonas – rzekła pani. – Przepraszam – dodała – słyszałam, że koledzy tak pana wołają.

Zdjęła okulary; oczy miała nie do opisania.

– Jest pan z Terga-village?

– Z Río Salado.

Jej niesamowite oczy wprawiały mnie w zakłopotanie. Widziałem, że koledzy chichoczą skrycie, obserwując nas. Pewnie się ze mnie natrzęsali. Czym prędzej pożegnałem się z panią i wróciłem do nich.

– Czerwonyś jak burak – droczył się Jean-Christophe.

– Przestań – powiedziałem.

Simon, który wyszedł z wody, z filuternym grymasem na ustach wycierał się energicznie frotowym ręcznikiem. Dopiero kiedy usiadłem na swoim miejscu, zapytał:

– Czego chciała od ciebie pani Cazenave?

– Znasz ją?

– Jasne! Jej mąż był naczelnikiem ciężkiego więzienia w Gujanie. Podobno zniknął w lesie w czasie pościgu za zbiegłymi galernikami. A że nie dawał znaku życia, ona wróciła w domowe pielesze. To przyjaciółka mojej ciotki. Ciotka raczej uważa, że pan naczelnik uległ urokom jakiejś amazonki o krągłym tyłeczku i zmył się z nią po angielsku.

– Nie chciałbym mieć twojej ciotki za przyjaciółkę.

Simon się roześmiał. Rzucił mi ręcznik na twarz, jak goryl zabębnił pięściami w klatkę piersiową i znowu pognął do morza z donośnym okrzykiem wojennym.

– Kompletnie stuknięty – westchnął Fabrice, opierając się na łokciach, by widzieć, jak Simon daje błazeńskiego nura w morze.

Dziewczyny Andrégo zjawily się o drugiej. Najmłodsza musiała być ze cztery, pięć lat starsza od obu kuzynów. Na przywitanie cmoknęły ich w policzki, po czym zasiadły na płóciennych krzesłach, które na nie czekały. Dżallul sługa krzątał się przy ruszcie; rozpalil ogień i szerokim wachlarzem owiewał węgle, biały dym ulatywał nad pobliskie wydmy. Jose wydobył skrzynkę pomiędzy stosu worków złożonych pod głównym masztem namiotu, wyciągnął z niej sznurki mergezów i poszedł ułożyć je na ruszcie. Niebawem zapach palonego tłuszczu rozszedł się po plaży.

Nie wiem, dlaczego wstałem i ruszyłem w stronę Andrégo i jego towarzystwa. Może chciałem tylko zwrócić na siebie uwagę pani pod parasolem, raz jeszcze zobaczyć jej niezwykle oczy. Jakby czytała w moich myślach. Kiedy znalazłem się na jej wysokości, zdjęła okulary i naraz odniosłem wrażenie, że stąпам po ruchomych piaskach.

Zobaczyłem ją kilka dni później na głównej ulicy Río. Wychodziła ze sklepu w białym kapeluszu, który niczym diadem wieńczył jej głowę. Ludzie oglądali się za nią; nawet ich nie zauważała. Wyrafinowana, o pięknej twarzy i posągowej sylwetce, nie szła – ona odmierzała upływ czasu.

Byłem urzeczony.

Przypominała owiane tajemnicą heroiny, które swoją charyzmą wypełniały sale kinowe, heroiny tak realne, że nasza rzeczywistość wydawała nam się bez znaczenia.

Siedziałem z Simonem Benyaminem przy stoliku na tarasie kawiarni. Pani Cazenave przeszła obok, nie zauważając nas, na pocieszenie zostawiając tylko zapach swoich perfum.

– Uspokój się, Jonas! – szepnął Simon.

– C o ?

– W barze jest lustro. Idź zobaczyć buraka, którego masz zamiast ryła. Czyżbyś się zakochał w tej szacownej pani domu i matce dzieciom?

– Co ty gadasz?

– Mówię, co widzę. Jeszcze trochę, a wyjdiesz z siebie.

Simon przesadzał. To nie była miłość; darzyłem panią Cazenave głębokim podziwem. Związane z nią myśli miałem czyste.

Pod koniec tygodnia zjawila się w naszej aptece. Krzątałem się za kontuarem, pomagałem bowiem Germaine w realizacji licznych zleceń, które się posypały, gdy w miasteczku zapanowała epidemia jakichś dolegliwości gastrycznych. Kiedy podniosłem głowę i ujrzałem panią Cazenave przed sobą, o mało nie padłem jak długi.

Spodziewałem się, że zdejmie okulary słoneczne; tymczasem zostawiła je na swoim ślicznym nosku, tak że nie wiedziałem, czy patrzy na mnie przez nieprzezroczyste szkła czy też ignoruje.

Wyciągnęła receptę w stronę Germaine. Wdzięcznym gestem, jakby podawała dłoń do ucałowania.

– Zrobienie tego lekarstwa wymaga czasu – powiedziała Germaine, gdy odcyfrowała bazgrały lekarza na kartce. – W tej chwili jestem przeciążona pracą – dodała, wskazując stos paczuszek na kontuarze.

– Kiedy będzie gotowe?

– Przy odrobinie szczęścia dziś po południu. Ale nie przed piętnastą.

– Może być. Tylko nie będę mogła po nie przyjść. Zbyt długo mnie nie było i dom wymaga solidnego sprzątnia. Czy będzie pani tak uprzejma i prześle mi lekarstwo przez posłańca? Zapłacę za dostarczenie.

– Nie chodzi o pieniądze, pani...

– Cazenave.

– Miło mi... Daleko pani mieszka?

– Za cmentarzem żydowskim, dom w głębi przy drodze do marabutu.

– A, wiem, gdzie to jest... Oczywiście, to żaden problem. Lekarstwo dostarczymy dzisiaj między piętnastą a szesnastą.

– Znakomicie.

Ledwie dostrzegalnie skinęła głową w moim kierunku i wyszła.

Nie mogłem usiedzieć na miejscu, czyhając na Germaine, która się miotła za ukrytymi drzwiami do zaplecza, pełniącego rolę laboratorium. Wskazówki zegara ściennego w ogóle nie chciały się posuwać; bałem się, że zrobi się ciemno, zanim nadejdzie pora dostarczenia lekarstwa. I wreszcie ta pora nadeszła niczym haust świeżego powietrza po długim bezdechu. Punktualnie o piętnastej Germaine wyłoniła się z laboratorium z flakonem zawiniętym w kawałek papieru pakunkowego. Nie zdążyła mi go podać, a tym bardziej przekazać sposobu stosowania; wyrwałem jej lekarstwo z rąk i wskoczyłem na rower. Kurczowo trzymając kierownicę, z koszulą wydętą przez wiatr nie pedałowalem; frunąłem. Okrążyłem cmentarz żydowski, przejechałem przez warzywnik i dotarwszy do drogi do marabutu, pogałem slalomem pomiędzy dziurami w nawierzchni.

Dom Cazenaveow stał na wzniesieniu jakieś trzysta metrów od miasteczka. Górował nad równiną okazały, pomalowany na biało, z frontem skierowanym na południe. Stajnia po lewej była pusta i nieco zaniedbana, lecz sam dom nie doznał żadnego uszczerbku. Od drogi prowadziła do niego wąska ścieżka wysadzana karłowatymi palmami. Brama z kutego żelaza osadzona była w murku ze starannie ociosanych kamieni, które sieć sękatych pędów winorośli próbowała opleść. Na łukowatym frontonie podtrzymywanym przez dwie kolumny wykładane płytkami widniało wielkie „C” wyryte w kamieniu wraz z informacją o roku zakończenia budowy: 1912.

Zsiadłem z roweru, zostawiłem go przy wejściu na teren posiadłości i pchnąłem bramę, która głośno zaskrzypiała. Na niedużym podwórku ozdobionym fontanną nie było nikogo. Ogród wkoło zmarniał.

– Proszę pani! – zawołałem.

Okiennice były pozamykane; zamknięte też były drewniane drzwi domu. Z lekarstwem w ręku czekałem koło fontanny, stojąc w cieniu gipsowej Diany. Ani żywego ducha. Słyszałem tylko wietrzyk poświsujący wśród pnącej się przy bramie winorośli.

Po długim oczekiwaniu, którego końca jakoś nie widziałem, zdecydowałem się zapukać do drzwi. Uderzenia pięścią rozbrzmiały w domu niczym w podziemnych lochach. Było oczywiste, że nie ma nikogo, lecz nie chciałem się z tym pogodzić.

Wróciłem do fontanny, usiadłem na obramowaniu zbiornika. I nasłuchiwałem skrzypienia

żwiru. Niecierpliwie czekając, kiedy pani Cazenave skądś się wyłoni. Kiedy zacząłem już tracić nadzieję, usłyszałem naraz z tyłu:

– Dzień dobry.

Stała za mną w obcisłej białej sukience i w tym kapeluszu z czerwoną wstążką zsuniętym lekko na kark.

– Byłam w sadzie tam dalej. Lubię chodzić w ciszy drzew... Długo pan czeka?

– Nie, nie – skłamałem. – Dopiero co przyszedłem.

– Nie widziałam pana na drodze.

– To pani lekarstwo – rzekłem, podając jej zawiniątko.

Zawahała się, nim wzięła pakunek, jakby zapomniała, że złożyła zamówienie w aptecce, po czym elegancko odwinęła flakon, odkręciła go i powąchała zawartość, która wyglądała mi na jakiś preparat kosmetyczny.

– Balsam pachnie ładnie. Byłe tylko pomógł na ból pleców. W domu zastałam taki bałagan, że co dzień przez większość czasu próbuję zaprowadzić ład.

– Jeżeli ma pani coś do przeniesienia albo naprawienia, jestem do dyspozycji.

– Uroczy z pana człowiek, panie Jonas.

Wskazała mi wiklinowe krzesło przy stole na werandzie, poczekała, aż usiadłem, i sama zajęła miejsce naprzeciwko.

– Przypuszczam, że przy tym upale jest pan spragniony – powiedziała, podnosząc karafkę pełną cytrynady.

Nalała mi do wysokiej szklanki i wolno popchnęła ją ku mnie. Poruszenie ramieniem sprawiło, że skrzywiła się boleśnie; uroczo przygryzła wargę.

– Coś panią boli?

– Musiałam dźwignąć coś za ciężkiego.

Zdjęła okulary.

Zmięknęłam w środku.

– Ile ma pan lat? – spytała, sięgając swym władczym spojrzeniem w najgłębsze zakamarki mojego jestestwa.

– Siedemnaście.

– Pewno ma pan narzeczoną.

– Nie, proszę pani.

– Jak to: nie? Z taką śliczną buzią i tymi wyrazistymi oczyskami?... Nie wierzę, że nie ma pan całego haremu dziewcząt, które w tej chwili tęsknią za panem.

Jej zapach mnie upajał.

Znowu przygryzła wargę i podniosła rękę do szyi.

– Bardzo pani cierpi?

– Nieznośnie. – Wzięła moją dłoń. – Ma pan palce jak książkę krwi.

Zawstydzilem się i bałem, że spostrzeże ogarniające mnie zmieszanie.

– Co zamierza pan robić w przyszłości?

– Będę aptekarzem.

Pomyślała chwilę, później kiwnęła głową.

– To godna profesja. – Po raz trzeci zabolalo ją w szyi, aż niemal zgięła się wpół. – Muszę natychmiast wypróbować tę maść.

Podniosła się. Z wielką godnością.

– Jeśli pani pozwoli, mogę... mogę wymasować pani ramiona.

– Na to liczę, panie Jonas.

Nie wiedzieć czemu coś naraz przełamało dostojność tego miejsca. Trwało to jednak ledwie

ułamek sekundy. Kiedy jej oczy znowu spoczęły na mnie, wszystko wróciło do zwykłego stanu.

Znajdowaliśmy się po dwóch stronach stołu. Serce tak mocno mi waliło, że zastanawiałem się, czy ona tego nie słyszy. Zdjęła kapelusz i włosy rozsypały się jej na ramionach, a ja niemal kompletnie stężałem.

– Proszę za mną, młodzieńcze.

Pchnęła drzwi domu i gestem zachęciła mnie, bym podążył za nią do środka. W sieni panował lekki półmrok. Wydawało mi się, że przeżywam jakieś *déjà vu*, że korytarz biegnący w głąb już kiedyś widziałem. Wyśniłem go sobie czy też zatraciłem się w całej tej historii? Pani Cazenave szła przodem. Na jedno mgnienie zlała mi się z moim przeznaczeniem.

Weszliśmy po schodach. Potykałem się o stopnie. Przytrzymałem się poręczy, widziałem tylko falujące przede mną wypukłości ciała pani domu – ciała majestatycznego, czarującego, prawie nierzeczywistego, tak niewiarygodny miała wdzięk. Na podeście weszła w oślepiające światło padające przez lukarnę; wtedy jej sukienka jakby się rozwiła, odsłaniając przede mną idealne kształty sylwetki.

Odwróciwszy się nagle, pani Cazenave zaskoczyła mnie oniemiałego. Natychmiast pojęła, że nie jestem w stanie iść dalej, że nogi uginają się pode mną pod brzemieniem oszołomienia, że jestem jak szczygieł schwytny w pułapkę. Jej uśmiech dokonał reszty. Miękkim, zjawiskowym krokiem zawróciła; coś powiedziała, ale nie dotarło to do mojej świadomości. Krew pulsowała mi w skroniach, nie pozwalała oprzytomnieć. „Co się dzieje, panie Jonas?”. Ujęła mnie za brode, podniosła mi głowę... „Dobrze się pan czuje?”. Echo jej głosu zginęło w szumie wypełniającym mi głowę... „Czy to ja wprawiam pana w taki stan?”. Może nie ona tak mówiła. Może to były moje słowa, mimo że nie poznałem swojego głosu. Rozłożyła palce na mojej twarzy. Za plecami poczułem ścianę niczym szaniec zagrządzający mi odwrót. „Panie Jonas?...” Jej oczy mnie objęły, sprawiły, że zniknąłem jak w kuglarskiej sztuczce. Rozpływałem się w jej spojrzeniu. Owiała tchnieniem moje usta, wchłonęła wychodzący z nich oddech; nasze twarze były coraz bliżej. Kiedy jej wargi musnęły moje, myślałem, że się rozlecę na tysiąc kawałeczków; czułem się, jakby mnie wymazywała, a potem czubkiem palców na powrót wymyślała. Nie był to jeszcze pocałunek, zaledwie dotknięcie przelotne, czujne – czy badała grunt? Cofnęła się; a ja odniosłem wrażenie, że fala odpływa, obnażając mnie i odkrywając moje wzburzenie. Usta pani Cazenave wróciły, teraz pewniejsze, odważniejsze; u żadnego źródła tak bym się nie orzeźwił. Podałem jej swoje, które się z nimi stopiły w jedno, stały dla nich wodą, i pani Cazenave wysączyła mnie do ostatniej kropelki w długim, niemającym końca hauście. Głowę miałem w obłokach, nogi na latającym dywanie. Przestraszony takim bezmiarem szczęścia, być może chciałem się jej wyrwać, bo ręką mocno przytrzymała mnie za kark. Pozwoliłem jej więc na wszystko. Nie stawiając najmniejszego oporu. Urzeczony schwytnością w pułapkę, rozdygotany i uległy, i zachwycony tą kapitulacją, złączyłem się z językiem chłonącym mój. Nieskończenie delikatnie rozpięła mi koszulę, zsunęła ją i gdzieś rzuciła. Oddychałem tylko jej oddechem, żyłem tylko poprzez jej puls. Niewyraźnie czułem, że spadają ze mnie kolejne sztuki odzieży, że jestem popychany do pokoju i przewracany na łóżko przepastne niczym koryto głębokiej rzeki. Tysiące palców biegało po moim ciele na podobieństwo rozsypujących się skier sztucznych ogni; byłem świętem, byłem radością, byłem ekstazą w upojeniu absolutnym; czułem, że umieram i odradzam się równocześnie.

– Zejdźże na ziemię – przywołała mnie do porządku Germaine w kuchni. – W dwa dni wytlukłeś połowę zastawy.

Uświadomiłem sobie, że talerz, który opłukiwałem w zlewie, wysłiznął mi się z rąk i rozbił na ziemi.

– Jesteś rozkojarzony.

– Przepraszam...

Germaine popatrzyła z ciekawością, wytarła ręce w fartuch i położyła mi je na ramionach.

– Coś jest nie w porządku?

– Nie. Wysmyknął mi się.

– Tak... Problem w tym, że to trwa.

– Germaine! – zawołał stryj ze swojego pokoju.

Ratunek przyszedł w ostatniej chwili. Germaine natychmiast o mnie zapomniała i pobiegła do pokoju w końcu korytarza.

Sam siebie już nie poznawałem. Od tamtej przygody z panią Cazenave nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, nosiło mnie po meandrach euforii, która za nic nie chciała opaść. Było to moje pierwsze męskie doświadczenie, pierwsze erotyczne odkrycia – i szumiało mi od nich w głowie. Wystarczyło, że na moment zostawałem sam, a zaraz ogarniała mnie rozkoszna fala pożądania. Moje ciało wyginało się w łuk, czułem palce pani Cazenave biegające po mojej skórze, jej pieszczoty niczym wyzwolicielskie ukąszenia zastępowały we mnie żyły, przeobrażały się w dreszcze, stawały krwią tętniącą w skroniach. Gdy zamykałem oczy, czułem nawet jej dyszenie i mój świat napełniał się upajającym powietrzem z jej płuc. W nocy o śnie nie było mowy. Łóżko cierpliwie znoszące platoniczne baraszkowanie trzymało mnie w transie do samego rana.

Zdaniem Simona zrobiłem się nudny. Nie wzruszały mnie jego wygłupy. Jean-Christophe i Fabrice skręcali się ze śmiechu przy każdym jego kawale, a ja byłem zimny jak gład. Patrzyłem, jak błaznują, w ogóle nie łapiąc, o co chodzi. Ileż to razy Simon machał mi ręką przed oczami, aby sprawdzić, czy jeszcze żyję? Od czasu do czasu na krótko przytomniałem, po czym na powrót zapadałem w coś na kształt katalepsji i wtedy wszystkie dźwięki dokoła cichły.

Zarówno na wzgórzu pod wiekowym drzewem oliwnym, jak i na plaży tylko ciałem pozostawałem z kolegami.

Odczekałem dwa tygodnie, po czym zebrałem się na odwagę i postanowiłem wrócić do białego domu przy drodze do marabutu. Było już późno, słońce z wolna szykowało się do odejścia. Zostawiłem rower przy bramie i wszedłem na podwórko... Była tam, kucała przy jakimś krzewie z sekatorem w ręce; zaprowadzała ład w ogrodzie.

– O, pan Jonas – powiedziała, stając.

Odłożyła sekator na stosik otoczków, klasnęła w dłonie, aby je otrzepać. Miała ten sam kapelusz z czerwoną wstążką i tę samą białą sukienkę, która w świetle zachodzącego słońca nadzwyczaj wiernie oddawała czarowne wdzięki jej ciała.

Patrzyliśmy na siebie bez słowa.

W ciszy, która bardzo mi ciążyła, cykady grały, aż głowa pękała.

– Dzień dobry – powiedziałem.

Uśmiechnęła się, oczy miała głębsze niż horyzont.

– Czym mogę służyć?

Coś w jej głosie sprawiło, że zacząłem się obawiać najgorszego.

– Przejeżdżałem w pobliżu – skłamałem. – Chciałem się przywitać.

– To miłe.

Jej lakoniczność zbijala mnie z pantałyku.

Patrzyła nieruchomym wzrokiem. Jakby oczekiwała, że wytłumaczę, co tutaj robię. Nie wyglądało na to, by ją cieszyło moje n a j s c i e . Odnosiłem wrażenie, że jej przeszkadzam.

– Nie potrzebuje pani... Pomyślałem, że... No, może trzeba coś przenieść albo naprawić?...

– Od tego jest służba.

Nic mnie nie usprawiedliwiało, czułem się śmieszny i byłem zły na siebie. Właśnie wszystko niszczyłem!

Podeszła bliżej, stanęła tuż przede mną i nie przestając się uśmiechać, wbiła we mnie wzrok.

– Młodzieńcze, nie wypada nachodzić kogoś tak ni stąd, ni zowąd.

– Myślałem...

Położyła mi palec na ustach, abym zamilkł.

– Nie trzeba myśleć byle czego.

Moje zażenowanie przekształciło się w mroczny gniew. Czemu ona mnie tak traktuje? Jakże mam uważać, że między nami nic nie było? Na pewno odgadła, czemu się u niej zjawiłem.

Jakby czytała mi w myślach, powiedziała bowiem:

– Dam znać, jak będę pana potrzebowała. Trzeba pozostawić sprawy własnemu biegowi, rozumie pan? Ponaglanie tylko by wszystko popsuło.

Jej palec delikatnie obwiodł linię moich warg, rozchylił je, wsunął się między zęby. Na chwileczkę zatrzymał się na koniuszku języka, po czym cofnął i pozostał na ustach.

– Musi pan wiedzieć jedno, Jonasie: u kobiet to się dzieje w głowie. Gotowe są dopiero wtedy, gdy poukładają sobie wszystko w umyśle. Panują nad emocjami.

Nie odwracała ode mnie oczu, niewzruszona i władcza. Miałem wrażenie, że jestem tylko owocem jej wyobraźni, przedmiotem w jej rękach, szczeniciem, które przewróci zaraz na grzbiet i końcem palca podrapie po brzuszku. Nie zamierzałem ponaglać, zaprzepaszczając swoich szans, zanim ona poukłada sobie wszystko w umyśle. Kiedy zabrała rękę, pojąłem, że pora mi odejść... i czekać na jej znak.

Nie odprowadziła mnie do bramy.

Tygodnie mijały, a ja czekałem. Lato roku 1944 dobiegało końca, znak zaś nie nadchodził. Pani Cazenave nie bywała nawet w miasteczku. Kiedy Jean-Christophe skrzykiwał nas na wzgórze, Fabrice czytał nam swoje wiersze, ja tymczasem siedziałem wpatrzony w biały dom przy drodze do marabutu. Parę razy wydało mi się, że widzę ją krzątającą się na podwórku, że rozpoznaję jej białą sukienkę w świetle odbijającym się od równiny. Wieczorami wychodziłem w domu na balkon i wsłuchiwałem się w wycie szakali w nadziei, że ukoję jej ciszę.

Pani Scamaroni regularnie zabierała naszą paczkę do Oranu na bulwar des Chasseurs, ale nie przypominam sobie ani jednego oglądanego wtedy filmu, ani jednej spotkanej dziewczyny. Simona zaczynało męczyć, że stale chodzę taki rozkojarzony. Kiedyś na plaży chlusnął wodą z wiadra, aby sprowadzić mnie na ziemię. Gdyby nie Jean-Christophe, ten żart zamieniłby się w bójkę.

Mając w końcu dość mojego rozdrażnienia, Fabrice odwiedził mnie w domu, aby się wywiedzieć, co się dzieje. Nie otrzymał odpowiedzi.

Przytłoczony oczekiwaniem, pewnej niedzieli w samo południe wskoczyłem w końcu na rower i popędziłem do białego domu. Pani Cazenave zatrudniła starego ogrodnika i gosposię, którzy w cieniu drzewa świętojańskiego akurat się posilali. Czekałem z rowerem na podwórku. Rozdygotany od stóp do głów. Pani Cazenave ledwie dostrzegalnie drgnęła, zobaczywszy mnie przy fontannie. Rozejrzała się za służącymi, znalazła ich w głębi ogrodu i na powrót obróciła wzrok na mnie. Patrzyła w milczeniu. Czułem, że pod uśmiechem skrywa zdenerwowanie.

– Nie mogłem wytrzymać – wyznałem.

Zeszła z niedużego podestu i spokojnym krokiem zbliżyła się do mnie.

– Nic nie poradzę, tak trzeba – odparła stanowczo.

Gestem poprosiła, abym poszedł za nią do bramy. I tam nie trzaskając się, że ktoś może nas zobaczyć, zachowując się, jakbyśmy byli sami na święcie, chwyciła mnie za kark i mocno pocałowała w usta. Pocałunek był tak łapczywy, że odebrałem go jako coś ostatecznego, jako nieodwołalne pożegnanie na zawsze.

– Śnił pan Jonasie – powiedziała pani Cazenave. – To był tylko sen młodego mężczyzny. – Puściła mój kark, cofnęła się. – Między nami nigdy nic nie było... Nawet tego pocałunku. – Jej wzrok przewiercał mnie na wskroś. – Czy pan zrozumiał?

– Tak – wyjąkałem.

– To dobrze.

Poklepała mnie po policzku gestem naraz macierzyńskim.

– Wiedziałam, że rozsądny z pana chłopiec.

Musiałem poczekać, aż zrobi się ciemno, aby wrócić do domu.

Nieśmiało liczyłem na cud; nie zdarzył się.

Jesień ogołacała drzewa z liści; przysłała pora, by pogodzić się z rzeczywistością. Tamto było tylko snem. Między panią Cazenave i mną nic nie było.

Spotykałem się jak wcześniej z kolegami, Simon nadal się wygłupiał, Fabrice obnosił swój rozgorączkowany romantyzm. Jean-Christophe z talentem ulegał Isabelle Rucillio. Powiadał, że najważniejsze to osiągać korzyści z ustępstw, że życie to inwestycja długoterminowa i szczęście niewątpliwie uśmiechnie się w końcu do tego, kto potrafi stawiać na cierpliwość. Wyglądało na to, że wie, czego chce, i chociaż swoich teorii raczej nie podpierał argumentami, podchodziliśmy do tego z wyrozumiałością.

Nadszedł wreszcie rok 1945, a wraz z nim napływające falami wieści i ekstrawaganckie wymysły. W Río Salado ludzie uwielbiali fantazjować przy szklaneczce anyżówki. Najdrobniejsza potyczka była rozdymana, obrastała nieprawdopodobnymi wyczynami przypisywanymi bohaterom, którzy często nie mieli w tym żadnego udziału. Na tarasach kawiarni diagnozy stawiano w najlepsze. Nazwiska Stalina, Roosevelta i Churchilla rozbrzmiewały niczym zew do ostatecznej szarży; żartownisie ubolewający nad patykowaną posturą de Gaulle'a obiecywali, że pošlą mu najlepszy miejscowy kuskus, by nabrał kałduna, inaczej bowiem jego charyzma będzie mało wiarygodna w oczach Algierczyków, dla których nieodłącznym elementem autorytetu jest okazały brzuch. Ludzie znowu się śmiali i lali w siebie alkohol, aż osła brali za jednorozca. Nastroje generalnie były raczej optymistyczne. Rodziny żydowskie, które szukały schronienia pod innym niebem w związku z masowymi deportacjami ich gmin we Francji, zaczynały ściągać na ojczyzny łono. Z całą pewnością zapowiadało się na stopniowy powrót do normalności. Zbiory winogron okazały się fantastyczne, bal zaś, który zamykał sezon, udał się wręcz fenomenalnie. Pepe Rucillio ożenił najmłodszą swoją latorośl i przez siedem dni i siedem nocy okolica wibrowała od dźwięku kastanietów i gitar słynnej kapeli sprowadzonej z Sewilli. Uszczęśliwiono nas nawet imponującym widowiskiem, w którym najznamienitsi jeźdźcy w regionie zmierzyli się bez kompleksów z najsłynniejszymi wojownikami z Aulad Nahar.

W Europie hitlerowskie imperium szło pod wodę. Wieści z frontu co dzień zapowiadały jego zatonięcie, tymczasem co dzień torpedy odpowiadały na ataki bombowe. Całe miasta płonęły i znikwały pod popiołami. Na niebie toczyły się powietrzne bitwy, gąsienice czołgów rozjeżdżały okopy... W Río Salado sala kinowa nigdy nie pustoszała. Wielu chodziło tam tylko na kroniki filmowe wyświetlane przed seansem właściwym. Alianci wyzwolili dużą część terenów okupowanych i nieuchronnie zbliżali się do Niemiec. Świetność Włoch była już tylko wspomnieniem. Wszędzie ruch oporu i partyzanci nękali wroga wziętego w kleszcze przez Armię Czerwoną i potężną falę wojsk amerykańskich.

Stryj jak przyspawany siedział przy odbiorniku radiowym. Odziany tylko w trykot, w którym widoczna była jego chudość, niemal przyrósł do krzesła. Od rana do wieczora tkwił nachylony nad radiem, bez przerwy poruszając pokręteł w poszukiwaniu stacji nadających z mniejszymi zakłóceniami. Trzaski i przenikliwe gwizdy idące z odbiornika wypełniały cały dom kosmicznym szumem. Germaine już dawno opadły ręce. Jej mąż uparł się i robił wszystko wedle swego widzimisie; domagał się, żeby posiłki podawano mu w salonie, i jadł przy radiu, nie ch'cąc przeoczyć ani skrawka informacji.

Aż przyszedł 8 maja 1945 roku. Kiedy cały świat świętował koniec Koszmaru, w Algierii objawił się inny koszmar, który się rozprzestrzenił równie szybko jak pandemia i był tak straszny

jak apokalipsa. Radość ludu przeobraziła się w tragedię. Niedaleko Río Salado, w Ajn Tamuszant, marsze o niepodległość Algierii zostały zdławione przez policję. W wilai Mustaghanim rozruchy rozszerzyły się aż po graniczne osady. Jednakże potworności osiągnęły apogeum w górach Al-Auras i na północy Konstantyny, gdzie tysiące muzułmanów zostały zmasakrowane przez służby porządkowe wspierane przez kolonistów, którzy powołali oddziały milicji.

– To niemożliwe – mówił drżącym głosem mój stryj w piżamie człowieka obłożnie chorego. – Jak oni śmieli? Jak można masakrować lud, który jeszcze nie przestał opłakiwać swoich synów poległych za wyzwolenie Francji? Dlaczego wyrzynają nas jak bydło, kiedy tylko domagamy się swojej części wolności?

Nie posiadał się ze zdziwienia. Błady, z brzuchem przyrośniętym do krzyża, potykał się, krążąc w pantoflach po salonie.

W arabskiej stacji radiowej opowiadano o krwawych represjach, które spadły na muzułmanów w Kalimie, Charracie, Satifie, o zbiorowych grobach, w których rozkładały się szczątki tysięcy ludzi, o „polowaniach na Araba” na polach i w sadach, o szczuciu brytanami i linczach na rynku. Wieści były tak straszne, że ani ja, ani stryj nie mieliśmy sił, aby się przyłączyć do pokojowego marszu, który przeszedł główną ulicą Río Salado.

Stryj w końcu się ugiął pod brzemieniem nieszczęść, które okryły żalobą lud muzułmański. Pewnego wieczoru chwycił się ręką za serce i runął na twarz. Pani Scamaroni pomogła nam i zawiozła go swoim samochodem do szpitala, gdzie o opiekę nad nim poprosiła znajomego lekarza. Na wszelki wypadek postanowiła zostać w poczekalni wraz z Germaine, która wpadała w coraz większą panikę. Późną nocą zjawili się Fabrice i Jean-Christophe, by dotrzymać nam towarzystwa, przyjechał też Simon, który w tym celu pożyczył od kuzyna motocykl.

– Pani mąż miał atak serca – poinformował lekarz. – Nie odzyskał przytomności.

– Wyjdzie z tego, panie doktorze?

– Zrobiliśmy co trzeba. Reszta zależy od niego.

Germaine nie wiedziała, co powiedzieć. Nie odzywała się, odkąd jej męża przyjęto do szpitala. Wodziła tylko wokoło rozbieranymi oczami w bladej jak ściana twarzy. Na złożonych rękach oparła brodę i przymknęła powieki, zagłębiając się w modlitwie.

Stryj odzyskał świadomość następnego dnia o świcie. Poprosił o wodę i zażądał, aby natychmiast odwieziono go do domu. Lekarz jednak zatrzymał go na kilkudniową obserwację i dopiero później zgodził się wypisać. Pani Scamaroni zaproponowała, że przyśle nam zaufaną pielęgniarkę, która podejmie się całodzienną opiekę nad naszym pacjentem. Germaine grzecznie odmówiła, zapewniła, że osobiście zajmie się mężem, i podziękowała jej za wszystko, co dla nas zrobiła.

Dwa dni później, kiedy siedziałem przy łóżku stryja, usłyszałem, że ktoś mnie woła z zewnątrz. Podeszedłem do okna i zobaczyłem za krzakiem kogoś skulonego, kto wyprostował się i kiwnął do mnie ręką. Był to Dżallul, osobisty sługa Andrégo.

Wyszedł z kryjówki w chwili, gdy dochodziłem do dróżki oddzielającej nasz dom od winnic.

– Mój Boże! – zawołałem.

Dżallul utykał. Twarz miał posiniaczoną, usta poranione, jedno oko podbite. Na koszuli widniały czerwone pasy, prawdopodobnie ślady po uderzeniach biczem.

– Kto cię tak urządził?

Dżallul najpierw rozejrzał się dokoła, jakby się bał, że ktoś nas usłyszy; potem patrząc mi w oczy, rzucił jedno tylko słowo, które spadło niczym gilotyna:

– André.

– Dlaczego? Co zrobiłeś?

Uśmiechnął się, tak dziwne wydało mu się moje pytanie.

– Dla niego nie muszę nic przeszkobać. Zawsze znajdzie jakiś pretekst, żeby mnie gnębić. Tym razem powodem były mużułmańskie zamieszki w górach. Teraz André nie ufa Arabom. Wczoraj wrócił z miasta pijany i złożył mi skórę.

Podciągnął koszulę i obrócił się, by pokazać mi rany na plecach. André nie żałował ręki.

Dżallul na powrót stanął twarzą do mnie, wcisnął poły koszuli w zakurzone spodnie, mocno pociągnął nosem i dodał:

– Powiedział, że to ku przestrodze, żebym sobie nie nabijał głowy fałszywymi ideami, a za to zakarbował raz na zawsze, że panem jest on i nie toleruje nieposłuszeństwa wśród swojej służby.

Dżallul oczekiwał czegoś, lecz nie mógł tego z siebie wydusić. Zdjął szasziję i zaczął ją gnieść w czarniawych dłoniach.

– Nie przyszedłem, żeby ci opowiadać o swoim życiu, Jonas. André mnie wyrzucił bez grosza. Nie mogę wrócić do domu z pustymi kieszeniami. Rodzina tylko dzięki mnie nie przymiera głodem.

– Ile potrzebujesz?

– Tyle, żeby przez trzy, cztery dni było w co zęby wbić.

– Wracam za minutkę.

Skoczyłem do swojego pokoju i wróciłem z dwoma banknotami pięćdziesięciofrankowymi. Dżallul wziął je bez pośpiechu i niezdecydowanie obracał w palcach.

– To za dużo. Nie dam rady zwrócić.

– Nie musisz zwracać.

Skrzywił się na moją hojność. Pokręcił głową, pomyślał, z zakłopotaniem ściągnął usta, po czym rzekł:

– W takim razie wystarczy połowa.

– Weź wszystko, naprawdę. Daję z serca.

– Nie wątpię, ale nie trzeba.

– Masz jakąś robotę na widoku?

Teraz jego usta rozciągnęły się w enigmatycznym uśmiechu.

– Nie, ale André nie może się beze mnie obejść. Przed końcem tygodnia każe mi wrócić. Nie znajdzie psa lepszego niż ja.

– Czemu jesteś wobec siebie taki surowy?

– Ty tego nie rozumiesz. Jesteś z n a s z y c h , ale żyjesz jak oni... Kiedy jest się jedynym żywicielem rodziny złożonej z na pół obłąkanej matki, ojca z amputowanymi obiema rękami, sześciorga rodzeństwa, babki, dwóch ciotek odprawionych z dziećmi przez mężów i wuja chorego przez okrągły rok, przestaje się być istotą ludzką. Jak z jednej strony grozi pies, a z drugiej szakal, słabsze zwierzę zawsze będzie wołało mieć pana.

Zdumiała mnie gwałtowność jego słów. Dżallul nie miał dwudziestu lat, niemniej emanowała od niego jakaś sekretna siła i dojrzałość, które robiły na mnie wrażenie. Tamtego dnia przestał być służalczym fagasem, jakiegośmy znali. Przedemną stał zupełnie inny chłopak. I co ciekawe, widziałem w nim to, czego nie dostrzegałem wcześniej. Twarz miał szeroką o wystających kościach policzkowych, spojrzenie niepokojące i trzymał się z godnością, o którą go nie podejrzewałem.

– Dzięki, Jonas – powiedział. – Oddam wszystko wcześniej czy później.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, powłócząc bolącą nogą.

– Zaczekaj! – zawołałem. – Nie zajdziesz daleko taki pokiereszowany.

– Tutaj jakoś się dowlokłem.

– Dowlokłeś się, ale to nie pomogło nodze... Gdzie dokładnie mieszkasz?

- To naprawdę niedaleko. Za wzgórzem dwóch marabutów. Poradzę sobie.
- Nie pozwolę, żebyś forsował nogę. Lecę po rower i zaraz wracam.
- No co ty, Jonas... Masz ważniejsze rzeczy na głowę niż odprowadzanie mnie.
- Czekaj tu!

Myślałem, że nie ma większej biedy niż ta, której zaznaliśmy w Jenane Jato; myliłem się. Nędza w osadzie, gdzie mieszkał Dżallul i jego rodzina, przechodziła wszelkie pojęcie. Osada składała się z dziesięciu obskurnych chat w załomie wyschniętej rzeki i z zagrody, w której pokutowało kilka wychudzonych kóz. Tak strasznie tam cuchnęło, że nie mogłem uwierzyć, iż ludzie mogą tam wytrzymać dłużej niż dwa dni z rzędu. Nie mogąc się przemóc, by wejść dalej, zatrzymałem rower na poboczu drogi i pomogłem Dżallulowi zsiąść. Wzgórze dwóch marabutów znajdowało się raptem kilkaset metrów od Río Salado, nie przypominałem sobie jednak, żebym się kiedykolwiek w swoich wędrówkach zapuścił w te okolice. Tych rejonów ludzie unikali. Jakby to była ziemia przeklęta. Obleciał mnie naraz strach, że jestem po drugiej stronie wzgórza, że nie wrócę stąd cały i zdrowy. Miałem pewność, że gdyby coś mi się przytrafiło, nikt by tutaj nie szukał, ponieważ w tym miejscu żadną miarą nie powinienem się znaleźć. Było to absurdalne, lecz strach mnie ogarnął duży, naprawdę rzeczywisty. Bałem się tej osady. I ten piekielny smród tak przypominający odór rozkładu!

- Chodź – powiedział Dżallul – przedstawię cię ojcu.
- Nie! – krzyknąłem przerażony zaproszeniem. – Muszę wracać do stryja. Jest bardzo chory.

W pyle bawiły się nagie dzieci z wydętymi brzuskami i nosami oblepionymi przez muchy – no właśnie, oprócz smrodu dokuczliwe tu było żarłoczne natrętne bzyczenie much; bez ustanku napępniało zepsute powietrze ponurą melodią, było niczym diabelski dech unoszący się nad ludzką nędzą starą jak świat i jak świat przygnębiającą. Pod glinianym murkiem, niedaleko śpiącej oślicy, drzemała z otwartymi ustami grupa starców. Jakiś człowiek chyba niespełna rozumu, wychudłe ręce wznosząc do nieba, przemawiał do drzewa-marabutu obwieszonego wotywnymi wstążkami i zastygłymi strużkami wosku. Poza tym nic; można by pomyśleć, że to osada opuszczona przez zdrowych, zostawiona niedorostkom i stojącym nad grobem.

Zwęszyła nas sfera psów i z ujadaniem rzuciła się na mnie. Dżallul odpędził je kamieniami. Kiedy zapadła cisza, odwrócił się w moją stronę i dziwnie uśmiechnął.

– Widzisz, Jonas, tak żyją nasi. Ci „nasi” to także twoi. Tyle że nie obracają się tam, gdzie ty wiesziesz słodkie życie... Co ci jest? Czemu nic nie mówisz? Jesteś zaszokowany? To ci się nie mieści w głowie, prawda?... Myślę, że teraz rozumiesz, czemu mówię o psie. Nawet zwierzęta by się sprzeciwiały takiemu upadkowi.

Byłem oszołomiony. Od smrodu wywracały mi się wnętrzności, brzęczenie much świdrowało w głowie. Rzygać mi się chciało, bałem się jednak, że Dżallul źle to przyjmie.

A on śmiał się szyderczo, widząc, jak nieswojo się czuję.

Wskazał osadę.

– Popatrz na tę zapadłą dziurę. To nasze miejsce w tym kraju, w kraju naszych przodków. Przyjrzyj mu się dobrze, Jonas. Bóg nigdy tu nie zajrzał.

– Czemu mówisz takie straszne rzeczy?

– Bo tak myślę. Bo taka jest prawda.

Strach we mnie jeszcze wzrósł. Tym razem powodem był Dżallul, który patrzył ostrym wzrokiem szyderczo skrzywiony.

Wsiadłem na rower i zawróciłem.

– No właśnie, J u n u s. Obracaj się tyłem do prawdy swoich i pędź do przyjaciół... J u n u s ... Mam nadzieję, że jeszcze pamiętasz swoje imię... Hej, J u n u s ! Dzięki za forszę.

Obiecuję, że niedługo oddam. Świat się zmienia, nie zauważyłeś tego?

Jak szalony zacząłem pedałowac ścigany okrzykami Dżallula, które brzmiały w moich uszach niczym strzały wzywające do zatrzymania.

Dżallul miał słuszość. Następowaly zmiany, lecz dla mnie dokonywały się w jakimś świecie równoległym. Rozdarty między wiernością wobec przyjaciół i solidarnością z m o i m i, grałem na zwłokę. Było oczywiste, że po tym, co zaszło w wilai Konstantyna, i obudzeniu się świadomości wśród mas muzułmanów, wcześniej czy później będę musiał się opowiedzieć po którejś ze stron. A nawet gdybym sam nie chciał wybierać, wydarzenia w końcu zdecydują za mnie. Gniew narastał; wylał się z tajnych miejsc, gdzie odbywały się narady aktywistów, i rozprzestrzenił się na ulicach, rozrastał w obskurnych dzielnicach wykluczonych, zakradał do czarnych wiosek i odizolowanych osad.

W paczce Jeana-Christophe'a pozostawaliśmy poza tymi przemianami. Byliśmy młodymi mężczyznami, szczęśliwymi dwudziestolatkami, i chociaż puszek pod nosem nie był jeszcze dość gęsty, by zasługiwać na miano wąsów, wyraźnie podkreślał, że pilno nam do dorosłości i samodzielnego podejmowania decyzji. Nierozłączni jak zęby wideł, żyliśmy tylko dla siebie i we czterech tworzyliśmy własny świat.

Fabrice wygrał Narodowy Konkurs Poetycki. Pani Scamaroni zawiozła nas czterech do Algieru na ceremonię wręczenia nagród. Laureat był w siódmym niebie. Oprócz okazałej nagrody pieniężnej otrzymał także zapewnienie jurorów, że wyróżniony zbiorek zostanie opublikowany u Edmonda Charlota, liczącego się wydawcy algierskiego. Pani Scamaroni zafundowała nam pobyt w schludnym hoteliku niedaleko rue d'Isly. Po odebraniu nagrody, którą Fabrice'owi wręczył sam Max-Pol Fouchet, mama laureata zaprosiła nas na wystawny obiad z daniem głównym w postaci świeżych ryb i owoców morza w eleganckiej restauracji La Madrague. W drogę powrotną ruszyliśmy zaraz następnego dnia, spiesząc do ukochanego Río Salado, gdzie mer miał wydać przyjęcie na cześć cudownego syna miasteczka, na krótko przystanęliśmy w Orléansville, żeby coś przekąsić, i drugi raz w Perrigault, gdzie kupiliśmy zapas pomarańczy – najpiękniejszych na świecie.

Kilka miesięcy później Fabrice zabrał nas do księgarni w Lourmel, miasteczku kolonialnym niedaleko Río. Jego matka już tam była, ślicznie wyglądała w ciemnoczerwonym kostiumie. Miała też duży kapelusz z piór, w którym wyglądała bardzo nobliwie. Księgarz i życzliwie uśmiechnięci miejscowi notable stali w oficjalnych uroczystych postawach u szczytu dużego hebanowego stołu. Na blacie leżały stopy pachnących nowością książek świeżo wyjętych z kartonów. Nad pięknie wydrukowanym kursywą tytułem widniało na okładce: „Fabrice Scamaroni”.

– A niech mnie!... – zawołał Simon zawsze skory do błazeństw, byle naruszyć powagę ceremonii.

Po prezentacjach i przemowach Simon, Jean-Christophe i ja rzuciliśmy się na tomik poezji, zaczęliśmy go kartkować, pieścić, z upodobaniem obracać w rękach tak zachwyceni, że pani Scamaroni nie zdążyła zatrzymać palcem łezki, która spłynęła jej po policzku, znacząc go czarną smużką tuszu.

– Z ogromną przyjemnością przeczytałem pańskie dzieło – rzekł do Fabrice'a jakiś na oko sześćdziesięcioletni mężczyzna. – Ma pan prawdziwy talent i wszelkie szanse, aby uszlachetnić poezję, która zawsze była bliska duchowi naszego kochanego kraju.

Księgarz wręczył naszemu autorowi list gratulacyjny od samego Gabriela Audisia, założyciela pisma „Rivages”, zawierający także propozycję ciekawej współpracy.

Mer Río Salado obiecał otworzyć bibliotekę przy głównej ulicy, a Pepe Rucillio kupił całe sto egzemplarzy tomiku Fabrice'a i rozesłał znajomym w Oranie – podejrzewał, że wszyscy za

plecami mają go za kmiota wystrojonego świętalnie – aby im udowodnić, że w jego miasteczku mieszkają nie tylko nadziani zapijaczeni tępi winogradnicy.

Zima pewnego wieczoru odeszła na paluszkach, czyniąc miejsce wiośnie. Rankiem korona jaskółek ozdobiła przewody sieci elektrycznej, a ulice Río Salado zapachniały tysiącem woni. Stryj stopniowo ożywał. Odzyskał nieco kolorów i wrócił do części ulubionych zajęć: do pasji, jaką żywił dla książek. Pochłaniał je bez ustanku, łapczywie, zamykał powieść tylko po to, aby sięgnąć po esej. Czytał w obu językach, arabskim i francuskim, przechodził swobodnie od Al-Akkada do Flauberta. Nie opuszczał jeszcze domu na krok, lecz zaczął się codziennie golić i ubierać jak należy. Posiłki spożywał z nami w jadalni, czasem wymieniał jakieś grzeczności z Germaine. Jego wymagania już nie były takie wygórowane, nie wrzeszczał z byle powodu. Działał jak zegarek: wstawał z pierwszym brzaskiem, odmawiał poranne modły, punktualnie o siódmej zasiadał przy stole do śniadania, potem udawał się do gabinetu i czekał, aż przyniosę mu gazetę. Po przeczytaniu najświeższych wieści otwierał kołonoratniki, zamaczał obsadkę w kałamarzu i pisał do południa. O trzynastej pozwalał sobie na krótką sjęstę, następnie otwierał książkę i czytał do samego zmierzchu.

Pewnego dnia zaszedł do mojego pokoju.

– Musisz przeczytać tego autora. Nazywa się Małek Bennabi. Człowiek z niego nie za bardzo, ale to otwarta głowa.

Położył książkę na stoliku nocnym i czekał, aż wezmę ją do ręki; co też uczyniłem. Była to zaledwie stustronicowa książeczka zatytułowana „Warunki algierskiego odrodzenia”.

Zanim stryj wyszedł, powiedział jeszcze:

– Pamiętaj, co mówi Koran: „Kto zabija jedno życie, zabija cały świat.

Nie przyszedł później, aby zapytać, czy przeczytałem książkę Maleka Bennabiego, a tym bardziej wysłuchać, co o niej myślę. Przy stole zwracał się tylko do Germaine.

W domu zapanowała niejaka równowaga. Trudno mówić o radości, ale widok stryja poprawiającego krawat przed szafą z lustrem zdecydowanie podnosił na duchu. Liczyliśmy, że w końcu stryj się przemoże, przekroczy drzwi frontowe i wróci do świata żywych. Potrzebne mu były dźwięki ruchu ulicznego, wyjście do kawiarni czy chwila wytchnienia na ławce w parku. Germaine specjalnie otwierała szeroko przeszklone drzwi. Marzyła, że zobaczy, jak jej mąż poprawia fez, wygładza kamizelkę, zerka na zegarek kieszonkowy i spieszenie wychodzi na spotkanie z przyjaciółmi, by wymienić poglądy. Stryj wszakże bał się tłumu. Ogarniał go chorobliwy lęk przed obcymi i wpadłby w panikę, gdyby na jego drodze pojawili się ludzie. Bezpiecznie czuł się tylko w domu.

Germaine głęboko wierzyła, że jej mąż nadludzkim wysiłkiem całkowicie dojdzie do siebie.

Płonne to były nadzieje! Pewnej niedzieli, kiedy kończyliśmy jeść, stryj nagle walnął pięścią w stół i zmiotł ręką talerze i szklanki na podłogę. Wystraszyliśmy się, że to znów atak serca. Ale nie. Stryj wstał, przewracając krzesło, cofnął się pod ścianę i celując w nas palcem, krzyknął:

– Nikt nie ma prawa mnie osądzać!

Germaine popatrzyła zdumiona.

– Coś mu powiedziałeś? – zapytała.

– Nie.

Spojrzała na męża jak na obcego.

– Nikt cię nie osądza, Mahi.

Stryj jednak nie do nas mówił. Owszem, na nas patrzył, ale nie nas widział. Po chwili zmarszczył brwi, jakby się obudził z przykrego snu, postawił krzesło na miejscu, usiadł, oburącz objął głowę i znieruchomiał.

W nocy około trzeciej głośna wymiana zdań obudziła nas, Germaine i mnie. Stryj spierał się z

kimś w swoim gabinecie zamkniętym na klucz od środka. Zbiegłem na dół sprawdzić, czy drzwi wejściowe są otwarte, czy ktoś jest na ulicy. Drzwi były zamknięte, rygle zasunięte. Wróciłem na górę. Germaine próbowała podejrzeć, co się dzieje w gabinecie, lecz klucz w zamku to uniemożliwił.

Stryj nie posiadał się z gniewu.

– Nie jestem tchórzem! – krzyczał. – Nikogo nie zdradziłem, słyszysz? Nie patrz tak na mnie. Zabraniam ci kpić. Nikogo nie wydałem, nikogo, nikogo...

Drzwi gabinetu otwały się naraz. Stryj wyszedł pobladły ze złości, z pianą na ustach. Odepchnął nas, nie widząc, i pomaszerował do swojego pokoju.

Germaine pierwsza weszła do gabinetu, ja za nią... Nie było tam nikogo.

Zobaczyłem ponownie panią Cazenave na początku jesieni. Padało, w Ríó było beznadziejnie. Kawiarnie ze ściągniętymi z tarasów stolikami przypominały schroniska dla próżniaków. Pani Cazenave wciąż wyglądała eterycznie, jednakże serce nie skoczyło mi w piersi. Czy to deszcz łagodził namiętności, czy też szarżyzna odzierała z mitu wspomnienia? Nawet nie próbowałem tego dociekać. Przeszedłem na drugą stronę jezdni, żeby się z nią nie spotkać.

W Ríó Salado, które żyło tylko dzięki słońcu, jesień była martwą porą roku. Maski opadały jak liście z drzew, a miłości okazywały się denerwująco ostrożne. Ofiarą tego padł Jean-Christophe Lamy. Znalazł mnie u Fabrice'a, u którego czekaliśmy na powrót Simona z Oranu. Bez słowa usiadł na ławce na werandzie i pograżył się w czarnych myślach.

Simon Benyamin wrócił z niczym z Oranu, gdzie pojechał, aby się wykazać swoim talentem komika. Przeczytał bowiem w gazecie, że poszukuje się młodych humorystów, i uznał, że to jego życiowa szansa. Odpicował się jak na własny ślub i z ogłoszeniem w kieszeni wsiadł do pierwszego autobusu, który go powiózł ku sławie. Po nosie zwieszonym na kwintę poznaliśmy, że sprawy nie potoczyły się tak, jak Simon by sobie życzył.

– I co? – zagadnął Fabrice.

Simon w okropnym humorze padł na wiklinowe krzesło, krzyżując ręce na brzuchu.

– Co się stało?

– Nic – odparł krótko. – Nie dali mi cienia szansy, gnojki... Od początku czułem, że to nie mój dzień. Cztery godziny się wyczekałem za kulisami, zanim wszedłem na scenę. I tu pierwsze zaskoczenie: sala była puściuteńka. Tylko w pierwszym rzędzie siedział jakiś stary piernik z wysuszoną okularnicą, która wyglądała jak puszczyk. I potężny reflektor skierowany prosto na mnie. Czułem się jak na przesłuchaniu. „Słuchamy, panie Benyamin”, powiedział ten piernik. Przysięgam, jakbym usłyszał pradziada odzywającego się z grobu. Głos był lodowaty, beznamiętny, nawet pogrzeb by go nie wzruszył. Ledwie zacząłem, a już mi przerwał. „Czym się różni klaun od pajaca, panie Benyamin? – wyskrzypiał. – Ha, powiem panu. Klaun śmieszny, bo jest patetyczny i zabawny. Pajac śmieszny, bo jest żałosny”. I dał znak, żeby wpuścili następnego.

Fabrice siedział zgięty w pół.

– Dwie godziny zeszło, zanim się uspokoiłem w garderobie. Gdyby ten parszywy piernik przyszedł z przeprosinami, żywcem bym go pożarł... Szkoda, żeście nie widzieli tych dwojga w wielkiej pustej sali ziemistych jak umarlaki.

Jeana-Christophe'a zezłościł nasz śmiech.

– Co ci nie pasuje? – zapytał go Fabrice.

– Isabelle zaczyna mi działać na nerwy.

– Dopiero teraz? – zdziwił się Simon. – Wcześniej nic nie widziałeś?... Mówiłem, że to nie dla ciebie dziewczyna.

– Miłość jest ślepa – zauważył Fabrice filozoficznie.

– Miłość zaślepia – poprawił Simon.

– Poważnie? – zapytałm Jeana-Christophe’a.

– A co? Dalej cię interesuje? – Dziwnie popatrzył i dodał: – Między wami nigdy nie przestało na dobre iskrzyć, prawda, Jonas?... Cóż, mam powyżej uszu tej kretynki. Odpuszczam ci ją.

– Kto mówi, że Isabelle mnie obchodzi?

– Przecież ona ciebie kocha! – ryknął, waląc w stół.

Zapadła cisza. Fabrice i Simon patrzyli to na mnie, to na niego. Jean-Christophe naprawdę miał do mnie żal.

– Co ty gadasz? – zdumiałem się.

– Prawdę... Jak tylko usłyszysz, że jesteś w pobliżu, staje się nie do zniesienia. Rozgląda się za tobą i uspokaja, dopiero jak cię zlokalizuje... A gdybyś ją widział na ostatnim balu! Wisiała na moim ramieniu, a potem ty przyszedłeś i zaczęła się wydurniać, żeby zwrócić twoją uwagę. O mało nie dałem jej w twarz, żeby ją przywołać do porządku.

– Miłość zaślepia, Chris, a zazdrość wywołuje omamy – powiedziałem.

– Jestem zazdrosny, fakt, ale omamów nie mam.

– Hola! – wtrącił się Fabrice, który wyczuł wiszącą w powietrzu awanturę. – Chris, pamiętaj, Isabelle lubi manipulować ludźmi, którzy ją otaczają. Ona cię po prostu sprawdza. Gdyby cię nie kochała, dawno byś poszedł w odstawkę.

– Ja w każdym razie mam dość. Skoro wybranka mojego serca potrafi zerkać na innych nad moim ramieniem, najlepiej będzie, jak zniknę jej z widoku. A poza tym, szczerze mówiąc, chyba nie darzę jej silnym uczuciem.

Byłem zakłopotany. Pierwszy raz pojawiło się coś, co wprowadziło ferment w naszej paczce. Ku mojej wielkiej uldze Jean-Christophe wycelował we mnie palcem, mówiąc:

– Paf! Trafiłem, co? A ty dałeś się wpuścić.

Nikogo ten żart nie rozśmieszył. Byliśmy przekonani, że Jean-Christophe mówił poważnie.

Kiedy nazajutrz szedłem z Simonem ulicą w stronę placu, zauważyliśmy Isabelle pod rękę z Jeanem-Christopheem. Kierowali się do kina. Sam nie wiem, dlaczego skoczyłem do pierwszej lepszej bramy, żeby mnie nie zobaczyli. Simon się zdziwił, ale zrozumiał.

III
Emilie

André zaprosił całą młodzież Río Salado na otwarcie swojego baru.

Nikt się nie spodziewał, że syn Jaimego J. Sosy zajmie się czymś takim. Wyobrażano go sobie raczej jako wyprostowanego dziedzica w butach z cholewami i szpicrutą przy nodze, pokrzykującego kategorycznie i kopniakami uczącego moresu robotników sezonowych, żądnego Olimpu tylko dla siebie. Ale André jako właściciel knajpy, otwierający butelki z piwem... Oniemieliśmy. Prawda zaś była taka, że od powrotu ze Stanów Zjednoczonych, gdzie odbył zapierającą dech w piersiach podróż w towarzystwie swojego przyjaciela Joego, André się zmienił. Ameryka pozwoliła mu uświadomić sobie, że istnieje rzeczywistość, której nie z n a m y – z jakąś mistyczną żarliwością nazywał ją a m e r y k a n s k i m s n e m . Kiedy go pytano, co dokładnie rozumie przez „amerykański sen”, wydymał policzki, kołysał się i wykrzywiając usta, odpowiadał: żyć, jak się chce, choćby w tym celu trzeba odrzucić wszelkie tabu i konwenanse. André z pewnością miał jednoznaczne wyobrażenie tego, co próbował nam przekazać, tyle że jego umiejętności pedagogiczne pozostawiały wiele do życzenia. Dawano się natomiast zauważyć, że pragnie unowocześnić nasze nawyki prowincjuszy wychowanych w cieniu starszych. Gotowość na każde skinienie, kichanie wyłącznie wtedy, gdy na to pozwolono, wyłączenie tylko od święta ze swojej norki – dla Andrégo to było nie do przyjęcia. Wedle niego od werwy młodzieży zależy jakość społeczeństwa, które się odmładza dzięki jej świeżości i zuchwałości. U nas tymczasem młodzież była tylko miłą trzódką grzecznie uwiązaną do rytuałów minionej epoki, tradycji nie dających się pogodzić z triumfującą nowoczesnością, która bezwstydnie żądała ekstrawagancji i domagała się, by puszczać z dymem rodzinny dom albo zburzyć go do fundamentów – jak w Los Angeles, San Francisco czy Nowym Jorku, gdzie po zakończeniu wojny młodzi tępilili ile sił uświęcone przywiązanie do rodziców, aby się wyzwolić z jarzma rodziny i odlecieć na własnych skrzydłach, choćby jak Ikara czekał ich upadek.

André był przekonany, że wiatr zmienia kierunek i wieje teraz tam, gdzie Amerykanie nadają sens istotom i rzeczom. Dla niego pomyślność ojczyzny zasadzała się na jej pragnieniu, by dokonywać podbojów i rewolucji. A w Río Salado kolejne pokolenia następowały po sobie podobne jedne do drugich. Pilnie należało zatem zreformować ludzką mentalność. André nie znalazł lepszego punktu wyjścia jak snack-bar w stylu kalifornijskim, aby nas wyrwać z tego koszmarnego zacofania spowodowanego naszym gremialnym posłuszeństwem i pchnąć ciałem i duszą w szalony wir życia.

Bar mieścił się za piwnicą winną R. C. Krausa, na nieużytkach, gdzie w dzieciństwie grywaliśmy w piłkę, już poza miastem. Na żwirze pod parasolami ustawiono dwadzieścia stolików otoczonych białymi krzesłami. Na widok skrzynek wina i lemoniady, koszy owoców i rusztów przygotowanych w czterech rogach dziedzińca odetchnęliśmy nieco.

– Nażremy się do zrzygania – ucieszył się Simon.

Dżallul z paroma najętymi pomocnikami krzątali się przy stołach, nakrywając je obrusami, ustawiając karafki i popielniczki. André i jego kuzyn José w dumnej postawie tkwili na podeście przed wejściem, każdy w kowbojskim kapeluszu niedbale zsuniętym na tył głowy, w szerokim rozkroku, z kciukami założonymi za klamrę paska.

– Powinieneś sobie sprawić stado krów – rzucił Simon do Andrégo.

– Podoba ci się mój bar?

– Jak jest co jeść i pić...

– No to częstuj się i nie pyskuj mi tu.

Zszedł z podestu, żeby nas uściskać na powitanie, i korzystając z okazji, pomacał Simona w kroczu.

– Hola, tylko nie po klejnotach! – zaprotestował Simon, odsuwając się.

– Też mi skarb! Założę się, że nie dostałbyś za nie więcej niż za skrzywioną zasuwkę na bazarze – odpalił André, popychając naszą trójkę do baru.

– O co zakład?

– O co chcesz... O widzisz, będą tu dziś panny. Jeśli tylko jednej wpadniesz w oko, funduję pokój w hotelu. I to w Martinezie, proszę ja ciebie!

– Stoi!

– Dédé, z grubej rury walisz – przestrzegł José, dla którego kuzyn był uosobieniem prawości i odwagi. – Wystrzelony pocisk nie wraca.

Po czym świadom, że potracił najczulszą strunę w starszym krewniaku, usunął się, aby nas przepuścić.

André oprowadził nas po swojej „rewolucji”. Nie miała nic wspólnego z miejscowymi kawiarniami. W barze było dużo bardziej kolorowo, szerokie lustro, na którym odwzorowano z filigranu zjawiskową sylwetkę mostu Złote Wrota, zawieszono za ladą, a przed nią umieszczono wysokie tapicerowane stołki. Mosiężne półki uginały się pod butelkami i bibelotami, dobrano do nich ładne szyldy świetlne i praktyczne drobiazgi. Na ścianach wisiały wielkie portrety hollywoodzkich aktorów i aktorek. Z plafonier padało przyćmione światło na salę, którą zaciągnięte w oknach story pograżały w półmroku, rozmieszczone natomiast w kątach czerwone kinkiety pstrzyły poblizze krwawymi cieniami. Siedzenia przymocowano do podłogi i ustawiono równo jak ławki w pociągu przedzielone prostokątnym stolikiem, na którym można było podziwiać krajobrazy dzikiej Ameryki.

W przyległej sali na samym środku królował stół bilardowy. Żadna kawiarnia w Río czy w Lourmel nie była wyposażona w bilard. Stół, który André oddawał do dyspozycji klientów, był prawdziwym dziełem sztuki gustownie oświetlonym lampą zwisającą tak nisko, że niemal go dotykała.

André wziął kij, końcówkę potarł kawałkiem kredy, pochylił się nad stołem, poprawił ułożenie kija opartego na dłoni, wycelował w trójkąt kolorowych bil zebranych na środku zielonego sukna i z suchym stuknięciem uderzył w kule. Trójkąt się rozpadł, a bile potoczyły we wszystkich kierunkach, odbijając się od bandy.

– Od dzisiaj – oznajmił – ludzie nie będą się wybierali do baru tylko po to, żeby się zalać. Do mnie będą przychodzili przede wszystkim zagrać w bilard. I uwaga! To na dobry początek, bo jeszcze przed końcem miesiąca spodziewam się trzech następnych stołów. Zamierzam zorganizować mistrzostwa regionu.

José podał nam piwo i dla mnie wodę sodową, po czym zaproponował, żebyśmy usiedli przy stoliku na dziedzińcu, póki nie przybędą inni zaproszeni. Było około siedemnastej. Słońce z wolna kryło się za wzgórzami, pieszcząc winnice promieniami padającymi coraz niżej. Z dziedzińca nic nie przesłaniało widoku na równinę i drogę, która prowadziła prosto do pobliskiego Lourmel. U wjazdu do miasteczka z autobusu wysypywali się pasażerowie: przybywający z Oranu mieszkańcy Río i arabscy wieśniacy, którzy wracali z pracy na budowach w mieście – umordowani, każdy z tobołkiem pod pachą, szli na przełaj przez pola, by skrótami dotrzeć do ścieżki wiodącej do osady.

Dżallul poszedł za moim wzrokiem; kiedy ostatni robotnik znikł na końcu drogi, odwrócił się i utkwiał we mnie spojrzenie tak ostre, aż poczułem się nieswojo.

Klan Rucilliów opanował bar w chwili, gdy słońce się skryło za wzgórzami. Rucilliowie

przybyli w składzie: dwaj najmłodsi synowie Pepego, dwaj ich kuzyni oraz szwagier Antonio, piosenkarz w kabarecie w Sidi Balabbas. Na miejsce dotarli wielkim Citroënem prosto z fabryki i zaparkowali go u wjazdu na dziedziniec, tak aby wszyscy widzieli auto.

André powitał krewniaków poklepywaniem po plecach i hałaśliwym śmiechem bogatego paniska, po czym usadowił ich na najlepszych miejscach.

– Można być nadzianym i cuchnąć końskim łajnem w promieniu kilku mil – burczał Simon, któremu się nie spodobało, że Rucilliowie przeszli obok nas, nie witając się.

– Wiesz, jacy oni są – próbowałem go udobruchać.

– Mimo wszystko mogli powiedzieć głupie „dzień dobry”. Dużo by ich kosztowała taka prosta uprzejmość? Nie wypadliśmy sroce spod ogona. Ty jesteś farmaceutą, Fabrice poetą i dziennikarzem, a ja urzędnikiem.

Zanim się zupełnie ściemniło, dziedziniec zaroił się od promiennych dziewcząt i wystrojonych jak spod igły chłopców. Nieco starsze pary docierały w lśniących samochodach, panie w królewskich kreacjach, panowie w garniturach z muszką jak nóż przystawiony do gardła. André zaprosił całą śmietankę towarzyską Río oraz najzamożniejszych mieszkańców z okolicy. W mieniącym się barwami tłumie znalazł się dziedzic największej fortuny w Hammam Bu Hadzarze – jego ojciec miał własny samolot! – prowadząc wschodzącą gwiazdę żydowskiej piosenki z Oranu, którą tłum wielbieli obsypywał komplementami, ewentualnie kłębił się wokół niej, a to podając ogień zapalniczką, a to częstując papierosem.

Zapłonęły lampiony rozwieszane nad dziedzińcem. José zaklaskał, prosząc o ciszę; w gwarze najpierw zapanował zamęt, potem stopniowo wszystko zaczęło przycichać. André wszedł na podwyższenie, by podziękować gościom, że zechcieli przybyć na otwarcie jego baru. Zaczął od sprośnej anegdoty, która wprawiła w zakłopotanie publikę nawykłą do powściągliwości, wyraził ubolewanie, że zgromadzeni nie mają dość ikry, by zachęcić go do dalszej przemowy w tym samym tonie, skrócił swój spicz i ustąpił miejsca zespołowi muzycznemu.

Wieczór zaczął się koncertem muzyki dotąd u nas nieznannej, bazującej na trąbkach i basach, przez audytorium potraktowanej obojętnie.

– To jazz, do licha! – złościł się André. – Jak można nie reagować na jazz i nie uchodzić za troglodytę?

Jazzmani w końcu pogodzili się z faktami: Río Salado leżało od Oranu w odległości raptem około sześćdziesięciu kilometrów, lecz dystans dzielący mentalność mieszkańców obu miast zapierał dech w piersiach. Jako profesjonaliści, grali dalej bez odzewu, po czym w charakterze finału wykonali kawałek, który pośród powszechnej obojętności zabrzmiał niczym anatema.

Nikt nie zauważył, kiedy zeszli z estrady.

André liczył się z możliwością tej klęski; miał jednak nadzieję, że goście wykażą się choćby na oko dobrymi manierami wobec zespołu jazzowego cieszącego się największym wzięciem w kraju. Widzieliśmy, jak żarliwie przeproszał trębacz, który obrażony chyba się zaklinał, że jego noga więcej nie postanie w dziurze pod względem kulturalnym zamkniętej jak zagroda dla bydła.

Kiedy to wszystko się działo za kulisami, José zaprosił drugi zespół – tym razem miejscowy – by zajął miejsce na estradzie. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ledwie rozbrzmiały pierwsze takty, przez publikę przeszedł okrzyk ulgi i na parkiet zaraz się wylała fala tancerzy rzucających dziarsko biodrami.

Fabrice Scamaroni zwrócił się do siostrzenicy mera z uprzejmym pytaniem, czy zechce z nim zatańczyć, i zaraz lekkim krokiem poprowadził ją na parkiet. Ja natomiast najpierw otrzymałem uprzejmą odmowę od jakiejś panny skamieniałej z nieśmiałości, potem zaś przekonałem jej towarzyszkę, aby przyjęła mnie jako swego partnera. Simon tymczasem bujał w obłokach. Wsparłszy puciołowate policzki na dłoniach, widział tylko ogołocony stół na skraju dziedzińca.

Kiedy orkiestra zarządziła przerwę, odprowadziłem partnerkę i poszedłem na swoje miejsce. Simon nie zwrócił na mnie uwagi. Z twarzą ciągle opartą na rękach, czołem pogodnym, uśmiechał się lekko. Pomachałem mu przed oczami; nie zareagował. Powiodłem za jego spojrzeniem i... zobaczyłem ją.

Siedziała sama przy stoliku na uboczu – nakrytym z opóźnieniem, ponieważ nie miał ani obrusu, ani sztućców – zasłanianym chwilami przez rytmicznie podskakujących tancerzy... Pojąłem, dlaczego Simon zachowuje się tak spokojnie, chociaż każdą zabawę próbował przekształcić w cyrk; dziewczyna była tak piękna, aż dech zapierało!

Ubrana w mlecznobiałą dopasowaną sukienkę, z czarnymi włosami spiętymi w kok, uśmiechem leciutkim jak obłoczek dymu, niewidzącym wzrokiem patrzyła na tańczących. Wydawała się pogrążona w myślach z brodą delikatnie opartą na czubkach dłoni obleczonych w białe rękawiczki do łokcia. Od czasu do czasu znikła za cieniami, które się wokół wyginały na wszystkie strony, po czym znowu się pojawiała w całej okazałości, zjawiskowa jak nimfa wychodząca z jeziora.

– Prawda, że jest nadzwyczajna? – wytchnął Simon urzeczony.

– Cudowna!

– Popatrz tylko na te tajemnicze oczy. Głowę daję, że są czarne jak jej włosy. A nos! Spójrz na nos! Istna odrobina wieczności!

– No to startuj do niej, chłopie!

– A usta, Jonas... Widzisz ten różany pączek, który ma zamiast ust? Jak ona w ogóle je?

– Uważaj, Simon, zaczynasz bredzić. Wróć na ziemię, stary.

– Po co?

– W chmurach trafiają się dziury powietrzne.

– Gwiżdżę na to. Dla takiego cudu nie żal potłuc sobie pysk.

– I później jak się będziesz zalecał, co?

Nareszcie oderwał wzrok od niej i przeniósł go na mnie z twarzą ściągniętą smutkiem.

– Dobrze wiesz, że nie mam szans.

Powiedział to głosem tak zgnębionym, że ścisnęło mi się serce.

Zaraz jednak wziął się w garść.

– Myślisz, że ona jest z Río?

– Dawno byśmy ją zauważyli.

Simon się uśmiechnął.

– Słusznie. Dawno byśmy ją zauważyli.

Dziwne, ale obaj wstrzymaliśmy oddech i wyprostowali się, kiedy jakiś młodzian podszedł do samotnej dziewczyny i poprosił ją do tańca. Jakaż była nasza ulga, gdy uprzejmie odmówiła!

Fabrice wrócił z parkietu zlany potem, usiadł na swoim miejscu i ocierając twarz chusteczką, nachylił się do nas.

– Widzieliście tę samotną piękność po prawej, na końcu dziedzińca? – szepnął.

– Mowa! – prychnął Simon. – Zdaje się, że wszyscy tutaj widzą tylko ją.

– Dała mi kosza – wyznał Fabrice. – Moja partnerka omal mi oczu nie wydrapała, jak zauważyła, że się gapię na tamtą... Domyślcie się, kto to jest?

– Na pewno jakaś miastowa w odwiedzinach u krewnych – powiedziałem. – Sądząc po tym, jak się ubiera i nosi, to dziewczyna z miasta. Nigdy nie widziałem, żeby dziewczyny od nas tak siedziały przy stole.

Wtem nieznajoma popatrzyła na nas i wszyscy trzej zastygliśmy, jakby nas przyłapała z ręką w swojej torebce. Uśmiechnęła się szerzej, a medalion zdobiący jej dekolt zabłysł niczym latarnia u kresu nocy.

– Jest niesamowita – przyznał Jean-Christophe, który się zjawił nie wiadomo skąd.

Odwrócił wolne krzesło oparciem do przodu i usiadł na nim okrakiem.

– Wreszcie jesteś – rzekł Fabrice. – Gdzieś się podziewał?

– A jak myślisz?

– Znowu się posprzeczałeś z Isabelle?

– Powiedzmy, że tym razem posłałem ją do diabła. Wyobraźcie sobie, że nie mogła się zdecydować, jaką biżuterię nałożyć. Czekałem w salonie, czekałem w sieni, czekałem na podwórku, a jaśnie pani ciągle nie mogła wybrać błyskotek.

– I zostawiłeś ją w domu? – spytał Simon niedowierzająco.

– A co?

Simon wstał, strzelił obcasami i przyłożył rękę do czoła, salutując.

– Czapki z głów, panowie! Puściłeś w trąbę tę nadętą kretynekę i z tego tytułu masz mój szacunek. Jestem z ciebie dumny.

Jean-Christophe pociągnął Simona za rękę, zmuszając go, by usiadł.

– Zaslaniaasz mi gwóźdź programu, tłuściochu – powiedział, mając na myśli nieznaną. – Kto to?

– Idź i sam spytaj.

– Przy tyłu Rucilliach w pobliżu? Jestem lekkomyślny, ale nie głupi.

Fabrice zmiął serwetkę, odetchnął głęboko i odsunął się z krzesłem.

– No dobra, ja pójdę.

Nie zdążył odejść od stołu. Przed bramę zajechał samochód. Dziewczyna wstała i poszła do niego. Patrzyliśmy, jak zajmuje miejsce koło kierowcy, i całą czwórką drgnęliśmy, kiedy zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Wiem, że nie mam żadnych szans – odezwał się Simon – ale kurde, naprawdę warto spróbować. Jutro skoro świt obejdę ze swoim butem wszystkie dziewczyny w miasteczku, żeby znaleźć tę, która nosi taki sam rozmiar.

Ryknęliśmy śmiechem.

Simon wziął ze stołu łyżeczkę i machinalnie zaczął mieszać kawę. Robił to po raz trzeci, a kawy dotąd nie tknął. Siedzieliśmy na tarasie kawiarni przy rynku, korzystając z ładnej pogody. Niebo było czyściutkie, marcowe słońce zalewało ulicę wysrebrzonymi promieniami. Ani jedno tchnienie wiatru nie poruszało liśćmi drzew. W porannej ciszy, ledwie mąconej szmerem miejskiej fontanny albo urywanym poskrzypywaniem wozu, miasteczko wsłuchiwało się w siebie.

Z wysoko zakasаныmi rękawami koszuli mer nadzorował grupę pracowników magistratu, którzy malowali na biało-czerwono brzegi chodników. Przed kościołem ksiądz pomagał woźnicy wyładować worki z węglem, które jakiś wyrostek układał pod ścianą dziedzińca wewnętrznego. Po drugiej stronie rynku gospodynie gawędziły przy straganie handlarza warzywami na oczach rozbawionego Brunona, policjanta, który ledwie zdążył dorosnąć.

Simon odłożył łyżeczkę.

– Nie zmrzyłem oka od tamtego wieczoru w barze – powiedział.

– Z powodu tej dziewczyny?

– Niczego nie da się przed tobą ukryć... Strasznie mnie do niej ciągnie.

– Poważnie?

– Jak by ci to powiedzieć?... Nigdy nie czułem tego, co czuję do tej czarnulki o tajemniczym spojrzeniu.

– Trafiłeś na jej ślad?

– Gdzie tam! Zaraz następnego dnia zacząłem poszukiwania. Problem w tym, że nie ja jeden, jak szybko zauważyłem. Nawet ten jeleni José o nią wypytuje. Zdajesz sobie sprawę? Już nawet pomarzyć sobie nie można o kawałku ładnego ciała, żeby gromada kretynów nie siedziała ci na karku.

Przegonił niewidoczną muchę; z jego gestu biła zimna niechęć. Znowu ujął łyżeczkę i zaczął mieszać kawę.

– Ach! gdybym miał twoje niebieskie oczy, Jonas, i tę buzię anioła!...

– To co byś zrobił?

– Spróbowałbym, kurde! Popatrz tylko na moją mordę i na ten brzuchol, który mi podryguje na kolanach jak galareta, i na krótkie nogi, na których nie potrafię nawet prosto stawiać kroków, i na platfus...

– Dziewczyny nie patrzą tylko na wygląd...

– Może, ale tak się składa, że nic innego nie mogę zaproponować. Nie mam winnic, nie mam piwnic ani konta w banku.

– Masz inne zalety. Poczucie humoru na przykład. Dziewczyny bardzo lubią, jak się je rozśmiesza. Poza tym przyzwoity z ciebie gość. Nie chlasz, nie oszukujesz... A to też się liczy.

Simon machnięciem zbył moje argumenty.

Po długiej chwili milczenia skrzywił usta na znak zakłopotania i wyszeptał:

– Myślisz, że miłość jest ważniejsza od przyjaźni?

– A dokładniej?

– Przedwczoraj widziałem, jak Fabrice się zalecał do naszej damy... Przysięgam, że to prawda. Widziałem go jak ciebie teraz niedaleko piwnicy Cordony. Nie wyglądało mi to na przypadkowe spotkanie. Fabrice stał oparty o samochód swojej matki, ręce skrzyżował na piersi, był bardzo swobodny... A dziewczynie się nie bardzo paliło wracać do domu.

– Fabrice to ulubieniec Río. Ludzie stale go zatrzymują na ulicy. I dziewczęta, i chłopaki. Starsi też. To normalne, jest n a s z y m poetą.

– No, tylko że inne wrażenie odniosłem, widząc ich razem. Dam głowę, że to nie była zwykła pogaducha bez przyszłości.

– Hej! kmioty! – zawołał do nas André, zatrzymując samochód przy chodniku po drugiej stronie. – A wy czemu nie w moim barze? Trzeba zgłębiać tajemnice bilardu.

– Czekamy na Fabrice'a.

– Przyjdziecie?

– Niedługo.

– Słowo?

– Słowo.

André przytknął dwa palce do skroni i ruszył z piskiem opon, od którego zjeżyła się sierść staremu psu zwiniętemu w drzwiach pobliskiego sklepiku.

Simon chwycił mnie końcami palców.

– Nie zapomniałem, jak ty i Chris starliście się z powodu Isabelle. Nie chcę, żeby tak samo było ze mną i z Fabrice'em. Nasza przyjaźń jest dla mnie najważniejsza.

– Nie ma co uprzedzać faktów.

– Wystarczy, że pomyślę, a wstyd mi za to, co czuję do tej dziewczyny.

– Nie trzeba się wstydzic uczuć, kiedy są piękne, nawet jeżeli wydają nam się niesłuszne.

– Naprawdę tak uważasz?

– W miłości wszyscy mają równe szanse i każdy powinien próbować.

– Myślisz, że mam jakąś szansę? Fabrice jest bogaty i sławny.

– Myślisz, myślisz, myślisz... Tylko to powtarzasz. Chcesz wiedzieć, co myślę? Tchórz z

ciebie. Wyczyniasz korowody i uważasz, że to jakoś posuwa sprawy do przodu... A w ogóle zmienmy temat. O, Fabrice idzie.

U Andrégo był tłum ludzi i gwar przeszkadzał nam się delektować ślimakami w pikantnym sosie. No i był Simon. Zdecydowanie nie w humorze. Parę razy czułem, że już-już chce się otworzyć przed Fabrice'em, ale rezygnował, otworzywszy usta. Fabrice niczego nie był świadom. Wyjął notes i mrużąc oczy, gryzmołił wiersz, co rusz robiąc skreślenia. Blond grzywka kołysała mu się przed nosem, przypominając barierę postawioną między myślami jego i Simona.

André przyszedł sprawdzić, czy niczego nam nie brakuje. Pochylił się nad ramieniem naszego poety, by podglądnać, co pisze.

– No proszę cię! – obruszył się Fabrice zirytowany.

– Wiersz miłosny!... A można wiedzieć, któż to zawrócił ci w głowie?

Fabrice zamknął notes, położył na nim obie ręce i zmierzył wzrokiem Andrégo, który prychnął:

– Mam rozumieć, że rzucam cię na twoje liryczne uniesienia?

– Przeszkadzasz mi po prostu – huknął Simon. – Najlepiej zmyj się stąd.

André zsunął kapelusz kowbojski na tył głowy, oparł ręce na biodrach.

– A ty co? Szalejuś się dzisiaj najadł? Co ci odbiło, żeby mnie odganiać?

– Widzisz przecież, że ma natchnienie.

– Zawracanie gitary!... Nie pięknymi słówkami trafia się do serca panny. Dowód? Dość, że strzelę palcami, a każda na mnie polecie.

Grubiaństwo Andrégo rozsierdziło Fabrice'a, który zgarnął notes i wyszedł z baru zamaszystym krokiem.

Zdziwiony André patrzył za nim, po czym zwrócił się do nas:

– Nic nie powiedziałem... Co go ugryzło? Uczulony na moje żarty czy jak?

Zaskoczyło nas nagłe odejście Fabrice'a. Nie miał zwyczaju trzaskać komuś drzwiami przed nosem. Z naszej czwórki on był najlepiej wychowany i najmniej drażliwy.

– To mogą być skutki uboczne miłości – z goryczą rzekł Simon.

Właśnie zrozumiał, że faktycznie między przyjacielem a jego „marzeniem o tajemniczym spojrzeniu” jest coś więcej niż tylko pogaducha bez przyszłości.

Wieczorem Jean-Christophe zaprosił nas do siebie. Miał nam powiedzieć coś ważnego i potrzebował naszej rady Zgromadził nas, Fabrice'a, Simona i mnie, w pracowni swojego ojca, komórce na parterze starego rodzinnego gniazda, i kiedy już napiliśmy się soku owocowego, przegryzając chrupkami ziemniaczanymi, oznajmił:

– No więc... zerwałem z Isabelle!

Spodziewaliśmy się, że Simon podskoczy pod sufit podekscytowany taką wieścią; nic z tego.

– Myślicie, że zrobiłem głupstwo?

Fabrice oparł brodę na ręce, aby się zastanowić.

– Co się stało? – spytałem sam zaskoczony, że się odezwałem, poprzysięgłem sobie bowiem, że nie będę się więcej mieszał w ich historię.

Jean-Christophe tylko czekał na pretekst, aby wylać swoje żale. Rozłożył ręce na znak wątpienia.

– Ona jest za bardzo skomplikowana. Wiecznie szuka dziury w całym, stale mnie poucza, przypomina mi, że pochodzę z ubogiej rodziny i to ona ciągnie mnie w górę... Tyle razy się odgrażałem, że ją rzucę! „Akurat!” – odpowiadała zawsze... I dzisiaj miarka się przebrała. O mało mnie nie pobiła. Na oczach wszystkich! Tylko dlatego, że popatrzyłem na tamtą dziewczynę, jak wychodziła ze sklepu...

Przez pracownię przeszedł delikatnusiutki wstrząs podziemny; zadrżał od niego stół, przy którym siedzieliśmy. Zobaczyłem, że Fabrice'owi grdyka lata jak oszaląca, a palce Simona zbiegły w knykciach.

– Co jest? – zagadnął Jean-Christophe zaniepokojony ołowianą ciszą, która zwała się na pokój.

Simon zerknął ukradkiem na Fabrice'a, który odkaslnął, zasłaniając usta zwiniętą dłonią, wbił wzrok w oczy Jeana-Christophe'a i zapytał:

– Isabelle nasza cię z tą dziewczyną?

– Gdzie tam! Zobaczyłem ją pierwszy raz od tamtego wieczoru. Odprowadzałem Isabelle do krawcowej, a panna wychodziła z drogerii.

Fabrice'owi ulżyło. Swobodnie rzekł:

– Wiesz, Chris, tutaj nikt nie jest w stanie ci podpowiedzieć, co powinieneś zrobić. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi, ale nie bardzo wiemy, jak właściwie wygląda ten wasz związek. Stale obwieszczasz, że ją rzucisz, a na drugi dzień znów jesteście razem. W końcu przestaje się w coś takiego wierzyć. Poza tym to dotyczy tylko was. Wasza sprawa i sami ją między sobą załatwiającie. Od lat chodzicie ze sobą, jeszcze od szkoły. Ty najlepiej wiesz, jak naprawdę rzeczy się mają i jaką decyzję należy podjąć.

– No właśnie, chodzimy ze sobą od szkoły i przysięgam, nijak nie potrafię wyświecić, gdzie jest moja część szczęścia w całej tej historii. Isabelle jakby zawładnęła moją duszą. I chociaż ma wredny charakter i maniery kaprala, czasami... to dziwne... czasami myślę sobie, że nie jestem w stanie obejść się bez niej... Przysięgam, że to prawda. Czasami ot tak wszystkie jej cholerne wady pięknieją w moich oczach i ze zdziwieniem stwierdzam, że uwielbiam ją dosłownie jak wariat.

– Zapomnij o tej kretynce – rzekł Simon z błyskiem w oku. – Ona nie jest dla ciebie. Do końca swoich dni będziesz przez nią chronicznie cierpieć. Taki przystojniak jak ty nie powinien sobie zawiązywać życia... Poza tym, szczerze mówiąc, zaczynają mnie wkurzać te wasze sercowe perypetie.

Po czym wstał – jak rano u Andrégo wstał Fabrice – i wyszedł, burcząc coś pod nosem.

– Powiedziałem coś głupiego? – zdziwił się Jean-Christophe.

– Ostatnio jest coś nieswój – wyjaśnił Fabrice.

– Co się z nim właściwie dzieje, Jonas? – spytał Jean-Christophe. – Stale z nim przesiadujesz. Co się z nim dzieje?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Simon był w dołku. Frustracja brała w nim górę nad pogodą ducha, uwierała go niczym ciasny but. Kompleksy skrywane dotąd pod pokładami głupich dowcipów wychodziły na powierzchnię. Fakty, których do siebie nie dopuszczał, autoironia, za którą się chował, by nie ryzykować zranienia, i w ogóle wszelkie drobiazgi, które potajemnie zatruwały mu życie – za duży brzuch, za krótkie nogi czy wreszcie szanse na wpadnięcie jakiejś dziewczynie w oko mizerne, wręcz zakrawające na kpiny – sprawiały, że nie mógł znieść swojego wyglądu. Kompletnie wytrąciło go z równowagi wtargnięcie tej brunetki w życie, mimo że ciągle pozostawała na jego peryferiach.

Nasze drogi przypadkiem się skrzyżowały tydzień później. Szedł na pocztę, by odebrać jakieś formularze, i nie widział przeszkód, abym mu towarzyszył. Następstwa zawodu miłosnego miał wypisane na twarzy; mroczne spojrzenie wyrażało żal do całego świata.

Pół drogi przeszliśmy w milczeniu jak dwa chińskie cienie przemykające po murach. Po

odebraniu dokumentów Simon nie bardzo wiedział, co zrobić z resztą dnia. Był nieco zagubiony. Wychodząc z poczty, dosłownie wpadliśmy na Fabrice'a. Nie był sam... Była z nim ona – trzymała go pod rękę. Ich widok, jego w tweedowym garniturze i jej w szerokiej plisowanej sukience, poruszył nas mocno. W ułamku sekundy z twarzy Simona zniknęło rozgoryczenie... Jakże bowiem nie ustąpić wobec oczywistej prawdy? Razem byli tacy piękni!

Fabrice skwapliwie nas przedstawił:

– To Simon i Jonas, o których pani mówiłem. Moi najbliżsi przyjaciele.

Dziewczyna zdawała się jeszcze piękniejsza teraz, gdy światło dnia wydobywało wszelkie jej walory. Nie była z krwi i kości; ona była plamą słońca.

– Simonie, Jonasiu, poznajcie Emilie, córkę pani Cazenave.

Zimny dreszcz przebiegł mi po całym ciele.

Niezdolni wykrztusić ani słowa, choć każdy z innych przyczyn, uśmiechnęliśmy się tylko z Simonem.

Kiedyśmy oprzytomnieli, ich już nie było.

Dobrą chwilę tkwiliśmy oniemiałymi na chodniku przed pocztą. Jakże mieć do nich pretensje? Jakże podważać tak idealne dopasowanie, nie dowodząc własnego prostactwa czy wręcz niewiarygodnej głupoty?

Simon musiał dać za wygraną – co uczynił z klasą.

Wiosna coraz bardziej się panoszyła. Wzgórza pokryte pierwszą traw skrzyły się o świtanu jak morze rosy. Człowieka nachodziło pragnienie, by skoczyć do niego na główkę, pływać w trawie do utraty sił, później zaś położyć się pod drzewem i marzyć kolejno o wszystkich pięknych rzeczach, które Pan Bóg czyni. Działo to oszołamiająco. Każdy poranek był genialny; każda chwila skradziona, czasowi dostarczała nam strzępek wieczności. Rozsłonecznione Río było jak raj. Gdziekolwiek położyło się rękę, zbierało się marzenie; nigdzie indziej moja dusza nie była tak blisko harmonii. Wieści ze świata docierały do nas pozbawione kakofonii mogącej zakłócić terapeutyczny szum naszych winnic. Wiedzieliśmy, że sytuacja w kraju się zaognia, że na nizinach społecznych tli się gniew; ale w naszym miasteczku nikt o to nie dbał. Ludzie wznosili wokół swojego szczęścia niezdojane szańce i w żadnym razie nie zamierzali wybijać w nich okien. Nikt nie chciał widzieć nic prócz własnego pięknego odbicia w lustrze, do którego puszczał oko, zanim się udał do warzywnika, by całymi kosztami zbierać słoneczniki.

Nikom do niczego się nie paliło. Winnice obiecywały dobre wino, huczne bale i mocno zakrapiane śluby. Niebo wciąż wisiało nieskazitelnie błękitne i nie było mowy, by skały je zgromadzone gdzie indziej czarne chmury. Po śniadaniu wychodziłem na balkon, aby przez jakieś pół godzinki, siedząc na bujanym fotelu, dla rozluźnienia pokontemplować zieleń wyściełającą równinę, przecinającą ją co kawałek ochrę spalonych pól i migotliwe miraży, które się wyłaniały w oddali. Widok był czarowny, spowity kosmicznym spokojem; wystarczyło, bym pozwolił oczom błądzić wedle woli, a zaraz przysypiałem. Ileż to razy Germaine zastawała mnie z głową na oparciu fotela i otwartymi ustami; odchodziła na palcach, abym się przypadkiem nie obudził.

W Río Salado ufnie czekaliśmy na lato. Wiedzieliśmy, że czas jest naszym sprzymierzeńcem, że niebawem winobranie i plaża dodadzą nam ducha, byśmy w pełni mogli korzystać z festynów i mocno zakrapianych homeryckich uczt. Już teraz w słodkim nierównym wykwitały flirty niczym kwiaty rankiem. Dziewczęta na ulicy podnosiły głos, ogniście powabne w lekkich sukienkach odsłaniających syrenie ramiona, głęboko wyciętych na opalonych plecach; chłopcy coraz bardziej roztargnieni siadywali na kawiarnianych tarasach i buchali ogniem jak zapałka, kiedy ktoś szperał w ich drobnych sekretach złożonych z westchnień i pełnych żaru snów.

Co wszakże u jednych powoduje szybsze bicie serca, innych chwyta za gardło: Jean-Christophe zerwał z Isabelle. W bramach o niczym innym nie rozprawiano, tylko o ich burzliwym związku. Mój biedny przyjaciel marniał w oczach. Zwykle na dworze bez problemu znajdował jakiś sposób, by zwrócić na siebie uwagę. Lubił zawołać na znajomego z drugiego końca ulicy, osłoniwszy usta rękami, na środku drogi zatrzymać kogoś jadącego samochodem albo donośnym krzykiem zamówić małe jasne, zanim doszedł do baru – narcystyczny i wszędobylski, dumny, że sam jeden stanowi pępek świata. I oto teraz nie mógł znieść spojrzenia ludzi, udawał, że nie słyszy, kiedy ktoś wołał go ze sklepu czy z chodnika po drugiej stronie. Najniewinniejszy uśmiech budził w nim niepokój; na wszystkie strony też roztrząsał każde usłyszane słowo, sprawdzając, czy aby nie skrywa jakiejś zabójczej insynuacji. Stał się popędliwy, zamknięty w sobie, na poły oszalały ze strapienia – martwiłem się o niego. Pewnego wieczoru najpierw się powalał za wzgórzem z dala od ludzkiego gadania, potem zaś poszedł do baru Andrégo i zalał się w trupa. Po paru butelkach nie mógł ustać na nogach. Kiedy José zaproponował, że odprowadzi go do domu, Jean-Christophe przywalił mu pięścią w twarz;

następnie złapał żelazny pręt i zaczął wyganiać klientów z sali. Kiedy został sam między pustymi stołami i ławkami, wspiął się na kontuar i oblał co się dało obfitym strumieniem moczu, wrzeszcząc, że tak utopi „gnojów, którzy będą pieprzyli głodne kawałki za moimi plecami”. Trzeba było niemało zachodu, by zająć go od tyłu, pozbawić pręta, obezwładnić, związać i odtransportować do domu na prowizorycznych noszach. Ten incydent wzbudził w Río wielkie oburzenie; czegoś takiego jeszcze tu nie widziano. *Chuszuma!* Wstyd! W algierskich miasteczkach czegoś takiego nie wybaczano. Człowiek miał prawo się ugiąć, potknąć, przewrócić i miał obowiązek stanąć na nogi, jeśli wszakże ktoś w ten sposób tak nisko upadał, automatycznie tracił szacunek innych i wraz z nim wszystko. Jean-Christophe rozumiał, że przesadził. Nie było mowy, żeby się po tym pokazał w miasteczku. Wylądował zatem w Oranie, gdzie wałkonął się, przesiadując w knajpach.

Simon natomiast pragmatycznie na powrót wziął swój los we własne ręce. Posada gryzpiórka przesiadującego w biurze zalatującym stęchlizną i nierozwiązane spory w końcu podziały mu na nerwy. Jego natura wesoła w żaden sposób nie przystawała do tego typu kariery. Nie bardzo widział siebie, jak przez całe życie grzebie się w papierach i wdycha zapach spleśniałych dokumentów i starych niedopałków. Nie dla niego był zawód nędznie opłacanego buchaltera żyjącego prawie jak w więzieniu. Nie miał do tego ani upodobania, ani dość stoicyzmu. Przez większość tygodnia chodził zły częściowo właśnie z powodu murów nudy, które ciasno go otaczały, sprowadzając jego obszar działania wyłącznie do powierzchni nieprzyjemnego w dotyku żółtawego arkusza. Simon dusił się w ciasnym biurze; nie zgadzał się upodobnić do swojego stolika, krzesła, metalowej szafy, nie zgadzał się na gwizdek wychodzić z tej klatki niczym zwierzę otepiałe z powodu bezruchu, na siłę przypominać sobie, że jest z krwi i kości i że może się tym wszystkim męczyć w przeciwieństwie do nieodgadnionych sprzętów dbających o jego niezadowolenie. Pewnego dnia po ostrej wymianie zdań z kierownikiem złożył wypowiedzenie i poprzysiągł sobie, że zajmie się interesami, sam sobie będzie szefem.

Odtąd niemal go nie widywałem.

Fabrice natomiast trochę mnie zaniedbywał, co się dobrze składało. Jego flirt z Emilie zdawał się przynosić owoce. Spotykali się codziennie za kościołem, a w niedziele patrzyłem z balkonu, jak spacerują wzdłuż winnic, czasem jeździli na rowerze – on w wydymającej się koszuli, ona z rozwianymi bujnymi włosami. Obserwowanie ich, jak wspinają się na wzgórze, oddalają od miasteczka i od ludzkiego gadania, było ucztą dla ducha, toteż często myślami szedłem z nimi.

Pewnego ranka zdarzył się cud. Właśnie robiłem porządki na półkach w naszej aptece, kiedy stryj miarowym krokiem zszedł po schodach, przebył duży pokój na parterze, minął mnie i w szlafroku... wymaszerował na ulicę. Germaine, która czujnie podążała za nim krok w krok, własnym oczom nie dowierzała. Stryj od lat z własnej woli ani razu nie opuścił domu. Teraz przystanął na podeście przed wejściem z rękami wciśniętymi w głębokie kieszenie szlafroka, w świetle dnia porozglądał się dokoła, zahaczył wzrokiem o winnice, po czym wpatrzył się we wzgórze daleko na horyzoncie.

– Piękny dzień! – powiedział i uśmiechnął się. Kąciki ust o mało mu nie popękały, tak bardzo skóra na wargach nie rozciągana w tym grymasie straciła elastyczność, i ujrzeliśmy na policzkach mnóstwo drobnych zmarszczek podobnych do koncentrycznych kręgów, które kamień wrzucony do wody wywołuje na jej powierzchni.

– Może ci przynieść krzesło? – zasugerowała Germaine wzruszona do łez.

– Po co?

– Żebyś posiedział w słońcu. Tu, pod oknem, postawię stolik i dzbanek z herbatą. Będiesz mógł popijać herbatę i obserwować przechodniów.

– Nie – odparł stryj – dziś nie chcę krzesła. Mam ochotę się przejść.

- W szlafroku?
- Gdyby to ode mnie zależało, poszedłbym nago – odpowiedział stryj, oddalając się. Prorok idący po wodzie tak by nas z Germaine nie zachwycił.

Stryj dotarł do drogi nadal z rękami w kieszeniach i wysoko podniesioną głową. Krok miał równy, niemal wojskowy. Skierował się ku niedużemu warzywnikowi, pochodził wśród drzew, zawrócił, po czym zapatrzywszy się chyba na lot spłoszonej przepiórki, ruszył za ptakiem i znikł wśród winnic. Trzymając się za ręce, siedzieliśmy z Germaine przed wejściem, dopóki nie przyszedł.

Kilka tygodni później kupiliśmy okazyjnie samochód, który osobiście przyprowadził nam Bertrand, siostrzeniec Germaine, teraz mechanik. Był to nieduży wóz w kolorze butelkowej zieleni, okrągły jak skorupa żółwia, z twardymi siedzeniami i kierownicą godną ciężarówki. Bertrand zaprosił mnie i Germaine do środka i przewiózł nas kawałek, by pokazać moc silnika. Czuliśmy się jak w czołgu. Później w Río z daleka poznawano nasz samochód. Jak tylko ludzie usłyszeli jego ryk, wołali: „Uwaga! nadciąga artyleria!” i ustawiali się na chodniku wzdłuż jezdni, salutując po wojskowemu.

André dobrowolnie się zaofiarował, że nauczy mnie prowadzić. Jeździliśmy po niezabudowanym terenie, ale i tak za każdy błąd wymyślał mi od najgorszych. Kilka razy tak się spieszyłem jego reprimendami, że o mało nie doszło do nieszczęścia. Kiedy umiałem okrążyć drzewo, nie kalecząc go, i ruszyć pod górkę tak, żeby silnik nie zgasł, André galopem wrócił do swojego baru zadowolony, że wyszedł z tego bez jednego zadrapania.

Pewnej niedzieli po mszy Simon zaproponował, żebyśmy się przejechali nad morze. Przeżył ciężki tydzień i potrzebował świeżego powietrza. Zdecydowaliśmy się na port w Buzdżarze i wyruszyliśmy wczesnym popołudniem.

- Gdzieś ty kupił tego gruchota? Z wojskowego demobilu?
- Fakt, za pięknie nie wygląda, ale wozi mnie, gdzie chcę, i dotąd w drodze nigdy nie nawalił.
- Uszy cię nie boją?... I kolebie nim jak dychawiczną łajbą.
- Można przywyknąć.

Simon opuścił szybę i wystawił twarz na wiatr. Zwiewane z czoła włosy odsłoniły początki łysiny. Naraz spostrzegłem, że przyjaciel posunął się w latach, i zerknąłem do lusterka wstecznego, by sprawdzić, c z y j a także się p o s t a r z a ł e m . Nie zwalniając, przejechaliśmy przez Lourmel i dalej gnaliśmy w kierunku wybrzeża. Czasami droga się pięła na szczyty wzgórz i wtedy niebo znajdowało się w zasięgu ręki. Była piękna pogoda, mijający kwiecień podarował nam dzień z powietrzem przejrzystym jak kryształ, isticie boskimi widokami i niezrównanym poczuciem błogości. Zawsze tak u nas było, kiedy wiosna się z nami żegnała; za punkt honoru stawiała sobie odejść w całej krasie. Sady zbierały siły pośród przedwczesnego grania cykad, nad zbiornikami wody roiły się muszki podobne do rozrzuconych garści złotego pyłu. Gdyby nie nędzne osady przycupnięte tu i ówdzie, można by myśleć, że jesteśmy w raj.

– Czy to nie bryka Scamaronich? – rzekł Simon, wskazując samochód ustawiony pod samotnym eukaliptusem w głębi makii.

Zaparkowałem na poboczu i zobaczyłem Fabrice'a z dwiema dziewczętami w trakcie pikniku. Zaintrygowany naszym przybyciem Fabrice wstał i wziął się pod boki, ostentacyjnie przyjmując postawę obronną.

- A nie mówiłem, że ma krótki wzrok? – szepnął Simon, otwierając drzwi, by wysiąść z auta.

Fabrice musiał podejść prawie sto metrów, zanim rozpoznał mój samochód. Z ulgą przystanął i kiwnął na nas.

- Spietrałeś się, co? – powiedział Simon, uściskawszy go mocno.
- A wy czego tu szukacie?

– Zwiedzamy kraj. Na pewno nie będziemy przeszkadzać?

– Nie przewidziałem dodatkowych nakryć, tylko w tym problem. Ale jeżeli wytrzymacie, jak my będziemy jedli placek z jabłkami, nie ma sprawy.

Dziewczęta poprawiły bluzki i obciągnęły spódnice na kolanach, by przy powitaniu prezentować się przyzwoicie. Emilie Cazenave obdarzyła nas życzliwym uśmiechem; druga dziewczyna spojrzała pytająco na Fabrice'a, który czym prędzej wyjaśnił:

– Jonas i Simon, moi najlepsi przyjaciele. – I przedstawił nam nieznaną: – H  l  ne Lef  vre, dziennikarka w „L'  cho d'Oran”. Pisze reportaż o naszym regionie.

H  l  ne wyciągnęła do nas pachnącą dłoń, Simon skwapliwie ją pochwycił.

C  rka pani Cazenave spojrzała na mnie czarnymi przenikliwymi oczyma, kt  re sprawiły,   e odwr  ciłem wzrok.

Fabrice poszedł do samochodu po matę plażow, kt  r rozł  żył na ziemi, abyśmy usiedli. Simon zaraz przykucnął przy koszu z wiktuami, pogrzebał w nim, znalazł kromkę chleba; nast  pnie scyzorykiem wyciągniętym z tylnej kieszeni spodni pokroił kiełbasę na plasterki. Dziewczyny zerknęły na siebie rozbawione jego bezceremonialnoci.

– Gdzie wsciwiwie jedziecie? – zapytał Fabrice.

– Do portu popatrzyc, jak rybacy wyładowuj poł  w – odparł Simon z wypchanymi policzkami. – A co ty porabiasz w tym zapadłym kacie z tak licznymi dziewczynami?

Emilie znowu popatrzyła znacząco. Czytała w moich mylach? Jeli tak, to czego si  dowiedziała? Czy matka powiedziała jej o mnie? Mo e Emilie wyczuła m  j zapach w pokoju matki, odkryła co, czego w por  nie zdżyłem usunc, lad nieodwzajemnionego pocałunku lub wspomnienie niedokończzonego ucisku? Czemu naraz odnosiłem wra enie,   e czyta we mnie jak w otwartej ksi dze? A jej oczy, m  j Bo e! jak e uwodzicielskie... Jak to robiły,   e wchłaniały moje oczy, zast powały je, przenikały ka d moją myl, wychwytywały najblzsze pytanie przemykajce mi przez głow ?... Ale chocia  tak były niedyskretne, nie mogłem nie przyznać,   e s szczytem Pi kna. Na jedno mgnienie zobaczyłem oczy jej matki w tamtym wielkim domu przy drodze do marabutu – oczy tak promienne,   e nie trzeba było zapalać wiatła, by jasno widziec w skrytoci naszego ducha, przejrzec najgł biej schowane saboci... Byłem poruszony.

– Wydaje mi si ,   e spotkaliśmy si  ju  kiedy, dawno temu.

– Nie sd , na pewno bym pani zapamiętał.

– Dziwne, pańska twarz nie jest mi obca – rzekła. I zaraz dodała: – Czym pan si  zajmuje w  yciu, panie Jonas?

Jej glos miał słodcz g rskiego  ródła. Wym wiła „panie Jonas” dokadnie tak samo jak jej matka, z naciskiem na „s”, i wywołała we mnie ten sam efekt, poruszyła te same struny...

– Marnieje w tej dziurze – wtrcił si  Simon zazdrosny,   e wzbudzam takie zainteresowanie w jego mił ci od pierwszego wejrzenia. – Ja prowad  interesy. Zał żyłem firmę import-eksport i za jakie dwa, trzy lata będe spał na forsie.

Emilie nie zwracała uwagi na dowcipkowanie Simona. Czulem na sobie spojrzenie jej czarnych jak węgiel oczu, zgadywałem,   e czeka na odpowiedz. Była tak pi kna,   e nie potrafiłem wytrzymac jej wzroku dlu ej ni  pi c sekund, nie oblewajc si  rumieńcem.

– Jestem farmaceut.

Kosmyk wlos w opadł jej na czoło; odgarnęła go wytwornym gestem, jakby uchylała zasłone, odsłaniajc sw urodę.

– Farmaceut gdzie?

– W R o.

Jaki blysk przemknł przez jej twarz, brwi si  uniosły wysoko. Kawałek ciasta, kt re trzymała w palcach, zламаł si . Jej zmieszanie nie umknęło Fabrice'owi, kt ry tak e si  spieszył i

czym prędzej nalał mi szklaneczkę wina.

– Przecież wiesz, że on nie pije – przypomniał mu Simon.

– Och, przepraszam bardzo.

Dziennikarka wzięła od niego szklanekę i podniosła do ust.

Emilie zaś nie odrywała ode mnie oczu.

Dwukrotnie zaszła do apteki. Za każdym razem tak robiłem, by Germaine była z nami. Niepokoiłem się tym, co odczytywałem we wzroku Emilie; nie zamierzałem wchodzić w paradę Fabrice'owi.

Zacząłem jej unikać, gdy telefonowała, kazałem mówić Germaine, że mnie nie ma i nie wie, kiedy wróć. Emilie zrozumiała w końcu, że bardzo źle odbieram jej zainteresowanie, że ten rodzaj znajomości, który ona proponuje, nie odpowiada mi. Ostatecznie przestała zawracać mi głowę.

Lato roku 1950 pojawiło się wraz z popisowym występem jarmarcznego siłacza. Na drogach roiło się od letników, plaże rozbrzmiewały radością. Simon przeprowadził swój pierwszy duży kontrakt i z tej okazji zafundował nam kolację w najszykowniejszej restauracji w Oranie. Tego wieczoru nasz wesołek przeszedł samego siebie. Znakomitym humorem zaraził całą salę, tak że panie naokoło aż podrygiwały z zadowolenia, ilekroć wznosił kieliszek, by wygłosić dowcipną tyradę. Wieczór był bardzo udany. Uczestniczył w nim Fabrice z Emilie i Jean-Christophe, który bez przerwy prosił Héléne do tańca. Jego widok, gdy po tylu tygodniach chandry bawił się na całego, tylko wzmagał frajdę odczuwaną z powodu przyjęcia. Znów byliśmy razem, nierozłączni jak zęby wideł, szczęśliwi, że z jednakim zapałem objawiamy radość życia. Wszystko byłoby świetne na tym najlepszym ze światów, gdyby nie ów niespodziewany, niepożądany, niestosowny gest, który omal nie zwałił mnie z nóg, kiedy dłoń Emilie wsunęła się pod stół i spoczęła na moim udzie. Zakrztusiłem się popijaną akurat wodą sodową i niewiele brakowało, a udusiłbym się na czworakach na podłodze – dobrze, że przyjaciele zaaplikowali mi walenie pięścią w plecy. Kiedy doszedłem do siebie, stwierdziłem, że spora część gości nachyla się nade mną; Simon wydał okrzyk ulgi, widząc, że przytrzymuję się nogi stołowej, aby się podnieść. A oczy Emilie nigdy nie były tak czarne jak wówczas w kredowobiałej twarzy.

Nazajutrz kilka minut po wyjściu stryja i Germaine – którym weszły w zwyczaj poranne spacerować pośród sadów – pani Cazenave zaskoczyła mnie w aptece. Choć widziałem ją pod światło, poznałem jej kształtną figurę, wyniosłą sylwetkę, charakterystyczną wyprostowaną postawę z wysoko uniesionym podbródkiem i ściągniętymi ramionami.

Przystanąła na moment w drzwiach, niewątpliwie pragnąc się upewnić, że jestem sam; po czym wypełniła pomieszczenie mieszaniną cieni i szelestów. Zapach jej perfum zdecydowanie przykrył apteczne wonie.

Miała na sobie szary kostiumik, który krępował ją niczym kaftan bezpieczeństwa, jakby wzbraniał jej zmysłowemu ciału wybiec nago na ulicę, oraz kapelusz ozdobiony bławatkami, nieznacznie nasunięty na chmurne oczy.

– Dzień dobry, panie Jonas.

– Witam panią.

Zdjęła okulary słoneczne... Magia nie podziałała. Stałem jak głaz. Ona była teraz tylko jedną z wielu klientek, ja zaś nie byłem już chłopcem gotowym mdleć, jeśli raczyła się uśmiechnąć. Odgadła to i skonfundowała się nieco, zaczęła bowiem bębnić palcami w dzielący nas kontuar.

– Czym mogę pani służyć?

Nie spodobał się jej mój obojętny ton.

W głębi jej oczu zamigotało światło.

Pani Cazenave zachowała spokój. Tylko kiedy narzucała swoje reguły, była w pełni sobą. Należała do osób, które starannie przygotowują swój ruch, wybierając miejsce i chwilę wkroczenia na scenę. Na ile ją znałem, spędziła pewnie noc na obmyślaniu każdego gestu, który wykona, i każdego słowa, które wypowie na spotkaniu ze mną, tyle że ona przygotowała się na rozmowę z chłopcem już nieistniejącym. Moja niewzruszoność zbijała ją z tropu. Na gwałt usiłowała swoje plany zweryfikować, oparła je wszakże na fałszywych danych, a improwizacja nie leżała w jej naturze.

Przygryzła zausznik okularów, aby ukryć drżenie warg. Wiele jednak nie zdołała zrobić. Drżenie ogarnęło również jej policzki, tak że cała twarz zdawała się jakby pokruszona niczym kawałek kredy.

W końcu się zdecydowała.

– Jeśli jest pan zajęty, przyjdę później – powiedziała.

Czy próbowała zyskać na czasie? A może teraz się wycofywała, by wrócić później z lepszą bronią?

– W tej chwili nie mam nic specjalnego do roboty. O co chodzi?

Jej niepewność jeszcze wzrosła. Czego się bała? Rozumiałem, że nie przysłała po lekarstwa, ale nie mogłem pojąć, skąd w niej takie wahanie.

– Jest pan w błędzie – rzekła, jakby czytała w moich myślach. – Jestem w pełni sił, nie wiem tylko, od czego zacząć.

– No to słucham...

– Bardzo pan arogancki... Pana zdaniem dlaczego tu jestem?

– Pewnie dowiem się od pani.

– A nie domyśla się pan?

– N i e .

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Jej pierś wzniosła się wysoko; pani Cazenave na kilka sekund wstrzymała oddech, po czym zebrała się na odwagę i jakby się bała, że jej przerwę lub że zabraknie jej powietrza, rzuciła szybko:

– Chodzi o Emilie.

I naraz sflaczała jak piłka z pęcherza, z której uszło raptem powietrze. Ujrzałem, że ścisnęło ją w gardle, potem konwulsyjnie przełknęła ślinę. Zrobiło jej się lżej, zrzuciła nieznośny ciężar, a równocześnie miała poczucie, że wykorzystała ostatnie rezerwy w bitwie, która nawet się jeszcze nie rozpoczęła.

– O Emilie, moją córkę – sprecyzowała.

– Rozumiem. Ale nie widzę związku.

– Proszę tak ze mną nie pogrywać, młodzieńcze. Wie pan doskonale, co mam na myśli... Jakiej natury jest pański związek z moją córką?

– Proszę pani, pomyliła pani osoby. Nie utrzymuję kontaktów z pani córką.

Zgięła w palcach zausznik okularów, nie zdając sobie z tego sprawy. Wpatrywała mi się w oczy, czyhając na najmniejszy fałsz. Nie odwróciłem wzroku. Już nie robiła na mnie wrażenia. Ani trochę się nie interesowałem jej podejrzeniami, aczkolwiek pobudzały moją ciekawość. Río było małym miasteczkiem, mury tu były przezroczyście, drzwi łatwo wyłamywano. Najlepiej strzeżone tajemnice nie opierały się długo potrzebie zwierzeń, a plotki były na porządku dziennym. Cóż takiego gadano na mój temat, na temat człowieka bez przeszłości i nie budzącego dotąd zainteresowania?

– Ona mówi tylko o panu.

– Nasza paczka...

– Nie mówię o waszej paczce. Mówię o panu i o mojej córce. Chciałabym wiedzieć, jakiego rodzaju stosunki utrzymujecie i jaka jest ich perspektywa. Czy macie wspólne plany, poważne zamiary... czy do c z e g o ś d o s z ł o między wami.

– Proszę pani, do niczego nie doszło. Emilie i Fabrice są w sobie zakochani, a Fabrice jest moim przyjacielem. Do głowy by mi nie przyszło, żeby wchodzić mu w paradę.

– Rozsądny z pana młodzieniec. Już to panu chyba kiedyś powiedziałam.

Nie spuszczać ze mnie oczu, złożonymi rękami objęła nos. Po chwili zastanowienia podniosła głowę.

– Powiem wprost, panie Jonas... Jest pan muzułmaninem, dobrym muzułmaninem, z tego co wiem, a ja jestem katoliczką. Kiedyś, dawno temu, ulegliśmy chwili słabości. Ośmielałam się żywić nadzieję, że Bóg nie będzie zbyt pamiętliwy. To był tylko epizod bez przyszłości... Ale istnieje grzech cielesny, którego Bóg nigdy nie odpuszcza i nie może go znieść: kazirodztwo!... – Spiorunowała mnie wzrokiem, wymawiając to słowo. – To najpodlejszy czyn.

– Nie rozumiem, do czego pani zmierza.

– Ależ wszystko już jasno wyłożyłam, panie Jonas. Kto sypia z matką i jej córką, ten obraża bogów, ich świętych, anioły i demony!

Spurpurowiała, białka jej oczu przybrały barwę mleka.

Wygrazając mi palcem, zagrziała:

– Zabraniam panu zbliżać się do mojej córki!

– Ani mi to przez myśl nie przeszło...

– Chyba niedokładnie pan zrozumiał, mój panie. Nie dbam o to, co panu chodzi po głowie albo nie. Może pan sobie myśleć, co chce. J a życzę sobie, żeby pan się trzymał jak najdalej od mojej córki. Przysięgnie mi pan, i to w tej chwili.

– Pro...

– Proszę przysiąc!

To jej się wyrwało. Bez wątpienia wolałaby zachować spokój, pokazać mi, jak dobrze panuje nad sobą. Odkąd weszła do apteki, przez cały czas powściągała gniew i strach, które w niej wzbierały, każde słowo wypowiadała, dopiero gdy miała pewność, że niczym bumerang nie wróci do niej. I oto straciła nad sobą kontrolę akurat w chwili, gdy za wszelką cenę powinna była zdobywać teren. Próbowwała teraz wziąć się w garść – za późno, była na skraju łez.

Przycisnęła palcami skronie, próbując zaprowadzić ład w myślach, skupiła wzrok w jednym punkcie, poczekała, aż oddech jej się uspokoił, i wtedy ledwie słyszalnie powiedziała:

– Przepraszam. Nie zwykłam podnosić głosu na ludzi... Przeraza mnie ta historia. Do diabła z obłudą! Maski zawsze spadają, a ja nie życzę sobie, żeby mi się to przydarzyło po tym, jak straciłam twarz. Jestem kompletnie zagubiona. Nie sypiam... Wolałabym się okazać stanowcza, silna, ale tu chodzi o moją rodzinę, córkę, wiarę i sumienie. To za wiele dla kobiety, która w życiu by nie przypuszczała, że stanie nad otchłanią... Och, gdybyż chodziło jedynie o otchłań! Aby ratować swoją duszę, bez wahania skoczyłabym w przepaść. Tylko że to by nie rozwiązało problemu. Do tego nie może dojść, panie Jonas. Do niczego nie może dojść między panem a moją córką. Taki związek nie ma prawa się narodzić, nie ma też racji bytu. Musi pan to sobie raz na zawsze kategorycznie zakarbować. Chcę wrócić do domu spokojna, panie Jonas. Chcę odzyskać spokój ducha. Emilie jest jeszcze bardzo młoda. Jej serce bije do tego, kto się nawinie. Ona potrafi się zakochać w pięknym uśmiechu, rozumie pan? I nie chcę, żeby ją zauroczył pański uśmiech. Dlatego błagam na miłość Boga, Jego proroków Jezusa i Mahometa... proszę mi obiecać, że nie będzie jej pan nijak zachęcał. Byłoby to potworne, niemoralne, niewiarygodnie nieprzyzwoite, absolutnie niedopuszczalne.

Chwyciła moje dłonie, ścisnęła je mocno. Nie była już damą, o której ongiś śniłem. Pani Cazenave wyzbyła się swego szarmu, zrezygnowała z przednich sztuczek i wyniosłej eteryczności. Miałem przed sobą matkę przerażoną na myśl, że narazi się Bogu, że będzie musiała gnić w sromocie aż po kres czasu. Wpatrywała się w moje oczy; wystarczyłoby mi zatrzepotać rzęsami, by posłać ją do piekła. Wstyd mi było, że dysponuję władzą pozwalającą skazać na potępienie drugą istotę, którą kiedyś kochałem, w żadnej chwili nie łącząc szlachetności jej uczuć z ohydny grzechem cielesnym.

- Proszę pani, do niczego nie dojdzie między pani córką a mną.
- Proszę obiecać.
- Obiecuję.
- Proszę przysiąc.
- Przysięgam.

Dopiero wtedy osunęła się na kontuar, uwolniona od obaw i wyczerpana zarazem, objęła głowę rękami i wybuchnęła płaczem.

- Do ciebie – powiedziała Germaine, machając słuchawką telefonu.
 Na drugim końcu linii rozległ się burkliwy głos Fabrice'a:
- Masz do mnie o coś pretensje, Jonas?
 - Nie...
 - Simon cię ostatnio czymś wkurzył?
 - N i e .
 - Obraziłeś się na Jeana-Christophe'a?
 - Skądże!
 - No to czemu nas unikasz? Od wielu dni nie wychylasz nosa z domu. Wczoraj czekaliśmy na ciebie. Obiecałeś, że wpadniesz, i w końcu wszystko wystygło.
 - Zupełnie nie mam czasu dla siebie...
 - Daj spokój... Nie ma akurat żadnej epidemii w miasteczku, więc w aptece nie roi się od klientów. I bardzo proszę, nie zasłaniaj się chorobą stryja, bo widziałem go parę razy w sadach. Ma się doskonale. – Odkasznął i mówił już spokojniej: – Brakuje mi ciebie, stary. Mieszkasz dwa kroki ode mnie, a mam wrażenie, jakbyś zniknął z powierzchni ziemi.
 - Robię porządki w aptece. Muszę uzupełnić księgi i załatwić inwentaryzację.
 - Potrzebujesz pomocy?
 - Radzę sobie.
 - No to wyjdźże gdzieś... Czekam na ciebie dziś wieczór u mnie w domu. Z kolacją. Nie zdążyłem się wymówić od zaproszenia; Fabrice odłożył słuchawkę.
 - Około dziewiętnastej zaszedł Simon. Był w paskudnym humorze.
 - Wyobrażasz sobie? – powiedział. – Naharowałem się jak dziki osioł i wszystko na darmo. Ze też mnie to musiało spotkać!... Oszwabili mnie jak ostatniego kretyna. Teoretycznie interes był pierwsza klasa. Po przybyciu towaru płacę różnicę z własnej kieszeni. W głowie mi się nie mieści, że tak głupio dałem się naciągnąć.
 - Taki jest świat biznesu, Simon.
 - Jean-Christophe czekał na nas na ulicy dwa квартаły dalej. Był odpicowany, świeżo ogolony, włosy zaczesał do tyłu, przyglądając je grubą warstwą brylantyny, stał podniecony jak sztubak z wielkim bukietem w rękach.
 - Wprawiasz nas w zażenowanie – z wyrzutem rzekł do niego Simon. – Jak my będziemy wyglądali, Jonas i ja, przychodząc z pustymi rękami?
 - To dla Emilie – wyznał Jean-Christophe.
 - Jest zaproszona? – zawołałem nierad.
 - A jak?... – odparł Simon. – Nasze dwie turkaweczki prawie się nie rozstają. A swoją drogą nie rozumiem, dlaczego przynosisz jej kwiaty, Chris. To dziewczyna innego. A tak się składa, że tym innym jest Fabrice.
 - W miłości każdy ma jednakowe szanse.
 - Simon zmarszczył brwi poruszony słowami Jeana-Christophe'a.
 - Mówisz poważnie?
 - Jean-Christophe odrzucił głowę do tyłu, śmiejąc się dla zmyłki.
 - No co ty, głupi... Żartuję przecież.
 - Ha, taki żart funta kłaków niewart, jeśli chcesz znać moje zdanie – powiedział Simon bardzo

przestrzegający pewnych zasad.

Pani Scamaroni nakryła stół na werandzie. Właśnie ona otworzyła nam drzwi. Fabrice i jego luba rozsiedli się w wiklinowych fotelach w ogrodzie pod altaną z winorośli. Emilie prezentowała się olśniewająco w prosto skrojonej cygańskiej sukience. Z rozpuszczonymi włosami odrzuconymi na plecy i odkrytymi ramionami wyglądała tak, że nic, tylko ją schrupać. Zawstydzilem się tej myśli i zaraz ją od siebie odpędziłem.

Grdyka Jeana-Christophe'a przypominała jo-jo; niewiele brakowało, by poluzował mu się krawat. Pragnąc się pozbyć w końcu bukietu, wręczył go pani Scamaroni.

- Bardzo proszę – powiedział.
- Och, dziękuję, Chris! Kochany z ciebie chłopak.
- Złożyliśmy się – skłamał zazdrosny Simon.
- Nieprawda – zaprzeczył Jean-Christophe.

Wybuchnęliśmy śmiechem.

Fabrice poskładał rękopis, który najwyraźniej czytał Emilie, i przyszedł się przywitać. Objął mnie i uściśnął mocniej niż inni. Nad jego ramieniem zauważyłem spojrzenie Emilie, która usiłowała pochwycić moje. W głowie rozbrzmiał mi głos pani Cazenave: „Emilie jest jeszcze bardzo młoda... Ona potrafi się zakochać w pięknym uśmiechu, rozumie pan? I nie chcę, żeby ją zauroczył pański uśmiech”. Potworne zażenowanie, straszniejsze niż wszystkie wcześniejsze, nie pozwoliło mi usłyszeć, co Fabrice wyszeptał mi do ucha.

Przez cały wieczór Simon rozśmieszał towarzystwo swoimi pokręconymi historiami, ja zaś unikałem jak mogłem nieustannego napastowania przez Emilie. Co nie znaczy, że szukała pod stołem mojej ręki albo zagadywała do mnie; zajmowała miejsce naprzeciwko i przesłaniała mi cały świat.

Siedziała spokojnie, udawała zainteresowanie wygłupami przy stole, lecz śmiała się wymuszenie. *Pro forma*, z czystej kurtuazji. Widziałem, jak splata i wyłamuje palce, zdenerwowana i trochę zagubiona niczym wystraszona uczennica, która czeka, aż przyjdzie jej kolej, by podejść do tablicy. Od czasu do czasu, gdy wybuchała powszechna wesołość, podnosiła na mnie wzrok, sprawdzając, czy i ja jestem jak inni rozbawiony. Chichoty przyjaciół słyszałem jednym uchem. Tak samo jak Emilie śmiałem się *proforma*. Tak samo jak Emilie myślami byłem gdzie indziej i ta sytuacja mocno mi doskwierała. Nie podobało mi się to, co chodziło mi po głowie, myśli, które w niej kiełkowały niczym trujące rośliny... Przecież obiecałem... przysiągłem! O dziwo, skrupuły chwytaly mnie za gardło, lecz nie dusiły. Z jakąś perwersyjną przyjemnością pozwalałem się kusić. W co się pakowałem? Czemu nagle złożone obietnice i przysięgi niewiele znaczyły? Wziąłem się w garść; zacząłem słuchać opowieści Simona, próbowałem się na nich skoncentrować – daremne starania. Po kilku zdaniach, paru parsknięciach śmiechem traciłem wątek i znów tylko wytrzymywałem spojrzenie Emilie. Jakaś kosmiczna cisza separowała mnie od dźwięków nocy i werandy; byłem zawieszony w nieskończonej nicości, za jedyny punkt orientacyjny mając tylko wielkie oczy Emilie. To nie mogło dłużej trwać. Przecież oszukiwałem, dopuszczałem się zdrady, brnąłem coraz głębiej w bagno, które wsysało. Musiałem wstać od stołu, wrócić do domu jak najszybciej; bałem się, żeby Fabrice nie domyślił się czegoś. Tego bym nie zniósł. Nie mogłem też dłużej wytrzymać spojrzeń Emilie. Ilekroć jej wzrok spoczywał na mnie, traciłem jakąś część swojego jestestwa – kruszyłem się niczym stary mur pod uderzeniami gruchy wyburzeniowej.

Wykorzystałem chwilę, gdy wszyscy zajęci byli czym innym, i poszedłem do salonu, by zatelefonować do Germaine, prosząc, aby po mnie zadzwoniła; co uczyniła dziesięć minut później.

- Kto to był? – zapytał Simon zaintrygowany miną, z jaką wróciłem na werandę.

- Germaine... Stryj nie czuje się dobrze.
 - Może cię odwiedzić? – zaproponował Fabrice.
 - Dzięki, poradzę sobie.
 - Jeśli to coś poważnego, daj znać.
- Kiwnąłem głową i uciekłem.

Lato było tego roku bardzo skwarne. A zbiory winogron wręcz nieprawdopodobne. Zabawom nie było końca. W dzień wszyscy wylęgali na plażę; wieczorami zapalano setki lampionów, rozwieszano girlandy i radowano się bez umiaru. Orkiestry tylko się zmieniały pod namiotami, a ludzie tańczyli w takim ścisku, że trudno było zrobić krok. Świętowano na zmianę urodziny i zaślubiny, balowano na festynach i zaręczynach; mieszkańcy Río Salado potrafili przy zwykłym ruszcie urządzić balangę, wystarczył im gramofon, by ruszyć w tan.

Nie lubiłem chodzić na przyjęcia, krótko na nich przebywałem; zjawiałem się ostatni i wychodziłem tak szybko, że nikt tego nie zauważał. Skoro bowiem wszyscy zapraszali wszystkich, nasza paczka często bywała na zabawach i obawiałem się, że wejdę w paradę Fabrice'owi i Emilie; byli prześliczną parą, chociaż nie dało się ukryć, że ich szczęście odrobinę kulało. Oczy mogą kłamać, spojrzenie nigdy; spojrzenie Emilie stawało się coraz bardziej przygaszone. Wystarczyło, że znalazłem się w jego zasięgu, a natychmiast posyłało mi rozpaczliwe znaki. Na próżno się odwracałem – doganiała mnie jego fala uderzeniowa, otaczała całego. Dlaczego ja? – wyłem w duchu. – Dlaczego mnie tak nęka z daleka, bez jednego słowa?... Emilie poruszała się po gruncie zupełnie jej obcym, co do tego nie było wątpliwości. Jakby trafiła nań przez pomyłkę. Jej pięknu dorównywała tylko udreka, którą ukrywała za blaskiem swoich oczu i rozciąganiem warg w przyjaznym uśmiechu. Naprawdę tego nie okazywała, chciała wyglądać na wesołą, szczęśliwą u boku Fabrice'a, tyle że brakowało jej pogody. Nie widziała gwiazd, kiedy Fabrice, siedząc z nią na wydmie wieczorem, wskazywał firmament... Dwukrotnie ich zauważyłem przytulonych do siebie na plaży późno w noc, ledwie dostrzegalnych w ciemnościach; chociaż nie byłem w stanie dostrzec ich twarzy, miałem pewność, że kiedy jedno chce mocniej objąć drugie, to drugie się wykręca...

Do tego dochodził Jean-Christophe ze swoimi bukietami. Nigdy w życiu nie kupował tyle kwiatów. Codziennie wstępował do kwaciarni na rynku, po czym kierował się prosto do domu Scamaronich. Simon nieprzychylnie spoglądał na tę podejrzaną galanterię, lecz Jean-Christophe nie dbał o to; wydawało się, że kompletnie stracił rozsądek i wraz z nim wszelkie maniery. Z czasem do Fabrice'a zaczęło w końcu docierać, że w jego flirtowaniu z Emilie pojawiają się przeszkody, że Jean-Christophe staje się coraz śmielszy, coraz bardziej natarczywy. Z początku na to nie zważał. Potem, jako że stale musiał pocałunki odkładać na później, jął sobie zadawać pytania. Jean-Christophe dosłownie ich nie o d s t ę p o w a ł; można by sądzić, że czyhał na każdy ich gest...

I stało się to, co musiało się stać.

W niedzielne popołudnie siedzieliśmy na plaży w Terdze. Letnicy jak pasikoniki skakali po parzącym piasku, biegnąc do wody. Simon odbywał obligatoryjną sjęstę, drzemiąc z brzuchem zlanym potem; wrębał kilka sznurków mergezów i wytrąbił flaszkę wina. Jego gruby owłosiony brzuch przypominał miech kowalski. Fabrice leżał z otwartymi oczami, z otwartą książką w nogach. Nie czytał, aby się nie rozpraszać. Był czujny jak ścigane zwierzę. Coś wisiało w powietrzu... Obserwował Jeana-Christophe'a i Emilie, którzy ze śmiechem ochlapywali się nawzajem strumieniami wody, grali w kto wytrzyma dłużej bez oddechu, wreszcie wypłynęli w morze, aż ledwie było ich widać; patrzył, jak brykają wśród fal, leżą na wznak podparci rękami o dno i z nogami wystawionymi nad wodę; podczas tej zabawy Fabrice'owi melancholijny uśmiech

błąkał się na ustach, a oczy błyszczały od pytań... Kiedy zaś zobaczył, jak wynurzają się z fali przybojowej i obejmują w pasie w odruchu, którego spontaniczność nawet ich zaskoczyła, głęboka zmarszczka przecięła mu czoło: zrozumiał, że wspaniałe plany, które snuł, przeciekają mu nieuchronnie przez palce, przesypują się jak ziarnka czasu w klepsydrze...

Niedobrze wspominam tamto lato. Było to lato nieporozumień, skrywanych udręk i ustępstw, lato upalne, wywołujące wszakże zimny dreszcz, tak bardzo oszukiwało jednych i drugich. Chadzaliśmy nadal całą paczką na plażę, lecz nie wkładaliśmy w to serca, a i wzrok odwracaliśmy chętnie. Nie wiem, dlaczego nazwałem później to lato „martwym sezonem”. Być może z powodu tytułu pierwszej powieści Fabrice’a, która zaczynała się tak: „Kiedy ukochana wycina ci numer za plecami, to dowód, że na nią nie zasługiwałeś; przyzwoitość nakazywałaby zwrócić jej wolność – tylko za taką cenę kocha się naprawdę”. Uczciwy jak zawsze, szlachetny do szpiku kości Fabrice, nieszczęśliwy niczym ptak zamknięty w klatce, nie wyzbywał się uśmiechu, chociaż serce mu pękało.

Simonowi ani trochę się nie podobało, że taki obrót przybrała końcówka tamtego lata. Za dużo było obłudy, za dużo stłumionych burzliwych uczuć. Uznał, że nieuczciwość Emilie jest odrażająca. Co miała do zarzucenia Fabrice’owi? Delikatność? Przesadną uprzejmość? Poeta nie zasługiwał na to, aby go rzucić w efekcie jednej kąpieli w morzu. Ciałem i duszą zaangażował się w ten związek, a w miasteczku wszyscy zgodnie przyznawali, że są parą jak marzenie, której nic więcej do szczęścia nie trzeba. Simon współczuł Fabrice’owi, aczkolwiek otwarcie nie potępiał Jeana-Christophe’a, którego tłumaczyło przygnębienie po rozstaniu z Isabelle i najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, jaką przykrość sprawia przyjacielowi. Dla Simona sprawa była jasna: cała wina spadała na tę „modliszkę” wychowaną gdzie indziej, nieznaną wartości i zasad rządzących życiem w Río Salado.

Ze wszystkich sił starałem się trzymać z dala od tej historii. Cztery razy na pięć wymyślałem jakiś pretekst, by nie dołączyć do paczki, „nie zdążyć” na wesołą kolacyjkę, „zagapić się” co do przyjęcia.

Nie mogąc dłużej znieść widoku Emilie, Simon także zaczął się wyłgiwać od spotkań; wołał moje towarzystwo – zabierał mnie do baru Andrégo, gdzie graliśmy w bilard, póki mogliśmy ustać na nogach.

Fabrice wyprowadził się do Oranu. Zasył się w mieszkaniu matki przy bulwarze des Chasseurs i dopieszczał swoje kroniki dla gazety oraz pisał konspekt powieści. Do miasteczka prawie nie przyjeżdżał. Odwiedziłem go kiedyś; wyglądał na zrezygnowanego.

Jean-Christophe zaprosił do siebie Simona i mnie. Jak zawsze, kiedy miał podjąć ważną decyzję. Wyznał nam, że jest do szaleństwa zakochany w Emilie i że zamierza poprosić ją o rękę. Zauważył przede wszystkim stropioną minę Simona, żarliwie zatem jął przekonywać, byśmy nie stawiali mu na drodze do szczęścia.

– Czuję, że odżywam... Po tym, co przeszedłem – dodał, czyniąc aluzję do skutków swojego zerwania z Isabelle – potrzebowałem naprawdę cudu, żeby się pozbierać. I cud się stał. Tę dziewczynę zesłał mi sam Pan Bóg.

Simon lekko się skrzywił, co nie uszło uwagi Christophe’a.

– O co chodzi? Wyglądasz na nieprzekonanego.

– Nie muszę być przekonany.

– Czemu się wygłupiasz, Simon?

– Żeby nie płakać, jeśli chcesz wiedzieć... Tak, tak, dobrze usłyszałeś: żeby nie płakać, żeby się nie porzygać, żeby nie zrzucić wszystkich ciuchów i nie wylecieć na golasa w miasto.

Simon prawie stał, na szyi wystąpiły mu nabrzmiące żyły.

– No to wyrzuć z siebie, co ci leży na wątrobie – zachęcił go Jean-Christophe.

– Na wątrobie!... – prychnął Simon. – W całych trzewiach, nie tylko na wątrobie! Będę z tobą szczery. Nie dość, że nie jestem przekonany, to jeszcze jestem bardzo niezadowolony. To, co zrobiłeś Fabrice'owi, jest niewybaczalne.

Jean-Christophe przyjął to ze spokojem. Rozumiał, że jest nam winien wyjaśnienia, i najwyraźniej przygotował sobie argumenty. Siedzieliśmy w salonie przy stole, na którym na tacy znajdowała się karafka z sokiem cytrynowym i druga z wodą z odrobiną kokosa. Okno było otwarte na ulicę, wiatr wydymał firankę. Skądś z daleka dobiegało ujadanie psów; ich naszczekiwanie ścigały się w wieczornej ciszy.

Jean-Christophe zaczął, aż Simon usiadł, i dopiero wtedy podniósł do ust szklankę z wodą. Ręka mu drżała, pił, głośno przelękając; kolejne łyki poskrzypywały mu w gardle niczym zardzewiałe bloczki.

Odstawił szklankę, otarł usta różkiem ścierki, którą machinalnie rozłożył na obrusie i wygładził.

Nie podnosząc na nas oczu, ważąc słowa, powiedział bardzo zasadniczym głosem:

– Tu chodzi o miłość. Niczego nie ukradłem ani nie zdefraudowałem. To była miłość od pierwszego wejrzenia, coś takiego spotyka tysiące ludzi na świecie. Nie każdemu jest dana, miłość od pierwszego wejrzenia to łaska, dar od bogów. Nie myślę, żebym na nią nie zasłużył. I nie muszę też z jej powodu się rumienić. Pokochałem Emilie w chwili, kiedy ją zobaczyłem. Nie ma w tym nic zdrożnego. Fabrice nadal jest moim przyjacielem. Nie umiem nazywać tych rzeczy. Po prostu biorę je, jakie są. – Niespodziewanie rąbnął pięściami w stół, aż podskoczyliśmy z Simonem. – Do cholery, jestem szczęśliwy! Czy to zbrodnia? – Podniósł płonący wzrok na Simona. – Co złego w tym, że kocham i jestem kochany? Emilie to nie rzecz, nie jest dziełem sztuki, które się kupuje w sklepie, ani przedmiotem umowy, którą się negocjuje. Sama decyduje o sobie. Może wybierać, może czegoś nie chcieć. Tu chodzi o całe życie, Simon. Tak się składa, że moje uczucia do niej są zbieżne z tym, co ona do mnie czuje. I gdzie w tym widzisz coś niestosownego?

Simon nie dał sobie zamknąć ust. Zaciśnięte pięści trzymał na stole, nozdrza miał rozdęte ze złości. Spojrzał Chrisowi w oczy i wyraźnie wymawiając każdą sylabę, powiedział:

– Po co więc ściągnąłeś nas tutaj, skoro jesteś przekonany do swojej decyzji? Po co jesteśmy tutaj z Jonasem i wysłuchujemy tej przemowy, jeżeli nie masz sobie nic do zarzucenia? Myślisz, że w ten sposób ulżysz sumieniu albo wciągniesz nas w te swoje ciosy poniżej pasa?

– Nic z tych rzeczy, Simon. Nie o to biega. Nie zaprosiłem was dzisiaj, żeby otrzymać wasze błogosławieństwo, a tym bardziej nie po to, żeby was do czegoś zmuszać. Tu chodzi o moje życie, a jestem wystarczająco duży, by wiedzieć, czego chcę i jak to zdobyć... Zamierzam się ożenić z Emilie przed Bożym Narodzeniem. I potrzebuję forsy, a nie waszych rad.

Simon uświadomił sobie, że posunął się za daleko, że nie miał prawa podważać decyzji Jeana-Christophe'a. Rozwarł pięści. Odchyliwszy się na oparcie krzesła, wykrzywił się przez chwilę wpatrzony w sufit. W pokoju słychać było jego głośny oddech.

– Jesteś pewien, że nie spieszysz się ze wszystkim za bardzo?

Jean-Christophe odwrócił się do mnie.

– Uważasz, że spieszę się ze wszystkim za bardzo, Jonas? – zapytał.

Nie odpowiedziałem.

– Masz pewność, że naprawdę zależy jej na tobie? – drążył Simon.

– A co? Masz powody, żeby w to wątpić?

– To dziewczyna z miasta, Chris. Inna niż tutejsze. Jak widzę, w jaki sposób zostawiła Fabrice'a...

– Ona nie zostawiła Fabrice’a! – krzyknął Jean-Christophe zrozpaczony.

Simon uspokajająco uniósł obie ręce.

– No dobra, cofam, co powiedziałem... Rozmawiałeś z nią o tym, co zamierzasz zrobić?

– Jeszcze nie, ale niedługo jej powiem. Mój problem polega na tym, że jestem splukany. Miałem trochę oszczędności i przepuściłem wszystko w burdelach i barach w Oranie. Z powodu tego, co zaszło między Isabelle a mną.

– No właśnie – podchwycił Simon. – Ledwie się po tamtym pozbierałeś. Głowę daję, że jeszcze nie w pełni odzyskałeś jasność myślenia i twoje uczucie do tej miastowej dziewczyny to słomiany ogień. Powinieneś się wstrzymać, nie zakładaj sobie sznura na szyję, zanim nie będziesz pewny w stu procentach. Zastanawiam się zresztą, czy przypadkiem nie robisz tego, żeby wzbudzić zazdrość w Isabelle.

– Isabelle to przeszłość.

– Nie zatraskuje się ot tak drzwi za młodzieńczą miłością... – Simon strzelił palcami.

Urażony jego słowami i dotknięty moim milczeniem Jean-Christophe wstał i podszedł do drzwi, które otworzył zamaszystym gestem.

– Wypraszasz nas, Chris? – obruszył się Simon.

– Powiedzmy, że mam dość waszego widoku. A jeśli ty, Simon, nie chcesz mi pożyczyć forsy, obejdzie się, poradzę sobie. Ale na litość! nie chowaj się za rozważaniami, których sens ci umyka, a przede wszystkim bądź łaskaw nie gnębić mnie przy okazji.

Jean-Christophe wiedział, że to nie tak, że Simon oddałby mu ostatnią koszulę; po prostu chciał być nieprzyjemny i irytujący. Skrzywił się, kiedy Simon wypadł z salonu jak burza; na ulicy musiałem za nim biec, aby go dogonić.

Stryj wezwał mnie do gabinetu i poprosił, żebym usiadł na kanapie, na której lubił czytać na leżaco. Nabrał kolorów, nieco ciała i odmłodniał. Palce jeszcze odrobinę mu drżały, ale spojrzenie miał ożywione. Tak czy owak rad byłem, że na powrót stał się człowiekiem, który stanowił dla mnie wzór przed najściem policji. Czytał, pisał, uśmiechał się, regularnie wychodził na spacer z Germaine pod rękę. Bardzo lubiłem patrzeć, jak idą przez pola obok siebie, tak bliscy sobie, że naprawdę niewiele ich obchodził świat dookoła. W prostocie ich stosunków, w płynnej równowadze związku była czułość, głębia, autentyczność, która go niemal uświęcała. Tworzyli najbardziej godną szacunku parę, jaką dane mi było spotkać. Obserwowanie ich, kiedy nikogo więcej nie potrzebowali, pozwalało mi uszczknąć nieco z tej ich obfitości uczuć i napełniało mnie radością piękną jak ich powściągliwe szczęście. Uosabiali miłość bezwarunkową, miłość doskonałą. Szariat nakazuje, by niemuzułmanka nawróciła się na islam, zanim poślubi muzułmanina. Stryj się z tym nie zgadzał. Nie przywiązywał wagi do tego, czyjego żona jest chrześcijanką czy poganką. Mówił zawsze, że jeśli dwie osoby się kochają, nie muszą się stosować do nakazów ani obawiać potępienia; że miłość zaspokaja pragnienie bogów i nie podlega negocjacji, ponieważ każdy układ albo ustępstwo byłyby zamachem na to, co jest w niej najświętsze.

Stryj odłożył pióro do kałamarza i w zamyśleniu na mnie popatrzył.

– Co się dzieje, chłopcze?

– Nie rozumiem...

– Germaine uważa, że masz jakiś problem.

– J a ? Problem? Czy na coś się skarżyłem?

– Nie musi się skarżyć ten, kto uważa, że jego problemy są tylko jego sprawą... Pamiętaj, że nie jesteś samjunus. I nie myśl przypadkiem, że mi się naprzykrzasz. Jesteś najdroższą mi osobą na świecie. Tylko ty jeden wiążesz mnie z przeszłością... Osiągnąłeś wiek, kiedy mężczyzna przeżywa wiele strapiień. Myślisz o żeniactwie, o własnym domu, własnym życiu. To normalne.

Każdy ptak wcześniej czy później na własnych skrzydłach wyfruwa z gniazda.

– Germaine coś sobie ubzdurzyła.

– To żaden grzech. Wiesz, jak cię kocha. Stale się za ciebie modli. Dlatego nie powinieneś przed nią niczego ukrywać. Jeśli potrzebujesz pieniędzy czy czegokolwiek innego, jesteśmy do twojej dyspozycji.

– W to ani przez chwilę bym nie wątpił.

– No to jestem spokojniejszy.

Zanim pozwolił mi odejść, wziął pióro i napisał coś na skrawku papieru, który mi podał.

– Byłbyś tak miły i zaszedł do księgarni po tę książkę?

– Oczywiście, zaraz pójdę.

Wsunąłem świstek do kieszeni i wyszedłem z domu, zastanawiając się, co też mogło nasunąć Germaine myśl, że mam kłopoty.

Żar lejący się z nieba w ostatnich tygodniach nieco zmalął. Nad udręczonym przez upały światem okazała chmura przędła wełnę ze słońcem w roli kołowrotka; jej cień przesuwiał się nad winnicami niczym statek widmo. Staruszkowie zaczęli wychodzić z kryjówek szczęśliwi, że przetrwali skwarny dzień. W szortach i podkoszulku mokrym od potu każdy popijał anyżówkę, siedząc na taborecie w drzwiach swojego domu z przekrwioną twarzą na poły skrytą pod szerokim rondem kapelusza. Wieczór był tuż-tuż; bryza wiejąca od morza chłodziła powietrze, równocześnie poprawiając ludziom humor... Z karteluszkim stryja w kieszeni skierowałem się do księgarni, której wystawy zapełniały książki i naiwne gwasze będące dziełem miejscowych artystów amatorów. Jakież było moje zdumienie, gdy otworzywszy drzwi, ujrzałem Emilie za ladą.

– Dzień dobry – powiedziała również bardzo zaskoczona.

Przez kilka sekund zupełnie nie wiedziałem, po co tu przyszedłem.

Serce mi waliło w piersi jak oszalały młot kowalski.

– Pani Lambert się rozchorowała – wyjaśniła Emilie. – Poprosiła, żebym ją zastąpiła przez kilka dni.

Musiałem chwilę pogrzebać w kieszeni, zanim udało mi się wymacać świstek.

– Czym mogę służyć?

Oniemiały podałem jej tylko karteczkę.

– „Dżuma” Alberta Camusa – przeczytała. – Wydawnictwo Gallimard...

Kiwnęła głową i czym prędzej skryła się wśród regałów, prawdopodobnie aby zapanować nad emocjami. Ja także wykorzystałem okazję do odzyskania tchu. Słyszałem, jak przesuwając stołek, szuka na półkach, powtarza: „Camus... Camus...”, schodzi ze stołka, idzie między szafami, wreszcie woła: „A, mam cię!...”

Wróciła, oczy miała przepastne jak rozległa łąka.

– Była pod samym nosem – wyjaśniła jeszcze bardziej zmieszana.

Musnąłem ręką jej dłoń, kiedy brałem książkę. Poczułem taki sam prąd jak wtedy w Oranie, gdy „zagadnęła” mnie pod stołem. Popatrzyliśmy na siebie, jakbyśmy sprawdzali, czy doświadczamy podobnych doznań. Emilie była mocno pąsowa. Przypuszczam, że jej widok stanowił wierne odbicie mojego.

– I jak się miewa pański stryj? – zapytała, by przełamać zmieszanie.

Nie bardzo rozumiałem, o co jej chodzi.

– Wyglądał pan na mocno przejętego wtedy wieczorem...

– A!... No tak... Czuje się już lepiej.

– Mam nadzieję, że to nie było nic poważnego.

– Nie, skończyło się dobrze.

- Niepokoiłam się po pana wyjściu.
- Strach ma wielkie oczy.
- Niepokoiłam się o pana. Był pan taki blady!...
- Och! wie pani, ja...

Jej rumieniec zbladł. Opanowywała się. Wczepiła się wzrokiem w moje oczy, zdecydowana ich nie puścić.

– Lepiej by się stało, gdyby wtedy pana nie wezwano. Ledwie się zaczęłam do pana przyzwyczajać. Mało się pan odzywał.

– Jestem nieśmiały.

– Ja też. Na dłuższą metę to dość męczące. I bardzo jesteśmy przez to pokrzywdzeni... Po pańskim wyjściu strasznie się nudziłam.

– Przecież Simon gadał jak najęty.

– Nie bawił mnie...

Przesunęła dłoń po książce na mój nadgarstek; szybko cofnąłem rękę.

– Czego pan się boi?

Ten głos!... Pozbawiony drzenia, brzmiał teraz pewnie, coraz mocniej, był jasny, silny, równie władczy jak głos jej matki.

Ujęła mnie za dłoń; nie wyrwałem jej.

– Od dawna chciałam z panem porozmawiać. Ale ciągle mi pan znika jak miraż... Czemu pan przede mną ucieka?

– Nie uciekam...

– Kłamca... Pewne rzeczy zdradzają nas już przy pierwszym uniku. Można ukrywać swoją grę, a i tak wbrew naszej woli wszystko się wydaje... Bardzo bym się cieszyła, gdybyśmy kiedyś mogli spędzić razem trochę czasu. Na pewno bardzo wiele nas łączy, nie sądzi pan?

– Może moglibyśmy się umówić na spotkanie?

– Jestem mocno zajęty ostatnimi czasy.

– Chciałabym pomówić z panem na osobności.

– Na jaki temat?

– Dziś nie pora i miejsce na to... Byłoby mi miło, gdyby mnie pan odwiedził w domu. To przy drodze do marabutu... Obiecuję, że nie zabiorę panu dużo czasu.

– No dobrze, nie wiem tylko, o czym mielibyśmy rozmawiać. Poza tym Jean-Christophe...

– Co Jean-Christophe?

– Mieszkamy w małym miasteczku, proszę pani. Ludzie tu nie są dyskretni. Chrisowi mogłoby się nie spodobać...

– Co by się mogło mu nie spodobać?... Nie robimy nic zdroźnego. Poza tym jego to nie obchodzi. To tylko przyjaciel. Między nami nic konkretnego nie ma.

– Proszę tak nie mówić. Jean-Christophe szaleje za panią.

– Jean-Christophe to świetny chłopak. Bardzo go lubię, ale... to za mało, żeby dzielić z nim życie.

Te słowa zdumiały mnie niepomiernie.

Oczy jej lśniły niczym klinga bułatu.

– Proszę tak nie patrzeć, panie Jonas. Taka jest prawda. Między nami nic nie ma.

– Wszyscy w miasteczku uważają was za narzeczonych.

– Mylą się... Jean-Christophe to tylko kolega. Moje serce należy do innego – obwieściła, lekko przyciskając do piersi swoją rękę...

– Brawo!

Okrzyk spadł na nas niczym grom – skamienieliśmy oboje: Jean-Christophe stał w drzwiach

jak zwykle z bukietem w garści. Nienawiść, która wylewała się z jego oczu jak lava z wulkanu, pozbawiła mnie tchu. Zdegustowany, niedowierzający, dotknięty do żywego, stał rozdygotany w progu księgarni, dosłownie pogrzebany pod niebem, które mu się zwały na głowę, z twarzą wykrzywioną i ustami drgającymi z niewysłowionego oburzenia.

– Bravo! – powtórzył.

Cisnął bukiet na podłogę, zgniótł go nogą.

– Myślałem, że podaruję te róże miłości mojego życia, a tu się okazuje, że ozdobią mogiłę, w której są pogrzebane moje marzenia... Ależ ze mnie dureń!... Kretyn!... A z ciebie, Jonas, wredny drań!

Wpadł na ulicę, zatrzasnął za sobą przeszklone drzwi tak mocno, że pękły.

Pobiegłem za nim. Szedł bocznymi ulicami coraz szybciej, wściekle kopiąc wszystko, co mu się nawinęło. Kiedy zauważył, że idę za nim, odwrócił się i pogroził mi palcem.

– Ani kroku dalej, Jonas... Nie zbliżaj się, jeśli nie chcesz, żebym cię stratował jak gówno.

– Chris, to nieporozumienie. Przysięgam, że nic mnie z nią nie łączy.

– Spieprzaj, skurwysynu! Idź z nią do diabła, ty szujo, ty ścierwo!...

Wpadł w szal i rzucił się w moją stronę, poderwał mnie i przyparł do ogrodzenia. Wymyślał mi, śliną pryskając w twarz. Przyłożył mi pięścią w brzuch. Zatkano mnie, opadłem jednym kolanem na ziemię.

– Czemu wiecznie musisz mi włączyć w paradę, kiedy próbuję znaleźć szczęście? – wrzeszczał głosem ochrypłym od łez, z oczami podbiegłymi krwią, z pianą na ustach. – Czemu, do ciężkiej cholery?! Czemu stajesz mi na drodze jak zły omen? – Wymierzył mi kopniaka w bok. – Przeklinam cię! I przeklinam dzień, kiedy nasze ścieżki się skrzyżowały! – krzyczał, uciekając. – Nie chcę cię więcej widzieć, nie chcę o tobie nigdy więcej słyszeć, ty żalosne ścierwo, niewdzięczniku!

Leżąc rozciągnięty na ziemi, nie potrafiłem ocenić, czy bardziej cierpię z powodu żalu czy razów otrzymanych od przyjaciela.

Jean-Christophe nie wrócił do domu. André opowiadał, że widział, jak biegł na przełaj przez pola niczym oszalały; potem nie dał znaku życia. Minęły dwa dni, tydzień – nic. Jego rodzice umierali z niepokoju. Jean-Christophe nie miał w zwyczaju znikać bez słowa. Kiedy zerwał z Isabelle, też znikł tak jak teraz, tyle że pamiętał, by co wieczór zadzwonić do matki i uspokoić ją. Simon kilkakrotnie zaszedł do mnie, żeby się wywiedzieć, jak się sprawy przedstawiają. Był niespokojny i nie krył obaw. Jean-Christophe dopiero co pozbierał się po depresji. Kolejnej mógł nie przeżyć. Ja także obawiałem się najgorszego. Bałem się tak bardzo, że przypuszczenia Simona spędzały mi sen z powiek. Całymi nocami wyobrażałem sobie rozmaite dramatyczne scenariusze, często wstawałem z łóżka, szedłem po karafkę wody i wypijałem ją, krążąc po balkonie. Nie powiedziałem nikomu o tym, co zaszło w księgarni. Było mi wstyd; próbowałem sobie wmówić, że do tego potwornego nieporozumienia nigdy nie doszło.

– Ta suka musiała mu powiedzieć coś cholernie przykrego – żołądkował się Simon, mając na myśli Emilie. – Dałbym sobie głowę uciąć. Ta flirciara ma z tym coś wspólnego.

Nie śmiałem spojrzeć mu w oczy.

Zasięgnąwszy języka u znajomych w Oranie i przeprowadziwszy poszukiwania dyskretnie, by nie robić sensacji w miasteczku, ósmego dnia ojciec Jeana-Christophe'a zawiadomił w końcu policję.

Kiedy Fabrice się dowiedział o zniknięciu Jeana-Christophe'a, na gwałt przyjechał do Río.

– Co tu się stało, do licha?

– Nie mam pojęcia – odparł Simon ze złością.

Pojechaliśmy we trzech do Oranu, szukaliśmy przyjaciela w domach schadzek, barach, cieszących się złą sławą fundukach w Scalerze, gdzie za niewygórowaną opłatą można było w zamknięciu spędzić wiele dni w towarzystwie podstarzałych prostytutek na chlaniu podłego wina i popalaniu opium; jakby się pod ziemię zapadł. Pokazywaliśmy zdjęcie Jeana-Christophe'a w hotelach i hotelikach, w jadłodajniach wszelkiej maści, wykidajłom w kabaretach, obsłudze w łaźniach; nikt nigdzie go nie widział. W szpitalach ani na komisariatach również nie.

Emilie zjawiła się u mnie w aptece. Miałem ochotę ją wyrzucić. Jej matka słusznie zauważyła: ledwie skrzyżowaliśmy spojrzenia, wyzwalały się w nadmiarze jakieś szkodliwe fluidy, coś demonicznego. Co ciekawe, kiedy Emilie weszła do środka, moja determinacja mocno osłabła. Byłem na nią wściekły, uważałem, że ponosi winę za ucieczkę Jeana-Christophe'a i za wszystko, co mu się teraz przytrafi; tyle że na jej twarzy zobaczyłem jedynie wielki smutek, który rychło wzbudził we mnie litość. Drobnymi palcami szarpiąc rożek chusteczki, z pobladłymi ustami stanęła przed kontuarem zmartwiona, bezsilna i zrozpaczona.

- Jest mi strasznie przykro.
- A co ja mam powiedzieć?
- Przykro mi też, że pana w to wmieszałam.
- Co się stało, to się nie odstanie.
- Modłę się co noc, żeby Chrisowi nic się nie stało.
- Gdyby chociaż wiadomo było, gdzie się podziewa.
- Ciągle nie ma od niego wieści?
- Nie.

Popatrzyła na swoje palce oplątane chusteczką.

– Co powinnam zrobić pana zdaniem? Byłam wobec niego uczciwa. Od początku mówiłam mu, że moje serce należy do innego. Nie chciał wierzyć. A może myślał, że ma u mnie szansę. Moja wina, że nie miał?

- Nie wiem, o czym chce pani rozmawiać. Zresztą ani miejsce, ani chwila nie...
- Owszem – wpadła mi w słowo. – Chwila akurat jest odpowiednia, żeby nazwać rzeczy po imieniu. Złamałam dwa serca właśnie dlatego, że ze wstydu nie śmiałam powiedzieć tego, czego byłam pewna. Nie jestem pożeraczką serc. Nigdy nie zamierzałam nikogo skrzywdzić.

- Nie wierzę.
- Musi mi pan uwierzyć, Jonas.
- Nie mogę. Nie uszanowała pani uczuć Fabrice'a. Odważyła się pani nawet dotykać mnie pod stołem i równocześnie uśmiechała się pani do niego. Potem zraniła pani Jeana-Christophe'a, czyniąc mnie współnikiem w swoich gierkach...

- To nie gierki.
- Czego w ogóle pani chce?
- Powiedzieć panu, że... że pana kocham.

Świat wokół zaczął się naraz rozsypywać. Poczułem, że regały za mną, kontuar, ściany się rozpadają.

Emilie stała bez ruchu. Wpatrywała się we mnie swymi ogromnymi oczami z palcami oplątanymi rogiem chusteczki.

- Bardzo proszę, niech pani wraca do domu.
- Nie rozumie pan?... Rzucałam się w ramiona innego, żeby pan mnie zauważył, śmiałam się głośno, żeby pan mnie usłyszał... Nie wiedziałam, jak to z panem załatwić, jak powiedzieć, że pana kocham.
- Proszę tego nie mówić.

- J a k można ukrywać takie piękne uczucie?
- Nie wiem, proszę pani. I nie chcę tego słuchać.
- Dlaczego?
- Proszę...

– Nie. Nie może pan tego wymagać. Kocham pana. I pan musi o tym wiedzieć. Nie wyobraża pan sobie, ile mnie to kosztuje, jak mi wstyd tak się przed panem obnażać, narzucać i walczyć o uczucie, które pan ma za nic, a mnie ono zwala z nóg, ale byłabym podwójnie nieszczęśliwa, gdybym nadal dusiła w sobie to, co moje oczy wykrzykują bez przerwy: kocham pana, kocham, kocham!... Kocham pana każdym swoim oddechem. Pokochałam pana od pierwszego wejrzenia... ponad dziesięć lat temu... tu, w tej aptece. Nie wiem, czy pan pamięta tamto spotkanie, ja go jednak nie zapomniałam. Padało tamtego dnia, miałam zupełnie przemoczone wełniane rękawiczki. Co śródę przychodziłam tutaj na zastrzyk. Tamtego dnia pan akurat wrócił ze szkoły. Pamiętam kolor pańskiego tornistra z szelkami nabijanymi ćwiekami, krój palta z kapturem, nawet rozwiązane sznurówki u brązowych butów. Miał pan trzynaście lat... Rozmawialiśmy o Karaibach... Kiedy pana matka zajmowała się mną na zapleczu, pan wsunął mi do książki różę.

Olśniło mnie naraz i fala wspomnień z zawrotną prędkością przemknęła mi przez głowę. W jednej chwili wszystko wróciło: Emilie!... Emilie, którą przyprowadził wysoki mężczyzna jak wycięty z potężnego głazu. Nareszcie zrozumiałem, dlaczego tamtego dnia na pikniku jej twarz na moment przybrała osobliwy wyraz, gdy powiedziałem, że jestem aptekarzem. Miała słusność: oczywiście, że spotkaliśmy się kiedyś, dawno temu.

- Przypomina pan sobie?
- Tak.

– Spytał mnie pan wtedy, co to jest Gwadelupa. Odpowiedziałam, że to francuska wyspa na Karaibach... Kiedy znalazłam różę, byłam bardzo przejęta, przycisnęłam książkę do siebie. Pamiętam ten dzień, jakby to było wczoraj. Na starej brzuchatej komodzie, o tam, stał wtedy wazon z kwiatami. Za ladą, na lewo od tego regału, był posążek Matki Boskiej, zwykły gipsowy posążek pomalowany na pastelowe kolory...

Kiedy przywoływała wspomnienia, które ja także odtwarzałem z niebywałą dokładnością, jej ciepły przejęty głos wprawiał mnie w odrętwienie. Miałem uczucie, że w zwolnionym tempie unoszę się na jakiejś gęstej fali. I jakby na przekór w mojej głowie rozbrzmiał głos pani Cazenave zagłuszający córkę, głos błagalny, donośny, jakby recytujący litanie. I chociaż był głośny, chociaż rozbrzmiewał hukiem, głos Emilie docierał do mnie jasny, wyraźny, wnikał gładko jak igła.

- Junus – powiedziała – prawda? Pamiętam wszystko.
- Ja...

Położyła mi palec na ustach.

– Proszę nic teraz nie mówić. Boję się tego, co chce pan powiedzieć. Muszę odetchnąć, rozumie pan? – Wzięła moją rękę i przyłożyła sobie do piersi. – Widzi pan, jak mi serce wali, Jonasi... Junusie...

- To, co robimy, jest złe – rzekłem, nie śmiąc cofnąć ręki, zahipnotyzowany jej wzrokiem.
- A cóż w tym złego?
- Jean-Christophe kocha panią. Do szaleństwa – mówiłem, aby pokonać głosy matki i córki, które toczyły zaciętą walkę w mojej głowie. – Wszędzie opowiadał, że wyjdzie pani za niego.
- Czemu pan mówi o nim? Chodzi przecież o nas.
- Pani wybaczy, ale dla mnie Jean-Christophe znaczy dużo więcej niż wspomnienie z dzieciństwa.

Zabolało ją. Cios jednak przyjęła z wdziękiem.

– Nie chciałem być nieprzyjemny – próbowałem się tłumaczyć świadom swojego grubiaństwa.

Znów położyła palec na moich ustach.

– Nie musi pan się tłumaczyć, Junus. Rozumiem. Chyba miał pan słusność, to nieodpowiednia chwila. Ale zależało mi, żeby pan wiedział. Dla mnie znaczy pan więcej niż wspomnienie z dzieciństwa. Miłość to żaden wstyd ani zbrodnia. Zbrodnia jest wtedy, gdy człowiek poświęca miłość choćby ze szczytnych pobudek.

I wyszła. Bezszelestnie. Nie oglądając się. Nigdy wcześniej nie poczułem tak głębokiej pustki jak w chwili, kiedy Emilie znalazła się na ruchliwej ulicy.

Jean-Christophe żyje!

Río Salado odetchnęło z ulgą.

Wbrew wszelkim przewidywaniom zatelefonował pewnego wieczoru do matki, aby jej powiedzieć, że ma się dobrze. Zdaniem pani Lamy jej syn był „przytomny”. Mówił spokojnie, zwięźle i zrozumiale, oddech miał „normalny”. Zapytała go, dlaczego wyjechał i skąd dzwoni. Jean-Christophe rzucił parę niekonkretnych banałów, jak na przykład że na Río nie kończy się świat, są inne jego zakątki do zbadania, różnymi drogami można podążać, unikając w ten sposób odpowiedzi na pytanie, gdzie przebywa i jak sobie radzi na co dzień, skoro wyjechał bez pieniędzy i bagażu. Pani Lamy nie nalegała; jej syn wreszcie się odezwał, a to już było osiągnięcie nie lada. Domyślała się, że trauma jest głęboka, a „przytomność” demonstrowana przez Jeana-Christophe’a służy po prostu jej ukryciu, i bała się, że jeśli za bardzo zacnie grzebać w ranie, wywoła krwotok.

Następnie Jean-Christophe napisał do Isabelle długi list, w którym wyznawał, że darzy ją wielką miłością i bardzo żałuje, iż nie potrafił zadbać, aby uczucie wydało owoce. Formę ów list miał jakby testamentu; Isabelle Rucillio popłakała się jak bóbr w przekonaniu, że jej odprawiony „narzeczony” rzucił się do morza z falezy albo skoczył pod koła pociągu po nadaniu przesyłki – stempel na znaczku był nieczytelny, nie wiadomo zatem, skąd ją wysłał.

Trzy miesiące później Fabrice otrzymał swój list zawierający przeprosiny i wyznanie win. Jean-Christophe przyznawał, że postąpił egoistycznie i opętany pożądaniem zapomniał o elementarnych zasadach przyzwoitości i swoich powinnościach wobec osoby, z którą od czasów szkolnych był najsilniej związany i która zawsze pozostanie jego najdroższym przyjacielem... Nie podał adresu zwrotnego.

Osiem miesięcy po wydarzeniach w księgarni Simon – który tymczasem wszedł w spółkę z panią Cazenave i razem zakładali dom mody w Oranie – znalazł wśród innych przesyłek list do siebie. W kopercie znajdowało się aktualne zdjęcie Jeana-Christophe’a w mundurze szeregowca, krótko ostrzyżonego, z karabinem w rękach, a na odwrocie widniało te kilka słów: „Szampańskie życie, dzięki, adiutancie”. Na kopercie był stempel pocztowy z nazwą miejscowości Chamis Miljana. Fabrice postanowił tam pojechać. Towarzyszyliśmy mu z Simonem – udaliśmy się do koszar w rzezonym mieście, gdzie poinformowano nas, że od jakichś trzech, czterech lat szkoła przyjmuje jedynie „tubylców”; skierowano nas do Szarszalu. Jeana-Christophe’a nie było ani w szkole wojskowej w Szarszalu, ani w Al-Kulai. Kołataliśmy do różnych drzwi, dowiadywaliśmy się w garnizonach w Algierze, w Al-Bulajdzie – bez efektu. Ścigaliśmy zjawę... Wróciliśmy do Río z niczym, za to kompletnie wykończeni. Fabrice i Simon ciągle nie wiedzieli, dlaczego najstarszy z naszej paczki wybrał takie rozwiązanie. Podejrzewali zawód miłosny, lecz nie byli pewni. Emilie nie sprawiała wrażenia, że czemuś jest winna. Widywano ją a to w księgarni, gdy pomagała pani Lambert, a to na głównej ulicy miasteczka, jak melancholijnym wzrokiem oglądała wystawy. Decyzja Jeana-Christophe’a niejednego wszakże dręczyła. Zaciągnięcie się do wojska nie przysłoby do głowy żadnemu chłopakowi z Río Salado; nie nadawaliśmy się do tamtego świata, toteż trudno nam było nie łączyć wyboru Jeana-Christophe’a z absurdalną przemożną potrzebą samobiczowania. W żadnym jego liście ani razu nie dało się wyczuć powodów rozżalenia, które doprowadziły do tego, że zrezygnował z wolności osobistej, z rodziny i życia w miasteczku, aby bez reszty się podporządkować regulaminom wojskowym oraz zgodzić

na nieustanne pozbawianie indywidualności i wykonywanie rozkazów.

List adresowany do Simona był ostatni.

Ja listu od Jeana-Christophe'a nigdy nie otrzymałem.

Emilie nadal do mnie przychodziła. Czasami tkwiliśmy naprzeciwko siebie bez słowa, nawet bez powitania. Co tu można było więcej mówić?

Co najważniejsze już powiedzieliśmy sobie. W jej mniemaniu potrzebowalem czasu, ona zaś musiała się uzbroić w cierpliwość; dla mnie to, co proponowała, było nierealne, tylko jak jej to uświadomić, nie urażając i nie wprawiając w poruszenie całego miasteczka? Taki związek był niemożliwy, wbrew naturze. Czulem się zdeprymowany. Nie wiedziałem, co począć. Dlatego milczałem. Emilie jakoś to znosiła; nie próbowała zmienić ustalonego porządku, choć równocześnie za wszelką cenę starała się utrzymywać ze mną kontakt. Uważała, że obwiniam się o to, co zrobił Jean-Christophe, że w końcu sumienie przestanie mnie dręczyć, że jej wielkie oczy z czasem, wspomagając się siłą przyzwyczajenia, poradzą sobie z moimi zahamowaniami. Odkąd do miasteczka dotarła wieść, że Jean-Christophe jest cały i zdrowy, napięcie między nami odrobinę zmalało... aczkolwiek naszych stosunków z całą pewnością nie dało się nazwać normalnymi. Jeana-Christophe'a nie było w Río, lecz jego nieobecność wydrążyła dzielącą nas przepaść, kładła się cieniem na naszych myślach, przyćmiewała zamiary. Emilie czytała to z mojej twarzy. Przychodziła zdeterminowana, dzierząc wszystkie swoje nocne przemyślenia na mój temat, po czym w chwili prawdy tchórzyła; nie śmiała więcej brać mnie za rękę albo kłaść mi palec na ustach.

Wymyślała sobie jakieś niesłychane dolegliwości, prosiła o lekarstwo, by usprawiedliwić swoją obecność w mojej aptece. Zapisywałem w rejestrze jej zamówienie, obsługiwałem ją, kiedy produkt był dostępny, i tyle. Pozwalała sobie na kilkuminutowe zastanowienie, rzucała jedną czy drugą refleksję, jedno czy drugie pytanie dotyczące stosowania leku, po czym wychodziła. W gruncie rzeczy liczyła, że coś we mnie drgnie, coś się odblokuje, i czekała na to rozpaczliwie, by znów otworzyć przede mną serce; w żaden sposób jej nie zachęcałem. Udając, że nie zauważam jej milczącej natarczywości, tak mocno zakneblowanej, walczyłem ze sobą, aby nie ulec, miałem bowiem pewność, że gdybym okazał choćby cień słabości, wykorzystaby sytuację i podjęłaby na nowo to, co z takim trudem usiłowałem jej wyperswadować.

Podczas tych jej prymitywnych manewrów, których nie mogłem znieść, udawałem, że niczego nie zauważam, i cierpiałem. Z wizyty na wizytę – a właściwie z rozstania na rozstanie – zauważałem, że Emilie coraz bardziej przenika moje myśli, zdobywa teren, staje się moim centrum zainteresowania. Wieczorem nie zasnąłem, póki nie powspominałem jej gestów i chwil milczenia. W dzień czekałem za kontuarem apteki, żeby się pojawiła; każdy wchodzący klient dokładał cząstkę jej nieobecności, tak że ze zdumieniem stwierdzałem, iż tęsknię za nią, wzdrygałem się, gdy brzęczał dzwonek u wejścia, i denerwowałem się, kiedy nie ona otwierała drzwi. Jakaż przemiana dokonywała się we mnie? Dlaczego byłem na siebie zły, że w y k a z u j ę s i ę r o z s ą d k i e m ? Czy przykładność powinna stać ponad szczerością? Po cóż na świecie miałyby istnieć miłość, gdyby nie radziła sobie z urokami i świętokradztwem, gdyby musiała ulegać zakazom, gdyby nie podporządkowywała się swoim obsesjom, swojemu nieumiarkowaniu?... Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. A cierpienie Emilie wydawało mi się gorsze niż wszystkie odstępstwa od wiary, wszystkie profanacje i wszystkie bluźnierstwa razem wzięte.

– Jak długo to będzie trwało, Junus? – zapytała w końcu.

– Nie rozumiem, o czym pani mówi.

– No przecież to oczywiste. Mówię o n a s... Jak pan może tak mnie traktować? Już któryś raz przychodzę do tej ponurej apteki, a pan udaje, że nie widzi mojego smutku, wytrwałości,

oczekiwać. Wygląda to, jakby umyślnie pan mnie upokarzał. Dlaczego? Co się panu we mnie nie podoba?

– Chodzi o religię? O to, że ja jestem chrześcijanką, a pan muzułmaninem? Tak?

– Nie.

– Więc o co? Tylko proszę nie mówić, że jestem panu obojętna, że nic pan do mnie nie czuje. Jestem kobietą, mam intuicję. Wiem, że nie w tym leży problem. W ogóle nie pojmuję, jaki problem mógłby w tym być. Już powiedziałam, co do pana czuję. Co jeszcze mam zrobić?

Była dotknięta i rozgniewana zarazem, o krok od łez. Rękami zaciśniętymi w pięści, które trzymała na wysokości piersi, najchętniej pewnie by złapała mnie za gardło i potrząsnęła mną, aż zagrzechotałyby mi kości.

– Przykro mi.

– Co to znaczy?

– Nie mogę.

– Czego pan nie może?

Byłem zakłopotany. I bez cienia wątpliwości nieszczęśliwy. A także zły na siebie: za dwuznaczne zachowanie, za tchórzostwo, za to, że nie potrafię raz na zawsze tego uciąć, by zwrócić wolność i godność tej dziewczynie, która była zakładniczką mojego niezdecydowania, chociaż wiedziałem, że nasza znajomość nie będzie miała ciągu dalszego. Czyż właśnie nie oszukiwałem siebie, nie wystawiałem się na próbę, mimo że ani tu nie było nic do udowodnienia, ani nie miałem żadnych przeszkód do pokonania? Czy to także było samobiczowaniem? Jak to uciąć, samemu się nie raniąc, nie tracąc głowy? Emilie się nie myliła: darzyłem ją potężnym uczuciem. Ilekroć usiłowałem przemówić sobie do rozsądku, serce się we mnie buntowało: nie życzyło sobie, abym je okaleczał. Co począć? Jakaż byłaby ta miłość zbudowana na świętokradztwie, pozbawiona czci i błogosławieństwa? Jakże przetrwałaby niesławę, która by ją splamiła niczym zanieczyszczona woda?

– Kocham pana, Junus... Czy pan mnie słucha?

– Zaraz stąd wyjdę. I więcej nie wrócę. Jeśli czuje pan to samo co ja, wie pan, gdzie mnie znaleźć.

Spod powieki wymknęła się jej łza, której nie otarła. Tonąłem w wielkich oczach Emilie. Powoli zebrała się w sobie, przycisnąwszy drobne dłonie do brzucha, i wyszła.

– Szkoda...

Stryj stał za mną. Chwilę trwało, zanim zrozumiałem, do czego się odnosi. Czy słyszał, cośmy mówili? Nie zniżyłby się do podsłuchiwania przy drzwiach. To nie było w jego stylu. Nasze rozmowy obejmowały wszelkie kwestie z wyjątkiem kobiet. To był temat tabu, a stryj, chociaż erudyta i człowiek wyemancypowany, miał w sobie atawistyczną skromność, która nie pozwoliłaby mu wprost poruszyć tego wątku ze mną. Tradycyjnie w naszej wspólnocie posługiwano się aluzjami albo kimś w zastępstwie, osobą trzecią – stryj wydelegowałby Germaine, aby mnie pouczyła.

– Byłem na zapleczu, a drzwi stały otworem.

– Nie szkodzi.

– Może to i lepiej? Nieumyślny brak dyskrecji może się okazać przydatny. Czy to wiadomo?... Słyszałem rozmowę z tą dziewczyną. Pomyślałem: „Zamknij drzwi”. Ale ich nie zamknąłem. Nie z niezdrowej ciekawości, tylko dlatego, że zawsze lubiłem słuchać głosu serc. Dla mnie nie ma wspanialszej symfonii... Pozwolisz?

– Oczywiście.

– Przerwij mi, kiedy zechcesz, chłopcze.

Usiadł na ławce i zaczął kolejno oglądać własne palce, potem z pochyloną głową rzekł odległym głosem:

– Mężczyzna sprowadza się tylko do niezręczności i błędów, mylnych rachub i fałszywych manewrów, lekkomyślnej brawury i porażki, kiedy kroczy ku swemu przeznaczeniu, nie uwzględniając na swej drodze kobiety... Oczywiście kobieta to nie wszystko, ale wszystko sprowadza się do niej... Rozejrzyj się wokół, sięgnij do historii, przypatrz się, jak jest na całym świecie, i powiedz mi, czym są mężczyźni bez kobiet, czym są ich pragnienia i modlitwy, jeżeli nie do kobiet się odnoszą... Przed żadnym mężczyzną, ani przed bogatym jak Krezus czy ubogim jak Hiob, ani przed uciśnionym czy tyranem, horyzonty nigdy by się nie otworzyły, gdyby kobieta była do niego odwrócona plecami.

Uśmiechnął się jakby do dalekiego wspomnienia.

– Kiedy kobieta nie stanowi najwyższego celu, do którego dąży mężczyzna, kiedy nie jest kresem wszelkiego przedsięwzięcia na tym świecie, życie staje się niewarte ani swoich radości, ani trosk.

Klepnął się w uda i wstał.

– Jak byłem mały, często chodziłem na Wielką Skałę podziwiać zachód słońca. Było to fascynujące. Wierzyłem, że tam oglądam prawdziwe oblicze piękna. Potem zobaczyłem śnieg, który okrył bielą i spokojem pola i lasy, i pałace pośród bajkowych ogrodów, i wiele innych niewyobrażalnych wspaniałości, i zastanowiłem się, jak by to było w raju... – Położył mi dłoń na ramieniu. – Cóż, raj bez hurys byłby tylko martwą naturą...

Z jego palców po całym moim ciele rozchodziły się wibracje, przenikając w głąb jestestwa. Niczym salamandra stryj odradzał się; w ogniu; starał się przekazać mi cud swojego ożycia. Oczy niemal mu wychodziły z orbit, kiedy jakby w bólach wypowiadał kolejne słowa:

– Zachód słońca, wiosna, błękit morza, gwiazdy nocą, to wszystko, co nazywamy zachwycającym, jest magiczne tylko wtedy, gdy grawituje wokół kobiety, chłopcze... Bo pięknem, tym pięknem prawdziwym, jedynym, pięknem, które oślepia swoim blaskiem, pięknem absolutnym jest kobieta. Reszta, cała reszta to tylko dodatki stanowiące o jej uroku.

Drugą rękę położył mi na wolnym ramieniu. Szukał czegoś w głębi moich oczu. Niemal stykaliśmy się nosami, nasze oddechy się mieszały. Nigdy go nie widziałem w takim stanie – no może tylko w dniu, kiedy przyprowadził Germaine, aby jej oznajmić, że jego bratanek stał się ich synem.

– Gdyby kobieta cię pokochała, Junus, gdyby cię pokochała naprawdę głęboko i gdybyś miał dość rozumu, żeby ogarnąć bezmiar tego przywileju, żadne bóstwo nie sięgałoby ci do pięt.

Zanim odszedł do gabinetu, już z ręką na poręczy schodów powiedział:

– Biegnij za nią... Na pewno kiedyś uda się złapać kometa, ale kto przepuszcza koło nosa swoją prawdziwą życiową szansę, ten nie zazna pocieszenia, nawet jeśli mu przypadną w udziale wszystkie zaszczyty świata.

Nie posłuchałem go.

Fabrice Scamaroni pojął za żonę Hélène Lefèvre w lipcu 1951 roku. Uroczystość była wspaniałą; zjawilo się tylu gości, że przyjęcie ślubne odbyło się na dwie raty. Pierwsza była dla weselników z miasta oraz ludzi z branży – całej gromady dziennikarzy, w tym zespołu redakcyjnego pisma „L’Echo d’Oran”, a także dla artystów, sportowców i sporej części orańskiej śmietanki towarzyskiej, w której gronie znalazł się pisarz Emmanuel Roblès. Ta część weseliska miała miejsce w Ajn at-Turku, u bogatego przemysłowca będącego bardzo blisko z panią Scamaroni, w rozległej posiadłości z dostępem do morza. Nieswojo się czułem na tym przyjęciu. Była na nim

Emilie z Simonem jako swoją parą. Była także pani Cazenave – nieco zagubiona. Jej interesy z Simonem rozwijały się znakomicie: dom mody, który założyli, ubierał już najbiedniejszych mieszkańców Río Salado i Hammam Bu Hadżaru i mimo naprawdę zażartej konkurencji podbijał stopniowo wyższe sfery Oranu. W trakcie lekkiej przepychanki koło bufetu Simon nadepnął mi na nogę. Nie przeprosił. Z tacą na przedramieniu rozejrzał się po tłumie w poszukiwaniu Emilie i ruszył prosto w jej stronę. Co mu naopowiadała na mój temat? Dlaczego człowiek, który był moim przyjacielem od zawsze, zachowywał się teraz tak, jakby mnie tam nie było?

Byłem zbyt zmęczony, żeby go zapytać.

W części drugiej wesela uczestniczyli mieszkańcy Río Salado. Nasze miasteczko życzyło sobie we własnym gronie uczcić gody swojego cudownego dziecka. Pepe Rucilio ofiarował pięćdziesiąt baranów i sprowadził z Sabdu najlepszych speców od maszwijji. Jaime Jimenez Sosa, ojciec Andrégo, oddał do dyspozycji Scamaronich wysadzaną palmami rozległą część swojej posiadłości, którą udekorowano jedwabiami i girlandami, zaopatrzone w tapicerowane ławy i bufety uginające się od wiktuałów i kwiatów. Pośrodku dziedzińca wzniesiono ogromny namiot wyłożony dywanami i rozlicznymi poduszkami. Obsługę, złożoną z Arabów i czarnoskórych młodych piękniśków, ubrano w stroje eunuchów: haftowane kaftany, bufiaste szarawary sięgające kostek i szafranowe turbany błyszczące od zdobień. Robiło to wrażenie, jakbyśmy się znaleźli w czasach „Baśni z tysiąca i jednej nocy”. Tam również czułem się nieswojo. Emilie nie odstępowała Simona na krok, a pani Cazenave bez ustanku mnie pilnowała, bojąc się widocznie wybuchu zazdrości. Wieczorem renomowana arabsko-żydowska orkiestra sprowadzona z Konstantyny, legendarnego wiszącego miasta, uraczyła zgromadzonych repertuarem zapierającym dech w piersiach. Słuchałem muzyki jednym uchem, siedząc na skrzynce pod mleczną żarówką jak najdalej od weselników. Kiedy Dżallul przyniósł dla mnie talerz z pieczenią z rusztu, szepnął mi na ucho, że tkwię tu jak uosobienie smętku i na mój widok może się odechcieć wszystkiego. Zdałem sobie sprawę, że faktycznie minę mam niezbyt zachęcającą i że zamiast siedzieć tu i psuć zabawę setkom gości, powinienem lepiej wrócić do domu. Tyle że byłoby to bardzo nierozsądne: Fabrice gotów by się obrazić, a nie chciałem j e g o t a k ż e stracić.

Jean-Christophe wyjechał, Fabrice się ożenił, Simon stał się nieuchwytny, odkąd wszedł w spółkę z panią Cazenave – mój świat się wyludniał. Wstawałem wcześniej rano, przez cały dzień siedziałem w aptece; później, po zamknięciu i spuszczeniu żaluzji, nie wiedziałem, co począć z wieczorem. Początkowo zachodziłem do baru Andrégo na trzy, cztery partyjki bilardu z Josem, wracałem do domu i po zapadnięciu nocy nie odważałem się wyjść na ulicę. Udawałem się do swojego pokoju, otwierałem jakąś książkę i kilka razy czytałem ten sam akapit, nie rozumiejąc, o czym jest. Nie potrafiłem się skupić. Nawet obsługując klientów. Ileż to razy źle odczytałem bazgrały lekarza na recepcie, wydałem niewłaściwy preparat albo tkwiłem jak słup przed półkami, nie mogąc sobie przypomnieć, gdzie stoi takie czy inne lekarstwo? W czasie posiłków Germaine regularnie szczypała mnie pod stołem, żebym się ocknął, bo z tego roztargnienia zapominałem o jedzeniu. Stryj martwił się, lecz nic nie mówił.

Potem sprawy nabrały tempa. Ponieważ byłem zbyt ospały, żeby za nimi nadążyć, wyprzedziły mnie znacznie, przestały się ze mną liczyć. Fabrice doczekał się pierwszego dziecka, uroczego rumianego puciołowatego szkraba, i wraz z rodziną przeprowadził się do Oranu. Niebawem jego matka sprzedała nieruchomości w Río i przeniosła się do Ajn at-Turku. Kiedy przechodziłem koło ich cichego, zamkniętego na cztery spusty domu, ścisnęło mnie w gardle. Oto pewna część mojego życia nie odpowiadała na wezwanie, zniknęła jedna z wysepek mojego archipelagu. Zacząłem chodzić innymi ulicami. Okręzać cały kwartał. Zachowywać się tak, jakby ta część miasteczka w ogóle nie istniała... André tymczasem ożenił się ze starszą o trzy lata

kuzynką i razem polecili do Stanów. Mieli tam spędzić cztery tygodnie; tymczasem ich miesiąc miodowy przedłużał się w nieskończoność. Tylko José został w barze, który już nie przyciągał ludzi tak jak wcześniej, klientom bowiem spowszedniało tłuczenie w bilard od rana do wieczora.

Nudziłem się.

Na plażę mnie nie ciągnęło. Przyjaciele rozpięchli się po święcie, toteż gorący piasek nie potrafił już uwodzić rozkoszami błogiego leniuchowania, a fale zmywały jedno po drugim moje marzenia teraz, gdy nie miałem z kim się nimi podzielić. Często nie chciało mi się nawet wysiadać z samochodu. Wolałem posiedzieć za kierownicą auta zaparkowanego na szczycie falezy, zapatrzonej w milczące skały, o które rozbijały się fale, udając gejzery. Bywało, że godzinami tak tkwiłem w cieniu drzewa z rękami na kierownicy albo odrzuconymi za oparcie fotela. Nawoływania mew i krzyki dzieci wzbijały się pośród moich trosk i sprawiały, że ogarniał mnie swoisty wewnętrzny spokój, który rozplątywał się dopiero późną nocą, kiedy na plaży nie żarzył się ani jeden ognik papierosa.

Przychodziło mi do głowy, by wrócić do Oranu. Río Salado źle mnie usposabiało. Pogubiły mi się punkty odniesienia, nie kusily mnie atrakcje miasteczka. Obracałem się w jakimś świecie równoległym. Widziałem, że ludzie są ci sami, patrzyłem na znajome twarze, ale bałem się, iż jeśli wyciągnę rękę, aby ich dotknąć, napotkam tylko powietrze. Pewien etap się zakończył; jedna epoka była już zamkniętą kartą, ja zaś stałem przed kolejną, pustą, frustrującą, niemilą w dotyku. Musiałem nabrać do wszystkiego dystansu. Zmienić otoczenie, znaleźć się pod innym niebem i z widokiem na inny horyzont. A nawet – bo i czemu nie? – zburzyć za sobą mosty, które prowadziły donikąd.

Czułem się samotny.

Myślałem o tym, by poważnie zająć się poszukiwaniem mojej matki i siostry. Boże! jakże mi ich brakowało! Bez nich byłem jak okaleczony, nie mogłem się pogodzić z ich nieobecnością. Przy różnych okazjach już wcześniej bywałem czasem w Jenane Jato w nadziei, że uzyskam jakiś strzęp informacji, który naprowadzi mnie na trop. Ale i w tym się przeliczyłem. W tamtych czasach każdy walczył o przetrwanie. Inne były priorytety. Wszystkim się spieszyło. Każdy coś tworzył. Któż by pamiętał o porzuconej nędzarce z głuchoniemą córką? Ludzie mieli inne rzeczy na głowie. Zbyt wielu przybyszów ściągało w dzień i w nocy do Jenane Jato. Niegdysiejsze szemrane rejony usadowione za krzakami i wzgórzami przemieniały się w prawdziwą dzielnicę Oranu z hałaśliwymi zaułkami, dokuczliwymi furmanami, czujnymi sklepikarzami, pękającymi w szwach łaźniami, asfaltowymi jezdniami i palarniami. Kuternoga trwał na posterunku otoczony teraz przez konkurentów. Balwierz już nie golił głów starcom pod gołym niebem – miał nieduży murowany salon, a w nim lustro na ścianach, fotel obrotowy, umywalkę i mosiężną etażerkę na przybory. Nasze dawne podwórko odnowiono z góry na dół; Blis pośrednik na powrót wziął sprawy w swoje ręce. Oświadczył mi, że nawet gdyby stanął twarzą w twarz z moją matką, i tak by jej nie rozpoznał, ponieważ nigdy się do niej nie zbliżył. Nikt nie wiedział, gdzie się podziewa moja matka i siostra, nikt ich nie widział od tamtego tragicznego dnia. Udało mi się dotrzeć do Batul wróżki: zamieniła karty i magiczny rondel na księgi handlowe i znacznie lepiej zarządzała swoimi interesami niż ongiś ludzkimi lękami. Ponieważ jednak w jej łaźniach panował wieczny tłok, obiecała, że da mi znać, jeśli tylko pojawi się jakiś świeży trop – od dwóch lat nie dawała znaku życia.

Sądziłem zatem, że dzięki wznowieniu poszukiwań oderwę się od dojmującej udręki, która mnie nękała po tym, co się stało z Jeanem-Christopheem, od dokuczliwego poczucia pustki, od bezdennej żalości, która kładła mi się brzemieniem na barki, ilekroć pomyślałem o Emilie. Nie mogłem dłużej znieść życia w tym samym miejscu co ona, mijać jej na ulicy i iść dalej jakby nigdy nic, skoro niepodzielnie rządziła moimi dniami i nocami. Teraz, gdy już mnie nie

nachodziła, zacząłem w pełni odczuwać brzemię wyizolowania. Wiedziałem, że jej rana długo się jeszcze nie zasklepi, jakże jednak miałem temu zaradzić? Emilie w żadnym razie mi nie wybaczy. Już wyczuwałem w niej żal. Potworny. Myślę nawet, że nienawidziła mnie. Taką miała w oczach zachłanność, że ukąszenia czułem gdzieś w głębi mózgu. Nie musiała nawet podnosić wzroku. Starła się tego zresztą nie robić; na próżno jednak wpatrywała się w coś innego, w ziemię lub w niebo – wyraźnie czułem tłący się w głębi jej spojrzenia żar podobny do morza lawy, której nie schłodziłyby ani hektolitry wody, ani otchłanne ciemności.

Posiłałem się wczesnym popołudniem w restauracyjce przy promenadzie nadmorskiej w Oranie, kiedy ktoś zapukał w wielką szybę. Simon Benyamin okutany w płaszcz, z brodą ukrytą w szaliku, początkami łysiny nad czołem.

Nie posiadał się z radości.

Zobaczyłem, że biegnie do wejścia i stamtąd w moim kierunku, ciągnąc za sobą falę chłodu.

– Chodź – powiedział. – Zabieram cię do prawdziwej restauracji, gdzie ryba jest jędrna jak dupcia nastolatki.

Zauważyłem, że prawie skończyłem jeść. Skrzywił się zawiedziony, zrzucił płaszcz i szalik i zasiadł naprzeciwko.

– Co dobrego dają w tym kicimęcie?

Przywołał kelnera, zamówił szaszłyki jagnięce, zieloną sałatę i małą butelkę czerwonego wina; następnie z zadowoleniem zacierając ręce, zagadnął:

– Każesz się prosić czyś się na mnie obraził?... Niedawno w Lourmel machałem do ciebie, a ty nic.

– W Lourmel?

– No... W zeszły czwartek. Wychodziłeś z pralni.

– W Lourmel jest pralnia?

Nie przypominałem sobie. Od jakiegoś czasu zdarzało mi się wskoczyć w auto i jechać gdzie oczy poniosą. Dwa razy znalazłem się w Tilimsanie, w samym środku zgiełkliwego suku, nie wiedząc ani jak, ani po co tam dotarłem. Cierpiałem na dzienny somnambulizm, który wiódł mnie w nieznanne miejsca. Kiedy Germaine pytała, gdzie się podziewałem, czułem się, jakbym się wynurzał z głębokiej studni z białą plamą w pamięci.

– Na dodatek cholernie schudłeś. Co się dzieje?

– No właśnie, Simon, też się zastanawiam... A co z tobą? Co u ciebie słychać?

– Wszystko w porządku.

– To czemu odwracasz głowę, jak mnie mijasz na ulicy?

– Ja?... Dlaczego miałbym się odwracać od przyjaciela?

– Różnie to bywa z humorami. Od przeszło roku ani razu nie wpadłeś do mnie.

– Wszystko przez te interesy. Rozkręcam je na całego, a konkurencja okrutna. Każda zdobyta piędź terenu kosztuje mnie kawałek skóry. Dużo więcej niż w Río siedzę w Oranie, walcząc z tymi łupieżcami i rywalami. A ty coś myślał? Ze się wywyższam?

Otarłem usta serwetką. Drażniła mnie ta rozmowa. Za dużo w niej pobrzmiewało fałszu. Nie podobały mi się besztania Simona. To nie był mój Simon, dusza towarzystwa, mój powiernik i sprzymierzeniec. Nowa pozycja społeczna oddaliła go ode mnie. Może zazdrościłem mu sukcesu, błyszczącego nowością samochodu, który chętnie zostawiał na rynku, by dzieciarnia się do niego zbiegała, coraz gładszej cery i malejącego brzucha? Może miałem mu za złe, że wszedł w spółkę z panią Cazenave?... Nie, nieprawda! To ja się zmieniłem. Jonas zniknął, na wierzch wychodził Junus. Urazy zaczynały nade mną dominować. Stałem się zły. Zły do szpiku kości. Tę niegodziwość skrywałem głęboko, nigdy jej nie ujawniałem, ona jednak dokuczała mi jak niestrawność. Nie mogłem teraz znieść przyjęć, ślubów, zabaw, ludzi siedzących przy stołach na

tarasach. Alergicznie reagowałem na ich pocziwość. I nienawidziłem!... Nienawidziłem pani Cazenave. Nienawidziłem jej ze wszystkich sił. Nienawiść to niszczycielska trucizna: zżera cię od środka, zadomawia się w głowie, opętuje cię niczym dzinn. Jak to się stało, że do tego doszło? Cóż spowodowało, że wypielegnowałem w sobie obrzydzenie do kobiety, która nic już dla mnie nie znaczyła?... Kiedy człowiek nie potrafi zaradzić swojemu nieszczęściu, szuka winnego. W moim przypadku pani Cazenave była winna niejako z urzędu. Czyż nie uwiodła mnie i nie porzuciła? Czyż nie z powodu owego „epizodu bez przyszłości” zostałem zmuszony do rezygnacji z Emilie?

Emilie!

Na samą myśl o niej miękły mi nogi w kolanach...

Kelner przyniósł bułeczkę z białej mąki, sałatę z dodatkiem czarnych oliwek i korniszonów. Simon podziękował, stanowczo poprosił, by jak najszybciej podano mu szaszłyki, bo jest umówiony, przełknął ze trzy kęsy, mlaskając, po czym nachylił się do mnie nad talerzem i cicho, jakby się obawiał, że ktoś usłyszy, rzekł:

– Zastanawiasz się pewnie, czemu jestem taki podniecony, co?... Możesz zatrzymać przy sobie to, co ci powiem? Wiesz, jacy są ludzie, zaraz krzywo patrzą...

Jego ekscytacja opadła nieco wobec mojej obojętności. Zmarszczył brwi.

– Coś ukrywasz przede mną, Jonas. Coś poważnego.

– Nie, no, tylko stryj...

– Na pewno nie boczysz się na mnie o coś?

– Czemu miałbym się na ciebie boczyć?

– No wiesz, ja tu się szykuję, żeby się podzielić z tobą kapitalną wieścią, a ty prezentujesz taką minę, że czołg by dostał uwiadu...

– Gadaj. Może to mi poprawi humor.

– Na to liczę, stary... Wyobraź sobie, że pani Cazenave zaproponowała mi rękę swojej córki, a ja się zgodziłem... Tylko cicho sza! To jeszcze nieoficjalna wiadomość.

Koniec świata!

Moje odbicie w szklanej ścianie mówiło, że przyjąłem cios obojętnie, lecz wewnątrz... masakra.

Simon dygotał ze szczęścia – on, który nazywał Emilie „modliszką”, „flirciarą”! Przestałem słyszeć, co mówi, widziałem tylko jego błyszczące oczy, lśniące od oliwy roześmiane usta, ręce, które odrywały kawałek pieczywa, wahały się między nożem a widelcem, i ramiona podrygujące w radosnej ekscytacji... Zmiótł szaszłyki, wypił kawę, wypalił papierosa, nie przestając gadać. Podniósł się z miejsca, powiedział coś, czego nie usłyszałem poprzez nieprzerwany gwizd rozbrzmiewający mi w uszach. Wyszedł z restauracji, po drodze wkładając płaszcz, z ulicy kiwnął do mnie przez szybę i znikł...

Siedziałem przy stoliku jak przyspawany do krzesła, z pustką w głowie. Oprzytomniałem, dopiero gdy kelner przyszedł powiedzieć, że zamykają lokal.

„Projekt” Simona niedługo się uchował w sekrecie. Kilka tygodni wystarczyło mu na tajne pertraktacje. W Río Salado ludzie go pozdrawiali, gdy jechał samochodem. „Cholerny szczęściarz!” – wołano za nim z dobroduszością wypisaną na twarzy. Dziewczęta publicznie składały gratulacje Emilie. Złośliwcy dawali do zrozumienia, że pani Cazenave tanio sprzedała własną córkę; rozsądniejsi już się szykowali na wesele, które obiecywał szczęśliwy wybranek.

Jesień czmychnęła na paluszkach, po niej nastąpiła wyjątkowo ostra zima. Wiosna zapowiadająca skwarne lato okryła łąki jaskrawą zielenią. Rodziny Cazenave ow i Benyaminów postanowiły, że zaręczyny ich dzieci odbędą się w maju, a ślub po pierwszym winobranii.

Kilka dni przed zaręczynami, gdy już miałem opuścić na wejściu żaluzję, dopadła mnie Emilie i wepchnęła z powrotem do apteki. Przekradła się pod ścianami jak złodziejka, by nie zwrócić uwagi plotkarzy. W charakterze przebrania miała na sobie wiejską chustę, pospolitą szarą suknię i buty na płaskim obcasie.

Z przejścia zwracała się do mnie per ty.

– Przypuszczam, że wiesz o wszystkim. Matka m n i e zmusiła. Chce, żebym wyszła za Simona. Nie mam pojęcia, jak jej się to udało, ale nic jeszcze nie jest przesądzone... Bo w s z y s t k o zależy od ciebie, Junus.

Była blada.

Zeszczuplała, oczu o mlecznych gałkach nie potrafiła na niczym zatrzymać.

Chwyciła mnie za ręce w przegubach, przyciągnęła do siebie, drząc od stóp do głów.

– Powiedz... – wytchnęła. – Powiedz „tak”, a odwołam w s z y s t k o .

Strach ją szpecił. Można by przysiąc, że dopiero co wstała z łóżka po ciężkiej chorobie. Rozczochrane włosy wymykały jej się spod chustki. Policzki drgały spazmatycznie, a czujne oczy nie wiedziały, czy mają patrzeć na mnie czy na ulicę. Którędy ona szła? Buty miała białe od pyłu; sukienka pachniała liśćmi winorośli; szyja błyszczała od potu. Pewnie okrążyła miasteczko i poszła na przełaj przez pola, by dotrzeć do apteki niepostrzeżenie dla mieszkańców okolicy.

– Powiedz „tak”, Junus. Powiedz, że kochasz mnie tak samo jak ja ciebie, że jestem dla ciebie tak samo ważna jak ty dla mnie, przytul mnie i trzymaj tak do końca świata... Junus, jesteś przeznaczeniem, które chciałabym przeżyć, ryzykiem, które chciałabym podjąć... Gotowam iść za tobą na koniec świata... Kocham cię... Dla mnie nie ma niczego ani nikogo ważniejszego niż ty... Na miłość boską, powiedz „tak”...

Nie odezwałem się słowem. Byłem oszołomiony. Zdrętwiały. Oszupiały. Absolutnie oniemiały.

– Czemu nic nie mówisz?

– No powiedz coś, do diabła!... Mów!... Powiedz „tak” albo „nie”, tylko nie stój tak... Co ci jest? Odebrało ci mowę?... Nie dręcz mnie, powiedz coś, do licha!

Mówiła coraz głośniej. Nie mogła ustać w miejscu. Oczy zaczynały jej płonąć.

– Jak mam to rozumieć, Junus? Co oznacza twoje milczenie? Ze idiotka ze mnie?... Jesteś potworem... potworem...

Zaczęła mnie okładać pięściami w żalosznej furii.

– Nie ma w tobie ani krzty litości, Junus. Poznanie ciebie to najgorsze, co mnie spotkało.

Bila mnie po twarzy, rękach, piersi, głucho krzycząc, by przyćmić szloch. Byłem zamroczony. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Wstyd mi było za to, co przeze mnie znosi, wstyd, że stoję jak manekin pośrodku apteki.

– Przeklinam cię, Junus. Nie wybaczę ci tego nigdy... nigdy...

I wybiegła.

Nazajutrz jakieś chłopię przyniosło mi paczkę. Malec nie powiedział, kto jest nadawcą. Odwinąłem papier z ostrożnością saperską. Przecucie mi mówiło, że powinienem uważać na zawartość przesyłki. W paczce znajdowała się książka geograficzna poświęcona Karaibom. Odchyliłem okładkę i natrafiłem na pozostałości róży starej jak świat; róży, którą wieki wcześniej wsunąłem do tej książki, podczas gdy Germaine na zapleczu zajmowała się Emilie.

W wieczór zaręczyn przebywałem w Oranie u rodziny Germaine. Na użytek Simona, któremu zależało, abym był z nim wraz z Fabrice’em, wymyśliłem uczestnictwo w pogrzebie.

Ślub odbył się zgodnie z planem na początku winobrania. Tym razem Simon bardzo nalegał, abym nie wyjeżdżał z Río, cokolwiek będzie się działo. Zobowiązał Fabrice’a, by mnie

przypilnował. Nie miałem zamiaru de z e r t e r o w a ć . Nie musiałem. To by było śmieszne. Co by pomyśleli mieszkańcy miasteczka, przyjaciele, zawistnicy? Jakże się wymówić, nie budząc podejrzeń? I w ogóle czy uczciwie byłoby wzbudzić podejrzenia? Simon w niczym tu nie zawinił. Tylko by się wpienił, tak jak się wpienił przy okazji ślubu Fabrice'a. Na kogo bym wyszedł, gdybym zepsuł mu jeden z najszcześniejszych dni?...

Kupiłem garnitur i buty na tę uroczystość.

Kiedy orszak ślubny w zgiełku klaksonów przejechał przez miasteczko, włożyłem garnitur i pieszo się udałem do dużego białego domu przy drodze do marabutu. Jeden z sąsiadów zaproponował, że zabierze mnie samochodem; podziękowałem. Potrzebowałem się przejść, dostosować krok do rytmu moich myśli, stawić czoło wszystkiemu po kolei w pełnej przytomności.

Niebo było zaciągnięte, zimny wiatr chłostał mi twarz. Wyszedłem z miasteczka, minąłem cmentarz żydowski i dotarłszy do drogi do marabutu, przystanąłem, by popatrzeć na światła przyjęcia.

Zaczęła siąpić drobna mżawka, jakby chciała mnie przywołać do opamiętania.

Człowiek uświadamia sobie, że coś jest nieodwracalne, dopiero kiedy to się stanie. Nigdy dotąd ciemność nie wydała mi się tak złym zwiastunem, a przyjęcie tak nieuzasadnione i przykre. W dolatującej moich uszu muzyce pobrzmiwał ton inkantacji; zaklinała mnie niczym demona. Ludzie, którzy bawili się przy orkiestrze, wykluczali mnie ze swojego towarzystwa. Mierzyłem rozmiary szkód, które spowodowałem... Dlaczego? Dlaczego musiałem przejść tak blisko szczęścia i nie odważyłem się go schwycić? Jakiegoż to bulwersującego czynu się dopuściłem, że w odwecie to co najpiękniejsze wyciekło mi przez palce jak ciepła krew z rany? Czymże jest miłość, skoro może tylko potwierdzać powstałe szkody? Czymże są mity i legendy o niej, jej zwycięstwa i cuda, skoro kochankowie nie są zdolni przejść samych siebie, stawić czoła gromowi z nieba, zrezygnować z wiecznej radości dla jednego pocałunku, jednego uścisku, jednej chwili przy ukochanej osobie?... Rozgoryczenie napęniało mi żyły jadłem, ścisnęło serce obrzydliwym gniewem. Byłem na siebie zły, że jestem jak niepotrzebny tobołek porzucony przy drodze.

Wróciłem do domu zamroczony rozpaczą, szukając oparcia w murach, aby nie upaść. Nawet mój pokój z trudem mógł mnie strawić. Osunąwszy się na drzwi, z zamkniętymi oczami i brodą wzniesioną ku sufitowi nasłuchiwałem, jak trącają o siebie wszystkie włókna mojego ciała, potem chwiejnym krokiem ruszyłem do okna; ale nie szedłem przez swój pokój – przemierzałem pustynię.

Błyskawica naraz przecięła ciemności. Padał łagodny deszcz. Szyby były zapłakane. Nie przywykłem oglądać, jak szyby płaczą. To był zły znak, najgorszy ze wszystkich. Powiedziałem sobie wtedy: „Uważaj, Junus, właśnie rozczulasz się nad swoim losem”. I cóż z tego? Czyż nie to właśnie widziałem: płaczące szyby? C h c i a ł e m widzieć łzy na szybach, rozczulać się nad swoim losem, zadawać sobie gwałt, ciałem i duszą scalić się z dręczącym mnie bólem.

Może tak jest lepiej, powtarzałem sobie. Emilie nie była mi przeznaczona. Przecież to takie proste. Nie da się zmienić biegu tego, co zostało zapisane... Bzdura!... Później, dużo później doszedłem do tej prawdy: nic nie jest z a p i s a n e . W przeciwnym razie bieg rzeczy nie miałby racji bytu; moralność byłaby jedynie starą kłepą i żaden wstyd nie wywoływałby rumieńca w obliczu zasługi. Są naturalnie rzeczy, które nas przerastają, ale w większości przypadków pozostajemy kowalami własnych nieszczęść. Swoje błędy stwarzamy własnoręcznie i nikt nie może się chlubić, że jest mniej godzien pożałowania niż jego sąsiad. Jeśli zaś chodzi o to, co nazywamy fatum... cóż, sprowadza się ono do tego, że z uporem nie zgadzamy się ponosić konsekwencji swoich mniejszych i większych słabości.

Germaine zastała mnie przy oknie z nosem przyklejonym do szyby. Choć raz nie przeszkodziła mi w przeżywaniu smutku. Wycofała się na palcach i bezgłośnie zamknęła za sobą drzwi.

Myślałem o Algierze. O Bidżai. O Timimunie. Wskoczyć do pociągu i dać się wywieźć daleko od Río Salado. Wyobrażałem sobie siebie w Algierze. W Bidżai. W Timimunie. Ani razu nie widziałem siebie, jak wałęsam się po ulicach, kontempluję morze, siedząc na skale, medytuję w grocie u stóp ergu... Miałem do uregulowania rachunki ze sobą. Bo przed sobą nie da się uciec. Mogłem wsiadać do wszystkich pociągów świata, do wszystkich samolotów, na wszystkie statki i zawsze włókłbym ze sobą to coś nieokiełzanego, co sączyło we mnie żółć. Nie mogłem jednak dłużej przetrwać rozgoryczenia w kącie swojego pokoju. Musiałem wyjechać. Gdzie bądź. Daleko. Albo do sąsiedniego miasteczka. To nie miało znaczenia. Byłe gdzie indziej. W Río Salado nie mogłem żyć, odkąd Simon poślubił Emilie.

Pamiętałem pewnego rozczochranego szaleńca, który na suku w Jenane Jato codziennie głosił dobrą nowinę. Był to tyczkowaty człowiek chudy jak szczapa, przyodziany w starą sutannę ściągniętą w pasie sznurem od zasłony. Wspinał się na jakiś kamień i grzmiał: „Nieszczęście to ślepy zaułek. Prowadzi do ściany. Jeśli chcesz się z niego wydostać, musisz wrócić tyłem. W ten sposób pozostając przodem do nieszczęścia, będziesz myślał, że to ono się oddala”.

Wróciłem do Oranu. Do zamożnej dzielnicy stryja. Być może chciałem się cofnąć do czasów szkolnych, a potem, mądrzejszy i przygotowany, wrócić do teraźniejszości świeży na ciele i umyśle, dysponując szansami jeszcze nietkniętymi i czujnością, która by pozwoliła ich nie zaprzepaścić... Dom stryja nie ukoił moich ran. Przemalowany na zielono stał mi się obcy ze wzmocnioną bramą, murkiem ogrodzenia pozbawionym bugenwilli i zamkniętymi okiennicami; nigdzie nie rozbrzmiewały moje dziecięce krzyki...

Zastukałem do domu naprzeciwko; nie Lucette mi otworzyła. „Wyprowadziła się – powiedziała jakaś nieznajoma. – Nie, nie zostawiła adresu”.

A to pech!

Kręciłem się po mieście bez celu. Ze stadionu piłkarskiego wzbil się krzyk. Nie zagłuszył zgiełku, który rozlegał się we mnie. W Madina Dżadida – czarnej wiosce, w której zepchnięci tam Arabowie i Kabyłowie byli bielsi od samych białych – usiadłem na tarasie kawiarni i bez wytchnienia obserwowałem tłum na bazarze Tahtaha, święcie wierząc, że w końcu dojrzę tam zjawę mojego ojca w grubym zielonym płaszczu... Białe burnusy przewijały się pośród hord żebraków. Odbudowywał się oto świat w swoim odwiecznym autentyzmie – świat z bazarami, łaźniami, sklepikami, małutkimi zakładami zabiedzonych złotników, szewców, krawców. Madina Dżadida nie opuściła rąk. Przetrwała cholere, wypłenianie wiary, poniżenia, była zawsze muzulmańska i arabsko-berberyjska do szpiku kości. Osłonięta mauretańskimi barykadami, chroniona przez meczety, niezmiennie stała ponad niedolami i obelgami, zachowała godność i odwagę, pozostała piękna mimo wybuchających fermentów, dumna ze swoich rzemieślników, zespołów folklorystycznych, jak Ashab al-Baroud, oraz z „Rakba” wielbionych mięśniaków albo honorowych kuglarzy o niesłychanej charyzmie, którzy czarowali dzieciarnię i nieskromne kobiety i dawali poczucie bezpieczeństwa maluczkiemu w dzielnicy. Jakże zdołałem się dotąd obywać bez tej części siebie? Powinienem był regularnie tutaj przyjeżdżać, by sklejać pęknięcia w sobie, wykuwać swoje przekonania. Teraz, gdy z Río Salado straciłem wspólny język, jakim powinienem się posługiwać? Uświadomiłem sobie, że oszukiwałem się na całej linii. Kim byłem w Río? Jonasem czy Junusem? Dlaczego kiedy moi koledzy szczerze się śmiali, mój śmiech rozlegał się na końcu? Dlaczego wiecznie odnosiłem wrażenie, że wykrawam sobie miejsce

wśród przyjaciół, że czemuś jestem winny, gdy natrafiałem na spojrzenie Dżallula? Czy byłem tolerowany, zasymilowany, obłaskawiony? Co mi przeszkadzało być w pełni sobą, uosabiać świat, w którym się obracałem, identyfikować się z nim, podczas gdy odwracałem się plecami do swoich? Cień. Byłem cieniem, niewyraźnym i wrażliwym, spodziewającym się stale wyrzutów bądź insynuacji czasami wydumanych, byłem istotą podobną do przygarniętej sieroty, która zwraca większą uwagę na niezręczności rodziny adopcyjnej niż na jej poświęcenie. Usiłowałem się zrehabilitować w oczach mieszkańców Madina Dżadida, a równocześnie zastanawiałem się, czy aby nie oszukuję się nadal, czy nie uchylam się od odpowiedzialności, próbując zrzucić winę na innych. Czyja to wina, że Emilie mi się wymknęła? Winne jest Río Salado, pani Cazenave, Jean-Christophe, Simon? Zważywszy na wszystko, myślę, że mój błąd sprowadzał się do tego, iż nie miałem odwagi trwać przy swoich przekonaniach. Mogłem wynajdywać wszelkie wytłumaczenia, żadne jednak nie byłoby słuszne. W gruncie rzeczy teraz, gdy straciłem twarz, szukałem dla siebie maski. Jak człowiek z okaleczonym obliczem ukrywał się za bandażami, które służyły mi także jako muszaraba. Z ukrycia podglądałem prawdę innych, wykorzystywałem ją, by odsunąć swoją. Tahtaha rozluźniała karby, które mnie trzymały w uścisku. Kłębiący się tłum odwracał moją uwagę od innych rzeczy. Taniec nosiwodów rozwiewał ból głowy. Każdy nosiwoda był jak istota wyjęta z bajki, nie do zdarcia i widowiskowa. Wszyscy pobrzękując dzwoneczkami, z bukłakiem przewieszonym przez ramię, w kolorowym kapeluszu z szerokim rondem odgiętym przez wiatr, kręcili się jak frygi w szatach z falbankami, nalewając świeżą wodę zaprawioną olejem jałowcowym do miedzianych kubków, które chętni osuszali do dna niczym z jakiego magicznego napoju. Przyłapałem się na tym, że przetykam wraz ze spragnionym pijącym wodę, uśmiecham się, gdy nosiwoda podbiega tanecznym krokiem, marszcząc brwi, kiedy jakiś kutwa psuje mu humor...

– Jest pan pewien, że wszystko gra? – przywołał mnie do rzeczywistości kelner.

Niczego nie byłem pewien.

A w ogóle czemu nie zostawią mnie w spokoju?

Kelner patrzył zakłopotany, kiedy niechętnie wstawałem od stolika i wychodziłem. Dopiero w europejskiej części miasta zrozumiałem dlaczego: wyszedłem z kawiarni, nie zapłaciwszy za to, co zamówiłem...

W barze zadymionym od niedopałków tłących się w popielniczkach patrzyłem na szklanę, która naigrawała się ze mnie na kontuarze. Miałem ochotę upić się do nieprzytomności – nie czułem się godny oprzeć pokusie. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści razy ujmowałem w dłoń szklanę i nie śmiałem podnieść jej do ust.

– Masz fajkę? – zapytała kobieta siedząca obok przy barze.

– Proszę?

– Jak kto ma taką buźkę jak malowanie, nie ma prawa być smutny.

Zemdliło mnie od jej cuchnącego alkoholem oddechu. Czułem się wykończony, widziałem niewyraźnie. Była to kobieta bez twarzy, tak mocny nosiła makijaż. Oczu jej nie było widać spod groteskowych sztucznych rzęs. Miała szerokie usta zbyt ostro umalowane na czerwono i zęby z nalotem z nikotyny.

– Masz kłopoty, kochanieńki? Ha, zaraz się skończą. Wszystko raz-dwa załatwię. Pan Bóg mnie tu przysłał z pomocą.

Wsunęła mi rękę pod ramię. Jednym szarpnięciem odciągnęła mnie od kontuaru.

– No chodź... Nic tu po tobie...

Więziła mnie przez siedem dni i siedem nocy. W zapyziałej komórce na ostatnim piętrze funduku cuchnącego haszyszem i piwem. Nie potrafię powiedzieć, czy była jasno czy ciemnowłosa, młoda czy stara, gruba czy chuda. Pamiętam tylko jej szerokie czerwone usta i głos

ochrypiły od tytoniu i taniego alkoholu. Któregoś wieczoru oznajmiła, że dostałem dość za swoje pieniądze. Popchnęła mnie do drzwi, pocałowała w usta – „Prezent od firmy” – i zanim wypuściła, powiedziała: „Weź się w garść, chłopie. Jeden jest tylko bóg na ziemi. Ty nim jesteś. Jak ten świat ci nie pasuje, wymyśl sobie inny i nie pozwól, żeby byle troska ściągnęła cię z chmury. Życie zawsze się uśmiecha do tego, kto potrafi mu odpłacić tą samą monetą”.

Dziwne, że czasem prawdy, których nam brakuje, dopadają nas w miejscach najmniej odpowiednich. Byłem o włos od załamania i podchmielona dziwka pomogła mi się pozbiierać. Wystarczyło kilka słów rzuconych między jednym a drugim zaciągnięciem się papierosem w progu nędznego pokoiku, który wychodził na obskurny nieoświetlony korytarz w hoteliku rozkołysanym od lubieżnych zmagani i huczącym od zażartych awantur... Zanim doszedłem do sieni funduku, zdążyłem wytrzeźwieć. Do reszty oprzytomniałem, gdy owiał mnie wieczorny wiatr. Przemierzałem promenadę nadmorską tam i z powrotem, przyglądając się statkom w porcie, żurawiom i nabrzeżom w świetle reflektorów, a dalej w ciemnościach kutrom, które przecinały morze niczym robaczki świętojańskie małpujące gwiazdy; następnie udałem się do łaźni, by zmyć z siebie brud i porządnie się wyspać; nazajutrz z samego rana wsiadłem do autobusu i wróciłem do Río, poprzysięgłszy sobie, że prędzej wyrwę sobie serce gołymi rękami, niż choćby przez sekundę będę się rozczulał nad swoim losem.

Na powrót zacząłem pracować w aptece. Odmieniony nieco oczywiście, lecz spokojny. Bywało, że traciłem cierpliwość, kiedy nie mogłem odcyfrować bazgrołów lekarza na recepcie, bywało, że z trudem znosiłem, gdy Germaine zadawała ciągle te same pytania, po raz kolejny zauważała, że mam podkrążone oczy czy jestem naburmuszony; zazwyczaj coś tam odmrukiwałem, opanowywałem się jednak zaraz i przepraszałem. Wieczorami, po zamknięciu apteki, wychodziłem, by rozprostować nogi. Chodziłem na rynek popatrzeć, jak młody policjant imieniem Bruno wypina pierś, nawijając na palec i odwijając sznurek od gwizdka. Podobał mi się jego spokojny zapach, to, jak zsuwał na bakier kepi, i teatralną kurtuazję, którą skwapliwie okazywał, gdy w okolicy pojawiały się dziewczęta. Rozsiadałem się na kawiarnianym tarasie i popijałem cytrynadę pełną kostek lodu, czekając, aż zapadnie noc, by wrócić do domu. Niekiedy szedłem do sadów i tam traciłem poczucie czasu. Nie byłem nieszczęśliwy; brakowało mi po prostu towarzystwa. Po powrocie Andrégo w jego barze znowu zrobiło się rojno, tyle że grą w bilard teraz się męczyłem; José regularnie spuszczał mi baty... Germaine wymyśliła sobie, że mnie ożeni. Spośród swoich licznych siostrzenic zaprosiła kilka do Río Salado w nadziei, że któraś wpadnie mi w oko; nawet się nie zorientowałem, że wyjechały.

Od czasu do czasu widywałem się z Simonem. Mówiliśmy sobie dzień dobry, ściskali rękę, niekiedy przysiadaliśmy na parę minut z jakimś napojem chłodzącym, rozmawiając o błahostkach bez znaczenia. Na początku był urażony, że „urwałem się” z jego ślubu jak z nudnej lekcji, później jednak przeszedł nad tym do porządku, mając widać ważniejsze rzeczy na głowie. Simon mieszkał w rodzinnym domu Emilie przy drodze do marabutu. Pani Cazenave bardzo na to nalegała. W dodatku w miasteczku nie było pustych domów, a dom Benyaminów był mały i nieciekawym.

Fabrice'owi urodziło się drugie dziecko. To szczęśliwe wydarzenie zgromadziło nas wszystkich – z wyjątkiem Jeana-Christophe'a, który nie dawał znaku życia, odkąd przysłał list do Simona – w pięknej willi w Oranie przy drodze nad urwiskiem. André skorzystał z okazji, aby nam przedstawić swoją kuzynkę i żonę, krzepką Andaluzijkę z Grenady, wysoką jak wieża, o dorodnej urodziwej twarzy ozdobionej dwojgiem wspaniałych zielonych oczu. Była śmieszna, acz bardzo zasadnicza, gdy chodziło o uczenie męża dobrych manier. Właśnie tamtego wieczoru zauważyłem, że Emilie spodziewa się dziecka.

Kilka miesięcy później pani Cazenave wyjechała do Gujany, gdzie szczątki jej męża –

dyrektora ciężkiego więzienia w Saint-Laurent-du-Maroni zaginionego w dżungli amazońskiej podczas pościgu za zbiegłymi więźniami – zostały znalezione przez przemytników i zidentyfikowane dzięki rzeczom osobistym. Nie wróciła już do Río. Nawet aby uczcić narodziny Michela, swojego wnuka.

Latem roku 1953 poznałem Dżamilę, córkę adwokata muzułmanina, którego stryj znał jeszcze z czasu studiów. Spotkaliśmy się przypadkiem w restauracji w Nemours. Dżamila nie była piękną, przypominała mi jednak Lucette; spodobało mi się jej opanowane spojrzenie, delikatne białe dłonie, które każdą rzecz – serwetkę, łyżeczkę, chusteczkę, torebkę, owoc – ujmowały z szacunkiem, jakby to była relikwia. Miała czarne inteligentne oczy, malutkie pełne usta i jakąś powagę, która zdradzała wychowanie surowe, lecz nowoczesne, nakierowane na świat i jego wyzwania; Dżamila studiowała prawo i zamierzała zostać adwokatem jak ojciec. Ona pierwsza do mnie napisała: krótkie pozdrowienia na karcie pocztowej przedstawiającej oazę Bu Sada, gdzie jej ojciec praktykował. Upłynęło parę miesięcy, zanim jej odpowiedziałem. Przez długie lata wymienialiśmy listy i karty z życzeniami i nigdy żadne z nas nie wyszło poza zwyczajowe pozdrowienia, nigdy nie wyznało tego, co powściągliwość bądź przesadna ostrożność kazały zatrzymać przy sobie.

Rankiem pierwszego dnia wiosny roku 1954 stryj poprosił, żebym wyprowadził samochód z garażu. Miał na sobie zielony garnitur, którego nie nosił od czasu tamtego obiadu wydanego w Oranie na cześć Missalego al-Hadżdża przed trzynastu laty, białą koszulę ozdobioną muszką, złoty zegarek kieszonkowy z dewizką przypiętą do kamizelki, czarne buty z czubkami w szpic i fez zakupiony niedawno w starym tureckim sklepiku w Tilimsanie.

– Chcę pojechać na grób patriarchy, żeby się oddać medytacji.

Ponieważ nie wiedziałem, gdzie się znajduje grób patriarchy, przewodnikiem był stryj, kierując mnie przez wioski i miasteczka jechaliśmy całe przedpołudnie bez odpoczynku i choćby przekąski. Germaine, która nie znosiła zapachu spalin, zzieleniała na twarzy, a ciągłe zakręty prowadzące to w górę, to w dół omal jej nie wykończyły. Późnym popołudniem dotarliśmy na szczyt skalistej góry. W dole równina pocięta poletkami drzew oliwnych dzielnie się opierała suszy. Miejscami wyschnięta ziemia aż pękała, makia obumierała wszędzie. Nieliczne zbiorniki wodne próbowały ratować pozory, było jednak oczywiste, że wyschną do cna. U stóp wzgórz wędrowały stada owiec oddalone od siebie tak samo jak przysypane pyłem i spalone słońcem osady. Stryj osłonił oczy dłonią i wpatrzył się w dal. Najwyraźniej nie dojrzał tego, czego szukał. Ruszył stromą kamienistą ścieżką do czegoś w rodzaju zagajnika, w którym stała rozsypująca się ruinka. Były to pozostałości marabutu, czyli mauzoleum z innej epoki, które ostre zimy i skwarne lata zupełnie zdewastowały. Za murkiem niknącym pod własnym gruzem znajdował się mocno splekany wyblakły grobowiec. Było to miejsce spoczynku patriarchy. Stryja bardzo zmartwiło, że w takim fatalnym jest stanie. Podniósł belkę, oparł ją o kopczyk ubitej ziemi i z niewysłowionym smutkiem chwilę na nią patrzył, po czym z czcią popchnął spróchniałe drewniane drzwi i wszedł do sanktuarium. Germaine i ja zostaliśmy na dziedzińcyku porośniętym ciernistymi krzewami. W ciszy. Stryj długo nie wychodził, Germaine przysiadła zatem na głazie i objęła głowę rękami. Nie odezwała się słowem, odkąd wyjechaliśmy z Río Salado. Ilekroć tak milczała, zaczynałem się obawiać najgorszego.

Stryj dołączył do nas, kiedy słońce chowało się za horyzontem. Cień mauzoleum mocno się wydłużył i chłodny wiatr zaczął szeleścić krzakami.

– Wracajmy już – rzekł stryj, idąc do samochodu.

Spodziewałem się, że będzie mi opowiadał o patriarsze, o plemienu, o Lalli Fatnie, o powodach, które naraz go skłoniły do przyjazdu na tę górę omiataną wiatrami; a tu nic. Zasiadł w fotelu obok mnie i nie odrywał oczu od drogi. Jechaliśmy przez większą część nocy. Germaine

zasnęła na tylnej kanapie. Stryj zaś ani drgnął. Siedział pograżony w myślach. Nic nie jedliśmy od rana, lecz jakby nie był tego świadom. Zauważyłem, że pobladł na twarzy, policzki mu wpadły, a jego wzrok przypominał spojrzenie, za którym się skrywał ongiś, kiedy bez ostrzeżenia uciekał do jakiegoś świata równoległego będącego mu zesłaniem i azylem przez lata.

– Boję się o niego – wyznała mi Germaine kilka tygodni później.

Nie wyglądało na to, żeby miał nawrót choroby. Nadal pisał i czytał, jadał z nami przy stole i co rano szedł na spacer po sadach, tyle że słowem się do nas nie odzywał. Kiwał głową, czasem się uśmiechał, dziękując w ten sposób Germaine, gdy przyniosła mu herbatę lub wygładziła zmarszczkę na marynarce, ale nic nie mówił. Lubił też usiąść w fotelu bujanym na balkonie i patrzeć na wzgórze; po zapadnięciu wieczoru szedł do sypialni, wkładał szlafrok i pantofle i zamykał się na klucz w gabinecie.

Pewnej nocy położył się do łóżka i wezwał mnie do siebie. Był bledszy niż zwykle, a kiedy chwycił moją rękę w nadgarstku, poczułem, że dłoń ma zimną, niemal lodowatą.

– Bardzo bym chciał doczekać twoich dzieci, chłopcze. Na pewno sprawiłyby mi ogromną radość. Nigdy dziecko nie podskakiwało mi na kolanach. – W oczach lśniły mu łzy. – Weź sobie żonę, Junus. Tylko miłość jest w stanie pomścić nas za baty odebrane od życia. I pamiętaj: jeśli kobieta cię pokocha, nie będzie takiej gwiazdy, której byś nie osiągnął, żadne bóstwo nie dorośnie ci do pięt.

Czułem, jak chłód, który go ogarnął, przechodzi na mnie, w dreszczu idącym od mojego przegubu zakrada się i rozprzestrzenia po całym ciele. Stryj długo mówił; każde słowo oddalało go o milę od naszego świata. Czuliśmy, że rozstaje się z nami. Germaine płakała skulona na skraju łóżka. Jej szlochanie zagłuszało słowa stryja. Była to dziwna noc, przepastna i nierealna zarazem. Na zewnątrz szakał wyl tak strasznie, jak nigdy jeszcze nie słyszałem. Od palców stryja zaciśniętych na moim przegubie dłoń zrobiła mi się fioletowa; niczym opaska uciskowa hamowały przepływ krwi; cała ręka mi ścierpła. Dopiero kiedy zobaczyłem, że Germaine czyni znak krzyża i zamyka oczy mężowi, dotarło do mnie, że bliska osoba ma prawo zgasnąć jak słońce, gdy zapada noc, jak świeczka zdmuchnięta przez wiatr, i że ból, który nam zadaje, odchodząc, jest integralną częścią życia.

Mój stryj nie doczekał chwili, kiedy jego kraj chwycił za broń. Los uznał widać, że nie jest tego godzien. Jakże inaczej bowiem wytłumaczyć, że zgasł pięć miesięcy przed tak wyczekiwany i wciąż odkładany na później powstaniem niepodległościowym? Dzień Wszystkich Świętych 1954 roku zaskoczył nas. Właściciel kawiarni złorzeczył z gazetą rozłożoną na kontuarze. Zaczęła się wojna o niepodległość, lecz ogółowi śmiertelników, których na krótko ogarnęło oburzenie rychło zastąpione prostackim szyderstwem, parę spalonych gospodarstw w Mitidży wcale nie spędzało snu z powiek. A przecież były ofiary w ludziach w Mustaghanimie: żandarmi zaskoczeni przez uzbrojonych powstańców. I co z tego? – zapytywano. Na drodze ginie więcej ludzi. A ilu w slumsach!... W większości nie zdawano sobie natomiast sprawy, że tym razem sprawy ruszyły naprzód i niczego już nie da się cofnąć. Garstka rewolucjonistów postanowiła przejść do działania, wstrząsnąć ludem otumanionym ponad stuleciem rządów kolonistów, srogo doświadczonym różnymi powstaniem wywoływanymi wcześniej przez zapomniane od dziesięcioleci plemiona, które armia kolonialna, wszechmocna i legendarna, niezmiennie uciszała po kilku sprawnie przeprowadzonych bitwach, kilku ekspedycjach karnych, kilku latach nękania. Nawet osławiony OS, Organisation Secrète, który zasłynął pod koniec lat czterdziestych, zdołał jedynie pogonić nielicznych bojowników muzułmańskich dążących do konfrontacji. Czy to, co punktualnie o północy, w pierwszej minucie pierwszego dnia listopada, ogarnęło prawie w całości północne rejony Algierii, będzie tylko słomianym ogniem, wątłym płomykiem dławionym odwiecznymi sporami miejscowych

plemion niezdolnych się zjednoczyć wokół wspólnego projektu?... Nie tym razem., Akty wandalizmu” mnożyły się w całym kraju, zrazu dość błahe, stopniowo coraz bardziej znaczące, czasem zaskakująco brawurowe. Gazety pisały o „terrorystach”, „rebeliantach”, „wyjętych spod prawa”. Tu i ówdzie wybuchały potyczki i zdarzało się, że zabitych żołnierzy odzierano z broni i ekwipunku. W Algierze w mgnieniu oka obrócono w perzynę komisariat; na każdym rogu ulicy rozprawiano się z policjantami i urzędnikami; zdrajcom podrzynano gardła. W Kabylii sygnalizowano podejrzane ruchy, a nawet odziane w drelichy i uzbrojone w prymitywne strzelby niewielkie oddziały, które z zasadzki atakowały żandarmów, po czym gdzieś się rozpląwały. W górach Al-Auras byli podobno pułkownicy i całe kompanie, armia nieuchwytnych partyzantów i strefy zakazane. Niedaleko Ríó, w okolicach miasteczka Falausin, w osadach zaczynało brakować mężczyzn, którzy nocami przemykali w górzyste rejony i tam tworzyli oddziały partyzanckie. Bliżej, w odległości zaledwie kilku kilometrów w linii prostej, w Ajn Tamusant dochodziło do zamachów w sercu miasta. Na murach pojawiały się złożone z trzech liter napisy: FLN. Front de Liberation Nationale. Narodowy Front Wyzwolenia. Który miał swój program. Swoje prawa, wytyczne, wezwania do powszechnego powstania. Swoją godzinę policyjną. Swoje zakazy. Swoje sądy. Swoje urzędy. Swoje zagmatwane, splątane, acz skuteczne struktury. Swoje wojsko. Swoje podziemne radio, które w domach z zamkniętymi okiennicami co dzień nawoływało do buntu... W Ríó Salado żyliśmy jak na innej planecie. Echa z zewnątrz docierały do nas osłabione przez długi łańcuch filtrów. Co prawda Arabom, którzy tyrali w sadach, w oczach płonął dziwny ogień, lecz w swoich zwyczajach niczego nie zmienili. O świcie stawiali się do roboty i prostowali grzbiet, dopiero gdy zapadła noc. W kawiarniach także gawędzono jak zawsze przy szklaneczce anyżówki. Nawet Bruno policjant nie uważał, że powinien odbezpieczyć pistolet; mówił, że to nic takiego, ot, przejściowe zamieszanie, po którym wkrótce znowu zapanuje porządek. Musiało upłynąć kilka miesięcy, zanim i do nas dotarły odpryski „rebelii”, burząc nam spokój. Najpierw ktoś podpalił samotne gospodarstwo; potem trzykrotnie ktoś podłożył ogień na polu sadzonek winorośli; na koniec wyleciała w powietrze piwnica winna. Tego było za wiele. Jaime J. Sosa powołał milicję i otoczył kordonem bezpieczeństwa swoje winnice. Policja próbowała go uspokoić, zapewniając, że poczyniła stosowne kroki; wszystko na nic. W dzień widziano, jak farmerzy przeczesują okolice, ostentacyjnie trzymając strzelby w pogotowiu; nocami patrole krążyły zgodnie z zasadami sztuki wojskowej, używając hasła i strzałem w powietrze wzywając do zatrzymania.

Tylko kilka dzików padło z ręki milicjantów, którym puściły nerwy, poza tym nie natknięto się na nikogo podejrzanego.

Z czasem czujność trochę osłabła i ludzie znów odważyli się wychodzić z domu po ciemku, nie bojąc się, że ktoś ich zaczepi.

Kolejne winobranie uczczono jak należy. Na bal sprowadzono trzy duże orkiestry, całe Ríó tańczyło do utraty sił. Pepe Rucillio, korzystając z cieplej jeszcze pogody, wstąpił powtórnie w związek małżeński z młodszą od niego o czterdzieści lat piosenkarką z Nemours. Jego dziedzice początkowo protestowali, ponieważ jednak majątek głowy rodu był nieogarniony, obżarli się jak smoki i śnili o kolejnych ucztach. Podczas uroczystości ślubnej znalazłem się twarzą w twarz z Emilie. Ona wysiadała z samochodu męża z dzieckiem w ramionach; ja z Germaine pod rękę wychodziłem z sali, gdzie odbywało się przyjęcie. Na ułamek sekundy Emilie zbladła. Zaraz odwróciła się do Simona, który posłał mi blady uśmiech, po czym poprowadził żonę między weselników. Wróciłem do domu na piechotę, zapomniawszy, że samochód zostawiłem zaparkowany koło auta mojego przyjaciela.

Potem wydarzył się dramat!

Nikt się tego nie spodziewał. Wojna trwała już drugi rok, a w Ríó po kilku incydentach

wspomnianych wyżej do niczego więcej nie doszło. Ludzie jakby nigdy nic oddawali się swoim normalnym zajęciom aż do owego lutowego poranka 1956 roku. Miasteczko ogarnęła wtedy martwa cisza. Wszyscy jakby skamienieli; patrzyli po sobie, nie widząc się, wypadki dosłownie ich przerosły. Kiedy zobaczyłem tłum zgromadzony wokół baru Andrégo, zrozumiałem.

Ciało leżało na ziemi w wejściu, nogi na zewnątrz, reszta w środku. Jedna stopa była bosa; pewnie zgubił but, kiedy się bronił albo próbował uciec. Od nasady pięty do kostki ciągnęło się skaleczenie, które znaczyły cieniutkie strumyczki krwi... José!... Czołgał się ze dwadzieścia metrów, zanim wyzionął ducha. Ślad jego rozpaczliwego pełzania odcisnął się w pyłe. Lewą ręką wczepił się w brzeg skrzydła drzwi tak mocno, aż paznokcie połamał. Otrzymał kilka ciosów nożem, niektóre było widać na odsłoniętych plecach, ponieważ koszulę miał zupełnie rozdarta; kałuża krwi, w której leżał, rozlała się za próg baru, gęsta, krzepnąca. Musiałem okraczyć ciało, aby wejść do środka. Światło dnia gadało na połowę twarzy Joségo; zdawało się, że słuca ziemi, tak jak ongiś przykładaliśmy ucho do torów, by sprawdzić, czy nadjeżdża pociąg. Szkliste oczy przypominały spojrzenie palacza opium: były otwarte na świat, lecz w ogóle go nie widziały.

– Mówił, że jest błogosławionym gównem, po którym stąpał Pan – westchnął André skulony na podłodze koło kontuaru z brodą opartą na podciągniętych kolanach, które obejmował rękami.

Ledwie go było widać w tym półmroku.

Płakał.

– Chciałem, żeby mu się żyło jak z płatka, jak wszystkim kuzynom Dédégo Jiméneza Sosa, a on na każdej zabawie, na którą go zapraszałem, zadowalał się byle czym. Bał się, że go wezmę za naciągacza.

Simon także tam był, równie zdruzgotany. Łokcie oparł na kontuarze, rękami objął głowę. Bruno policjant siedział na krześle w głębi sali; próbował przewyciężyć szok. Jacyś dwaj mężczyźni stali oszołomieni przy stole bilardowym.

– Dlaczego on? – jęknął André z bezbrzeżnym smutkiem. – Do diabła, przecież to był José! Oddałby ostatnią koszulę każdemu, kto by o nią poprosił.

– To niesprawiedliwe – odezwał się ktoś za moimi plecami.

Przybiegł mer. Kiedy ujrzał ciało i rozpoznał Joségo, podniósł rękę do ust, by stłumić krzyk. Na podwórze zajeżdżały kolejne samochody. Słyszałem trzaśnięcia drzwi. „Co się stało?” – dopytywano. Nikt nie odpowiadał. W ciągu kilku minut do baru ściągnęło całe miasteczko. Ciało Joségo nakryto. Na zewnątrz rozległ się kobiecy krzyk. Krzyczała matka Joségo. Bliscy nie pozwolili jej podejść do ciała syna. Przez tłum przebiegł stłumiony szmer, kiedy André wyszedł na podwórze. Był zzieleniały z wściekłości; w oczach płonęła mu nienawiść.

– Gdzie Dżallul? – ryknął i cały aż się napiął z gniewu. – Gdzie ten tępak Dżallul?

Dżallul przecisnął się przez ciżbę i stanął przed swoim chlebodawcą. Był ogłupiały, nie wiedział, co zrobić z rękami.

– Gdzieś się pałętał, jak Joségo zarzynali?

Dżallul utkwiał wzrok w czubkach swoich babuszy. André końcem szpicruty podniósł mu brodę.

– Gdzieś ty łąził, gnoju? Powiedziałem, że nie wolno ci wychodzić z baru pod żadnym pozorem.

– Mój ojciec jest chory.

– On wiecznie jest chory. Czemuś mi nie powiedział, że idziesz do swoich? José by nie przyszedł cię zastąpić i żyłby... A poza tym jak to się stało, że do nieszczęścia doszło akurat wtedy, jak tyś się urwał z roboty, he?

Dżallul spuścił głowę i André znowu mu ją podniósł końcem szpicruty wsuniętej pod brodę.

– Patrz mi w oczy, jak do ciebie mówię... Co za podlec zadźgał Joségo?... Na pewno go

znasz, co? Dogadałeś się z nim. Dlatego poszedłeś do swoich. Żeby wydać Joségo wspólnikowi, co? Żeby mieć alibi, sukinsynu... Patrz na mnie, słyszysz?... W sumie możesz sam to zrobić. Już dawno trawi cię jakaś zadra. Mam rację, gnido?... No i czemu się gapisz w ziemię? José leży tam! – krzyknął, wskazując ciało w wejściu do baru. – To na pewno twoja sprawka. José nie dałby się podejść obcemu. Dopuściłby do siebie tylko kogoś, komu ufał. Pokaż łapy.

André obejrzał ręce i ubranie Dżallula, wypatrując śladów krwi, przeszukał chłopaka i nie znalazłszy niczego, zaczął go smagać szpicrutą.

– Myślisz, żeś taki sprytny? Mordujesz Joségo, potem idziesz do domu, przebierasz się i wracasz. Dałbym sobie rękę uciąć, że tak się to odbyło. Znam cię dobrze.

Rozjuszony własnymi słowami, zaślepiiony żalem, powalił Dżallula na ziemię i jął okładać. Nikt z obecnych nie kiwnął palcem. Cierpienie Andrégo wydawało się zbyt duże, aby stawać mu na zawadzie. Wróciłem do domu rozdarty między gniewem i oburzeniem, zawstydzony i poniżony, podwójnie zraniony: i śmiercią Joségo, i pastwieniem się nad Dżallulem. Zawsze tak było, powtarzałem sobie, szukając usprawiedliwienia: kiedy człowiek nie widzi sensu w swoim nieszczęściu, szuka winnego, a tego dnia na miejscu tragedii nie było lepszego kozła ofiarnego niż Dżallul.

Dżallula pojmano, zakuto w kajdanki i odprowadzono na posterunek. Roz es zł a się pogłoska, jakoby wyznał, że morderstwo nie miało wiele wspólnego z ruchami nękającymi kraj. I cóż z tego? Śmierć człowieka była faktem i nikt nie mógł dać głowy, że nie ma związku z polityką. Farmerzy wzmocnili patrole, od czasu do czasu, między jednym a drugim skowytym szakala, w ciemnościach nocy rozlegał się huk wystrzału. Nazajutrz mówiono o pozbyciu się podejrzanego intruza, o niepożądanych osobach przepłoszonych niczym dzika zwierzyna, o zapobieżeniu próbie podpalenia. Któregoś ranka, gdy jechałem do Lourmel' na poboczu drogi zobaczyłem uzbrojonych farmerów. Byli bardzo podnieceni. U ich stóp leżało zakrwawione ciało młodego muzułmanina odzianego w łachmany. Ułożono go jak trofeum myśliwskie ze starą fuzją obok w charakterze dowodu rzeczowego.

Kilka tygodni później w aptece zjawił się cherlawy wynędzniały chłopiec. Poprosił, żebym wyszedł z nim na ulicę. Na chodniku po drugiej stronie jezdni stała zapłakana kobieta otoczona gromadką wystraszonych dzieci.

– To matka Dżallula – wyjaśnił chłopiec.

Podbiegła do mnie i padła mi do nóg. Nie rozumiałem nic z tego, co próbowała mi powiedzieć. Jej słowa ginęły w szlochu, a chaotyczne gesty wprawiały mnie w zamieszanie. Zabrałem kobietę do apteki, żeby ją uspokoić i wyciągnąć z niej bełkotliwe wyjaśnienia. Mówiła szybko, wszystko mieszała, milkła znienacka, nie kończąc zdania. Policzki miała pokaleczone, co dowodziło, że podrapała je sobie na znak wielkiego nieszczęścia. W końcu wyczerpana zgodziła się napić wody, którą jej przyniosłem, i opadła na ławkę. Opowiedziała mi o losach swojej rodziny, o chorobie męża, który miał obie ręce amputowane, o swoich modłach zanoszonych we wszystkich marabutach w okolicy, po czym znowu padła mi do stóp, błagając, abym ratował Dżallula. „On nie ma z tym nic wspólnego. Cała osada zaświadczy. Dżallul był z nami tej nocy, kiedy rumi został zabity. Przysięgam. Byłam u mera, na policji, u kadich. Nikt nie chciał mnie wysłuchać. Ty jesteś naszą ostatnią nadzieją. Dobrze się znasz z panem Andrém. Wysłucha cię. Dżallul nie jest mordercą. Jego ojciec tamtego wieczoru dostał ataku, sama posłałam siostrzeńca, żeby sprowadził Dżallula. To niesprawiedliwe. Zetną go za nic”. Siostrzeńcem był właśnie chłopiec, który przyszedł do apteki. Potwierdził, że to wszystko prawda, że Dżallul nigdy nie nosił noża i lubił Joségo.

Nie miałem pojęcia, co mógłbym zrobić, obiecałem jednak, że wszystkie usłyszane zapewnienia przekażę wiernie Andrémowi. Po ich odejściu wszakże stwierdziłem, że nie czuję się

na siłach, i postanowiłem niczego nie przedsięwziąć. Znałem nieodwołalny wyrok sądu, wiedziałem, że André nie będzie chciał mnie słuchać. Od śmierci Josého chodził zły, za byle co nękał Arabów. Noc miałem niespokojną. Dokuczały mi obrzydliwe koszmary, tak że kilka razy po przebudzeniu aż zapalałem lampkę nocną. Nędzą tej na poły oszalałej kobiety obciążonej gromadką dzieci martwiłem się potwornie. W głowie bez przerwy dźwięczały mi lamenty i niezrozumiałe krzyki. Następnego dnia nie byłem w stanie zająć się apteką. Zważyłem wszystkie za i przeciw, skłaniając się ku bierności. Nie bardzo potrafiłem sobie wyobrazić, że wstawiam się za Dżallulem u Andrégo, który zmienił się nie do poznania i ział teraz nienawiścią i brutalnością. Był zdolny zobaczyć we mnie tylko muzułmanina solidaryzującego się z mordercą ze swojej wspólnoty. Czyż nie zostałem odepchnięty, kiedy chciałem go uściskać na cmentarzu w czasie pogrzebu Josého? Czyż nie burknął, z oczywistym zamiarem obrażenia mnie, że wszyscy Arabowie to podli niewdzięcznicy? Czy powiedziałby coś takiego na cmentarzu chrześcijańskim, gdzie byłem jedynym muzułmaninem, gdyby ewidentnie nie chciał mi sprawić przykrości?

Dwa dni później, sam sobie się dziwiąc, zajechałem na wielkie podwórze gospodarstwa Jaimego Jiménez Sosa. Andrégo nie było w domu. Powiedziałem, że chciałbym się zobaczyć z jego ojcem. Służący poprosił, abym poczekał w samochodzie, on tymczasem zapytał, czy pan zechce mnie przyjąć. Wrócił po kilku minutach i poszliśmy na wzgórze dominujące nad polami. Jaime Jiménez Sosa wracał z konnej przejażdżki. Właśnie oddawał konia stajennemu. Patrzył przez moment zaintrygowany moim przybyciem, po czym klepnąwszy konia w zad, ruszył w moją stronę.

– Czym mogę ci służyć, Jonasie? – zagadnął niezwłocznie z daleka. – Wina nie pijesz, a do winobrania jeszcze daleko.

Przybiegł służący, by odebrać od niego kask korkowy i szpicrutę; Jaime odprawił go niedbałym gestem, zanim służący się zbliżył.

Przeszedł przede mną, nie zatrzymując się i nie podając mi ręki.

Podążyłem za nim.

– W czym problem, Jonasie?

– To dość skomplikowane.

– No to wal prosto z mostu.

– Nie ułatwia mi pan zadania, idąc tak szybko.

Zwolnił, po czym wsunąwszy dłoń pod kask, stanął do mnie przodem.

– Słucham.

– Chodzi o Dżallula.

Drgnął. Zacisnął zęby. Podniósł kask i osuszył czoło chusteczką.

– Rozczarowujesz mnie, młodzieńcze – powiedział. – Nie zostałeś ulepiony z tej samej gliny i świetnie pasujesz do miejsca, w którym jesteś.

– Na pewno doszło do pomyłki.

– Czyżby? Jakiej mianowicie?

– Dżallul może być niewinny

– Akurat! Zatrudniam Arabów od pokoleń i znam ich jak zły szeląg. Wszyscy są wredni... A ten podlec się przyznał. Został skazany. Osobiście dopilnuję, żeby stanął na szafocie. – Wziął mnie pod rękę i ruszył, pociągając za sobą. – To poważna sprawa, Jonasie. Nie chodzi o byle pyskówkę, ale o prawdziwą wojnę. W kraju wrze, chwila więc nie jest najlepsza na takie działania, żeby wilk był syty i owca cała. Trzeba uderzać mocno i celnie. Nie będzie pobłażania. Ci mordercy muszą zrozumieć, że nie ustąpimy. Każdy łajdak, który wpada w nasze ręce, zapłaci za innych.

– Jego rodzina u mnie była...

– Jonas, biedaku – przerwał mi – nie wiesz, o czym mówisz. Jesteś dobrze wykształconym młodym człowiekiem, uczciwym i inteligentnym. Trzymaj się z dala od tej chuliganerii. Poczujesz się mniej zagubiony.

Był zirytowany moim naleganiem. I urażony, że musi się zniżyć do poziomu sługi niegodnego dostać od losu drugą szansę, ponieważ pierwsza, choć mocno wątpliwa, w zupełności powinna mu wystarczyć. Puścił mnie, niezdecydowanie wygiął usta, schował chusteczkę do kieszeni, po czym skinieniem głowy dał mi znak, abym poszedł za nim.

– Chodź, Jonasie.

Kroczył przodem, po drodze wziął szklankę soku pomarańczowego podaną przez służącego, który wyłonił się znikąd. Jaime Jimenez Sosa był przysadzisty i twardy jak kamień; wyglądał jednak, jakby urósł o kilka centymetrów. Wielka plama potu widniała na jego koszuli, którą wiatr wydymał po bokach. W obcisłych spodniach do jazdy konnej, z kaskiem korkowym zsuniętym na kark, wyglądał, jakby szedł na podbój świata.

Kiedy dotarliśmy na szczyt wzgórza, stanął w rozkroku i zakreślił szeroki luk ręką, w której niczym berło dzierżył szklankę. W dole jak okiem sięgnąć rozciągały się winnice. W oddali wylaniały się szarawe z powodu mgły góry, przywodząc na myśl uspięne prehistoryczne stwory. Jaime spoglądał z góry na rozpościerający się widok. Kręcił głową, ilekroć jakieś urodziwe miejsce przykuło jego wzrok.

Bóg lustrujący stworzony przez siebie świat nie byłby tak uduchowiony.

– Popatrz, Jonasie... Czy ten widok ma gdzieś równy sobie?

Szklanka zadrżała mu w ręce.

Powoli odwrócił się do mnie z lekkim uśmiechem na ustach.

– Nigdzie nie ma piękniejszego.

Ponieważ nie odpowiedziałem, pokręcił głową i znów zapatrzył się na winnice, które ścieliły się po sam horyzont.

– Często – odezwał się – kiedy przychodzę tu podziwiać to wszystko, myślę o ludziach, którzy dawno temu robili to samo, i zastanawiam się, co naprawdę widzieli. Próbuję sobie wyobrazić te ziemie na przestrzeni wieków i stawiam się na miejscu berberyjskiego koczownika, fenickiego poszukiwacza przygód, chrześcijańskiego kaznodziei, centuriona rzymskiego, barbarzyńskiego zwiadowcy, muzułmańskiego zdobywcy... wszystkich ludzi, których los przywiódł tutaj i kazał im przystanąć na szczycie tego wzgórza, w tym samym miejscu, gdzie ja teraz stoję.

Znowu zajrzał mi w oczy.

– Co mogli tu zobaczyć w różnych epokach? – zapytał. – Nic! Nie było tu nic do oglądania prócz dzikich pól pełnych węży i szczurów, paru wzniesień porośniętych chwastami, może gdzieś trafiła się sadzawka, której dzisiaj już nie ma, albo w co wątpię, ścieżka wiodąca do wszelkich niebezpieczeństw.

Omiótł krajobraz gwałtownym ruchem, aż w powietrzu załśniły rozpryskujące się kropelki soku. Cofnął się nieco, by stanąć równo ze mną, i zaczął opowiadać:

– Kiedy mój pradziad upatrzył sobie ten zapadły kąt, był pewien, że umrze, zanim się doczeka jakichś zysków z niego...Mam zdjęcia w domu. W promieniu wielu mil nie było tu najmniejszego szalasu, ani jednego drzewa, nawet zbielejących szczątków żadnego zwierzęcia. Ale pradziad się zaparł i robił swoje. Zakasał rękawy, sam zmajstrował potrzebne narzędzia i zaczął pleć, karczować, oczyszczać ziemię, aż z przepracowania palce tak go bolały, że nie był w stanie ukroić sobie chleba. Dzień i noc katorga, piekło przez okrągły rok. Nikt z mojej rodziny nie siedział z założonymi rękami. Nigdy. Nawet przez chwilę. Niektórych wysiłek zabijał, inni zapadali na choroby, ale nikt ani sekundę nie wątpił, że to, co robi, ma sens. I dzięki mojej rodzinie, Jonas, dzięki jej poświęceniu i wierze ta dzika ziemia dała się oswoić. Z pokolenia na

pokolenie coraz większe łącznie przekształcały się w pola i sady. Wszystkie drzewa, które widzisz tu wokół, opowiadają jakiś rozdział historii moich krewniaków. Każda pomarańcza, którą wyciskasz, oddaje ci odrobinę ich potu, każdy sok ma w sobie jeszcze smak ich zapału.

Teatralnym gestem wskazał swoją posiadłość.

– Tę wielką budowlę, która jest moją warownią, ten wielki biały dom, w którym przyszedłem na świat i w dzieciństwie ganiałem jak wariat, zbudował mój ojciec własnymi rękami jako pomnik ku czci swoich przodków... Ten kraj zawdzięcza nam wszystko... Wytyczyliśmy drogi, poprowadziliśmy tory do samej Sahary, przerzuciliśmy mosty nad rzekami, zbudowaliśmy miasta jedne piękniejsze od drugich i osiedla jak marzenie osłonięte makią. Z tysiącletniej dziczy uczyniliśmy kraj wspaniały, bogaty i o dużych ambicjach. Na jałowej skale wyrósł tu istny raj... I teraz chcecie nam wmówić, żeśmy się zabijali za nic?

Ostatnie słowa wykrzyczał, aż kropelki jego śliny spryskały mi twarz.

Oczy mu spochmurniały, kiedy ostrzegawczo pokiwał mi palcem przed nosem.

– Na to się nie zgadzam, Jonas. Nie po tośmy tyrali, wkładając w pracę całe serce, żeby wszystko poszło na darmo... Ta ziemia rozpoznaje swoich, czyli nas, bośmy o nią dbali lepiej niż o własną matkę. Jest żyzna, ponieważ wie, że ją kochamy. Winogrona, które rodzi, spija razem z nami. Nastaw ucha, a usłyszysz, jak ci mówi, że zasługujemy na każdą piędź tych pól, na każdy owoc z drzew. Zastaliśmy martwy świat i tchnęliśmy w niego duszę. W jego rzekach płynie nasza krew i nasz pot. Nikt, mój panie, powtarzam: nikt, ani na tej planecie, ani nigdzie indziej, nie może nam odmówić prawa do służenia mu po wsze czasy. Zwłaszcza takie zawszone wałkonie, którym się wydaje, że mordując jakiegoś nieboraka, wygryzą nas stąd.

Szklanka drżała mu w dłoni. Na twarzy miał wzburzenie, przewiercał mnie wzrokiem.

– Te ziemie nie należą do nich. Gdyby mogły, przekłęłyby ich, jak ja przeklinam, ilekroć widzę, że podstępnie podłożony ogień pożera gdzieś tam daleko czyjąś posiadłość. Jeśli ci kryminaliści sądzą, że w ten sposób nas przestraszą, to tracą czas swój i nasz. Nie ustąpimy. Algieria jest naszym tworem. To nasze najlepsze dzieło i nie pozwolimy, by czyjeś brudne łapska zbrukały nasze ziarno i zbiory.

Chociaż sądziłem, że dawno tamto wspomnienie pogrzebałem, wytrysnęło naraz z jakiegoś zakamarka mojej podświadomości – oczami wyobraźni ujrzałem szkarłatnego ze wstydu Abd al-Kadira na podwyższeniu w klasie w szkole powszechnej. Wyraźnie widziałem, jak krzywi się z bólu, gdy nauczyciel wykręca mu ucho. W głowie rozbrzmiał mi ostry głos Maurice'a: „Bo Arabowie to lenie, proszę pana!”. Wywołana nim fala przetoczyła się przez całe moje ciało jak podziemny wybuch przez fundamenty fortecy. I gniew taki sam jak tamtego dnia znowu mnie zalał. Identycznie. Jak lawa tryskająca z samego dna moich trzewi. Już nie pamiętałem, po co tutaj przyszedłem, zapomniałem o tym, co groziło Dżallulowi, i o strachu jego matki – widziałem jedynie Jaimego Jimeneza Sosę prezentującego szczyt arogancji, widziałem, jak toksyczny jad jego wybijanej buty nadaje barwom dnia jakiś chorobliwy odcień.

Nie mogąc się powstrzymać i zupełnie nieświadom tego, co robię, stanąłem przed nim wyprostowany i głosem czystym i ostrym niczym klinga bułatu powiedziałem:

– Bardzo dawno temu, dużo wcześniej niż pan i pański prapradziad, w miejscu, gdzie pan teraz jest, stał człowiek. Kiedy patrzył na tę równinę w dole, w pełni się z nią identyfikował. Nie było na niej dróg ani torów kolejowych, a lentyszki i krzewy cierniowe wcale mu nie przeszkadzały. Każda rzeka, wyschnięta czy nie, każdy skrawek cienia, każdy kamyk odzwierciedlały jego pokorę. Ten człowiek był ufny, ponieważ był wolny. Miał przy sobie tylko fujarkę, by przywoływać kozy, i pałkę do przegania szakali. Kiedy kładł się pod tym drzewem, wystarczyło mu zamknąć oczy, by poczuł, że żyje. Kawalek podpłomyka i trochę cebuli, którymi się posilał, warte były niejednej uczy. Dostał tego szczęścia, że niewiele

potrzebował, by czuć zadowolenie. Żył zgodnie z rytmem pór roku przekonany, że istota spokoju ducha tkwi w prostocie. Ponieważ nikomu nie życzył źle, wierzył, że i jego nie spotka krzywda aż do dnia, gdy na horyzoncie, który wypełniał marzeniami, dostrzegł nadciągającą nawałnicę. Zabrano mu fujarkę i pałkę, ziemię i stada, i wszystko to, co było mu balsamem na duszę. A dzisiaj chcecie mu wmówić, że w tej okolicy znalazł się przypadkiem, i dziwicie się i oburzacie, kiedy się domaga odrobiny szacunku... Nie zgadzam się z panem. To nie jest pańska ziemia. To własność tamtego pasterza, którego duch stoi tu koło pana, chociaż pan nie chce go widzieć. Ponieważ nie umiecie się dzielić, zabierajcie swoje sady i mosty, asfaltowe drogi i tory, miasta i ogrody, a to, co pozostanie, zwróćcie temu, komu się należy.

– Jesteś inteligentnym człowiekiem, Jonasie – odparł beznamiętnie. – Wychowałeś się w dobrym miejscu, więc zostań tam. Buntownicy nie są budowniczymi. Gdyby oddano im raj, rychło obróciłiby go w perzynę. Przyniosą twoim ziomkom same nieszczęścia i rozczarowania.

– Powinien pan zajrzeć do okolicznych osad. Panoszy się w nich nieszczęście, odkąd wolnych ludzi sprowadził pan do roli zwierząt pociągowych.

To rzekłszy, zostawiłem go i wróciłem do samochodu, w głowie mając szum jak w ulu otwartym na cztery świata strony.

Jean-Christophe objawił się wiosną roku 1957. Bez uprzedzenia. Bruno policjant powiadomił mnie o tym, stojąc w progu posterunku.

– I jak tam spotkanie po latach? – zapytał.

– Jakie spotkanie?

– No co ty? Nic nie wiesz? Chris wrócił do domu dwa dni temu. Dwa dni temu?... Jean-Christophe wrócił do Río Salado i nikt mi o tym nie powiedział... Poprzedniego dnia widziałem się z Simonem. Zamieniliśmy nawet kilka słów. Czemu nie pisałeś słowa?

Po powrocie do apteki zatelefonowałem do Simona do biura, które mieściło się o dwa kroki dalej. Nie wiem, czemu wolałem zadzwonić, niż po prostu iść do niego. Może się bałem, że wprawię go w zakłopotanie albo wyczytam w jego oczach to, co czułem nosem: że Jean-Christophe nadal jest obrażony i nie życzy sobie mnie oglądać.

Simonowi głos zadrżał w słuchawce.

– Myślałem, że wiesz.

– Nie żartuj!

– Słowo daję.

– Mówił ci coś?

Simon odchrząknął. Był speszony.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– W porządku, rozumiem.

Rozłączyłem się.

Germaine, która wróciła akurat z targu, postawiła koszyk na podłodze i popatrzyła na mnie spod oka.

– Kto dzwonił?

– Klient z pretensjami – uspokoilem ją.

Podniosła koszyk i ruszyła schodami na górę. Znalazszy się na podeście, przystanęła na moment, po czym zeszła kilka stopni, by widzieć moją twarz.

– Co przede mną ukrywasz?

– Nic.

– Akurat... Słuchaj, zaprosiłam Bernadettę na zabawę. Mam nadzieję, że teraz jej z kolei nie zawiedziesz. To porządna dziewczyna. Może nie wygląda, ale jest bystra. Wykształcenia wiele nie ma, za to lepszej gospodyni nie znajdziesz. A do tego jest ładna!

Bernadettę... Poznałem ją, gdy ledwie odrosła od ziemi, na pogrzebie jej ojca zabitego podczas ataku na bazę floty w Al-Marsa al-Kabirze w 1940 roku. Była wtedy chudą dziewczynką z warkoczykami, stojącą z boku, kiedy jej kuzynki grały w serso.

– Dobrze wiesz, że nie chodzę na zabawy.

– No właśnie.

I poszła na górę.

Zadzwonił Simon. Miał czas, żeby się otrząsnąć.

– Co rozumiesz, Jonas?

– Dziwi mnie, że ukrywałeś przede mną powrót Chrisa. Myślałem, że łączy nas przyjaźń na dobre i na złe.

– I łączy, nic się nie zmieniło. Dalej cię tak samo lubię. Wprawdzie z powodu roboty niewiele

mam czasu, często jednak myślę o tobie. To ty się odsunąłeś. Nigdy nie byłeś u mnie w domu. Ilekroć się spotykamy, zawsze dokądś ci się spieszy. Nie wiem, coś sobie ubzdurał, ale ja się nie zmieniłem. A jeśli chodzi o Chrisa, to przysięgam: byłem pewien, że wiesz. Zresztą niedługo u niego siedziałem. Ma do pogadania z rodziną. Jeśli to cię uspokoi, wiedz, że nie dzwoniłem jeszcze do Fabrice'a, żeby mu przekazać dobrą nowinę. Zrobię to za chwilę. I będziemy mogli się spotkać we cztery jak za starych dobrych czasów. Myślałem o kolacji nad morzem. Znam świetną knajpkę w Ajn at-Turku. Odpowiadałoby ci to?

Kłamał. Mówił za szybko, jakby recytował lekcję wyuczoną na pamięć. Mimo to wielkodusznie przyjąłem jego tłumaczenia za dobrą monetę. Na dowód swojej szczerości obiecał, że wstąpi po mnie po pracy i razem pójdziemy do Lamych.

Przez cały dzień czekałem; nie zjawił się. Zamknąłem aptekę i dalej czekałem przed wejściem, wypatrując w oddali przechodniów w nadziei, że zobaczę jego sylwetkę. Nie przyszedł. Postanowiłem sam pójść do Jeana-Christophe'a... Nie powinienem był iść. Bo pod gęstą mimozą stał samochód Simona przed wejściem do Lamych, a obok inne auta, w tym Andrégo, mera, miejscowego kupca korzennego i kogo tam jeszcze. Wściekłem się do nieprzytomności. Coś mi mówiło, że powinienem zawrócić i odejść; nie posłuchałem tego głosu. Zadzwoiłem do drzwi. Gdzieś skrzyknęła uchylona i zaraz zamknięta okiennica. Minęła wieczność, zanim mi otwarto. Jakaś nieznajoma, najwyraźniej przybyła skądś krewna, zapytała, czego sobie życzę.

– Jestem Jonas, przyjaciel Chrisa.

– Przykro mi, Chris już położył się spać.

Korciło mnie, żeby ją odsunąć i wejść, iść prosto do salonu, gdzie wszyscy siedzieli, wstrzymując oddech, i zaskoczyć Jeana-Christophe'a wśród rodziny i przyjaciół. Nic jednak nie zrobiłem. Bo i nie było nic do zrobienia. Wszystko było jasne, całkowicie jasne... Kiwnąłem głową, cofnąłem się o krok, poczekałem, aż nieznajoma zamknęła drzwi, i wróciłem do domu. Germaine powstrzymała się od uwag, co było miłe z jej strony.

Następnego dnia Simon przywłókł się z nadąsaną miną. Wymamrotał:

– Słowo daję, nie rozumiem.

– Nie ma co rozumieć. Nie chce się ze mną zobaczyć, koniec, kropka. A ty od początku o tym wiesz. Dlatego nic mi nie powiedziałaś, kiedyśmy się spotkali przedwczoraj.

– Fakt, wiedziałem. Taki zresztą warunek postawił na początku. Zakazał mi wymawiać twoje imię. Nawet chciał, żebym ci zapowiedział, że nie chce, abyś przyszedł się z nim przywitać. Odmówiłem oczywiście.

Podniósł ruchomą część blatu z boku kontuaru i podszedł do mnie, nerwowo gniotąc palce. Na czole perlił mu się pot; łysinka błyszczała w świetle padającym z okna.

– Nie miej mu tego za złe. Przeszedł swoje. Był w Indochinach na pierwszej linii frontu, w niewoli, ranny dwa razy. Zdemobilizowali go po wyjściu ze szpitala. Trzeba mu dać trochę czasu.

– Nie przejmuj się, Simon.

– Miałem wstąpić wczoraj po ciebie. Obiecałem.

– Czekałem.

– Wiem. Najpierw poszedłem do niego... chciałem go przekonać, żeby zobaczył się z tobą. Rozumiesz chyba, że nie mogłem cię przyprowadzić ot tak. Źle by to przyjął i sprawy pokomplikowałyby się mocno.

– Masz rację, nie trzeba go przymuszać.

– Nie w tym rzecz. On jest nieprzewidywalny. Zmienił się. Nawet wobec mnie jest inny. Jak zaprosiłem go do siebie, żeby zobaczył małego i Emilie, skoczył jak oparzony. „W życiu!”

wrzasnął. „W życiu!”. Rozumiesz to? Gdybym mu zaproponował powrót do piekła, pewnie by tak gwałtownie nie zareagował. Nic z tego nie kumam. Może przez tę wojnę taki się zrobił. Wojna to najgorsze świństwo. Jak się czasem dobrze przyjrzę Chrisowi, zdaje mi się, że mu odwaliło. Gdybyś zobaczył jego oczy... puste jak studnia bez dna. Martwię się o niego. Nie miej mu za złe, Jonas. Musimy się uzbroić w cierpliwość.

Ponieważ nie odpowiadałem, spróbowałem z innej strony:

– Dzwoniłem do Fabrice’a. Hélène powiedziała, że jest w Algierze z powodu tego, co się dzieje w kazbie. Nie wie, kiedy wróci. Może do tej pory Chris zmieni zdanie.

Pominałem to milczeniem, wróciłem do sedna trawiony czymś na kształt urazy przemożnej i dotkliwej jak świąd.

– Wczoraj wszyscy byliście u niego.

– Tak – przyznał ze znużonym westchnieniem. Nachylił się do mnie, by żadne drgnienie mojej twarzy nie uszło jego uwagi. – Co między wami zaszło?

– Nie wiem.

– Momencik, nie myślisz chyba, że uwierzę? Wyjechał z Río z twojego powodu, prawda? Przez ciebie zaciągnął się do wojska i pojechał, żeby skończono go poharatani, tak?... Co takiego zaszło między wami?... Przez całą noc nie zmrzyłem oka, tylko kombinowałem. Przeleciałem wszystkie przypuszczenia i żadne mi nie pasowało.

– Znów masz rację, Simon. Niech czas robi swoje. Czas nie potrafi trzymać języka za zębami. W końcu kiedyś wszystko powie.

– To przez Isabelle?

– Proszę cię, Simon, zostawmy to.

Zobaczyłem Jeana-Christophe’a pod koniec tygodnia. Z daleka. Wychodziłem od krawca, a on z merostwa. Tak bardzo wychudł, że wyglądał na wyższego o dwadzieścia centymetrów. Włosy po bokach miał obcięte króciutko, jasna grzywka spadała do nasady nosa. Był w płaszczu, który nie pasował do pory roku, i lekko utykał, opierając się na lasce. Szła z nim Isabelle uwieszona u jego ramienia. Nigdy dotąd nie widziałem jej tak pięknej i potulnej. Jej uległość wręcz zachwycała. Szli spokojnie, rozmawiając; to znaczy Isabelle mówiła; Jean-Christophe tylko kiwał głową. Emanowało od nich spokojne szczęście, które wróciło z daleka i zdawało się zdecydowane nigdy więcej ich nie odstępować. Podobali mi się tego dnia jako para; para, która dojrzała w tęsknocie i stawianiu sobie pytań, doświadczyła przebudzenia bogatsza o przeżyte przeciwności. Nie wiem, dlaczego serce aż mi się do nich wyrывało, chciało niczym modlitwa im towarzyszyć, by dotarli do tego, co mogło na zawsze scementować ich losy. Może dlatego, że przypominali mi stryja i Germaine spacerujących wśród drzew. Byłem szczęśliwy, że znów widzę ich razem, i odnosiłem wrażenie, że to, co się stało, nigdy nie miało miejsca. Uświadomiłem sobie, że nie jestem w stanie nie darzyć jego przyjaźnią, a jej sympatią. Równocześnie smutek tak ogromny jak po śmierci stryja zamglił mi spojrzenie grubą łzą, gdy kłąłem Jeana-Christophe’a, że wraca do dawnego życia, mnie odsunawszy na boczny tor. Wydawało mi się, że jakąś częścią siebie nie zdołam przeżyć jego arbitralnego wyroku, że długo będę chował do niego urazę, i czułem, że nie byłbym w stanie go objąć, gdyby mi wybaczył... Wybaczył? Niby dlaczego? W czym zawiniłem? Uważałem, że drogo zapłaciłem za swoją lojalność; że zła, którego się dopuściłem, znałem wcześniej niż inni, bardziej niż inni i w całej pełni. Ciekawe. Składałem się z miłości i nienawiści wciśniętych w jedno opakowanie, uwięzionych w jednej powłoce. Ześlizgiwałem się ku czemuś, czego nie potrafiłem nazwać; to coś ciągnęło mnie na wszystkie strony, mącąc mi rozsądek i myśli, zniekształcając nerwy, zamazując punkty odniesienia, przypominało wilkołaka, który korzysta z ciemności, by przybierać postać potwora. Buzował we mnie gniew; gniew wewnętrzny, podstępny,

niszczyielski. Zazdrościłem innym, widząc, że coraz lepiej im się wiedzie, podczas gdy mój świat się rozpadał; zazdrościłem Simonowi i Emilie, kiedy spacerkiem szli ulicą z maluchem drepczącym przodem; zazdrościłem im, gdy wymieniali porozumiewawcze spojrzenia, które w moim mniemaniu odnosiły się do mnie; zazdrościłem Chrisowi i Isabelle aury, która ich otaczała, kiedy szli ku swemu odkupieniu; w ogóle miałem za złe wszystkim parom mijanym w Río, Lourmel, Oranie, na drogach przemierzanych na los szczęścia niczym upadły bóg, który szuka świata i spostrzega, że odeszła go chęć wymyślania kolejnego przykrojonego na swoją miarę. W dni wolne ze zdziwieniem uświadamiałem sobie, że błąkam się po muzulmańskich dzielnicach Oranu, siadam do stołu z nieznanymi, których obecność poszerzała granice mojej samotności. Znalazłem się oto znowu w Madina Dżadida i piłem wodę zaprawioną olejem jałowcowym, zaprzyjaźniałem się ze starym mozambickim księgarzem w bufiastych szarawarach, wypytywałem młodego niewiarygodnie odcytanego imama, słuchałem obdartych jauladów, którzy komentowali wojnę rozdzierającą kraj – byli lepiej poinformowani niż ja, kulturalny wykształcony farmaceuta. Zacząłem przyswajać miana dotąd mi nieznane, brzmiące w m o i c h ustach jak wezwanie muezina: Ibn Muhajdi, Zabana, Budjaf, Aban Ramdan, Hamu Bu Tulajlis, As-Saumam, Al-Wanszaris, Dżabal al-Lauh, Ali la Pointe, imiona bohaterów i nazwy miejsc nieodłącznie związanych z ruchem ludowym – stwierdzałem zaskoczony, że ów ruch jest rzeczywisty i zdecydowany, co dotąd w głowie mi nie powstało.

Czy w ten sposób kompensowałem sobie p o r z u c e n i e przez przyjaciół?...

Udałem się do Fabrice'a, który mieszkał przy drodze biegnącej brzegiem morza. Ucieszył się na mój widok, nie mogłem jednak znieść chłodu Hélène, jego żony. Moja noga więcej nie powstała w ich domu. Kiedy spotykałem Fabrice'a przypadkiem, chętnie zachodziłem z nim do kawiarni czy restauracji, konsekwentnie natomiast wymigiwałem się od odwiedzin. Nie miałem ochoty znosić oziębłego traktowania przez jego żonę. Powiedziałem mu to kiedyś. „Przesadzasz, Jonas – odparł z urazą. – Gdzie ty to widzisz? Hélène po prostu pochodzi z miasta. Nie jest taka jak dziewczyny u nas. Nie przeczę wprawdzie, że jest trochę sztuczna, ale to taki wielkomijski fason...” Nieważne. Więcej u niego nigdy nie byłem. Woląłem połączyć po Starym Oranie, po bazarze, koło Meczetu Paszy czy w okolicach Pałacu Beja, pogapić się na rozwrzeszczaną dzieciarnię u źródeł Raz al-Ajn... Nigdy nie lubiłem zgielku, tymczasem teraz wygwizdywałem decyzje sędziego na meczach piłki nożnej, kupowałem na czarnym rynku bilety na korridę, żeby na arenach Ekmuhlu oklaskiwać Luisa Miguela Dominguina zadającego śmiertelny cios bykowi. Nie było nic lepszego od ogłuszającego wrzasku, by przepędzić pytania, których nie chciałem roztrząsać. Sam także niezgorzej wrzeszczałem. Zostałem żarliwym kibicem USMO, muzulmańskiego klubu piłki nożnej, przy każdej okazji biegałem na gale boksu. Kiedy muzulmański bokser nokoutował przeciwnika, wstępował we mnie i uzewnętrzniał się szal, którego nigdy bym się po sobie nie spodziewał – nazwiska tych pięściarzy działały oszołamiająco jak haust dymu opiumowego: Goudih, Chalfi, Szarraka, bracia Sabban, cudowny Marokańczyk Abd as-Salam... Nie poznawałem siebie. Pociągała mnie przemoc i tłumy oszalałe niczym ćma wabiona ogniem świecy. Nie miałem już wątpliwości: byłem w stanie otwartej wojny przeciwko sobie.

Jean-Christophe poślubił Isabelle pod koniec roku. Dowiedziałem się o tym nazajutrz po uroczystości. Wcześniej nikt nie raczył mnie powiadomić. Nawet Simon, który ku swemu rozżaleniu nie został zaproszony na wesele. Ani Fabrice, który o świtaniu pojechał do domu, by nie musieć się tłumaczyć z nie wiem czego. To oddaliło mnie o kolejny słup milowy od ich świata. I było straszne...

Jean-Christophe postanowił zamieszkać gdzie indziej, daleko od Río Salado. Nasze miasteczko nie wystarczało, by zaspokoić jego pragnienie odrobienia straconego czasu, uporania

się z pewnymi wspomnieniami. Pepe Rucillio podarował młodemu piękną posiadłość w jednej z najszybkich dzielnic Oranu. Byłem akurat na rynku, kiedy nowożeńcy się wyprowadzali. André wiozł młodą parę swoim samochodem, za nimi jechała ciężarówka wyładowana sprzętami i prezentami. Jeszcze dzisiaj, gdy jestem u kresu życia, bywa, że słysząc klaksony orszaku ślubnego, odczuwam taką samą przykrość jak tamtego dnia. Niemniej, co ciekawe, ulżyło mi, gdy patrzyłem, jak odjeżdżają; jakby nagle odblokowała się w moim ciele jakaś żyła od dawna zatkana.

Río się wyludniało; moje perspektywy przypominały perspektywy rozbitka niesionego przez fale. Nic już dla mnie nie znaczyły ulice, sady, kawiarniany gwar, śmiech wieśniaków zawsze z opóźnieniem reagujących. na dowcip. Każdego ranka tęskniłem do następnej nocy, by uciec nareszcie od chaosu dnia; każdego wieczoru kładłem się do łóżka z lękiem, że kiedy znów się przebudzę, będą mnie otaczali sami nieobecni. Zacząłem zostawiać aptekę na głowie Germaine, a sam szwendałem się po orańskich burdelach, chociaż prostytutek nie tykałem. Wystarczyło mi słuchać, jak opowiadają o swoim burzliwym życiu i poronionych marzeniach, które teraz zupełnie nic dla nich nie znaczyły. Ich pogarda dla wszelkich złudzeń działała pociesząco. A w rzeczywistości szukałem Haddy. Nagle, ni stąd, ni zowąd, zaczęło mi na niej zależeć. Chciałem ją odnaleźć, dowiedzieć się, czy mnie pamięta, czy może mi pomóc w poszukiwaniu matki – chociaż i w tym nie byłem z sobą szczerzy: Hadda opuściła Jenane Jato przed tragedią, która okryła żałobą nasze podwórko, tak że na nic by mi się nie przydała. To jednak szykowałem się jej powiedzieć, aby ją zmiękczyć. Potrzebowałem kogoś, jakiegoś powiernika albo osoby znajomej z dawnych lat, która mogłaby mi dostarczyć namiastki zrozumienia, potrzebowałem nawiązać stosunki oparte na zaufaniu, ponieważ przyjacielskie więzy z Río popękały... Bajzelmama w Kamelii powściągliwie wyjawiała, że Hadda wyszła pewnej nocy z jakimś stręczycielem i więcej nie wróciła. Rzeczony stręczyciel był prymitywnym osiłkiem, na owłosionych ramionach miał wytatuowane serca przebite sztyletem i wulgarne słowa; poradziła mi, żebym nie wtykał nosa w nie swoje sprawy, jeśli nie chcę, żeby mój rysopis znalazł się w kronice wypadków lokalnej gazety... Tego samego dnia wysiadałem z tramwaju i wydało mi się, że widzę Lucette, koleżankę z dzieciństwa, pchającą wózek z dzieckiem. Młodą kobietę przy kości, dobrze ubraną, w obcisłym kostiumie i białym płóciennym kapeluszu. Ale to na pewno nie była Lucette; Lucette skojarzyłaby mój uśmiech, niebieski kolor moich oczu przywołałby falę wspomnień. Mimo jej wymownej obojętności poszedłem za nią ulicą; w końcu świadom, że zachowuję się co najmniej podejrzanie, zawróciłem.

A potem zetknąłem się z wojną... z wojną naturalnych rozmiarów; z sukubem Śmierci; z płodną konkubiną Nieszczęścia; z inną rzeczywistością, której nie chciałem spojrzeć w twarz. Gazety rozpisywały się o zamachach, które wstrząsały miastami i wsiami, o wypadkach na podejrzane osady, masowych wyjazdach, morderczych walkach wręcz, przeszukiwaniu terenu, masakrach; dla mnie to wszystko było fikcją, ponurą powieścią w odcinkach, w której powtórzenie goniło powtórzenie... Aż pewnego dnia, gdy sączyłem sok pomarańczowy w kawiarni na promenadzie nadmorskiej, kruczoczarny citroen z przednim napędem zahamował przed jednym z budynków i z okien posypały się serie strzałów z broni maszynowej. Ostrzał trwał kilka sekund, po czym zagłuszył go pisk opon: długo jeszcze rozbrzmiewał mi w głowie. Na chodniku leżały ciała, przypadkowi przechodnie rozbiegali się na wszystkie strony. Zapadła taka cisza, że krzyk mew wwiercał się w skronie. Wydawało mi się, że śnię. I wpatrzony w powalone ciała zacząłem drżeć, tak strasznie drżeć... Ręka latała mi jak okiennica szarpana wiatrem, rozchlapywałem na siebie sok ze szklanki, która wyleciała mi w końcu z palców i roztrzaskała się na ziemi, aż przy sąsiednim stoliku ktoś głośno krzyknął. Ludzie wychodzili z domów i sklepów, wysiadali z samochodów ogłuszeni, poruszali się jak we śnie, ostrożnie

zblizali się do miejsca dramatu. Jakaś kobieta zemdląła, osuwając się w ramiona towarzyszącego jej mężczyzny. Nie śmiałem ruszyć nawet palcem; jak skamieniały tkwiłem na krześle z otwartymi ustami, łomoczącym sercem. Dźwięk gwizdków obwieścił przybycie policji. Wkrótce wokół ofiar zrobiło się zbiegowisko: doliczono się trzech osób martwych, w tym jakiejś dziewczyny, i pięciu ciężko rannych.

Wróciłem do Río i zamknąłem się w swoim pokoju, z którego nie wychodziłem przez dwa dni.

Cierpiałem na bezsenność. Ledwie położyłem się do łóżka, zaczynała mnie wciągać jakaś niezgłębiona trwoga. Czułem się, jakbym spadał w przepaść. Sen już nie przynosił mi wytchnienia; koszmary miotały mną pośród nieogarnionych potworności. Kiedy dość miałem wpatrywania się w sufit, siadałem na łóżku, brałem głowę w ręce i gapiałem się w podłogę. Moje stopy zostawiały mokre plamy na parkiecie. Fale bijące w brzeg przy promenadzie nadmorskiej dudniły mi pod czaszką. Na próżno zatykałem sobie uszy – z uporem wracały, ogłuszające i ponure. Wzdrygałem się przy każdym uderzeniu. Na całą noc zostawiałem zapaloną lampkę, by utrzymać z dala upiory, które czaiły się za drzwiami, czyhając na chwilę, gdy zmrużę oczy i będą mogły mnie dopaść. Wsłuchiwałem się w każdy szmer, w najodleglejsze nawet ujadanie psa, byle trwać na jawie. Kiedy pod wpływem wiatru poskrzypywały drewniane okładziny domu, głowa mi pękała. „To wstrząs” – głupio zdiagnozował lekarz. Też mi nowina! Ja chciałem się dowiedzieć, jak go można pokonać. Lekarz nie miał cudownej recepty. Przepisał mi środek uspokajający i tabletki nasenne, które niczego nie załatwiły. Byłem w depresji, byłem też świadom, że tracę rozum, tylko nie miałem pojęcia, jak temu zaradzić. Żyłem w poczuciu, że jestem kimś innym, jakąś istotą strasznie irytującą i kłamliwą, chociaż niezbędną: była moją jedyną ostoją.

Z powodu klaustrofobii wybiegałem na balkon odetchnąć powietrzem. Germaine często dołączała do mnie. Próbowwała mówić; nie słuchałem. Jej słowa mnie męczyły, wzmagaly napięcie. Chciałem być sam. Dlatego wychodziłem na ulicę. Noc po nocy. Tydzień po tygodniu. Cisza uspionego miasteczka dobrze mi robiła. Lubiałem iść na pusty rynek, przemierzać z jednego końca na drugi główną ulicę, usiąść na ławce i nie myśleć o niczym.

Pewnej bezksiężycowej nocy, gdy monologowałem na chodniku, ujrzałem nadjeżdżający rower. Światelko mrugało, a skrzypienie łańcucha odbijało się od murów mnogością jękliwych skarg. To był ogrodnik pani Cazenave. Zahamował przy mnie, omal nie przelatując nad kierownicą, był błydy i niekompletnie odziany. Wskazał na coś za sobą, lecz nie mogąc wymówić słowa, wsiadł z powrotem na rower; w pośpiechu jednak wjechał na krawężnik i runął jak długi.

– Co się dzieje? Wyglądasz, jakby cię ścigał demon.

Pozbierał się rozdygotany, postawił rower i z nadludzkim wysiłkiem zdołał z siebie wydusić:

– Lecę na policję... Nieszczęście u Cazenave'ów...

Wtedy dopiero zobaczyłem szeroką czerwonawą łunę za cmentarzem żydowskim.

– Boże! – krzyknąłem. I ruszyłem biegiem.

Dom Cazenave'ów stał w ogniu. Blask potężnych płomieni padał na okoliczne sady. Pobiegłem na skróty przez cmentarz. Im bliżej byłem pożaru, tym dokładniej widziałem jego rozmiary. Ogień już ogarnął cały parter i piął się teraz na piętro z pożądlwym pomrukiem. Samochód Simona płonął na podwórku, lecz nigdzie nie widziałem ani jego, ani Emilie. Brama była otwarta. Winorośl oplatająca ogrodzenie trzeszczała i skręcała się pośród chmury sypiących się iskier. Musiałem ramieniem osłonić twarz, by przebyć barierę ognia i dotrzeć do ujęcia wody. Na podwórzu leżały dwa martwe psy. Nie dało się podejść do domu, który był teraz jedną wielką

żagwią histerycznie sięgającą na wszystkie strony swoimi mackami. Chciałem zawołać Simona; nie zdołałem dobyć dźwięku z wyschniętego gardła. Pod drzewem siedziała skulona kobieta. Zona ogrodnika. Z rękami na policzkach i nieobecny wyrazem twarzy wpatrywała się w dom idący z dymem.

– Gdzie Simon?

Obróciła głowę w kierunku dawnej stajni. Nie zważając na żar, rzuciłem się w tamtą stronę ogłuszony hukami płomieni i łoskotem pękających szyb. Całe wzgórze spowijał ostry skłębiony dym. W dawnej stajni panował spokój, który wydał mi się straszniejszy niż żywioł na zewnątrz. Na murawie leżało rozciągnięte na brzuchu ciało z rozkrzyżowanymi rękami; w nieregularnych odstępach czasu omiatało je światło padające od ognia. Nogi mi zeszywniały. Zdałem sobie sprawę, że jestem sam, zupełnie sam, i nie czuję się na siłach stawić czoła temu bez czyjegóż wsparcia. Czekałem więc w nadziei, że żona ogrodnika do mnie dołączy. Nie przyszła. Oprócz ryku ognia i nieruchomego ciała na trawie niczego innego nie postrzegąłem. Ciało zakrzepło. Było nagie, w samych tylko spodenkach ledwie zakrywających pośladki; kałuża krwi, w której leżało, przypominała dziurę. Poznałem je po łysinie: Simon!... Czy to ciąg dalszy koszmarnego snu? Czy ja śpię w swoim pokoju?... Zadrapanie na ręce szczypało – to była jak najbardziej jawa. Ciało Simona migotało w świetle pożogi. Obrócona w moją stronę twarz przypominała kredowy blok; błysk zastygły w głębi źrenic był jednoznaczny. Simon nie żył.

Przykucnąłem przy zwłokach przyjaciela. Tylko na połę świadomie. Nie panowałem nad swoimi gestami ani myślami. Ręka sama się wyciągnęła, aby spocząć na plecach zmarłego, jakby chciała go obudzić...

– Nie dotykaj go! – usłyszałem z mroku słowa wypowiedziane ostrym głosem.

Emilie stała w kącie stajni. Bładość jej twarzy miała w sobie coś fosforyzującego. Oczy płonęły w niej ogniem dorównującym temu, który miałem za plecami. Z rozpuszczonymi włosami, boso, w jedwabnej koszuli nocnej, która ledwie ją okrywała, Emilie przyciskała do boku przerażonego Michela, swojego syna.

– Zabraniam ci go dotykać! – powtórzyła głosem jak zza grobu.

Zza niej wyłonił się mężczyzna uzbrojony w strzelbę. Karimu, szofer Simona, Arab z Oranu, który pracował w jednej z restauracji przy drodze biegnącej brzegiem morza. Mój przyjaciel zatrudnił go przed swoim ślubem. Jego niezgrabna sylwetka oderwała się od ściany stajni i ostrożnie ruszyła ku mnie.

– Trafiłem jednego. Słyszałem, jak krzyknął.

– Co tu się stało?

– Partyzanci. Zamordowali Simona i podłożyli ogień. Zanim przyszedłem, już ich nie było. Usłyszałem, jak uciekali parowem, tam niżej. Strzeliłem. Nawet nie odpowiedzieli, bydlaki. Ale jeden wrzasnął.

Staął przede mną. Blask płomieni podkreślał niesmak na jego twarzy.

– Dlaczego Simona? Co im zrobił? – zapytał mnie.

– Idź stąd! – krzyknęła Emilie. – Zostaw nas z naszym nieszczęściem i idź stąd... Zabierz go sprzed moich oczu, Karimu.

Karimu wycelował we mnie strzelbę.

– Słyszałeś? Zabieraj się!

Pokręciłem głową i odwróciłem się. Miałem uczucie, że nie dotykam stopami ziemi, że sunę przez pustkę. Przeszedłem koło płonącego domu, potem przez sady i wróciłem do miasteczka. Reflektory samochodów posuwały się wzdłuż cmentarza żydowskiego i w górę drogą do marabutu. Za sznurem aut ludzie biegli ku pożarowi; dobiegały do mnie ich pojedyncze słowa wypowiedane zdyszonym głosem, lecz nad wszystkimi górował głos Emilie wszechogarniający

niczym otchłań, która mnie pożerała.

Simon został pochowany na cmentarzu żydowskim. Całe miasteczko odprowadziło go na miejsce wiecznego spoczynku. Straszny tłum cisnął się wokół Emilie i jej syna. Emilie ubrana była na czarno, z twarzą zasłoniętą woalką. Prezentowała się godnie w smutku. Obok niej modlili się Benyaminowie z Río i skądinąd. Zdruzgotana matka Simona płakała na krześle, nie słuchając szeptania męża, zgryźliwego schorowanego starca. Kilka rzędów dalej Fabrice z żoną trzymali się za ręce. Jean-Christophe natomiast stanął wśród klanu Rucilliów z Isabelle niezauważalną w jego cieniu. Ja trzymałem się w głębi cmentarza, za wszystkimi, jakbym już został z tego grona wykluczony.

Po pogrzebie tłum rozszedł się w milczeniu. Karimu usadowił Emilie i jej syna w małym aucie, które pożyczył im mer. Rucilliowie ruszyli w swoją stronę. Jean-Christophe przywitał się z Fabrice'em, po czym szybko dołączył do swoich. Trzaskały drzwi samochodów, rozlegał się warkot silników; plac z wolna pustoszał. Przy grobie została tylko garstka milicjantów i umundurowanych funkcjonariuszy sił porządkowych, najwyraźniej mocno przejętych i ogarniętych poczuciem winy, że dopuścili, by takie nieszczęście okryło żałobą miejscową społeczność. Fabrice pozdrowił mnie z daleka. Nieznacznym gestem. Spodziewałem się, że podejdziesz i powie parę słów otuchy; pomógł żonie wsiąść do samochodu, po czym nie oglądając się, zajął miejsce za kierownicą i ruszył. Kiedy auto zniknęło za węglem budynku, uświadomiłem sobie, że tylko ja zostałem pośród zmarłych.

Emilie wyjechała z Río. Do Oranu.

W moich myślach wszakże mocno była zakotwiczona. Martwiłem się o nią. Ponieważ pani Cazenave nie dawała znaku życia, zgadywałem, jak bardzo Emilie jest samotna, jak mocno jej doskwiera przedwczesne wdowieństwo. Co ze sobą pocznie? Jakże odzyska równowagę w mieście tak zgiełkowym jak Oran, pośród ludzi, których w życiu nie widziała, w mieście, gdzie wielkomięjskość wyklucza empatię tak powszechną w naszym miasteczku, narzuca sztywne stosunki na bazie interesu, niebezpieczną ekwilibrystykę i mnóstwo ustępstw, zanim kręgi towarzyskie przyjmą do swojego grona nową osobę? Zwłaszcza że wojna z dnia na dzień doskwierała bardziej: zamachy na oślepa jednego za drugim, dotkliwe represje w odwecie, porwania, co rano makabryczne odkrycia, uliczki najeżone śmiertelnymi pułapkami... Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że Emilie pozbiera się po stracie sama w tym mieście dotkniętym szaleństwem, w samym centrum areny spływającej krwią i łzami, z synem w szoku po ostatnich przeżyciach i bez żadnego przyzwoitego wsparcia.

W miasteczku nie było już jak wcześniej. Odwołano bal na zakończenie winobrania z obawy, że podłożona bomba mogłaby radość przemienić w tragedię. Muzułmanie mieli zakaz wychodzenia na ulice; nie wolno im było bez pozwolenia opuszczać winnic i sadów. Nazajutrz po zamordowaniu Simona wojsko przeprowadziło poszukiwania zakrojone na szeroką skalę, przeczesując górę Zar al-Mandżal i okoliczną makie. Ze śmigłowców i samolotów ostrzelano podejrzane miejsca. Po czterech dniach i trzech nocach nagonki wykończeni żołnierze wrócili do koszar, nic nie wskórawszy. Milicja Jaimego Jiménez Sosa przygotowała szeroki wachlarz zasadzek w sektorze, który w końcu dostał za swoje. Najpierw pojmano grupę fedainów zaopatrujących w żywność partyzantów; muły zabito na miejscu, zapasy jedzenia spalono, a podziurawione kulami ciała trzech fedainów obwożono na furmance po miasteczku. Dziesięć dni później Karimu, który zaciągnął się do oddziału harkich, zaskoczył jedenastu partyzantów w jaskini i zaczadził ich na śmierć. Upojony swoim wyczynem wciągnął w pułapkę zastęp mudzahedinów, zabił siedmiu i doprowadził na rynek dwóch rannych, których tłum omal nie

zlinczował.

W ogóle nie wychodziłem już z domu.

Potem nastąpił spokojniejszy czas.

Znów zacząłem myśleć o Emilie. Brakowało mi jej. Niekiedy wyobrażałem sobie, że siedzi przede mną, i godzinami do niej mówiłem. Przeżywałem tortury, nie wiedząc, co się z nią dzieje. Koniec końców udałem się do Karimu, by sprawdzić, czy może mi pomóc odnaleźć ją. Gotów byłem zrobić wszystko, byle ją zobaczyć. Karimu przywitał mnie oziębłe. Z ładownicą przewieszoną przez pierś i strzelbą na kolanach kołysał się w fotelu na biegunach u wejścia do swojego domku.

– Ty hieno! – powiedział. – Jeszcze nie skończyła opłakiwać zmarłego, a ty już chcesz ją brać.

– Muszę z nią pomówić.

– O czym? Wtedy w nocy jasno powiedziała: nie chce o tobie słyszeć.

– To nie twój problem.

– I tu się mylisz, stary. Emilie to mój problem. Jak tylko spróbujesz jej się narzucać, przegryzę ci gardło własnymi zębami.

– Powiedziała ci coś na mój temat?

– Nic nie musiała mówić. Byłem przy tym, jak posyłała cię do wszystkich diabłów, i to mi wystarczy.

Od tego człowieka nie mogłem niczego oczekiwać.

Później przez wiele miesięcy przemierzałem różne dzielnice Oranu, licząc, że gdzieś spotkam Emilie. Chodziłem w okolice szkół w porze, gdy kończyły się lekcje; nie natrafiłem na Michela ani na jego matkę wśród rodziców uczniów. Krążyłem po targowiskach, sklepach sieci Prisunic, parkach, bazarach; nie natrafiłem na żaden ślad. Kiedy już zaczynałem tracić nadzieję, dokładnie w pierwszą rocznicę śmierci Simona, gdy przechodziłem koło księgarni, wydało mi się, że Emilie mignęła za oknem wystawowym. Dech mi zaparło. Pospieszyłem do kawiarni naprzeciwko i ukryty za filarem czekałem. W porze zamknięcia Emilie wyszła z księgarni i wsiadła do tramwaju na rogu ulicy. Nie odważyłem się wsiąść razem z nią. Było to w sobotę, przyszło mi zatem przez całą niekończącą się niedzielę gryźć paznokcie z niecierpliwości. W poniedziałek z samego rana zasiadłem w kawiarni na wprost za tym samym filarem. Emilie zjawiała się przed dziewczętą w antracytowym kostiumie i chustce na głowie tego samego koloru. Serce skurczyło mi się w piersi niczym wyciskana gąbka. Z tysiąc razy zbierałem się na odwagę, aby do niej podejść, i z tysiąc razy taka zuchwałość wydała mi się nieprzyzwoita i nie na miejscu.

Nie wiem, ile razy defilowałem przed księgarnią, patrząc, jak Emilie obsługuje klienta, wspina się na stołek, by zdjąć książkę z półki, wybija rachunek na kasie, ustawia książki – i nie odważyłem się pchnąć drzwi i wejść do środka. Sama pewność, że ma się dobrze, napęniała mnie szczęściem wprawdzie rozmytym, a mimo to uchwytnym. Wystarczało mi, że z oddali widzę, jak żyje; po trosze, jak w przypadku cudu, bałem się, że zniknie, jeśli podejść do niej. Trwało to ponad miesiąc. Zaniedbałem aptekę, zostawiłem Germaine samą sobie, często zapomniałem nawet do niej zadzwonić, i spędzałem noce w podrzędnych hotelikach, by codziennie z kawiarni obserwować Emilie.

Pewnego wieczoru tuż przed zamknięciem księgarni jak lunatyk opuściłem swoją kryjówkę, przeszedłem przez jezdnię i zdziwiony tym, co robię, pchnąłem drzwi sklepu.

Nie było nikogo w księgarni dość mrocznej z braku światła dziennego. Krucha cisza sprawiała, że zastawione książkami regały spowijał błogi spokój. Serce waliło mi niczym młot; pocilem się jak człowiek w gorączce. Nad moją głową zgaszona podłużna plafoniera przywodziła na myśl gilotynę gotową spaść. Zwątpiłem nagle: co ja wyczyniam? Jaką ranę szykuję się rozdrapać? Zacisnąłem zęby, by przepłoszyć rozterkę. Musiałem się zdecydować raz na zawsze.

Nie mogłem dłużej stawiać sobie tych samych pytań, przeżuwać tych samych lęków. Pot okazał się uzbrojony w pazury; ich zadrapania rozorywały mi ciało. Odetchnąłem głęboko, aby wyrzucić z siebie truciznę, która kaziła mnie od wewnątrz. Na ulicy przechodnie i pojazdy poruszali się w chaotycznym balecie. Klaksony rozbrzmiewające ze wszystkich stron, ostre jak klinga miecza, raniły mi uszy. Czekałem i czekałem... Rozpadałem się na atomy. Jakiś głos mówił mi: „Idź stąd”... Kręciłem głową, żeby go odpędzić. W sklepie zapadła już ciemność, podkreślając nieznacznie rozmiary lad, na których piętrzyły się stosy książek.

– Czym mogę panu służyć?

Stała przede mną krucha, zjawiskowa. Rzekłbyś, że wyszła z mroku tak samo jak tamtej tragicznej nocy, że cała ową nocą ocieka, tak bardzo jej czarna sukienka, czarne włosy, czarne oczy utrwały żalobę, która przez miniony rok ani trochę nie przestała jej przygniatać. Musiałem zmrużyć oczy, by ją widzieć. Teraz, gdy stała o metr ode mnie, zauważyłem, że się zmieniła, że jej niegdysiejsza uroda przywiedła, stała się cieniem innych czasów – Emilie była nieutuloną w żalu wdową, która postanowiła żyć z dnia na dzień, ponieważ coś jej odebrano i nigdy tego nie odzyska. I natychmiast uświadomiłem sobie, że pomyliłem się. Nie byłem tu mile widziany. Byłem jak nóż rozdzierający ranę. Sztywność Emilie, a raczej jej lodowata niewzruszoność speszyła mnie ogromnie i zdałem sobie sprawę z rozmiarów błędu, który popełniałem, sądząc, że naprawiam coś, co własnoręcznie zniszczyłem. Poza tym to jej „pan”, takie stanowcze, zbijające z pantałyku, nieznośne, które odrzucało mnie daleko, bardzo daleko, niemal wymazywało, znieważało... Emilie była głęboko urażona. Myślę, że zniosła swój dramat po to jedynie, aby właśnie żywić do mnie urazę. Nie musiała tego mówić. Wystarczyło mi jej spojrzenie. Spojrzenie bez wyrazu, zrodzone gdzieś bardzo, bardzo daleko, trzymające mnie na dystans i gotowe odepchnąć na sam skraj świata, gdybym próbował je wytrzymać.

– Czego pan chce?

– Ja? – odparłem głupio.

– A kto?... Był pan tu w zeszłym tygodniu i w poprzednim prawie codziennie. W co pan gra? Ścisnęło mnie w gardle. Nie mogłem przełknąć śliny.

– No... przechodziłem tędy... przypadkiem... Wydawało mi się, że zobaczyłem cię przez okno, ale nie byłem w stu procentach przekonany. Więc wróciłem, żeby się upewnić, że to naprawdę ty...

– I co z tego?

– Hm... pomyślałem... sam nie wiem... chciałem się przywitać... to znaczy zapytać, jak ci leci... pogadać... Ale się nie odważyłem.

– Czyś ty w ogóle kiedykolwiek na coś się odważył?

Wyczuła, że bardzo mnie dotknęła. Coś drgnęło w głębi jej oczu wypełnionych nocą. Jak spadająca gwiazda, która gaśnie w chwili, kiedy rozbłyskuje.

– Czyli odzyskałeś umiejętność posługiwania się słowami. Odkąd nie wiedziałeś, co powiedzieć... O czym chciałeś pogadać?

Tylko jej usta się poruszały. Twarz, chude blade dłonie, całe ciało nie drgnęło nawet. Z jej ust wychodziły wręcz nie słowa, lecz zaledwie tchnienie podobne do potężniejszego czaru.

– Chyba źle wybrałem chwilę.

– Wolalabym, żeby nie było kolejnej. Lepiej to zakończyć. Na jaki temat chciałeś rozmawiać?

– O nas – rzekłem z poczuciem, że oto moje myśli postanowiły się wyrazić, nie oglądając się na mnie.

Lekki uśmiech przewinął się przez jej usta.

– O nas? Czy kiedykolwiek można było mówić o n a s ?

– Nie wiem, od czego zacząć.

- Wyobrażam sobie.
- Nie masz pojęcia, jak bardzo żałuję. Jestem taki... taki... Czy wybaczysz mi kiedyś?
- A co by to zmieniło?
- Emilie... tak bardzo mi przykro.

– To tylko słowa, Junus. Owszem, był czas, kiedy jedno twoje słowo zmieniałoby bieg przeznaczenia. Ale nie odważyłeś się go wypowiedzieć. Musisz wreszcie zrozumieć, że wszystko skończone.

- Co jest skończone, Emilie?
- To, co się nigdy tak naprawdę nie zaczęło.

Byłem zdruzgotany. Nie mogłem uwierzyć, że jeszcze daję radę ustać na nogach miękkich jak wosk, głowa mi pękała; nie słyszałem bicia swojego serca ani tętnienia krwi w skroniach.

Zbliżyła się o krok. Jakby wychodziła ze ściany, która znajdowała się za nią.

– Czego się spodziewałeś, Junus? Ze uznam to za cud, że wyskoczę pod sufit?... Niby dlaczego? Czy czekałam w ogóle na ciebie? Jasne, że nie. Nie dałeś mi nawet czasu na marzenia. Złapałeś moje uczucie za gardło i skręciłeś mu kark. Ot tak!... Moja miłość do ciebie umarła, zanim dosięgła ziemi.

Milczałem. Bałem się, że jeśli otworzę usta, wybuchnę płaczem. Docierało do mnie, jak ją skrzywdziłem, jak zniszczyłem jej nadzieje, dziewczęce marzenia, jej szczęście czyste i świeże, zawadiackie i zasłużone, naturalne i ufne, szczęście, które w tamtych czasach błyszczało w jej oczach blaskiem wszelkich pragnień, wszelkich pięknych złudzeń.

- Mogę cię o coś zapytać, Junus?

Gardło miałem ściśnięte, pokiwałem tylko głową.

– Dlaczego?... Dlaczego mnie odtrąciłeś?... Gdyby chodziło o inną, gdybyś się z nią ożenił, zrozumiałabym. Ale ty ciągle jesteś kawalerem...

Jedna łza skorzystała z chwili nieuwagi, wymknęła mi się spod rzęs i popłynęła po policzku. Nie miałem ani odwagi, ani siły, by ją otrzeć. Nie słuchał mnie żaden mięsień.

– Dręczyłam się tym dniem i nocą – ciągnęła Emilie monotonnym głosem. – Co było we mnie odpychającego? Czym zgrzeszyłam? Mówiłam sobie: on cię po prostu nie kocha. Nie musi niczego ci zarzucać. Nic do ciebie nie czuje... Ale nie potrafiłam w to uwierzyć. Po moim ślubie wyglądałeś na strasznie nieszczęśliwego. I wtedy pomyślałam: Junus coś przede mną ukrywa...

- Co przede mną ukrywasz, Junus? Czego nie chcesz mi powiedzieć?

Tama ustąpiła; łzy popłynęły strugami, spływały mi po policzkach, moczyły brodę i szyję. Płakałem i czułem, jak wyrzucam z siebie udreki, wyrzuty sumienia, wiarołomstwa – jakby pękł wrzód, uwalniając całą swoją treść. Ryczałem jak czereda dzieci i nie chciałem przestać.

- Widzisz? – rzekła Emilie. – Dalej nie chcesz mi nic powiedzieć.

Kiedy podniosłem głowę, nie było jej. Jakby wchłonęła ją ściana za plecami, zagarnął mrok, który ją spowijał. W księgarni pozostał tylko jej zapach unoszący się pośród woni książek i trzy regały dalej dwie starsze panie, które patrzyły na mnie współczująco. Otarłem twarz i wyszedłem z uczuciem, że mgła wyłaniająca się znikąd pożera gasnące światło dnia.

Była godzina dziewiętnasta pod koniec kwietnia roku 1959. Bezchmurne niebo lizały płomienie zachodu, tylko jeden osierocony obłok żałośnie zawisł bez ruchu nad miasteczkiem, czekając, by przelotny wiatr porwał go ze sobą. Układałem na zapleczu kartony, szykując się powoli do zamknięcia apteki. Kiedy wróciłem do części frontowej, ujrzałem stojącego w wejściu młodego człowieka. Był zdenerwowany, marynarkę ściągał z przodu, jakby coś pod nią ukrywał.

– Nie chcę cię skrzywdzić – wybełkotał po arabsku.

Mógł liczyć jakieś szesnaście, siedemnaście lat. Twarz miał tak bladą, że wyraźnie widziałem puszek nad wargą. Wyglądał jak uciekinier. Chudy niczym szczapa, ubrany był w spodnie podarte na kolanach, oblepione ziemią pataugasy, złachmaniony szalik na szyi czarnej od brudu wżartego w spękania.

– Już zamykasz, prawda?

– Czego chcesz?

Nagłym gestem odsunął połę marynarki i na powrót przyciągnął: za paskiem miał duży pistolet. Widok broni zmroził mi krew w żyłach.

– Przysyła mnie Dżabha, Front. Opuść żaluzję. Nic ci nie będzie, tylko rób, co każe.

– O co ci chodzi?

– O ojczyznę, doktorze.

Ponieważ się wahałem, wy dobył broń i nie celując we mnie, polecił, żebym zrobił, co kazał. Opuściłem żaluzje ze wzrokiem wlepionym w lufę pistoletu.

– Cofnij się teraz.

Jego strach współzawodniczył z moim o palmę pierwszeństwa. Bojąc się, że zdenerwowanie chłopaka weźmie górę nad zamiarami, podniosłem ręce, aby poczuł się pewniej.

– Zapal światło i zamknij okiennice.

Posłuchałem. W ciszy panującej w pomieszczeniu moje serce przypominało tłok jakiejś oszalałej maszyny.

– Wiem, że twoja matka jest na piętrze. Ktoś więcej jest w domu?

– Czekam na gości – skłamałem.

– No to poczekamy razem.

Wytarł nos grzbietem dłoni, w której trzymał broń, i ruchem głowy kazał mi iść na górę. Byłem na czwartym stopniu, gdy wbił mi lufę pod żebra.

– Powtarzam: nic ci się nie stanie, jeśli zrobisz, co każe.

– Odłóż broń. Obiecuję...

– Pilnuj swojego nosa. I nie sugeruj się moim wiekiem. Niektórzy nie zdążyli tego pożałować. Jestem wysłannikiem Frontu Wyzwolenia Narodowego. Nasi przywódcy mają cię za człowieka godnego zaufania. Nie rozczaruj ich.

– Mogę wiedzieć, czego chcecie?

– Ostrzegam: prowadzimy wojnę.

Przyparł mnie do ściany na podeście i nastawił ucha. Pobrząkiwanie naczyń dochodzące z kuchni wywołało u niego tik na lewym policzku.

– Zawołaj ją.

– Jest stara i schorowana. Lepiej by było, gdybyś schował broń.

– Zawołaj ją.

Zawołałem Germaine. Spodziewałem się, że podniesie ręce do ust albo krzyknie; zareagowała ze spokojem, który wprowadził mnie w zdumienie. Na widok pistoletu ledwie zmarszczyła brwi.

– Widziałam go, jak szedł od pól – powiedziała.

– Przychodzę z makii – przyznał nastolatek ze szczyptą dumy, która w jego ustach miała zabrzmieć zdecydowanie. – Usiądziecie oboje tam, w dużym pokoju. Jeśli zadzwoni telefon albo ktoś zapuka, nie wolno wam odpowiadać. Nie bójcie się, nic wam nie zrobię.

Końcem lufy wskazał fotel. Germaine usiadła pierwsza i założyła ręce na brzuchu. Paraliżował mnie jej spokój. Starła się nie zerkać na mnie, niewątpliwie licząc, że ja robię tak samo. Nastolatek przycupnął naprzeciwko i wpatrzył się w nas, jakbyśmy byli dwoma sprzętami pośród wielu. Wyglądał, jak gdyby wstrzymywał oddech. Nie potrafiłem zgadnąć, co mu chodzi po głowie; z ulgą jednak stwierdziłem, że jest nieco spokojniejszy.

Zapadająca noc pogrążyła salon w ciemności. Z pistoletem na udzie i dłonią na nim chłopak siedział bez ruchu. Tylko oczy błyszczały mu w mroku. Zaproponowałem, że zapalę światło. Nie odpowiedział. Po kilku godzinach Germaine zaczęła się wiercić. Nie była to oznaka zdenerwowania czy znużenia; musiała iść do ubikacji, ale ze wstydu nie śmiała poprosić nieznanego o pozwolenie. Zrobiłem to za nią. Chłopak odparł tylko: „Ćśśś”.

– Na co czekamy? – zapytałem.

Germaine szturchnęła mnie lekko łokciem, żebym siedział cicho. Ciemności naraz przecięła błyskawica, a kiedy zgasła, miasteczko znów się pogrążyło w mroku, który wydawał mi się gęstszy. Czułem zimny pot na plecach; i szaloną chęć, by odkleić od ciała mokrą koszulę; lecz odwiódł mnie od tego bezruch chłopaka.

Milkły stopniowo dźwięki życia w miasteczku. Gdzieś rozbrzmiał jeszcze pojedynczy warkot samochodu i oddalił się szybko, po czym ulice i pola ogarnęła świdrująca w uszach cisza. Koło północy w okiennicę coś stuknęło. Chłopak podbiegł do okna i wyjrzał w noc; odwrócił się do Germaine z poleceniem, by udała się na dół i otworzyła drzwi. Kiedy Germaine szła na parter, przystawił mi lufę do karku i popchnął mnie w kierunku schodów.

– Jeśli pani krzyknie, zabiję go – ostrzegł.

– Rozumiem – odparła Germaine.

Odsunęła rygiel u drzwi wejściowych i na dole zaraz się zakłębiło. Chciałem zobaczyć, co się dzieje, lecz pistolet nie pozwalał mi oderwać głowy od ściany.

Germaine wróciła. Niewyraźnie widziałem ruchliwe sylwetki w klatce schodowej.

– Zapalciez tu światło – warknął ochryply głos.

Germaine przekreśliła włącznik; lampa na podeście oświetliła czterech uzbrojonych mężczyzn dźwigających niezręcznie ciało na prowizorycznych noszach. Rozpoznałem wśród nich Dżallulę, dawnego sługę Andrégo. Miał na sobie spłowiałe drelichy, karabin maszynowy na ramieniu i gumki oblepione błotem. Odsunął mnie na bok i pomógł pozostałym wtaszczyć nosze po schodach i ustawić je przed fotelem w salonie. Nie zważając na nas, polecił towarzyszom, aby ostrożnie przenieśli ciało na stół.

– Jesteście wolni – rzekł potem. – Wracajcie do oddziału. Al-Aufi zostaje ze mną. Nie musicie po nas wracać. W razie czego poradzę sobie.

Trzej mężczyźni zeszli na dół i zniknęli w ciemnościach. Bez słowa. Ignorując nas. Nastolatek opuścił broń i popchnął mnie do salonu.

– Dzięki, mały – powiedział do niego Dżallul. – Dobrze się spisałeś. A teraz zmykaj.

– Mam czekać w pobliżu?

– Nie. Wracaj tam, gdzie wiesz.

Chłopak zaszalutował i wyszedł.

Dżallul mrugnął do mnie.

– W porządku?

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Przydad się na coś. Idź zaryglować drzwi.

Germaine popatrzyła na mnie błagalnym wzrokiem. Teraz była blada, a cała jej twarz wyrażała oszołomienie spóźnione, lecz głębokie. Zszedłem na dół, by zasunąć rygiel. Kiedy wróciłem, Dżallul ściągał z mężczyzny ułożonego na stole zakrwawioną starą kurtkę wojskową.

– Jeżeli on umrze, pójdziesz zaraz za nim na tamten świat – ostrzegł ze spokojem. – Ten człowiek jest mi droższy niż życie. Dostał kulę w pierś podczas starcia z żandarmami. Nie bój się, daleko stąd. Przywiozłem go do ciebie, żebyś mu wyciągnął to cholerne żelastwo z ciała.

– Czym? Nie jestem chirurgiem.

– Jesteś doktorem, nie?

– Farmacji.

– Mam to gdzieś. Twój los zależy od tego, czy on przeżyje. Nie po to telepałem się taki szmat drogi, żeby teraz wyzionął ducha.

Germaine chwyciła mnie za rękę.

– Pozwólcie mi go zbadać.

– To rozumiem – rzekł zadowolony Dżallul.

Germaine nachyliła się nad rannym, ostrożnie odsunęła zakrwawioną koszulę; rana znajdowała się nad lewą piersią, wlotu nie było widać pod brunatnym zakrzepłym strupem. Nie wyglądało to dobrze.

– Stracił dużo krwi.

– Więc nie tracmy na dodatek czasu – uciął Dżallul. – Al-Auii – zwrócił się do towarzyszącego mu człowieka – pomożesz pani. – A do mnie powiedział: – Al-Auii to nasz sanitariusz. Zejdź z nim do apteki i przynieś co tam trzeba, żeby zoperować kapitana. Masz coś do dezynfekcji i narzędzia, żeby wyjąć pocisk?

– Ja się tym zajmę – powiedziała Germaine. – Jonas na nic mi się nie przyda. I proszę zabrać broń z mojego salonu. Potrzebuję spokoju, żeby to zrobić... Sanitariusz może zostać, ale pan i mój syn...

– Tak właśnie zamierzałem zrobić, proszę pani.

Germaine starała się mnie bronić. Czulem, że robi, co może, by zachować zimną krew, a moja obecność jej przeszkadzała. Nie miałem pojęcia, jak sobie porada. Nigdy nie miała w ręce skalpela. Co jej chodziło po głowie? A jeśli ten ranny umrze? Jej suche oczy odpychały, za wszelką cenę chciała, żebym się trzymał jak najdalej od salonu. Przekazywała mi coś, czego nie potrafiłem odczytać. Bała się o mnie, to było oczywiste, wysuwała się na pierwszą linię, aby stworzyć mi osłonę. Później wyzna, że trupa postawiłaby wtedy na nogi, byle uratować moją głowę.

– Idźcie do kuchni, zjedzcie coś. Będę spokojniejsza, jak mi nie będziecie patrzyli na ręce.

Dżallul kiwnął głową. Zaprowadziłem go do kuchni; otworzył lodówkę, wyjął talerz z gotowanymi patatami, ser, wędzone mięso w plastrach, owoce, butelkę mleka i wszystko postawił na stole koło karabinu maszynowego.

– Można dostać kawałek chleba?

– Jest po twojej prawej. W kredensie.

Złapał grubą bagietkę, ugryzł, rozwalając się na krześle; jadł niewiarygodnie łapczywie, na przemian owoce, ser, pataty, kawałek mięsa.

– Umieram z głodu – wyznał, czkając. – Masz to gdzieś, co?... Ciebie wojna nie dotyczy. Ty dalej żyjesz sobie jak w raj, a my się poniewieramy po makii... Kiedy w końcu wybierzesz, po czyjej jesteś stronie? Kiedyś trzeba się będzie zdecydować.

– Nie lubię wojny.

– Nie chodzi o lubienie czy nienawidzenie. Nasz lud powstaje. Ma dość cierpienia i milczenia. Pewnie, ty to co innego, stoisz w rozkroku jedną nogą tu, drugą tam, możesz kombinować, jak ci wygodnie. Stajesz po stronie, która akurat ci pasuje. – Wyjął scyzoryk z kieszeni i odkroił kawałek żółtego sera. – Widujesz Andrégo?

– Ostatnimi czasy rzadko.

– Podobno razem z ojcem powołał milicję.

– Owszem.

– Marzę, żeby stanąć z nim twarzą w twarz... Mam nadzieję, iż wie, że uciekłem?

– Nie mam pojęcia.

– W Río nie mówili o mojej ucieczce?

– Ja o niczym nie słyszałem.

– To był cud. Odcięli mi głowę, a ona odrosła. Wierzysz w przeznaczenie, Joñas?

– Nie wydaje mi się, żebym miał jakieś przeznaczenie.

– A ja wierzę. Wyobraź sobie, że w drodze do więzienia w Orléansville pękła opona i furgonetka wylądowała w rowie. Kiedy otworzyłem oczy, leżałem w krzakach. Wstałem, odszedłem parę kroków, a że nikt mnie nie ścigał, mszyłem dalej. Uszczypnąłem się do krwi, żeby mieć pewność, że nie śnię. Czy coś takiego to nie znak od niebios?

Odsunął jedzenie i poszedł sprawdzić, jak się rzeczy mają w salonie, umyślnie zapomniawszy o karabinie na stole.

– Jest poharatany, ale silny – rzekł po powrocie. – Wyjdzie z tego. Musi wyjść!... Inaczej... – Nie dokończył, zmierzył mnie tylko wzrokiem i ciągnął innym tonem: – Ja tam zachowałem wiarę. Jakiśmy skończyli z tymi żandarmami, nie wiedziałem, gdzie się podziac z moim rannym dowódcą. A tu hop! usłyszałem twoje imię. Przysięgam, że je usłyszałem. Obejrzałem się. Nikogo nie było. Nie próbowałem tego zrozumieć. Dzisiaj drugą noc szliśmy lasami. Nawet psy milkły, kiedyśmy się zbliżali. Nie uważasz, że to niezwykłe?

Odsunął karabin niby to mimochodem.

– Tyle razy wpadałem w zasadzki i ani razu nawet mnie nie drasnęli. W końcu stałem się fatalistą. Moja godzina wybiję wtedy, kiedy Bóg tak postanowi. Nie muszę się bać ani ludzi, ani pocisków... A czego ty się boisz? Rewolucja ma się całkiem dobrze. Wygrywamy na wszystkich frontach, łącznie z zagranicą, lud nas wspiera, opinia międzynarodowa też. Wielki dzień jest tuż-tuż. Na co czekasz, żeby się do nas przyłączyć?

– Zabijesz nas?

– Nie jestem mordercą, Jonas, tylko bojownikiem. Gotów jestem oddać życie za ojczyznę. A co ty jej możesz ofiarować?

– Moja matka ma niewielkie pojęcie o chirurgii.

– Ja też, tyle że ktoś musi to zrobić. Wiesz, co to za kapitan? To Si Raszid, „nieuchwytny Si Raszid”, o którym piszą w gazetach. Widziałem reporterów, ale gdzie im tam do jego charyzmy! Zdarzało się nieraz, żeśmy jak szczury siedzieli w pułapce. A on się zjawiał jak zaczarowany i ot tak! – pstryknął palcami – wyciągał nas z kłopotu. Jest wyjątkowy. Nie chcę, żeby umarł. Rewolucja go potrzebuje.

– Dobra, ale jeżeli sprawy przybiorą zły obrót, co z nami zrobisz?

– Gnojku! Myślisz tylko o ratowaniu własnej skóry! Wojna codziennie niszczy życie setkom ludzi, a ty nawet jej nie czujesz. Zabiłbym cię jak psa, gdybym nie był twoim dłużnikiem... A właśnie, możesz mi wyjaśnić, dlaczego nie potrafisz już mówić do ciebie „Junus”?

Nie krzyknął ani nie uderzył pięścią w stół; rzucił mi w twarz niechęć ot tak, półgębkiem. Za bardzo był zmęczony, żeby się wysilać. Jednakże wzbudzałem w nim pogardę tak niezmierną, że

wskrzeszała we mnie gniew równie wielki jak ten, który czułem po odrzuceniu przez Jeana-Christophe'a.

Rozległo się pukanie do drzwi kuchni i wszedł sanitariusz. Był zlany potem.

– Udało się.

– Chwała Bogu – rzekł Dżallul bez podniecenia. Rozłożył przede mną ręce. – Widzisz? Nawet przeznaczenie jest z nami.

Polecił sanitariuszowi, aby mnie pilnował, a sam poszedł do rannego. Sanitariusz zapytał, czy jest coś do jedzenia. Wskazałem mu lodówkę i kredens. Poprosił, żebym się odsunął pod okno i nie próbował żadnych sztuczek. Był niewysokim wątłym chłopakiem, wyrostkiem jeszcze, o czerwonej jak burak gębie porośniętej puszką. Ubrany był w za duży obszarpany sweter, spodnie myśliwskie ściągnięte w pasie sznurkiem konopnym i groteskowo wielkie żołnierskie buciory, w których wyglądał jak kot w butach. Nie otworzył lodówki, zjadł tylko to, co zostało na stole.

Dżallul mnie zawołał. Sanitariusz dał mi znak, że mogę wyjść z kuchni, i wiódł za mną wzrokiem, póki nie zniknąłem w korytarzu. Wyczerpana Germaine siedziała w fotelu, odzyskując siły, piersi unosiły jej się i opadały w ciężkim oddechu pod mokrą od potu bluzką. Ranny nadal leżał na stole półnagi, z zabandażowanym torsem. Jego chrapliwy oddech mącił ciszę pokoju. Dżallul zmoczył kompres w miseczce z wodą i zaczął mu delikatnie ocierać twarz. Z jego gestów przebijał szacunek.

– Zostaniemy u was kilka dni, póki kapitan nie odzyska sił – oznajmił. – Jutro otworzysz normalnie aptekę, niczego nie zmienisz w swoich zwyczajach. Pani będzie z nami na piętrze. Zakupy ty będziesz robił. Możesz wychodzić i wracać, kiedy chcesz. Ale pamiętaj: jak przyważę, że coś jest nie tak, nie będę się patyczkował. Prosimy tylko o gościnę, rozumiesz? Ten jeden raz daję ci okazję przysłużyć się swojemu ludowi, więc stań na wysokości zadania.

– Ja się zajmę apteką i zakupami – zaproponowała Germaine.

– Wolę, żeby to był on... Rozumiemy się, Jonas?

– Jaką mam gwarancję, że przed odejściem nas nie rozwalicie?

– Naprawdę potrafisz człowieka doprowadzić do rozpaczki.

– Ja im wierzę – wtrąciła Germaine.

Dżallul się uśmiechnął. Tak samo jak swego czasu uśmiechnął się do mnie w swojej osadzie zagubionej za wzgórzem dwóch marabutów: z grymasem wyrażającym mieszaninę pogardy i litości. Z kieszeni spodni wyjął mały rewolwer i włożył mi w rękę.

– Jest naładowany. Wystarczy nacisnąć spust.

Chłód metalu zjeżył mi włosy na karku.

Germaine pozieleniała. Wczepiła się palcami w sukienkę tak mocno, że omal nie rozdarła tkaniny.

– Wiesz, co ci powiem, Jonas? Serce mi się kraje, jak na ciebie patrzę. Trzeba być kompletnym zerem, żeby przepuścić okazję zesłaną przez los.

Zabrał mi rewolwer i schował do kieszeni.

Ranny zacharczał, poruszył się. Był chyba w moim wieku, może parę lat starszy. Dość wysoki smukły blondyn o wyrobionych mięśniach. Rudawy zarost zasłaniał jego twarz o czole naznaczonym blizną, gęstych brwiach i zakrzywionym nosie ostrym jak brzytwa. Znowu się poruszył, wyciągnął nogę i próbował się obrócić na bok; ten ruch wyrwał mu z ust krzyk, który go obudził. W chwili gdy otworzył oczy, poznałem go mimo upływu lat i odcisniętego piętna czasu: Huwari! To był Huwari, mój niegdyś „wspólnik”, który nauczył mnie sztuki kamuflażu i polowania na szczygły w Jenane Jato! Przedwcześnie się postarzał, lecz spojrzenie nic mu się nie zmieniło: było nadal mroczne, metaliczne, niezgłębione. Spojrzenie, którego nigdy

nie zapomnę.

Huwari wynurzał się widać z głębokiego omdlenia, ponieważ nie rozpoznając mojej twarzy, odruchowo chciał się bronić: złapał mnie za gardło i gwałtownie przyciągnął, równocześnie próbując wstać, co musiało mu sprawić niewiarygodny ból.

– Jesteś w bezpiecznym miejscu, Si Raszid – szepnął Dżallul.

Huwari jakby nie rozumiał. Zmierzył wzrokiem swojego towarzysza broni, chwilę trwało, zanim go sobie przypomniał, i nadal mnie dusił. Germaine rzuciła mi się z pomocą. Dżallul kazał jej wrócić na miejsce i łagodnym głosem wyjaśnił dowódcy sytuację. Palce na moim gardle nadal się zaciskały. Zaczynało mi brakować powietrza, ale cierpliwie czekałem, aż ranny w pełni odzyska świadomość. Kiedy mnie wreszcie puścił, w skroniach mi dudniło.

Oficer osunął się na stół. Ręka mu opadła z boku, przez chwilę kołysała się w powietrzu, w końcu znieruchomiła.

– Odsuń się – rozkazał mi sanitariusz, który przybiegł zaalarmowany moimi jękami.

Zbadał rannego, zmierzył mu puls.

– Tylko zemdłał. Trzeba go przenieść do łóżka. Potrzebuje wypoczynku.

Przez dziesięć dni mieszkali u nas trzej partyzanci. Pracowałem jakby nigdy nic. Obawiając się, że ktoś z bliskich zjedzie do nas niespodziewanie, Germaine zatelefonowała do rodziny w Oranie z powiadomieniem, że udaje się do Baszszaru na pustyni i zadzwoni po powrocie. Al- Afi sanitariusz ulokował kapitana w moim pokoju i czuwał przy nim dzień i noc. Ja spałem w gabinecie stryja na starej kanapie. Dżallul często przychodził do mnie z kąśliwymi zaczepkami. Dużo mu leżało na wątrobie, a odrazą napawała go moja postawa wobec wojny, która miała doprowadzić nasz lud do wyzwolenia. Wiedziałem, że czeka na jedno moje słowo, aby mnie zmieszać z błotem; dlatego się nie odzywałem. Pewnego wieczoru zjawił się, gdy czytałem książkę, i zrozumiał, że nie mam ochoty wdawać się w dyskusje, powiedział:

– W życiu jest jak w filmie: są aktorzy, którzy napędzają akcję, i są statyści, którzy zlewają się z dekoracjami. Występują, z tym że nikogo nie obchodzą. Ty taki jesteś, Jonas. Nie mam o to pretensji, ale żal mi cię.

Moje milczenie wyprowadziło go z równowagi. Krzyknął:

– Jak można odwracać wzrok, kiedy świat daje takie przedstawienie?

Podniosłem na niego oczy i zaraz wróciłem do lektury. Wyrwał mi książkę z ręki, cisnął nią o ścianę.

– Mówię do ciebie!

Podniosłem książkę i z powrotem usiadłem na kanapie. Znowu chciał mi ją wyrwać; tym razem złapałem go za rękę w przegubie i odepchnąłem. Zaskoczony moją reakcją Dżallul ze zdziwieniem na mnie popatrzył, po czym burknął:

– Tchórz z ciebie. Nie widzisz, co się dzieje w naszych wioskach bombardowanych napalmem, w więzieniach, gdzie ścinają naszych bohaterów, w makii, gdzie ciała naszych trzeba zbierać łyżką, w obozach, gdzie kiblują nasi bojownicy. Co cię opętało, Jonas? Nie rozumiesz, że cały kraj walczy za twoje odkupienie?

Nie odpowiedziałem.

Klepnął mnie w głowę dłonią na płask.

– Nie dotykaj mnie – rzekłem.

– Łał! Już się boję!... Tchórz z ciebie, zwykły tchórz. Czy marszczysz brwi, czy zaciskasz pośladki, wychodzi na jedno. Dziwię się, że dotąd cię nie ukatrupiłem.

Odłożyłem książkę, podniosłem się i stanąłem przed nim.

– A co ty wiesz o tchórzostwie, Dżallul? Kto według ciebie jest większym tchórzem:

bezbronny człowiek z pistoletem przystawionym do głowy czy ten, który mu grozi, że naciśnie spust?

Z niesmakiem zmierzył mnie wzrokiem.

– Nie jestem tchórzem, Dżallul. Nie jestem głuchy ani ślepy, nie jestem też z betonu. Jeśli chcesz wiedzieć, nic mnie już na tym świecie nie wzrusza. Nawet karabin, który temu, kto go trzyma, pozwala gardzić innymi. Czy nie z powodu upokorzeń chwyciłeś za broń? Czemu więc teraz robisz to samo?

Zatrzęsło nim ze złości, walczył ze sobą, by nie skoczyć mi do gardła, w końcu plunął mi pod nogi i wyszedł, z trzaskiem zamykając drzwi.

Więcej mi nie przeszkadzał. Kiedy mijaliśmy się w korytarzu, z ostentacyjnym niesmakiem schodził mi z drogi.

Dżallul zabronił mi zbliżać się do kapitana. Jeśli czegoś potrzebowałem ze swojego pokoju, sanitariusz mi to dostarczał. Mówiłem mu, gdzie taka czy inna rzecz leży, a on wszystko przynosił. Raz tylko, wychodząc z łazienki, podejrziałem rekonwalescenta przez uchylone drzwi. Siedział na łóżku z czystym opatrunkiem na piersi; był odwrócony do mnie tyłem. Z czasów w Jenane Jato, kiedy uważałem go za swojego protektora i przyjaciela, wróciło wspomnienie woliery zapaćkanej ptasimi odchodami, polowań na szczygły w makii za bazarem – i naraz serce mi się ścisnęło, pamięć bowiem przywiodła widok pustego spojrzenia, którym mnie obrzucił, gdy ten diabeł Dahu dokuczał mi, strasząc węzłem. Odechciało mi się raptem powiedzieć mu, kim jestem, chociaż odkąd go rozpoznałem, niemożliwie świerzbiał mnie język.

Ostatniego dnia wszyscy trzej się wykąpali, ogolili, wyprane ubrania i wyczyszczone buciory schowali do torby, włożyli moje ciuchy i zebrawi się w salonie. Mój garnitur był za duży na sanitariusza, który bez przerwy się przeglądał w lustrze zachwycony nowym wizerunkiem. Z trudem ukrywali zdenerwowanie – Dżallul w garniturze, który kupiłem sobie na ślub Simona, kapitan w tym, który Germaine podarowała mi kilka miesięcy wcześniej. Koło południa, po posiłku, Dżallul kazał mi na całej balustradzie balkonu rozwiesić białe prześcieradła. Po zapadnięciu nocy trzy razy zapalił i zgasił światło w pokoju wychodzącym na sady. Kiedy daleko, za morzem winnic, w ciemnościach mignęło światełko, polecił, żebym zabrał sanitariusza do apteki i spakował mu wszystkie lekarstwa i środki opatrunkowe, jakie wskaże. Wstawiliśmy trzy pełne kartony do bagażnika samochodu i wróciliśmy na piętro, gdzie kapitan, jeszcze dość błądy, krążył po korytarzu z zamyśloną miną.

– Która godzina? – zapytał Dżallul.

– Za piętnaście dziesiąta – odpadem.

– Już czas. Zawieziesz nas samochodem. Pokażę ci drogę.

Germaine, która trzymała się z boku w salonie, splótła palce jak do modlitwy i wtuliła głowę w ramiona. Drżała. Sanitariusz podszedł do niej i poklepał ją po ramieniu.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział. – Proszę się nie martwić.

Germaine jeszcze bardziej się skuliła, zaciskając złożone drobne dłonie.

Kapitan i sanitariusz zajęli miejsca z tyłu z bronią pod nogami. Dżallul usiadł koło mnie, bez przerwy szarpiąc za krawat. Otworzyłem drzwi garażu, które Germaine zamknęła zaraz po naszym wyjeździe, i ze zgaszonymi światłami jechałem aż do piwnicy winnej Krausa naprzeciwko baru Andrégo. I w lokalu, i na dziedzińcu było sporo ludzi. Docierały do nas pokrzykiwania i śmiechy. Wystraszyłem się nagle, że Dżallul będzie chciał wyrównać rachunki ze swoim dawnym chlebodawcą. On jednak tylko skrzywił się nieznacznie i brodą wskazał drogę wyjazdową z Río. Zapaliliśmy reflektory, ruszyłem w noc.

Jechaliśmy asfaltową szosą do Lourmel, przed miasteczkiem odbiliśmy w bok, kierując się do Terga-plage drogą gruntową. Na rozjeździe czekał człowiek na motocyklu. Poznałem wyrostka,

który pierwszego dnia przyszedł do apteki z pistoletem. Zawrócił i wyprzedził nas.

– Jedź powoli – rozkazał Dżallul. – I trzymaj się kawałek za nim. Jeśli zobaczysz, że zawraca, gasisz światła i też szybko zawracasz.

Motocyklista nie zawrócił.

Po dwudziestu kilometrach zauważyłem go z boku drogi. Dżallul kazał mi się zatrzymać kolo niego i zgasić silnik. Z gąszczy wyłonili się jacyś ludzie uzbrojeni w strzelby, objuczeni workami. Jeden z nich ciągnął za uzdę wychudzoną mulicę. Moi pasażerowie wysiedli, uściskali się z tamtymi na powitanie. Potem sanitariusz wrócił do mnie, kazał mi zostać za kierownicą, sam zaś otworzył bagażnik samochodu. Kartony z lekami i środkami opatrunkowymi załadowano na mulicę, po czym Dżallul gestem nakazał mi się zabierać. Ani drgnąłem. Przecież chyba nie dopuszczą, żebym ot tak odjechał cały i zdrowy, nie zaryzykują, że wydam ich na pierwszych rogatkach? Próbowałem pochwycić wzrok Dżallula, ale już widziałem tylko jego plecy, gdy szedł za kapitanem, z którego ust nie usłyszałem ani jednego słowa od tamtej nocy, kiedy o mało mnie nie udusił. Mulica ruszyła ścieżką prowadzącą przez gąszcz, wgramoliła się na szczyt pagórka i zniknęła mi z oczu. Za nią podążyli ludzie, pomagając sobie nawzajem we wspinaczkę na zbocze. I rozwiali się jak dym. Wkrótce słyszałem tylko szum wiatru wśród liści.

Ale moja ręka jakoś za nic nie chciała przekręcić klucza w stacyjce. Byłem pewien, że Dżallul przyczał się gdzieś w pobliżu i mierzy do mnie z karabinu, czekając tylko, aż uruchomię silnik, by jego warkot zagłuszył huk wystrzału.

Potrzebowałem godziny, by nabrać przekonania, że partyzanci naprawdę odeszli.

Kilka miesięcy później wśród poczty znalazłem kopertę bez znaczka i bez adresu odbiorcy. W środku była kartka wyrwana z zeszytu zawierająca spis lekarstw. Bez żadnych wskazówek. Kupiłem leki z wykazu, zapakowałem je do kartonu. Tydzień później zjawił się po nie Al-Aufi. O trzeciej nad ranem w okiennicę mojego pokoju coś stuknęło. Germaine to usłyszała; spotkałem ją w korytarzu owiniętą w szlafrok. Nie odezwaliśmy się do siebie. Patrzyła za mną, gdy szedłem na zaplecze apteki. Oddałem pudło sanitariuszowi, zamknąłem drzwi wejściowe i poszedłem do swojego pokoju. Spodziewałem się, że Germaine mnie zbeszta; bez słowa wróciła do siebie i zamknęła drzwi na klucz.

Al-Aufi pięć razy przychodził po kartony. Odbywało się to zawsze tak samo: niezaadresowana koperta wrzucona w nocy do mojej skrzynki na listy, zawierająca na kawałku papieru spis leków, czasem dodatkowo środków opatrunkowych i narzędzi lekarskich – strzykawki, wata, bandaże, nożyczki, stetoskop, opaski zaciskające itp. Stuk kamienia w okiennicę. Sanitariusz w proggu. Germaine na podeście.

Pewnego wieczoru zadzwonił telefon. Dżallul prosił, żebym się z nim spotkał tam, gdzie zawiozłem go z kapitanem i sanitariuszem. Widząc, że wczesnym rankiem wyprowadzam samochód, Germaine się przeżegnała. Zdałem sobie sprawę, że przestaliśmy rozmawiać... Dżallul nie zjawił się w miejscu spotkania. Po moim powrocie do domu znowu zadzwonił i poprosił, żebym wrócił we wskazane miejsce. Tym razem czekał pasterz z walizką pełną banknotów. Kazał mi przechować pieniądze, póki ktoś nie zgłosi się po nie. Walizka leżała u mnie dwa tygodnie. Dżallul zatelefonował w niedzielę, polecając, bym pojechał z „przesyłką” do Oranu i nie wysiadając z samochodu, zaczekał naprzeciwko niedużej stolarni za piwiarnią BAO. Zrobiłem, co kazał. Stolarnia była zamknięta. Jakiś człowiek przeszedł obok, wrócił, zatrzymał się przy mnie i pokazując ukradkiem pistolet ukryty pod płaszczem, kazał mi wysiąść. „Wracam za piętnaście minut” powiedział, wsuwając się za kierownicę. Kwadrans później zwrócono mi samochód.

To moje drugie życie trwało przez całe lato i jesień.

Kiedy Al-Aufi zjawił się ostatni raz, był bardziej zdenerwowany niż zwykle. Zerkając co

chwile w stronę winnic, przełożył leki do plecaka, który zarzucił sobie na ramiona, po czym obdarzył mnie spojrzeniem, jakiego nigdy u niego nie widziałem. Wyraźnie chciał mi coś powiedzieć, lecz tylko przełknął ślinę; wspiął się na czubki buciorów i cmoknął mnie w głowę na znak szacunku. Drżał w moich ramionach. Było tuż po czwartej nad ranem, niebo zaczynało jaśnieć. Czy z równowagi wyprowadzał go wstający dzień? Al-Aufi nie wyglądał dobrze, bez wątpienia dręczyło go przecucie. Pożegnał się i czym prędzej znikł na terenie winnic. Patrzyłem, jak znika w mroku, nasłuchiwałem coraz cichszego szelestu liści znaczącego jego drogę. Na niebie księżyc przypominał obcięty paznokieć. Słaby wietrzyk powiewał chwilami i zaraz przypadał do ziemi.

Nie zapalając światła, usiadłem w swoim pokoju na brzegu łóżka, czujny i niespokojny... Nocną ciszę rozdarł naraz huk wystrzałów, wszystkie okoliczne psy zaczęły ujadać.

O świcie rozległo się stukanie do drzwi. Przyszedł Karimu, dawny szofer Simona. Stał w rozkroku na chodniku z rękami na biodrach i strzelbą pod pachą. Jego twarz promieniała niezdrową radością. Sześciu uzbrojonych pomocników otaczało na jezdni taczkę z zakrwawionym ciałem. Ciałem Al-Aufiego. Poznałem go po tych groteskowych buciorach i po wybebeszonym plecaku rzuconym na wierzch.

– Partyzant – powiedział Karimu. – Parszywy cuchnący partyzant... Ten smród go zdradził. – Zbliżył się o krok. – Zastanawiałem się, czego taki brudas mógł szukać w m o i m miasteczku. U kogo był? Skąd wyszedł?

Podepchnięto taczkę do mnie. Głowa sanitariusza kołysała się nad kołem, część czaszki odstrzelono. Karimu podniósł plecak i rzucił mi do stóp; na chodniku rozsypały się lekarstwa.

– W Río jest tylko jedna apteka, Jonas. Twoja. I nagle wszystko zrozumiałem.

Do słów dodając czyn, wymierzył mi w twarz cios kolbą strzelby. Poczulem, że głowa mi się rozpada, w uszy wdarł się krzyk Germaine i odpłynąłem w nicość.

Zamknięto mnie w śmierdzącym lochu ze szczurami i karaluchami. Karimu chciał się dowiedzieć, kim był ten „fallaka” i od jak dawna zaopatrywałem go w leki. Konsekwentnie odpowiadałem, że go nie znam. Zanurzał mi głowę w wiadrze pełnym pomyj, smagał mnie plecioną szpicrutą; z uporem powtarzałem, że „fallaki” nigdy nie widziałem na oczy. Karimu kłął, opluwał mnie, kopał po żebrach. Niczego się nie dowiedział. Jego miejsce zajął wysuszony starzec o pociągłej szarej twarzy i przenikliwym spojrzeniu. Zaczął od zapewnień, że rozumie i że w miasteczku wszyscy są przekonani, iż nie mam nic wspólnego z „terrorystami”, którzy ani chybi zmusili mnie do współpracy. Uporczywie wszystkiemu zaprzeczałem. Przesłuchanie następowało po przesłuchaniu, jedne były podchwytliwe, inne naznaczone przemocą. Karimu czekał nocy, by wznowić swoje tortury. Wytrzymałem.

Rankiem otworzyły się drzwi i stanął w nich Pepe Rucillio.

Towarzyszył mu oficer w mundurze polowym, który powiedział do Rucillia:

– Jeszcześmy z nim nie skończyli.

– Traciecie czas, poruczniku. To przykre nieporozumienie. Ten chłopak padł ofiarą nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Pański dowódca też jest o tym przekonany. Nie sądzi pan chyba, że wstawiałbym się za człowiekiem wyjętym spod prawa?

– Nie w tym problem.

– Żadnego problemu nie ma i nie będzie – zapewnił go nestor klanu Rucilliów.

Zwrócono mi ubranie.

Na zewnątrz, na wysypanym żwirem dziedzińcu chyba koszar Karimu i jego ludzie rozłoszczeni i urażeni patrzyli, jak im się wymykam z rąk. Mieli świadomość, że najbardziej szanowany w Río Salado człowiek, głowa potężnego rodu, wstawił się za mną u najwyższych

władz wojskowych i poręczył za moją niewinność.

Pepe Rucillio pomógł mi wsiąść do swojego samochodu i ruszył. Kiwnął głową wartownikowi przy bramie, po czym skręcił na drogę potężnym Citroënem z przednim napędem.

– Mam nadzieję, że nie popełniam życiowego błędu – rzekł.

Nie odpowiedziałem. Wargi miałem porozbijane, a oczy tak zapuchnięte, że z trudem mogłem je otworzyć.

Pepe nic więcej nie dodał. Czułem, że się miota między niepewnością a przyzwoitością, między zaangażowaniem w moją sprawę a kruchością argumentów, które przedstawił dowództwu, aby oczyścić mnie z podejrzeń i uwolnić. Pepe Rucillio był kimś więcej niż wybitnym człowiekiem; był legendą, autorytetem moralnym, osobowością równie wielką jak jego majątek, w przeciwieństwie jednak do znakomitości, dla których honor znaczy dużo więcej niż wszelkie inne względy, w nim zaznaczała się delikatność porcelanowego monumentu. Wszystkich miał na swoje skinienie; jego słowo było tyle co każdy oficjalny dokument. Ludzie wpływowi tej rangi, których samo nazwisko wystarczy, by uspokoić umysły i położyć kres najburzliwszym debatom, mają prawo do hojności, czasem do szaleństw, ponadto w niejkiej mierze korzystają z bezkarności z jednym wyjątkiem: nie ma żadnych okoliczności łagodzących, gdy idzie o dane słowo. Jeśli się okazuje, że nie można go dotrzymać, delikwent nie ma żadnego pola manewru. Dlatego Pepe Rucillio teraz, gdy za mnie poręczył, poważnie się zastanawiał, czy dobrze uczynił, i niewiarygodnie go to dręczyło.

Przywiózł mnie do miasteczka, wysadził przed domem. Nie pomógł mi wysiąść, nie zwracał uwagi, kiedy się gramoliłem z wozu.

– Tu idzie o moją reputację, Jonas – mruknął półgębkiem. – Jeśli się okaże, żeś wszystko udawał, osobiście się zajmę twoją egzekucją.

Nie wiem, skąd wziąłem siły, aby zapytać:

– Jean-Christophe?

– Isabelle. – Pokręcił głową i dodał: – Niczego córce nie odmawiam, ale jeżeli pomyliła się co do ciebie, wyrzeknę się jej.

Germaine wyszła na chodnik. Nie czyniła mi żadnych wyrzutów. Tak się cieszyła z odzyskania mnie żywego, że zaraz napuściła mi wody do wanny i przygotowała posiłek. Później zatroszczyła się o moje rany, najpoważniejsze zabandażowała i położyła mnie do łóżka.

– Ty dzwoniłaś do Isabelle? – zapytałem.

– Nie... Ona zatelefonowała.

– Jest w Oranie. Jak się dowiedziała?

– W Río wszyscy wszystko wiedzą.

– Co jej powiedziałaś?

– Ze nie masz z tym nic wspólnego.

– I oczywiście uwierzyła ci?

– Nie pytałam.

Uraziły ją moje pytania. A szczególnie to, jak je zadawałem. Obojętny ton, domniemany wyrzut przemieniły jej radość, że wróciłem cały i zdrowy, w niejkie rozczarowanie, które niebawem przeobraziło się w głuchy gniew. Zerknęła spod oka z wyraźną pretensją. Po raz pierwszy w życiu tak na mnie popatrzyła. Zrozumiałem, że więzy, które nas łączyły, znacznie osłabły, że ta pani, która była mi wszystkim – matką, dobrą wróżką, siostrą, współniczką, powiernicą i przyjaciółką – widzi we mnie już tylko obcego człowieka.

Zima roku 1960 była tak ciężka, że nasze modlitwy zamarzały; zdawało się, że słychać, jak spadają z nieba i rozbijają się na ziemi niczym kostki lodu. Za mało było widać w otaczającej nas szarości, od której posepniały myśli, bo grube chmury dzielnie ją wspomagały; jak sępy opadały słońce, na naszych oczach pożerając nieliczne promyki światła, które mogłyby choć odrobinę rozjaśnić nam zamroczone umysły. W powietrzu wisiała tylko udręka; ludzie nie mieli złudzeń: dla wojny warunki były jak najbardziej sprzyjające, a na cmentarzach ruch panował jak w porcie.

W domu sprawy się komplikowały. Ciężko mi milczenie Germaine. Przykro było widzieć, jak przechodzi obok, nie patrząc na mnie, podczas posiłku siedzi ze wzrokiem wlepionym w talerz i czeka, aż skończę jeść, by pozbierać statki i bez słowa odejść do swojego pokoju. Z jednej strony byłem z tego powodu nieszczęśliwy, z drugiej nie czułem potrzeby pogodzenia się z nią. Wszystko mnie męczyło, wszystko napawało odrazą. Nie chciałem słuchać głosu rozsądku, miałem w nosie, że się mylę; nie chciałem nic więcej prócz ciemnego kącika, w którym zabraniałem sobie rozmyślać o tym, co powinienem zrobić, roztrząsać to, co zrobiłem, zastanawiać się, czy postąpiłem dobrze czy źle. Była we mnie gorycz jak w korzeniu drzewa laurowego, chodziłem nabzdyczony i wściekły na coś, czego nie potrafiłem nazwać. Chwilami rozbrzmiewały mi w głowie obsceniczne wulgaryzmy Karimu; stwierdzałem, że życzę mu jak najgorzej, po czym dawałem sobie z tym spokój i wszystko od siebie odsuwałem. Nie było we mnie nienawiści; złości już także nie było; czułem się tak, jakby całe moje jestestwo zostało napompowane do tego stopnia, że jeszcze odrobina wtłoczonego powietrza, a pęknę.

Kiedy byłem spokojniejszy, rozmyślałem o stryju. Jednakże pustka, jaką po sobie zostawił, przypominała mi pustkę po innych bliskich osobach. Przepęłniało mnie doznanie, że znikąd nie mam żadnego wsparcia, że w zwolnionym tempie unoszę się w bańce, która dusi, że sam jestem bańką zdaną na łaskę najmarniejszej gałązki. Musiałem coś zrobić; czułem, że zjeżdżam gdzieś w dół, wolno się rozpadam. Dlatego przyzywałem zmarłego stryja. Jego wspomnienie nakładało się na wszystkie inne, jego duch odsuwał wszelkie nieszczęścia, które mnie dotknęły. Może mi go brakowało mimo wszystko? Czułem się tak samotny, że byłem o włos od odejścia niczym cień pochłonięty przez ciemności. Czekając, aż ślady pobicia choć trochę zbledną, chowałem się w gabinecie stryja i z ogromnym zainteresowaniem oddawałem się lekturze jego zapisków – dziesięciu zeszytów cieńszych i grubszych zapełnionych notatkami, komentarzami, cytatami z pisarzy i filozofów z całego świata. Prowadził także dziennik, który odkryłem przypadkiem pod stertą wycinków prasowych w głębi jego biurka. Pisma stryja odnosiły się do Algierii uciśnionych, ruchu narodowego i ludzkiego szaleństwa, które sprowadza sedno życia do pospolitych relacji opartych na sile, do zdumiewającego i jakże godnego pożałowania pragnienia jednych, by podporządkować sobie drugich. Stryj był człowiekiem wielkiej kultury; erudyta i mędrce. Wspominałem spojrzenie, jakim mnie obdarzał, kiedy zamykał notatnik; było uduchowione, skrzące się inteligencją. „Chciałbym, żeby moje pisma służyły przyszłym pokoleniom”, powiedział mi kiedyś. „To będzie twój wkład dla potomnych”, schlebilem mu. Twarz mu się ściągnęła. Odpowiedział: „Myśl o potomnych nigdy nie sprawiła, że objęcia grobu wydały mi się miłsze. Potomność ma tylko tę zaletę, że łagodzi nasz strach przed śmiercią, bo nic lepiej nie leczy z lęku przed nieuniknionym kresem jak złudzenie wspaniałej wieczności... Ale na jednym mi zależy, jeśli chodzi o przyszłe pokolenia: na pamięci narodu oświeconego. Tylko taka potomność się dla mnie liczy”.

Kiedy z balkonu patrzyłem w dal i na horyzoncie niczego nie widziałem, zastanawiałem się, czy jest jakieś życie po wojnie.

André Sosa odwiedził mnie tydzień po interwencji Pepego Rucillia. Zatrzymał samochód naprzeciw winnic i dał mi znak, żebym do niego zszedł. Odmówiłem na migi. Otworzył drzwi i wysiadł z auta. Miał na sobie rozpięty obszerny beżowy płaszcz i skórzane buty z cholewami do kolan. Po jego szerokim uśmiechu poznałem, że przybywa w pokoju.

– Przejedziemy się moją gablotą?

– Tu mi dobrze.

– No to idę do ciebie.

Słyszałem, jak z szacunkiem wita się z Germaine w sieni, potem otworzył drzwi mojego pokoju. Zanim wyszedł do mnie na balkon, obejrzał rozkopane łóżko, stos książek na szafce nocnej, zbliżył się do kominka, gdzie stał drewniany konik, którego Jean-Christophe mi podarował w innym życiu, nazajutrz po ciągach, jakie mi spuścił w szkole.

– To były stare dobre czasy, nie, Jonas?

– Czas nie ma wieku, Dédé. Tylko myśmy się postarzeni.

– Pewnie, z tym że z nami jest inaczej niż z winem, które wytwarzamy: z biegiem lat nie stajemy się lepsi.

Oparł się łokciami o balustradę obok mnie i wodził wzrokiem po winnicach.

– Nikt w miasteczku nie uważa, że jesteś zamieszany w tę historię z fallakami. Karimu coś sobie ubzdurał. Widziałem się z nim wczoraj i powiedziałem mu to w oczy. – Odwrócił do mnie głowę, omijając wzrokiem siniaki, które znaczyły mi twarz. – Żałuję, że nie przyszedłem wcześniej.

– To by coś zmieniło?

– Czy ja wiem?... Może byś wyskoczył ze mną do Tilimsanu? W Oranie przez te codzienne jatki nie da się żyć, a potrzebuję zmienić powietrze. W Río wszystko mnie przygnębia.

– Nie mogę.

– Nie będziemy długo. Znam restaurację...

– Nie nalegaj, Dédé.

Pokręcił głową.

– Rozumiem cię. Ale nie pochwalam tego. Niedobrze tak siedzieć i truć się tym, co ci leży na wątrobie.

– Nie truję się. Potrzebuję samotności.

– Przeszkadzam ci?

Zapatrzyłem się w dal, by nie odpowiadać.

– Nie do wiary, co się z nami dzieje – westchnął, znów opierając się łokciami o balustradę. – Kto by pomyślał, że kraj tak nisko upadnie?

– To było do przewidzenia, Dédé. Lud leżał na ziemi i deptano po nim jak po trawniku. Kiedyś w końcu musiał się ruszyć. Siłą rzeczy tracimy grunt pod nogami.

– Naprawdę tak myślisz?

Tym razem ja zwróciłem się twarzą do niego.

– Dédé, jak długo będziemy się oszukiwać?

Podniósł pięść do ust i dmuchnął w nią, rozważając moje słowa.

– Fakt, nie wszystko było w porządku, ale żeby zaraz wywoływać wojnę... na to się nie zgadzam. Mówi się o setkach tysięcy ofiar, Jonas. Nie uważasz, że to zdecydowanie za dużo?

– Mnie pytasz?

– Całkiem się pogubiłem. W głowie mi się to wszystko nie mieści. To, co się dzieje w Algierze, przechodzi wszelkie pojęcie. A Paryż nie wie, jak się z tym uporać. Mówią coś o

samostanowieniu. Co to właściwie jest to samostanowienie? Ze puszcza się w niepamięć wszystko i zaczyna na równych prawach? Albo...

Nie odważył się dokończyć. Jego zaniepokojenie przerodziło się w gniew; kostki palców mu pobielaly, tak mocno przyduszał swoje obsesje.

– Ostatecznie ten cholerny generał w ogóle nie rozumie naszego nieszczęścia – rzekł, nawiązując do słynnego „Zrozumiałem was”, które de Gaulle wypowiedział do Algierczyków 4 czerwca 1958 roku, wzbudzając entuzjazm tłumów i na jeszcze trochę przedłużając złudzenia.

Tydzień później, 9 grudnia 1960 roku, całe Río Salado udało się do Ajn Tamuszant, pobliskiego miasta, gdzie generał przybył na wiec nazwany przez proboszcza „mszą ostatniej modlitwy”. Opierając się na pogłoskach, ludzie przygotowali się na najgorsze, lecz nikt się nie chciał z tym godzić. Pod wpływem strachu zwierali szeregi, zakładali klapki na oczy; nie chcieli widzieć obrzeży przywoływanej rzeczywistości, nieuchronnie odmiennego jutra. Od świtu słyszałem, jak wyprowadzali samochody z garaży, ustawiali się w konwoje, gromko nawoływali, dowcipkowali, głośno pokrzykiwali, by zagłuszyć budzący lęk głos, który spędzał im sen z powiek i niestrudzenie powtarzał, że kości zostały rzucone, a ich los przypieczętowany. Na próżno zaśmiewali się do rozpuku, hałasowali, udawali, że jeszcze mają coś do powiedzenia, że daleko im do opuszczenia rąk – widać było wyraźnie, że ich zapał jest tylko pozorny, że choć dodają sobie ducha, nie jest to szczere, że panika we wzroku kompletnie się kłóci z manifestowaną pewnością siebie. Zachowując morale, ratując pozory, mieli nadzieję, że przywołają los do rozsądku, przymuszają go, spowodują, że stanie się cud. I zapominali, że odliczanie dawno się zaczęło i niczego już nie naprawią, trzeba bowiem być ślepy, by podążać dalej w mroku utopii, wypatrywać jutrzeńki, która już wstała nad inną epoką, podczas gdy oni z uporem czekali na nią tam, gdzie nie mieli szans jej zobaczyć.

Wyszedłem z domu, aby się przespacerować po wyludnionych ulicach. Później powędrowałem za cmentarz żydowski, by popatrzeć na wypalone ruiny tego, co było domem, w którym przez czas jednego uścisku zaznałem pierwszego doświadczenia seksualnego. W pobliżu dawnej stajni koń skubał trawę, nie zwracając uwagi na ludzkie peregrynacje. Przysiadłem na murku i tkwiłem tam do południa, próbując przywołać wspomnienie pani Cazenave: oczami wyobraźni zobaczyłem tylko płonący samochód Simona oraz półnągą Emilie tulącą syna.

Wróciły samochody z Ajn Tamuszant. Rankiem odjeżdżały z fanfarami, z porykiwaniem silników i w kakofonii klaksonów, z rozpostartą trójkolorową flagą. Ciągnęły z wiecu niczym z pogrzebu, cicho jak kondukt żałobny, z opuszczonymi flagami, nosem na kwintę. Ołowiana cisza zapadła nad miasteczkiem. Na wszystkich twarzach widniała żałoba po nadziejach już dawno zgasłych, choć usiłowano je na powrót wzniecić z dymu. Algieria będzie algierska.

Nazajutrz na frontowej ścianie piwnicy winnej czyjaś triumfująca ręka czerwoną farbą wymalowała ogromne FLN.

Oran wstrzymał oddech wiosną roku 1962. Ja szukałem Emilie. Bałem się o nią. Potrzebowałem jej. Kochałem ją i wróciłem, aby jej to udowodnić. Czuję się na siłach stawić czoło huraganom, piorunom, wszelkim anatemom i nędzy całego świata. Nie mogłem dłużej żyć z dala od niej. Nie mogłem dłużej wyciągać do niej ręki i palcami wyczuwać tylko jej brak. Mówiłem sobie: odtrąci cię, powie ci dużo przykrych rzeczy, całe niebo zrzuci ci na głowę; mimo to trwałem przy swoim. Już się nie bałem złamania przysięgi, własnoręcznego zmiżdżenia swojej duszy; już się nie bałem narazić bogom, okryć się sromotą po wsze czasy. W księgarni powiedziano mi, że Emilie wyszła pewnego wieczoru i więcej nie dała znaku życia. Przypomniałem sobie numer tramwaju, którym jeździła, kiedy ostatnio tu byłem, wysiadałem więc na kolejnych przystankach tej linii i przemierzałem okoliczne ulice. Wydawało mi się, że ją rozpoznaję w każdej ujrzanej kobiecie, w

każdej postaci znikającej za zakrętem czy w wejściu do budynku. Wypytywałem o nią sklepikarzy, policjantów w komisariatach, listonoszy i chociaż każdy dzień okazywał się bezowocny, ani przez chwilę nie pomyślałem, że marnuję czas. Jakże ją jednak miałem odnaleźć w mieście oblężonym, będącym jak arena pod otwartym niebem, pośród chaosu i ludzkiej wściekłości? Algierska Algieria rodziła się w bólach, w strumieniach łez i krwi; francuska Algieria oddawała ducha, wykrwawiając się jak szlachtowane bydło. I obydwie, choć wyniszczone siedmioletnią wojną i u kresu sił, znajdowały jeszcze dość energii, by nawzajem się szarpać okrutniej niż dotąd. Dni barykad, ustanowione w Algierze w styczniu 1960 roku, nie zatrzymały nieuniknionego postępu Historii. Pucz generałów, zainicjowany przez garstkę secesjonistów w kwietniu 1961 roku, sprowokował tylko między obu narodami zupełnie surrealistyczne walki. Wojsko nie nadążało za biegiem wydarzeń; żołnierze strzelali na oślep do cywilów, odpierając szarżę jednej formacji, by za chwilę ulec innej. Ci, którzy dali się nabrać na manewry Paryża, czyli zwolennicy definitywnego zerwania z macierzą, z Francją, chwyтали za broń i przysięgali, że pięć po pięci odzyskają Algierię, której ich pozbawiano. Miasta i miasteczka pogrążyły się w koszmarze nad koszmarami. Na zamachy odpowiadano zamachami, represjami na zabójstwa, porwaniami na wypadki oddziałów. Biada Europejczykowi, którego by ktoś zastał z muzułmaninem, biada muzułmaninowi, który by się zwąchał z Europejczykiem. Linie demarkacyjne rozdzielały wspólnoty, które pod wpływem instynktu stadnego zamykały się przed światem zewnętrznym, dniem i nocą wartownicy pilnowali ich granic, nie wahano się przed linczem, gdy ktoś pomylił adres. Co rano na ulicach znajdowano ciała; co noc duchy rozgrywały regularne bitwy. Napisy na murach przywodziły na myśl epitafia. Pośród haseł typu „Głosuj na tak”, „FLN”, „Niech żyje francuska Algieria” zaczęły się niepostrzeżenie pojawiać trzy litery zapowiadające apokalipsę:

OAS – zrodzona z agonii kolonii, z odmowy uznania faktów dokonanych Tajna Organizacja Wojskowa, która będzie coraz głębiej drażyła przepaść potępionych, aż dotrze do samego serca piekieł.

Emilie zniknęła, byłem jednak zdecydowany szukać jej choćby w najodleglejszych czeluściach. Czułem ją gdzieś blisko, na wyciągnięcie ręki; byłem święcie przekonany, że wystarczy mi odsunąć gdzieś zasłonę w wejściu, popchnąć drzwi, odsunąć gapia, aby wpaść na nią. Chodziłem jak wariat. Nie widziałem ani kałuży krwi na chodniku, ani śladów kul na murach. Nieufność ludzi była mi obojętna. Ich wrogość, wzgarda, czasami zniewagi przelatowały przeze mnie jak przez sito, nie wywierając wrażenia. Tylko ją miałem w głowie, tylko jej oczu wypatrywałem; ona była przeznaczeniem, które dla siebie wybrałem; reszta się nie Uczyla.

Fabrice Scamaroni natknął się na mnie łążącego po mieście, które cuchnęło nienawiścią i śmiercią. Zatrzymał samochód, wrzasnął, żebym szybko wskakiwał, i natychmiast ruszył z piskiem opon.

– Czyś ty zwariował? Ta okolica to istna mordownia...

– Szukam Emilie.

– Jak chcesz ją znaleźć, skoro nie widzisz nawet, w jaką mierzwę się pakujesz? Do licha, ta dzielnica jest gorsza niż pole minowe!

Fabrice nie wiedział, gdzie się podziewa Emilie. Nigdy nie odwiedziła go w redakcji. Spotkał ją raz w Choupot, ale to było parę miesięcy temu. Obiecał, że rozejrzy się za nią ze swojej strony.

W Choupot wskazano mi budynek przy bulwarze Laurent-Guerrero. Konsjerż potwierdził, że istotnie rzeczona pani mieszkała tam na drugim piętrze, lecz wyprowadziła się po strzelaninie.

– Nie zostawiła adresu, pod który miałyby być przesyłana korespondencja?

– Nie... Jeśli mnie pamięć nie myli, kazała firmie przewozowej zawieźć rzeczy do Saint-Hubert.

Stukałem do wszystkich drzwi w Saint-Hubert. Bez skutku. Gdzie ona się podziała? Gdzie się zasyła? W mieście wszystko stało na głowie. Zawieszenie broni z 19 marca 1962 roku spowodowało do działania ostatnie punkty oporu. Walczono nożami przeciwko karabinom maszynowym; leciały granaty i bomby; zabłąkane pociski urządzały jatki. I Emilie ciągle się wycofywała, a ja podążałem naprzód pośród smrodu dymów kremacji. Czy zginęła? Zabrała ją bomba albo przypadkowa kula? Wykrwawiła się gdzieś w Oranie na klatce schodowej? Oran nie oszczędzał nikogo, na nic nie zważając, kosił z rozmachem starców i dzieci, kobiety i słabych na umyśle, którzy błąkali się ogarnięci swoimi omamami. Byłem przy tym, jak na suku Tahtaha wybuchły dwa samochody pułapki, zabijając blisko sto osób i raniąc kilkadziesiąt spośród muzułmanów zamieszkujących Madina Dżadida; byłem przy tym, jak z mętnych wód w Petit Lac wyławiano dziesiątki zwłok Europejczyków; byłem przy tym, jak oddział OAS zaatakował miejskie więzienie, wyprowadził na ulice więźniów należących do FLN i na oczach tłumu dokonał na nich egzekucji; byłem przy tym, jak sabotażyści podłożyli dynamit pod skład paliw w porcie – przez wiele dni później promenadę nadmorską spowijały gęste kłęby czarnego dymu; cały czas powtarzałem sobie, że Emilie na pewno słyszała te same co ja detonacje, przeżywała takie same chwile grozy, tak samo jak ja się bała, i nie rozumiałem, dlaczego nasze drogi się mijają, dlaczego przypadek, opatrność, fatum – jak zwał, tak zwał – pech jakiś sprawiał, że być może nieświadomie muskaliśmy się przelotnie w tym zdziczałym tłumie. Byłem wściekły, że dni tak się przewijają jeden za drugim, zacierając ślady, które wiodły do Emilie; byłem wściekły, że stale się natykam na rozmaite wojenne sceny i indywidualia wszelkiego pokroju, że przechodzę koło stanowisk strzeleckich, włóczę się po zakazanych dzielnicach, oglądam rzezie i masakry, a nie dostrzegam ani śladu, choćby najskromniejszego, choćby nie wiedzieć jak nikłego, który pomógłby mi dotrzeć do Emilie; byłem wściekły na myśl, że ona gdzieś żyje, gdy społeczność europejską przenika coraz silniejszy powiew paniki. Dziwne przesyłki w skrzynkach na listy wprawiały całe rodziny w przerażenie. Sezon „walizka albo grób” został zainaugurowany. Pierwsze wyjazdy na wygnanie odbywały się w nieopisanym zamieszaniu. Samochody obładowane bagażami i rozbrzmiewające szlochaniem zmierzały ku portowi i dworcom lotniczym, inne kierowały się do Maroka. Kto się zagapił, czekał, by sprzedać dobytek i także uciekać; w pośpiechu pozbywano się za bezcen sklepów, domów, samochodów, fabryk, agencji; czasami już nawet nie czekano na nabywców, nie było kiedy zamknąć walizki.

W Río Salado tłukły się niezamknięte okiennice; niezastłonięte okna ukazywały puste wnętrza domów. Sterty bezkształtnych tobołków zalegały na chodnikach. Wiele rodzin wyjechało; kto został, nie wiedział, któremu świętemu oddać się w opiekę. Powykęcany reumatyzmem schorowany starzec chwiał się w progu swojego domu. Młody mężczyzna pomagał mu iść, podczas gdy reszta rodziny niecierpliwiła się w furgonie zapakowanym do granic. „Mogli poczekać, aż odejdę – mamrotał starzec. – No i gdzie teraz umrę, hę?” Na głównej ulicy tłoczyły się ciężarówki, samochody osobowe, furmanki, kto żyw opuszczał miasteczko. Na stacji zdezorientowany tłum czekał na pociąg, który okrutnie się spóźniał. Ludzie biegali z miejsca na miejsce zagubieni, z wybałuszonymi oczami, podobni do ślepców wypuszczonych w szczerze pole, porzuceni przez swoich patronów i aniołów stróżów. Obłąd, strach, smutek, klęska, dramat miały jedno oblicze: oblicze tych ludzi.

Germaine siedziała w progu apteki, rękami obejmując głowę. Naszych sąsiadów już nie było; ich psy łąziły w kółko za ogrodzeniem.

– Co ja mam zrobić? – spytała.

– Zostań – powiedziałem. – Nikt tu na ciebie nie podniesie ręki.

Przytuliłem ją. Mogłaby się tego dnia zmieścić w mojej dłoni, taka mi się wydała malutka. Była smutna i spłoszona, otępiała i przybita, rozczochrana i niepewna. Oczy miała czerwone od

łez i strachu. Stale przebierała w miejscu nogami pod wpływem tysiąca pytań. Ucałowałem ją w mokre od łez policzki, w czoło zryte zmarszczkami, w głowę nabitą przykrymi myślami. Trzymałem w ramionach całą trwogę świata... Zaprowadziłem ją na górę i wyszedłem z powrotem na ulicę. Pani Lambert wznosiła ręce do nieba i opuszczała je na uda. „Gdzie mam się podziąć? Gdzie mam się podziąć? Nie mam dzieci ani nigdzie żadnej rodziny”. Poprosiłem, by wróciła do domu. Jakby nie usłyszała, monologowała dalej. Na końcu ulicy Ravirezowie miotali się na wszystkie strony z bagażami w objęciach. Na rynku przed merostwem pośród rozrzuconych na ziemi tobołków zgromadziły się rodziny żądające podstawienia autokarów. Mer nadaremnie dwoił się i troił, aby ich uspokoić. Pepe Rucillio natomiast namawiał, żeby wrócili do domów i czekali, aż sprawy się ułożą. „Jesteśmy u siebie. Nigdzie nie wyjedziemy”. Nikt go nie słuchał.

André Sosa był sam w barze otwartym na przestrzał. Pośród połamanych stolików i porozbijanych luster, ze zrujnowanym kontuarem. Podłogę zaścielały połyskujące odłamki szkła i porcelany. Nad pobojuwiskiem żałośnie zwisały spod sufitu lampy pozbawione żarówek. André grał w bilard. Nie zwrócił na mnie uwagi. Na nic nie zwracał uwagi. Pocierał kredą koniec kija, opierał się o koronę stołu i celował w wyimaginowaną bilę. Na stole nie było bil, sukno zostało pocięte. André na to również nie zwracał uwagi. Celował w bilę, którą tylko on widział, i uderzał kijem. Prostował się potem, wiódł wzrokiem za toczącą się kulą, a kiedy wpadała do luzu, triumfalnie wznosił wysoko pięść i szedł na drugą stronę stołu. Od czasu do czasu podchodził do kontuaru, zaciągał się papierosem, odkładał go na popielniczkę i wracał do gry.

- Dédé – odezwałem się – nie powinienes tu zostawać.
- Jestem u siebie – burknął, uderzając w nieistniejącą bilę.
- Dopiero co wróciłem z Oranu. Widziałem po drodze płonące farmy.
- Nie ruszę się stąd. Poczekam na n i c h .
- Dobrze wiesz, że to nierozsądne.
- Nie ruszę się stąd, mówię.

Grał dalej odwrócony do mnie plecami. Papieros mu zgasł; zapalił następnego, potem jeszcze jednego, aż opróżnił paczkę, którą ze złością zgniótł w ręce. Dzień chylił się ku końcowi; ciemność zaczynała podstępnie opanowywać bar. André zagrał jeszcze raz i znowu, w końcu odrzucił kij i przysiadł u stóp kontuaru. Podciągnął kolana do piersi, oparł na nich głowę, splecione dłonie założył za kark. Siedział tak dłuższą chwilę w milczeniu, wreszcie usłyszałem przeciągły jęk. André wypłakiwał z siebie wszystkie łzy z głową wciąż na kolanach i rękami na karku. Później połą koszuli otarł twarz i podniósł się. Wyszedł na podwórko po kanistry z benzyną, polał nią kontuar, stoliki, ściany, podłogę, zapalił zapałkę i patrzył, jak płomienie rozprzestrzeniają się po pomieszczeniu. Chwyciłem go za łokieć i wypchnąłem na zewnątrz. Stał tam, obserwując z graniczącą z obłędem fascynacją, jak jego bar idzie z dymem.

Kiedy pod wpływem ognia zawalił się dach, André wrócił do samochodu. Bez słowa. Nie obdarzywszy mnie najmniejszym spojrzeniem. Uruchomił silnik, zwolnił hamulec ręczny i wolno pojechał ku drodze wyjazdowej z miasteczka.

W dniu 4 lipca 1962 roku przed apteką zatrzymał się peugeot 203. Dwaj mężczyźni w garniturach i ciemnych okularach powiedzieli, że mam z nimi iść. „To tylko formalność”, wyjaśnił jeden po arabsku z silnym akcentem kabylskim. Germaine była chora, leżała w łóżku. „To nie potrwa długo”, obiecał kierowca. Usiadłem na tylnej kanapie. Samochód manewrował w miejscu, aby zawrócić. Odchyliłem głowę na oparcie. Spędziłem noc przy Germaine; byłem bardzo zmęczony.

Río przywodziło na myśl koniec pewnej epoki, zostało pozbawione swojej treści, wydane na

pastwę nowego przeznaczenia. Ściągnięto trójkolorową flagę, która zdobiła front merostwa. Na rynku wieśniacy w turbanach otaczali mówcę stojącego na cembrowinie fontanny. Przemawiał po arabsku, a oni słuchali w nabożnym skupieniu. Pod murami domów przemykali nieliczni Europejczycy, którzy nie byli w stanie porzucić swoich pól, cmentarzy, domów, kawiarni, gdzie ongiś nawiązywali lub zrywali przyjaźnie, znajdowali współników, układali plany – krótko mówiąc, nie potrafili odejść ze swojej małej ojczyzny, która stanowiła sedno ich życia.

Dzień był piękny, świeciło słońce wielkie jak ból wyjeżdżających, ogromne jak radość powracających. Krzewy winorośli zdawały się falować w jego promieniach, widoczne w oddali miraże udawały morze. Tu i ówdzie płonęły gospodarstwa. Ciężąca nad szosą cisza wydawała się skupiona na sobie. Towarzyszący mi mężczyźni milczeli. Widziałem tylko ich sztywne karki, ręce szofera na kierownicy i błyszczący zegarek na przegubie siedzącego obok. Przez Lourmel przejechaliśmy jak przez mglisty sen. Tutaj także coraz tłumniej się zbierano wokół prowizorycznych mównic. Biało-zielone sztandary z krwistoczerwonym półksiężycem i taką samą gwiazdą potwierdzały narodziny nowej republiki, Algierii zwróconej jej synom.

W miarę jak zbliżaliśmy się do Oranu, przy drodze pojawiało się coraz więcej wraków samochodów. Niektóre były spalone, inne obrabowane, z powyrywanych drzwiami i podniesionymi dachami. Tobołki, walizki, kufry leżały wszędzie wokół porzrzućane, wybebeszone, pogięte, na krzewach wisiały części garderoby, różne rzeczy zaściełały szosę. Widoczne były także ślady przemocy: krew w pyłe drogi, przednia szyba samochodu wybita łomem... Wiele rodzin zatrzymano podczas ucieczki i zmasakrowano. Inne zdołały zbiec w sady i próbowały pieszo dotrzeć do miasta.

W Oranie wrzało. Tysiące dzieci goniły się po nieużytkach, gradem kamieni zasypywały przejeżdżające samochody, wyśpiewywały wniebogłosy własne oswobodzenie. Na ulicach rojno było od ludzi, radosnych tłumów. Budynki aż wibrowały od wesołych krzyków kobiet, które nosiły chusty niczym bojowe proporce, rozlegał się warkot bandirów, dudnienie bębenków i darbuk, jazgot klaksonów i patriotyczne pieśni.

Peugeot wjechał na teren koszar Magenta, gdzie Narodowa Armia Wyzwoleńcza, która niedawno weszła do miasta, ulokowała swój sztab. Samochód stanął przed budynkiem. Kierowca poprosił wartownika, by powiadomił „porucznika” o przybyciu „jego gościa”.

Na dziedzińcu koszar kłębili się ludzie w drelichach, starcy w kandurach i cywile.

– Jonas, kochany Jonas! Jak się cieszę, że cię widzę!

Dżallul szeroko rozłożył ramiona przed wejściem do budynku. On był tym porucznikiem. Miał na sobie kombinezon spadochroniarski bez naszywek, kapelusz z szerokimi kresami, ciemne okulary. Uściskał mnie, aż straciłem dech, po czym odsunął i obejrzał z góry na dół.

– Zdaje mi się, żeś schudł... Co porabiasz? Dużo o tobie ostatnio myślałem. Jesteś wykształcony, kiedy ojczyzna była w potrzebie, nie odmówiłeś jej wsparcia, i tak się zastanawiam, czy nie pasowałoby ci oddać swoją wiedzę i dyplomy na usługi naszej młodej republiki. Nie musisz teraz odpowiadać. Zresztą nie po to cię tu ściągnąłem. Mam wobec ciebie dług i postanowiłem uregulować go jeszcze dzisiaj, bo jutro wstanie nowy dzień, a mnie zależy, żeby go zacząć bez bagażu przeszłości. No bo jakże miałbym się cieszyć wolnością, gdyby wierzyciele mnie ścigali?

– Nic mi nie jesteś winien, Dżallul.

– Miło, że tak mówisz, ale nie zamierzam pozostać twoim dłużnikiem. Nie zapomniałem tamtego dnia, kiedy wspomogłeś mnie forszą i zawiozłeś do rodziny na rowerze. Dla ciebie może to było niewiele. Ja zaznałem objawienia: odkryłem wtedy, że Arab, urodziwy Afab, Arab godny szacunku i szczodry nie jest ani starym mitem, ani wytworem europejskiego kolonisty... Nie jestem dość uczony, żeby ci wytłumaczyć, co się działo tamtego dnia w mojej głowie, ale to

odmieniło moje życie. – Chwycił mnie za rękę. – Chodź.

Poszliśmy przed budynek, którego front zajmowały same żelazne drzwi. Domyśliłem się, że to więzienie. Dżallul włożył klucz do jednych drzwi, odciągnął zewnętrzny rygiel i powiedział:

– Należał do najzjadlejszych bojowników OAS, był zamieszany w kilka akcji terrorystycznych. Poruszyłem niebo i ziemię, żeby mu uratować skórę. Daję ci go. W ten sposób spłacam swój dług wobec ciebie... No, otwórz drzwi i powiedz mu, że jest wolny, że może iść się powiesić, gdzie chce, byle nie w m o i m kraju, gdzie nie ma już dla niego miejsca.

Zasalutował mi, zrobił w tył zwrot i wrócił, do biura.

Nie pojmowałem, o co mu chodziło, nie wiedziałem, do czego pił. Położyłem rękę na klamce, pociągnąłem lekko. Zawiasy zaskrzypiały. Światło dnia wlało się do środka celi bez okna, z której buchnęło gorąco jak z pieca. W rogu poruszył się jakiś cień. Zrazu osłepiony, podniósł rękę do czoła, by osłonić oczy.

– Zjeżdżaj stąd! – huknął do więźnia strażnik, którego nie zauważyłem.

Człowiek w celi z trudem się poruszył, oparł o mur, aby stanąć. Ledwie mógł się utrzymać na nogach. Kiedy podszedł do wejścia, serce skoczyło mi w piersi. To był Jean-Christophe, Jean-Christophe Lamy, a raczej to, co z niego zostało, człowiek złamany, wygłodzony, dygoczący w brudnej koszuli, w wygniecionych opadających spodniach z rozpiętym rozporkiem, w butach bez sznurówek. Kilkundniowy zarost okrywał jego zabiedzoną twarz bladą jak ostrze noża. Cuchnął uryną i potem, kąciki ust niknęły mu pod wysuszoną warstwą białej śliny. Podniósł na mnie mroczne spojrzenie zaskoczony moim widokiem; pragnąc choć odrobinę poprawić swój fatalny wygląd, próbował wysoko zadrzeć podbródek, był jednak zbyt słaby. Strażnik złapał go za kark i ze złością wyciągnął z celi.

– Zostaw go – powiedziałem do strażnika.

Jean-Christophe na moment zatrzymał na mnie wzrok i zanim ruszył ku bramie koszar, rzekł:

– O nic cię nie prosiłem.

I oddalił się. Utykając. Kiedy odchodził, nie zdołałem się powstrzymać i pomyślałem o tym, cośmy razem przeżyli, o czasach świeżej jak kwiat niewinności, i ogarnął mnie nieznośny smutek. Patrzyłem za nim, gdy niepewnym krokiem szedł zgarbiony; gasło oto pewne życie; pomyślałem, że opowieści, które ongiś snuła moja matka, zawsze pozostawiały we mnie niedosyt, ponieważ kończyły się właśnie tak jak epoka, którą Jean-Christophe wybrał dla swoich mrzonek i zabierał teraz ze sobą w żałośliwym szuraniu butów, zdążając ku nie wiadomo jakiemu przeznaczeniu.

Wędrowałem potem ogarniętymi radością ulicami rozbrzmiewającymi śpiewem i wesołymi pokrzykiwaniami, pod zielono-białymi flagami, pośród zgiełku ustrojonych tramwajów. Nazajutrz, 5 lipca, Algieria miała dostać dokument tożsamości, godło i hymn narodowy, i konieczność odkrycia na nowo tysięcy punktów odniesienia. Na balkonach kobiety manifestowały radość i śmiechem, i łzami. Dzieciarnia tańczyła na skwerach, wspinała się na słupy, fontanny, latarnie, dachy samochodów, ganiała po ulicach gromadnie niczym przepływająca fala. Jej wrzaski zagłuszały fanfary i wznoszone okrzyki, syreny i przemowy; dla tych dzieci już nastąpiło jutro.

Poszedłem do portu, by popatrzeć, jak odpływają w y p ę d z e n i. Nabrzeża zapełniali pasażerowie i ich bagaże, powiewały chusteczki na pożegnanie. Parowce czekały na rozkaz podniesienia kotwicy, kołysząc się pod ciężarem smutku wysiedleńców. Rodziny szukały się w tłumie, płakały dzieci, zgnębieni starcy drzemali, przysiadłszy na tobołkach, modlili się we śnie, by już więcej się nie przebudzić. Stałem oparty o balustradę z widokiem na port i myślałem o Emilie, która może była gdzieś tam, wśród zagubionego gęstego tłumu cisnącego się do bram ku nieznanemu, albo już wyjechała, albo umarła, albo właśnie się pakowała w jednym z budynków

wyglądających na wojskowe, i patrzyłem tak z góry na port do późnej nocy, do wschodu słońca, niezdolny pogodzić się z myślą, że to, co nigdy naprawdę się nie zaczęło, skończyło się na dobre.

IV

Aix-en-Provence

(dzisiaj)

– Proszę pana...

Stewardesa o twarzy jak anioł uśmiechała się do mnie. Dlaczego się uśmiecha? Gdzie ja jestem?... Zdrzemnąłem się. Po chwili niepewności uzmysławiam sobie, że siedzę w samolocie białym jak blok operacyjny, że chmury przepływające za iluminatorem nie mają nic wspólnego z zaświatami. I przypominam sobie wszystko: „Emilie nie żyje. Zmarła w poniedziałek w szpitalu w Aix-en-Provence”. Taką wiadomość dostałem tydzień temu od Fabrice’a Scamaronego.

– Proszę podnieść oparcie fotela – mówi stewardesa. – Niedługo lądujemy.

Wymówione stłumionym głosem słowa głucho dźwięczą mi w głowie. Co z tym fotelem?... Mój sąsiad, nastolatek w dresie z naszywkami w barwach algierskiej drużyny piłki nożnej, pokazuje mi właściwy przycisk i pomaga ustawić odpowiednio oparcie fotela.

– Dziękuję – mówię.

– Nie ma za co, wujciu. Pan mieszka w Marsylii?

– N i e .

– Kuzyn ma czekać na mnie na lotnisku. Jak pan chce, możemy pana gdzieś podrzucić.

– To miła propozycja, ale dziękuję, nie trzeba. Na mnie też ma ktoś czekać. \

Patrzę na jego głowę wygoloną zgodnie z nakazami zwariowanej mody, na kępkę włosów zostawioną nad czołem i stojącą na sztorc dzięki grubej warstwie żelu.

– Boi się pan latać? – pyta chłopak.

– Raczej nie.

– Mój ojciec jak widzi, że samolot ląduje, musi zasłonić sobie twarz.

– Nie do wiary.

– Widać, że pan go nie zna. Mieszkamy w Oranie na dziewiątym piętrze na osiedlu de La Fontaine’a w Gambecie. Wie pan, gdzie to jest? To takie wielkie mrówkowce, które stoją tyłem do morza. No więc osiem razy na dziesięć ojciec woli nie wjeżdżać windą. Chociaż jest stary. Ma pięćdziesiąt osiem lat i operowali mu prostatę.

– Pięćdziesiąt osiem lat to nie tak dużo.

– No wiem, ale u nas tak to już jest. Nie mówi się tato, tylko staruszk... A pan ile ma lat, wujciu?

– Urodziłem się tak dawno temu, że zapomniałem, ile mam lat.

Samolot wlatuje w chmury; przez chwilę wstrząsają nim turbulencje, kiedy leci z dziobem nachylnym w dół. Mój młody sąsiad poklepuje mnie po dłoni kurczowo wczepionej w podłokietnik.

– To nic, wujciu. Tylko na chwilę zjeżdżamy z autostrady na polną drogę. Samoloty to najbezpieczniejszy środek transportu.

Odwracam się do okna, patrzę na pierzaste chmury, które stają się śnieżną lawiną, potem mgłą, rzadną, znów gęstnieją, otaczają samolot zwartą masą, następnie się rozwiewają i pojawia się błękitne niebo poznaczone ich cienkimi wstążkami. Po co tutaj przyjechałem?... Głos mojego stryja zagłusza warkot silników: Jeśli chcesz ze swojego życia uczynić ogniwo wieczności i zachować przytomność nawet pośród największego szaleństwa, kochaj... Kochaj z całych sił, kochaj, jakbyś nic innego nie potrafił robić, kochaj tak, by wzbudzić zazdrość książąt i bogów. Bo tylko w miłości brzydota odkrywa w sobie piękno”. Takie były ostatnie słowa stryja. Wymówił je na łożu śmierci w Río Salado. Jeszcze dzisiaj, pół wieku później, jego gasnący głos rozbrzmiewa we mnie niczym prorocstwo: „Kto przechodzi obok tego, co może być najpiękniejsze w jego życiu, kiedyś gorzko tego pożałuje i nawet wszystkie westchnienia świata nie ukoją jego duszy...”. Czy wyprawilem się tak daleko od swoich najulubieńszych stron, by zażegnać tę prawdę czy też stawić jej czoło?... Samolot przechyliła się na bok, nagle zmieniając kurs, i w jednej chwili moim oczom ukazuje się francuska ziemia. Serce skacze mi w piersi, niewidzialna ręka ściska gardło. Emocje są tak wielkie, że czuję, jak paznokciami dziurawię obicie podłokietnika... Wkrótce skaliste góry odbijają promienie słońca. Ci odwieczni niewzruszeni strażnicy czuwają nad wybrzeżem, nie przejmując się potęgą wzburzonego morza, które miota się u ich stóp. Za chwilę po kolejnym zwrocie pojawia się Marsylia jak westalka opalająca się na słońcu. Rozłożona na wzgórzach, oślepiająca światłem, z odsłoniętym pępkiem i wypiętym tyłeczkiem, udaje, że drzemie, na pozór nie zważając na łoskot fal i dźwięki dobiegające z lądu. Marsylia, miasto legenda, ziemia ozdrowiałych tytanów, miejsce upadku bogów bez Olimpu, opatrnościowe rozstaje zmarnowanych perspektyw, wielowymiarowe, ponieważ szafujące niewyczerpane hojnością; Marsylia, moje ostatnie pole walki, na którym złoże broni pokonany niezdolnością do podejmowania wyzwań, niezasługujący na szczęście. Właśnie tutaj, w tym mieście, gdzie cud jest kwestią mentalności, a słońce znakomicie oświeca sumienia, jeśli tylko raczą odblokować ukryte wejścia, właśnie tutaj zmierzyłem całe zło, które wyrządziłem i którego nigdy sobie nie przebaczyłem... Przeszło czterdzieści pięć lat temu przyjechałem tu, by schwycić cień mojego przeznaczenia, posztywać niektóre jego strzępki; posztukować pęknięcia, wyleczyć zadrapania; pogodzić się ze swoją szansą, która miała mi za złe, że nie złapałem jej w locie, że w nią zwątpiłem, że chociaż oddawała mi się całą sobą, zamiast niej wybrałem ostrożność; przyjechałem tu, by błagać o trudne rozgrzeszenie w imię tego, co Bóg stawia ponad wszelkimi dokonaniem i niepowodzeniem: w imię Miłości. Przybyłem wtedy tutaj otumaniony, niepewny, lecz szczery, przybyłem prosić o odkupienie najpierw dla siebie, później dla innych, których nie przestałem kochać, mimo że nienawiść nas rozdzieliła i odtąd szarość okrywała każdą porę roku. Pamiętam ciągle port mrugający światłami, szykujący się do przyjęcia parowca z Oranu, pamiętam ciemność spowijającą nabrzeża, pamiętam cienie na trapach; wciąż widzę wyraźnie twarz celnika o podwiniętych wąsach, który kazał mi opróżnić kieszenie i podnieść ręce jak podejrzanemu, pamiętam policjanta, któremu wcale się nie podobała gorliwość kolegi, i taksówkarza, który wiozł mnie do hotelu, wyrzekając, że tak mocno trzasnąłem drzwiami auta, i recepcjonistę, który pół nocy trzymał mnie na nogach, sprawdzając, czy gdzieś w okolicy znajdzie się wolny pokój, ponieważ moja rezerwacja nie została potwierdzona... Straszny był ten marcowy wieczór w 1964 roku z mistralem tak mocnym, że pozbawiłby rogów byka, i niebem barwy miedzi ciskającym piorunami. Pokój nie miał ogrzewania. Chociaż owinąłem się we wszystkie przykrycia, próbując się rozgrzać, zmarznięty byłem na kość. Okno jęczało pod uderzeniami wiatru. Na szafce nocnej, którą blado oświetlała anemiczna lampka, stała moja skórzana torba podróżna. W środku znajdował się list

od Andrégo Sosy:

Drogi Jonasie,

jak prosileś, odnalazłem ślad Emilie. Zajęło mi to trochę czasu, ale rad jestem, że w końcu udało mi się ją namierzyć. Dla Ciebie. Pracuje jako sekretarka adwokata w Marsylii. Próbowałem do niej telefonować: nie chciała ze mną rozmawiać!!! Zupełnie nie rozumiem dlaczego. Nie znaliśmy się z nią dobrze, a w każdym razie nie na tyle, żeby chować do siebie jakąś urazę. Może pomyliła mnie z kimś innym. Wojna tak bardzo wszystko powywracała, że człowiek zastanawia się czasem, czy to, cośmy przeszli, nie było jakąś zbiorową halucynacją. No nic, pozwólmy, by czas żałoby zrobił swoje. Rany są jeszcze zbyt świeże, aby wymagać od żywych jakiegokolwiek umiarkowania... Oto adres Emilie: rue des Frères-Julien 143, niedaleko Canebière. Łatwo znaleźć. Budynek stoi naprzeciwko piwiarni Le Palmier. To bardzo znany lokal. Ulubione miejsce spotkań czarnostopych. Wyobrażasz sobie? Nie mówią o nas teraz inaczej jak „czamostopi”. Jakbyśmy przez całe życie brodzili w smarze... Jak będziesz w Marsylii, zadzwoń. Z rozkoszą skopię Ci tyłek, aż uszami wyjdzie z Ciebie wszystko, co masz na wątrobie.

Ściskam mocno.

Dédé.

Rue des Frères-Julien znajdowała się o pięć kwartałów od mojego hotelu. Taksówkarz woził mnie dobre pół godziny po mieście, zanim przystanął przed piwiarnią Le Palmier. Każdy orze, jak może. W lokalu panował tłok. Po burzach, które przeszły nad miastem poprzedniego dnia, nad Marsylią jakby nigdy nic znowu świeciło słońce. Światło dzienne przydawało blasku twarzom ludzi. Oznaczony numerem 143 dom, stojący między dwoma nowymi budynkami, był starą kamienicą z wyblakłą zieloną fasadą i wąskimi oknami zasłoniętymi okiennicami. Doniczki z kwiatami miały odmłodzić nijakie balkony ocienione zniszczonymi markizami... Dziwne wywarł na mnie wrażenie budynek opatrzony numerem 143 przy rue des Frères-Julien. Jakby był odporny na światła dnia, wrogi radosnemu ulicznemu zgłębieniu. Nie bardzo potrafiłem sobie wyobrazić, że Emilie śmieje się wesoło za równie przynębiającymi oknami.

Zająłem miejsce w piwiarni przy stoliku tuż przy przeszklonej ścianie, by widzieć wchodzących do kamienicy naprzeciwko i wychodzących z niej. Była niedziela, przepiękny dzień. Wokół próżnujący ludzie naprawiali świat przy szklaneczce czerwonego wina; wszyscy mówili z akcentem z algierskich przedmieść, wszyscy mieli twarze jeszcze ogorzałe w słońcu północnych wybrzeży Afryki; wymawiali „r” toczony, jak toczy się kuskus – delektowali się nim. Różne kwestie roztrząsali, o różnych sprawach rozprawiali, zawsze jednak rozmowa schodziła na Algierię. Algierię mieli stale na ustach.

– Wiesz, o czym myślę, Juan? O omlecie, który zostawiłem na ogniu, jak na gwałt pakowałem rzeczy. Ciekawym, czy dom się nie spalił po moim nagłym wyjeździe.

– Poważnie mówisz, Roger?

– Pewnie. Zanudzasz mnie bez przerwy pierdołami, któreś zostawił w tej swojej dziurze. Nie możesz gadać o czym innym?

– Niby o czym? Algieria to całe moje życie.

– No to weź się powieś i daj człowiekowi święty spokój! Mam ochotę pomyśleć o czym innym, wyobraź sobie.

Przy barze trzej pijacy w baskijkach przepijali za pamięć chłosty, którą urządzili w Bab al-Wad. Niby chcieli być dyskretni, tak jednak robili, żeby ich słyszano aż na ulicy. Obok bliźniacy głądzili bezbarwnym głosem przy stoliku zastawionym butelkami piwa i przepełnionymi popielniczkami. Ogorzali, z obślinionymi ustami, w brudnych marynarskich trykotach, ze

zgaszonym petem w ustach i sponiewieranym obliczem sutenera weterana, przypominali rybaków z portu w Algierze.

– Mówiłem ci, że to pijawka, brachu. Gdzie jej tam do naszych dziewczyn! Każda szanuje faceta i w życiu by cię nie rzuciła. A w ogóle co ty widzisz w tym kawale lodu? Dreszcz mnie przelatuje, jak tylko pomyślę, że ją bierzesz w ramiona. A na dokładkę nie potrafi zrobić nawet porządnego sosu...

Wypiłem ze trzy albo i cztery filiżanki kawy, nie odrywając oczu od budynku numer 143. Potem coś zjadłem. A Emilie ani widu, ani słyhu. Poszli sobie ci, co popijali przy barze; bliźniacy również. Gwar przycichł i wzmógł się znowu wraz z przybyciem paczki podchmielonych kumpli. Kelner rozbił dwie szklanki, wylał karafkę wody na klienta, który skorzystał, by wyrzucić z siebie, co sądzi o tej piwiarni, czarnostopych, Marsylii, Francji, Europie, Arabach, Żydach, Portugalczykach i o własnej rodzinie, „kupie egoistów i obłudników”, którzy nie raczyli znaleźć mu żony, a on tu ma czterdziestkę na karku. Pozwolono, by wylewał z siebie wszystko, co mu leżało na sercu, w końcu jednak stanowczo poproszono, aby się wyniósł.

Zaczynało zmierzchać; wieczór szykował się do zawładnięcia miastem.

Wszystkie kości już mnie bolały od siedzenia w tym kącie, kiedy wreszcie się pojawiła. Wyszła z kamienicy z gołą głową, włosami spiętymi w kok. Miała na sobie prochowiec z rozszerzającym się kołnierzem i buty z cholewkami do kolan. Szła szybkim krokiem z rękami wbitymi w kieszenie – wyglądała jak licealistka spiesząca na spotkanie z koleżankami.

Wszystkie drobne, jakie miałem przy sobie, wrzuciłem do koszyczka na chleb, który kelner zapomniał zabrać, i pobiegłem za nią.

Nagle obleciał mnie strach. Czy miałem prawo wkraczać w jej życie ot tak, bez uprzedzenia? Czy mi wybaczyła?

Nie zastanawiając się dłużej nad tymi sprzecznymi pytaniami, zawołałem:

– Emilie!

Stała jak wryta, jakby zderzyła się z niewidzialnym murem. Musiała rozpoznać mój głos, bo skuliła ramiona i wciągnęła między nie głowę. Nie obejrzała się. Nasłuchiwała chwilę, po czym ruszyła dalej.

– Emilie!

Tym razem tak szybko się okręciła na obcasach, że o mało nie upadła. Oczy jej zabłysły w bladej jak wosk twarzy; zaraz się jednak opanowała, przełknęła łzy... Uśmiechnąłem się głupio, w głowie mając pustkę. Co jej powiedzieć? Od czego zacząć? Tak bardzo pragnąłem ją zobaczyć, że niczego nie przygotowałem.

Emilie patrzyła, zastanawiając się, czy to naprawdę ja, z krwi i kości.

– To ja.

– Tak?...

Jej twarz była kawałkiem głazu, ślepym zwierciadłem. Nie posiadałem się ze zdumienia, że wita mnie tak obojętnie.

– Wszędzie cię szukałem.

– Po co?

Zaskoczyła mnie tym pytaniem. Aż zapomniałem języka w gębie. Jakże mogło nie docierać do niej to, co waliło po oczach? Mój entuzjazm otrzymał potężny cios, zachwiało się niczym znokautowany bokser. Byłem skonsternowany, kompletnie zbity z pantałyku.

Wyjąkałem:

– Jak to: po co?...Jestem tu tylko dla ciebie.

– Powiedzieliśmy sobie wszystko w Oranie.

W jej twarzy poruszyły się tylko usta.

- W Oranie sprawy wyglądały inaczej.
- W Oranie czy w Marsylii, na jedno wychodzi.
- Dobrze wiesz, że to nieprawda, Emilie. Wojna się skończyła, życie toczy się dalej.
- Może dla ciebie.

Pociłem się jak mysz.

- Naprawdę myślałem, że...
- Myliłeś się! – wpadła mi w słowo.

Ten jej chłód! Mroziła moje myśli, słowa, duszę.

Jak z karabinu mierzyła we mnie wzrokiem, gotowa wystrzelić.

- Emilie... powiedz, dlaczego mi to robisz, ale błagam, nie patrz tak. Oddałbym wszystko...

- Oddać można tylko to, co się ma, a i to nie zawsze... A ty nie masz w s z z y s t k i e g o ...

Poza tym to nic by nie dało. Świata nie da się naprawić. Mnie on zabrał więcej, niż mógłby zwrócić.

- Przykro mi bardzo.
- To tylko słowa. Chyba już ci to mówiłam.

Zawładnął mną smutek tak wielki, że wypełnił mnie całego, nie pozostawiając już miejsca na gniew czy rozczarowanie.

Wbrew wszelkim przewidywaniom mrok w jej oczach pojaśniał, twarz nieco się rozluźniła. Emilie długo mi się przyglądała, jakby się cofała w odległą przeszłość i w niej szukała Junusa. W końcu podeszła blisko. Owionął mnie jej zapach. Ujęła moją twarz w dłonie, jak ongiś robiła matka, zanim pocałowała mnie w czoło. Od Emilie nie otrzymałem całusa. Ani w czoło, ani w policzki. Tylko patrzyła. Jej oddech mieszał się z moim. Pragnąłem, aby tak trzymała ręce aż do dnia Sądu Ostatecznego.

- To niczyja wina, Junus. Nic mi nie jesteś winien. Taki jest ten świat, i tyle. Już mnie nie kusi.

Odwróciła się i poszła swoją drogą.

Stałem na chodniku jak wrośnięty, oszołomiony do granic, i patrzyłem, jak wychodzi z mojego życia niczym bratnia dusza, której za ciasno było w moim ciele, aby do niego przywykła.

Wtedy widziałem ją po raz ostatni.

Tego samego wieczoru wsiadłem na statek, by wrócić do kraju, i nigdy więcej aż do dzisiaj moja noga nie stanęła na francuskiej ziemi.

Pisałem do niej listy, wysyłałem kartki z życzeniami na każde święta. Ani razu nie odpowiedziała. Mówiłem sobie, że zmieniała adres, przeniosła się gdzie indziej, jak najdalej od wspomnień, i że tak może jest lepiej. Owszem, bardzo żałowałem, ilekroć pomyślałem, co moglibyśmy zrobić razem, o ranach, które by się zasklepiły, o nieszczęściach, które same by minęły, o dawnych demonach, które byśmy wypędzili. Emilie niczego nie chciała ratować, żadnej karty odwrócić, żadnego cierpienia pogrzebać. Te kilka chwil darowane mi na ulicy zalanej słońcem wystarczyło, abym zrozumiał, że są drzwi, które raz zamknięte za jakąś udręką, żłobią przepaść niewpuszczającą nawet boskiego światła... Wiele wycierpiałem z powodu Emilie; cierpiałem ze względu na jej smutek, jej wyrzeczenie, jej wybór, aby żyć w zamknięciu ze swoim dramatem. Później próbowałem zapomnieć, licząc, że w ten sposób pomniejszę zło tkwiące w nas. Musiałem przemawiać sobie do rozsądku, pogodzić się z tym, czemu moje serce za nic nie chciało spojrzeć w twarz. Życie to pociąg, który nie przystaje na żadnej stacji. Albo wsiada się w biegu, albo się patrzy, jak przejeżdża obok, a nie ma większej tragedii jak stacja widmo. Czy potem byłem szczęśliwy? Chyba tak; zaznałem radości, chwil niezapomnianych; nawet kochałem i snułem marzenia jak olśniony sztubak. Niemniej zawsze mi się wydawało, że brakuje jakiegoś elementu w mojej układance, że coś nie do końca odpowiada na moje

wezwanie, że czyjaś nieobecność okalecza mnie dotkliwie; krótko mówiąc, jedynie grawitowałem na obrzeżach szczęścia.

Samolot z rykiem silników siada na pasie. Mój młody sąsiad pokazuje mi coś za przeszkloną fasadą dworca lotniczego, gdzie niczym gigantyczne rajskie ptaki inne samoloty z dziobami w słuzach czekają, by wzbić się w powietrze. Ktoś przez głośnik informuje nas o temperaturze na zewnątrz, lokalnym czasie, dziękuje również za wybór linii Air Algérie i stanowczo prosi, aby pozostać na swoich miejscach z zapiętymi pasami, póki maszyna nie zatrzyma się na dobre.

Młody człowiek pomaga mi, niosąc moją torbę, zwraca ją przed stanowiskami straży granicznej. Po dopełnieniu formalności pokazuje mi, gdzie jest wyjście, przepaszając, że musi mnie zostawić, ale ma bagaże do odebrania.

Szklane mleczne drzwi rozsuwają się na halę przylotów. Ludzie stoją tam przed żółtą linią, niecierpliwie szukając znajomych twarzy w wylewającej się fali pasażerów. Jakaś dziewczyna wyrwa się czekającej z nią kobiecie i biegiem wpada w ramiona babci w galabiji. Młodą kobietę wita mąż; na powitanie cmokają się w policzki, w oczach jednak płonie im żar.

Nieco na uboczu stoi mężczyzna około pięćdziesiątki z dużym arkuszem kartonu opatrzonym napisem: Río Salado. Przez moment mam wrażenie, że patrzę na zjawę. To wykapany Simon, przysadzisty i brzuchaty, na krótkich krzywych nogach, z łysiną nad czołem. I te oczy, mój Boże! oczy, które spoczywają na mnie, odgadują, kim jestem. Jak zdołał mnie rozpoznać wśród takiego tłumu, skoro nigdyśmy się nie widzieli? Uśmiecha się lekko, podchodzi i wyciąga grubą rękę owłosioną w okolicy stawów, identyczną jak dłoń jego ojca.

– Michel?...

– Zgadza się, panie Jonas. Milo pana poznać. Jak minęła podróż?

– Zdrzemnąłem się.

– Ma pan bagaż?

– Tylko tę torbę.

– Świetnie. Samochód mam na parkingu – mówi i biorąc ode mnie torbę, gestem prosi, abym szedł za nim.

Aż w głowie się kręci, tyle dróg rozgałęzia się przed nami. Michel prowadzi szybko, nie odrywając wzroku od jezdni. Nie śmiem otwarcie mu się przyglądać, zerkam tylko ukradkiem na jego profil. Niewiarygodne, jaki jest podobny do Simona, mojego przyjaciela, swojego ojca. Serce mi się ściska na pewne ulotne wspomnienie. Muszę odetchnąć głęboko, by wyrzucić z siebie truciznę, którą poczułem w piersi, koncentruję się na przemykającej szybko drodze, na lśniącym slalomie wśród pojazdów, na pomykających w tył tablicach: Salon-de-Provence – prosto;

Marsylia – najbliższy zjazd w prawo; Vitrolles – na najbliższym rozgałęzieniu w lewo...

– Domyślałem się, że chętnie by pan coś przekąsił – odzywa się Michel. – Znam mile bistro...

– Dziękuję, niekoniecznie. Jadłem w samolocie.

– Zarezerwowałem panu pokój w hotelu Quatre Dauphins niedaleko alei Mirabeau. Ma pan szczęście, przez cały tydzień ma być słonecznie.

– Zostanę najwyżej dwa dni.

– Bardzo tu na pana czekamy. Dwa dni to za krótko.

– Muszę wracać do Río. Mój wnuk się żeni... Chciałem przyjechać wcześniej, zdążyć na pogrzeb, ale uzyskanie wizy w Algierze to naprawdę ciężka przeprawa. Musiałem prosić o pomoc znajomego, który ma wpływy.

Samochód wjeżdża pod szklaną fortecę, która wyłoniła się znikąd.

– To dworzec Aix-TGV – wyjaśnia Michel.

– Nie widzę miasta.

– Dworzec leży za miastem. Działa dopiero pięć czy sześć lat. Miasto jest o kwadrans drogi...
Był pan kiedyś w Aix?

– Nie. Właściwie tylko raz byłem we Francji. W Marsylii w marcu sześćdziesiątego czwartego roku. Przyjechałem w nocy i następnej nocy wyjechałem.

– Przelotna wizyta?

– W pewnym sensie.

– Wydalenie?

– Odtrącenie.

Michel odwraca do mnie głowę, marszcząc brwi.

– To długa historia – mówię, pragnąc zmienić temat.

Przejeżdżamy przez centrum handlowe z wieloma marketami, magazynami i parkingami pełnymi samochodów. Ogromne tablice świetlne próbują zastąpić tablice reklamowe, mrowie ludzi tłoczy się przy sklepach markowych i sieciowych. Na jednym ze skrzyżowań utworzył się kilkusetmetrowy korek.

– Społeczeństwo konsumpcyjne – odzywa się Michel. – Ludzie coraz częściej spędzają weekendy w supermarketach. Straszne, prawda? My z żoną jeździmy na zakupy w co drugą sobotę. Jeżeli coś nam przeszkodzi i nie dotrzemy do centrum handlowego, kłócimy się o byle bzdurę.

– Każda epoka ma swój narkotyk.

– Słusznie pan zauważył. Każda epoka ma swój narkotyk.

Dojeżdżamy do Aix-en-Provence z dwudziestominutowym opóźnieniem z powodu wypadku na wysokości Pont de l'Arc. Jest pogodnie, toteż całe miasto pozamykało drzwi na cztery spusty i wszyscy wylegli do centrum. Na chodnikach tłoczno, panuje świąteczna atmosfera. Fontanna zwana Rotundą tryska strugami wody w samym środku ronda, wokół niej lwy trzymają straż. Japończyk otoczony karuzelą pojazdów robi zdjęcie swojej towarzysze. Nieduże wesołe miasteczko zwabiło czeredę dzieciarni przy paru atrakcjach; malcy w uprzężach wylatują w powietrze na gumowych linach na oczach zestresowanych rodziców. Na zalane słońcem kawiarniane tarasy nie da się igły wcisnąć; nie ma ani jednego stolika wolnego, kelnerzy zwijają się jak w ukropie z tacami na uniesionej w górę dłoni. Michel przepuszcza ekologiczny mikrobus wypełniony turystami i wolno jedzie w górę alei Mirabeau, z której na wysokości wiekowej fontanny skręca w rue du 4-Septembre. Mój hotel znajduje się niedaleko wodotrysku z czterema zdziwionymi delfinami. W recepcji wita nas młoda blondynka, daje mi do wypełnienia i podpisu formularz meldunkowy, po czym kieruje mnie do mansardowego pokoju na trzecim piętrze. Idziemy tam z Michelem prowadzeni przez etażowego, który stawia moją torbę na stole, otwiera okno, sprawdza, czy wszystko jest jak należy, i życząc mi miłego pobytu, znika.

– Zostawię pana, żeby pan chwilę odetchnął – mówi Michel. – Przyjdę za jakieś dwie godzinki.

– Chciałbym iść na cmentarz.

– To przewidziałem na jutro. Dzisiaj oczekujemy pana u mnie w domu.

– Muszę iść na cmentarz teraz, póki jest jasno. Naprawdę mi na tym zależy.

– No dobrze. Zadzwoń tylko do n a s z y c h przyjaciół, żeby przełożyć spotkanie o godzinę.

– Dziękuję. Nie muszę się odświeżać, a tym bardziej odpoczywać. Jedźmy zaraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

– Tylko coś najpierw załatwię. To nie potrwa długo. Za godzinkę może bój?

– Świetnie. Będę na dole, przy recepcji.

Michel wyjmuje telefon komórkowy i wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

Wraca pół godziny później, zastaje mnie na hotelowym podjeździe, gdzie na niego czekam.

Wsiadam do samochodu. Michel pyta, czy zdążyłem jednak choć chwilę odpocząć; odpowiadam, że położyłem się na chwilę i dobrze mi to zrobiło. Jedziemy w dół tętniącej radością alei Mirabeau ocienionej platanami.

- Co tu dzisiaj świętujecie? – pytam.
- Życie. Aix codziennie świętuje życie.
- Zawsze tu panuje taki ruch?
- Często.
- Ma pan dużo szczęścia, że tutaj mieszka.

– Za żadne skarby świata nie przeniósłbym się gdzie indziej. Aix to wspaniałe miasto. Moja matka mawiała, że tutejsze słońce jest prawie tak piękne jak w Río Salado.

Na cmentarzu Świętego Piotra, gdzie wśród innych sław spoczywa Paul Cézanne, jest pusto. Zaraz za bramą wita mnie wykuty w kamieniu pomnik dedykowany Francuzom z Algierii i repatriantom z kolonii. „Prawdziwy grób zmarłych jest w sercu żywych”, czytamy na pomniku. Wyasfaltowane alejki dzielą cmentarz na części, nad którymi czuwają wiekowe kaplice. Fotografie na nagrobkach przypominają tych, którzy odeszli: matkę, męża, brata przedwcześnie zmarłego. Groby są ustrojone kwiatami; połyskiwanie nakrywających je marmurowych płyt tłumi nieco odbicie promieni słonecznych, wypełnia ciszę jakimś sielskim spokojem. Michel prowadzi wytyczonymi alejkami; pod jego nogami chrzęści żwir; smutek znowu go dopadł. Zatrzymuje się przed grobowcem z antracytowego granitu usianego białymi kropkami, przykrytego wieloma wieńcami z olśniewających kwiatów. Napis na nim informuje:

*Emilie Benyamin
z domu Cazenave
1931-2008*

I tyle.

- Pewnie chciałby pan zostać sam na chwilę? – pyta Michel.
- Byłbym wdzięczny.
- Przejdę się.
- Dziękuję.

Michel kręci głową z wciągniętą dolną wargą. Jest ogromnie zatroskany. Oddala się z podbródkiem przy piersi, rękami założonymi za plecy. Kiedy znika za szeregiem kapliczek z wapienia z Cassis, klękam przed grobem Emilie, składam palce na wysokości ust i recytuję werset z Koranu. To nie jest sunnicki obyczaj, niemniej robię to. Wedle imamów i papieży jesteśmy odmienni, ale w oczach Pana nie ma między nami różnic. Recytuję Fatihe, potem dwa fragmenty z sury Ja Sin.

Następnie z wewnętrznej kieszeni marynarki wydaję malutki bawełniany woreczek, rozplątuje zawiązujący go sznurek, otwieram, zanurzam drżące palce i wydaję parę szczypt suchych płatków, które rozrzucam na grobie. To pył z kwiatka wyjętego z wazonu prawie siedemdziesiąt lat temu; resztki róży, którą wsunąłem do książki Emilie, kiedy Germaine robiła jej zastrzyk na zapleczu naszej apteki w Río Salado.

Chowam pusty woreczek do kieszeni i wstaję. Kolana uginają się pode mną; muszę się oprzeć o nagrobek, by wróciły mi siły. Teraz żwir chrzęści pod moimi nogami. W głowie rozbrzmiewa mi mnogość kroków, jakieś oderwane głosy, przemykają różne obrazy: Emilie w kapturze płaszcz na głowie siedząca w bramie prowadzącej do naszej apteki, międląca w palcach sznurówki butów z cholewką. *Mógłbym ją uznać za anioła, który zstąpił z niebios.* Emilie kartkująca z roztargnieniem książkę w twardej oprawie. *Co czytasz? Album o Gwadelupie. Co to*

takiego ta Gwadelupa? Duża francuska wyspa na Karaibach... Emilie przed swoimi zaręczynami błagająca mnie w aptece. *Powiedz „tak”, a odwołam wszystko...* Alejki tańczą mi przed oczami. Nie czuję się dobrze. Próbuję iść szybciej, lecz nie jestem w stanie; jak we śnie nogi odmawiają mi posłuszeństwa, wrastają w ziemię...

Przy bramie cementarnej stoi starzec w mundurze obwieszonym odznaczeniami. Wsparty na lasce, z odkrytą głową, pomarszczoną twarzą, patrzy, jak zbliżam się do niego. Nie usuwa się na bok, aby mnie przepuścić, czeka, aż podejść blisko, i rzuca:

– Francuzi wyjechali. Żydzi i Cyganie też. Zostaliście sami. Więc dlaczego tak się żrecie?

Nie rozumiem, do czego robi aluzję ani czemu zwraca się do mnie takim tonem. Jego twarz nic mi nie mówi. Chociaż... oczy ma jakieś znajome. I nagle w głowie mi rozbłyska, pamięć się odblokowuje... To Karimu!... Karimu, ten harki, który poprzysiągł mi śmierć w Río. W chwili gdy lokalizuję go we wspomnieniach, w szczęce odzywa się potworny ból: taki sam jak ten, którego doświadczyłem, gdy uderzył mnie w twarz kolbą strzelby.

– Już kojarzysz? Widzę po minie, że wreszcie załapałeś.

Łagodnie odsuwam go na bok, by przejść.

– Przecież to prawda. Czemu wiecznie słyszy się o masakrach, zamachach? Chcieliście niepodległości? No to ją macie. Chcieliście sami decydować o swoim losie? Proszę bardzo. Więc dlaczego stale walczyacie między sobą? Czemu w makii roi się od islamistów? Czemu wojskowi ciągle grają pierwsze skrzypce? Czy to nie dowód, że potraficie tylko niszczyć i zabijać?

– Zostaw mnie, proszę... Przyszedłem tu, żeby się pomodlić przy grobie, a nie odgrzebywać stare sprawy.

– Jakie to wzruszające!

– Czego chcesz, Karimu?

– Ja nic... Tylko obejrzeć cię z bliska. Kiedy Michel zadzwonił i powiedział, że pora spotkania zostaje przesunięta, jakby przeniósł na później Sąd Ostateczny.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Wcale mnie to nie dziwi, Junus. Czy choćby raz w życiu dotarło do ciebie, na czym polega twoje nieszczęście?

– Mam cię dość, Karimu. Jesteś upierdliwy jak mara senna, jeśli chcesz wiedzieć. Nie przyjechałem tu ze względu na ciebie.

– A ja tak. Przyjechałem z Alicante specjalnie po to, żeby cię zapewnić, że niczego nie zapomniałem, niczego nie wybaczyłem.

– I dlatego z tekturowej walizki, która gniła w piwnicy, wyciągnąłeś ten stary mundur i wszystkie medale?

– Trafiałeś.

– Nie jestem Panem Bogiem, nie jestem też republiką. Niczym się nie zasłużyłem, żeby mieć prawo uznać twoje zasługi, nie czuję również wyrzutów sumienia, więc trudno mi współczuć tobie. Po prostu przeżyłem, choć nie wiem, dlaczego wyszedłem ze wszystkiego bez szwanku, chociaż nie miałem w sobie nic więcej niż ci, którzy polegli... Jeśli to cię pocieszy, wszyscyśmy jedną kopyścią mazani. Myśmy zdradzili n a s z y c h męczenników, wyście zdradzili s w o i c h przodków, a potem s a m i zostaliście zdradzeni.

– Ja tam nikogo nie zdradziłem.

– Głupiś! To nie wiesz, że tak czy inaczej każdy, kto przeżyje wojnę, jest zdrajcą?

Karimu chce mi skoczyć do gardła z ustami wykrzywionymi gniewem; powstrzymuje go nadejście Michela. Z nienawiścią mierzy mnie wzrokiem, po czym usuwa się z drogi i pozwala mi ruszyć w stronę auta zaparkowanego nieco dalej, w pobliżu jakiegoś festynu.

– Karimu, jedziesz z nami? – pyta Michel, otwierając mi drzwi.

– Nie... Wezmę taksówkę.
Michel nie nalega.

– Przepraszam za Karimu – mówi Michel, ruszając.

– Nie ma za co. Takie samo przyjęcie czeka mnie tam, gdzie jedziemy?

– Jedziemy do mnie. Pewnie pana zdziwi, ale jeszcze parę godzin temu Karimu nie mógł się doczekać spotkania z panem. Nic nie wskazywało na to, że będzie niemiły. Przyjechał wczoraj z Hiszpanii. Przez cały wieczór dowcipkował, opowiadając o czasach, kiedy mieszkał w Río. Nie wiem, co go nagle napadło.

– Przejdzie mu. Podobnie jak mnie.

– Byłoby dobrze. Moja matka mawiała, że ludzie rozsądni w końcu zawsze dochodzą do porozumienia.

– Emilie tak mówiła?

– Tak. A co?

Nie odpowiadam.

– Ile ma pan dzieci? – pyta Michel.

– Dwoje. Syna i córkę.

– A wnuków?

– Pięcioro... Najmłodszy, którego żenię w przyszłym tygodniu, był przez cztery lata z rzędu niepokonanym mistrzem Algierii w nurkowaniu. Ale moją dumą i nadzieją jest wnuczka Norah. Ma dopiero dwadzieścia pięć lat i już kieruje jednym z największych wydawnictw w kraju.

Michel przyspiesza. Trasą na Awinion podążamy aż do świateł; tablica wskazuje zjazd na Chemin Brunet; Michel tam skręca. Jedziemy serpentynami do wyżej położonej części miasta, po obu stronach widać a to murki, za którymi kryją się piękne domy, a to przyjemne dla oka budynki, do których dostępu bronią przesuwane bramy. Dzielnica jest spokojna, cała w kwiatach, zalana słońcem. Nigdzie na ulicy nie bawią się dzieci. Tylko nieliczne starsze osoby cierpliwie czekają na autobus w cieniu gąszczu pnących roślin.

Dom Benyaminów stoi na szczycie wzgórza schowany w zagajniku. To nieduża willa pomalowana na biało, otoczona murkiem z ciosanego kamienia pokrytego bluszczem. Michel otwiera pilotem bramę, za którą widać duży ogród i w jego głębi trzech mężczyzn siedzących przy stole.

Wysiadam z auta. Trawnik ugina się pod moimi butami. Dwaj z trzech starców podnoszą się z miejsca. Patrzymy na siebie w milczeniu. Wyższego poznaję, przygarbiony tykowany chudzielec, łysy. Nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska. Niezbyt dobrze się znaliśmy w Río Salado; mieszkaliśmy po sąsiedzku, kłanialiśmy się sobie na ulicy i na tym kończyła się nasza znajomość. Jego ojciec był naczelnikiem dworca w miasteczku. Obok niego stoi nieźle zakonserwowany siedemdziesięciolatek o podbródki znamionującym silną wolę i wypukłym czole; to Bruno, w młodości policjant, który lubił z wypiętą piersią stać na rynku, kręcąc gwizdek na palcu. Jestem zdziwiony jego widokiem; słyszałem, że zginął w zamachu przeprowadzonym przez OAS w Oranie. Podchodzi do mnie, wyciąga lewą rękę – zamiast prawej ma protezę.

– Jonas... Tak się cieszę, że cię widzę!

– Mnie też bardzo miło cię zobaczyć, Bruno.

Teraz wita się ze mną tykowany drągal. Ma miękkie uścisk dłoni. Jest zażenowany. Chyba wszyscy jesteśmy zażenowani. W samochodzie wyobrażałem sobie radosne powitanie z padaniem sobie w objęcia i gromkim śmiechem połączonym z poklepywaniem po plecach. Widziałem, jak obejmuję poszczególne osoby, odsuwam je, by dobrze im się przyjrzeć, nagle przypominam sobie niegdysiejsze przezwiska i przydomki, cofam się do dzieciństwa, gdy jakaś

anegdota z tamtych czasów przychodzi mi na myśl, wspólnie odsuwamy w niebyt wszystko, co przez lata dręczyło nas nocami, zostawiając tylko to, co nam pasuje, co może nadać pastelowy ton wspomnieniom. I gdy wreszcie jesteśmy oto razem, gdy mamy się w zasięgu ręki, gdy ogarniają nas falą wspomnienia z minionej epoki, gdy serca mocno nam walą, a oczy zachodzą łzami, jakiś niepokój hamuje w nas porywy, tak że stoimy zakłopotani niczym dzieci, które widzą się po raz pierwszy w życiu i nie wiedzą, jak zacząć rozmowę.

– Nie pamiętasz mnie, Jonas? – pyta drażal.

– Imię mam na końcu języka, ale reszty nie zapomniałem. Mieszkałeś pod szóstką, za panią Lambert. Stoi mi przed oczami, jak przelazisz przez mur, żeby opędzlować jej sad.

– To nie był sad, tylko jeden duży figowiec.

– To był sad. Nadal mieszkam pod trzynastką i dotąd bywa, że słyszę, jak pani Lambert wyrzeka na łobuziaków, którzy grasowali wśród jej drzew owocowych.

– Coś takiego! Ja pamiętam tylko wielki figowiec.

– Gustave! – wykrzykuje, strzelając palcami. – Przypomniałem sobie. Gustave Cusset, zakała klasy. I wieczny samochwała.

Gustave wybuchł śmiechem i mocno mnie obejmuje.

– A ja? – odzywa się trzeci starzec, nie wstając od stołu. – Mnie pamiętasz? Nigdy nie okradałem sadów, a w szkole byłem grzeczny jak aniołek.

Ten paskudnie się postarzał. André J. Sosa, największy szpaner w Río, dla którego sypnięcie groszem było jak strzelenie z bata dla jego ojca. Jest ogromny, roztył się strasznie, brzuch opiera mu się na kolanach, z trudem go trzymają w ryzach solidne szelki. Łysa piegowata czaszka, twarz nieodgadniona pośród zmarszczek, wyszczerzone wszystkie zęby w uśmiechu.

– Dédé!

– Ano, Dédé – przytakuje. – Nieśmiertelny jak członek akademii. – Podjeżdża do mnie na wózku inwalidzkim. – Mogę chodzić – zaznacza – tylko jestem za ciężki.

Padamy sobie w ramiona. Wreszcie płyną łzy; nic nie robimy, żeby je powstrzymać. Płacemy, śmiejąc się i okładając kukuśnikami po bokach.

Gdy zapada wieczór, siedzimy przy stole, zaśmiewając się do rozpuku i kaszląc tak, że o mało płuc nie wyplujemy. Karimu, który przyjechał godzinę wcześniej, już się na mnie nie boczy. Wszystko wyrzucił z siebie na cmentarzu; siedzi naprzeciwko z niewyraźną miną po tym, cośmy sobie powiedzieli. Być może ciążył mu krzyk, którego nigdy nie miał okazji uwolnić? W każdym razie wygląda na człowieka, który znalazł spokój, rozliczywszy się ze sobą. Długo nie podnosił na mnie wzroku. Potem zaczął słuchać, jak rozmawiamy o Río: o sezonowych balach, winobranii, numerach „nóżki w górę”, które następowały po pijaństwie, o Pepem Rucilliu i jego sekretnych wybrykach, o biwakowaniu pod gołym niebem; ani razu nie napomknął o żadnym przykrym wydarzeniu, nie wspomniał niczego, co mogłoby komuś być niemiłe.

Martine, żona Michela, krzepka niewiasta z Alwafu, pół Berberyjka, pół Bretonka, podaje nam gęstą bouillabaisse. Zupa jest zawieszista, a ryba rozpływa się jak ser.

– Nadal nie pijesz? – pyta mnie André.

– Ani kropli.

– Nie wiesz, co tracisz.

– Gdybym tylko to tracił, Dédé.

Nalewa sobie wina, ogląda je i wychyla duszkiem.

– To prawda, że w Río już nie produkują wina?

– Prawda.

– Kurde, a to numer! Słowo daję, że dotąd czasem czuję w ustach wyborny smak tego lekkiego wina od nas, cholernego Alicante d'El Maleh, które jak zacząłeś pić, samo wchodziło do

gardła, aż dynię brałeś za tyłek dziewczuchy.

– Reforma rolna wykończyła wszystkie winnice w regionie.

– I co tam teraz rośnie? – zainteresował się z oburzeniem Gustave. – Pataty?

André przesuwa stojącą między nimi butelkę, żeby mnie widzieć bez przeszkód.

– A Dżallul? Co z nim się dzieje? Wiem, że był kapitanem w algierskiej armii i że dowodził sektorem wojskowym na Saharze. Ale od paru lat nic o nim nie słyszałem.

– Na początku lat dziewięćdziesiątych przeszedł na emeryturę w stopniu pułkownika. Nigdy nie mieszkał w Ríó. Miał willę w Oranie i w niej zamierzał żyć do końca. Potem zaczęli szaleć u nas islamiści i Dżallul został zamordowany przed własnym domem, zabili go ze strzelby, kiedy drzemał sobie w progu.

André trzeźwieje z drgnieniem.

– Dżallul nie żyje?

– Tak.

– Zabił go terrorysta?

– Tak. Emir ze Zbrojnej Grupy Islamskiej. I trzymaj się mocno, Dédé: jego własny siostrzeniec!

– Mordercą Dżallula jest jego siostrzeniec?

– Zgadza się.

– Mój Boże! Co za ironia losu!

Fabrice Scaroni dołącza do nas dopiero późnym wieczorem. Z powodu strajku kolejarzy. Znowu się zaczynają serdeczne powitania. Między Fabrice'em a mną więzy nigdy nie uległy zerwaniu. Został wielkim dziennikarzem i odnoszącym sukcesy pisarzem, regularnie widywałem go więc w różnych stacjach telewizyjnych. Parę razy przyjeżdżał do Algierii wysyłany przez swoją gazetę i przy każdej okazji wpadał do Ríó Salado. Zatrzymywał się u mnie. Ilekroć go gościłem, zawsze wczesnym rankiem, czy wiało, czy lało, zawoziłem go na cmentarz chrześcijański na grób ojca. Jego matka w latach siedemdziesiątych zginęła w katastrofie statku wycieczkowego u wybrzeży Sardynii.

Stół jest teraz zastawiony butelkami po winie. Wskrzესiliśmy zmarłych, wypiliśmy za ich pamięć; wypytywaliśmy się nawzajem o jeszcze żywych, co się dzieje z tym czy tamtym, dlaczego ten wyemigrował do Argentyny, dlaczego kto inny wybrał Maroko... André nawalił się jak stodoła, lecz trzyma się dobrze. Bruno i Gustave bez przerwy latają do ubikacji.

Ja ciągle zerkam na bramę.

Brakuje kogoś na apelu: Jeana-Christophe'a Lamy ego.

Wiem, że żyje, że razem z Isabelle szefowali kwitnącemu przedsiębiorstwu na Lazurowym Wybrzeżu. Czemu go tu nie ma? Z Nicei do Aix jest niecałe dwie godziny drogi. André przyjechał z Bastii, Bruno z Perpignan, Karimu z Hiszpanii, Fabrice z Paryża, Gustave z departamentu Saône-et-Loire... Czy Jean-Christophe nadal jest na mnie obrażony? Co tak naprawdę mu zrobiłem? Patrząc z perspektywy, nic... Nic mu nie zrobiłem. Kochałem go jak brata i jak brata opłakiwałem w dniu, kiedy odszedł z n a s z ą epoką depcząca mu po piętach butów bez sznurówek.

– Wróć na ziemię, Jonas! – przywołuje mnie do rzeczywistości Bruno.

– C o ?

– O czym myślisz? Mówię do ciebie już dobre pięć minut.

– Przepraszam. A co mówiłeś?

– O naszych stronach. Powiedziałem, że zostaliśmy osieroceni przez naszą małą ojczyznę.

– A mnie osierocili przyjaciele. Nie wiem, kto z nas więcej stracił, ale to nieważne, bo jednakowo cięży człowiekowi.

– Nie sądzę, żebyś ty więcej stracił, Jonas.

– Samo życie – filozoficznie zauważa André. – Co bierzesz jedną ręką, oddajesz drugą. Ale Boże drogi! czemu przy okazji traci się palce?... Bruno ma słuszność. To nie to samo. Nie, zupełnie co innego stracić przyjaciół a stracić ojczyznę. Skręca mnie na samą myśl o tym. A dowód? M y tutaj nie mówimy „nostalgia”, tylko n o s t a l g i e r i a .

Wzdycha głęboko; oczy mu błyszczą w świetle latarni.

– Algieria jest mi jak druga skóra – wyznaje. – Czasami mnie pali jak szata Nessosa, kiedy indziej jest jak delikatny pachnący balsam. Próbuję się jej pozbyć, ale bezskutecznie. Jakże tu zapomnieć? Chciałem postawić krzyżyk na wspomnieniach z młodości, myśleć o czym innym, zacząć od zera. Próżny trud. Nie jestem kotem, mam tylko jedno życie i ono zostało tam, w naszej miejscinie... Na darmo przywoływałem wszystko co najgorsze, żeby ją sobie zohydzić. Nie da rady. Słońce, plaże, ulice, kuchnia, nasze popijawy i szczęśliwe dni, wszystko siedzi we mnie i jest silniejsze niż gniew, tak że ze zdziwieniem stwierdzam, że się uśmiecham, chociaż powinienem kąsać ze złości. Nigdy nie zapomniałem Río, Jonas. Nawet na jedną noc, na jedną chwilę. Pamiętam każdą kępkę trawy na naszym wzgórzu, każdy wygłup w kawiarni, a błazenady Simona przysyłają nawet jego śmierć, jakby nie życzył sobie, by łączono jego tragiczny koniec z końcem naszych algierskich marzeń. Przysięgam, że o tym również próbowałem zapomnieć. Z całych sił pragnąłem wszystkie wspomnienia po kolei wyrwać z siebie obcęgami, jak kiedyś wrywano spróchniały ząb. Zjeździłem cały świat, byłem w Ameryce Łacińskiej i w Azji, żeby nabrać dystansu i gdzie indziej znaleźć swoje miejsce. Chciałem sobie udowodnić, że są przecież inne kraje, że ojczyznę można odbudować na podobnej zasadzie, jak zakłada się nową rodzinę. Ale to nieprawda. Jak tylko na chwilę się zamyśliłem, zaraz wszystko wracało. Wystarczyło mi się obejrzeć za siebie, żeby zobaczyć nasze strony zamiast własnego cienia.

– Żebyśmy jeszcze wyjechali z własnej woli – wyrzeka Gustave, który ledwie się trzyma po takiej ilości wlanego w siebie alkoholu. – Tymczasem zmusili nas, żebyśmy wszystko zostawili i uciekali w popłochu z walizkami wypchanymi upiorami i cierpieniem. Pozbawili nas wszystkiego, łącznie z duszą. Nic nam nie zostawili, nic a nic, nawet oczu do płakania. To nie było sprawiedliwe, Jonas. Nie wszyscy byli kolonistami, nie wszyscy smagali szpicrutą cholewy pańskich butów; niektórzy po prawdzie w ogóle nie mieli butów. Mieliśmy swoich nędzarzy i swoje dzielnice biedoty, swoje wyrzutki i swoich dobroczyńców, swoich drobnych rzemieślników, drobniejszych nawet niż wasi, i często odmawialiśmy te same modlitwy. Czemu wrzucono nas wszystkich do jednego worka? Czemu ustrojono nas w piórka feudałów? Czemu nam wmawiano, że jesteśmy obcy na tej ziemi, która widziała narodziny naszych ojców, dziadów i pradziadów, że jesteśmy uzurpatorami w kraju, który zbudowaliśmy własnymi rękami, wylewając pot, krew i łzy?... Póki na to nie dostaniemy odpowiedzi, rana się nie zablizni.

Rozmowa przybiera nader niepokojący obrót. Karimu już wychyla kieliszek za kieliszkiem; boję się, że wróci do niedawnej dyskusji.

– Wiesz co, Jonas? – odzywa się nagle, chociaż odkąd przyszedł, nie powiedział słowa. – Chciałbym, żeby Algieria się pozbierała.

– Poradzi sobie – mówi Fabrice. – Algieria to eldorado leżące odłogiem. Wystarczy tylko trochę pomyślunku. Na razie ten kraj próbuje się odnaleźć. Czasami tam, gdzie go ze świecą szukać. I chwilowo łamie sobie zęby. Ale to jeszcze dziecko, doczeka się nowych.

Bruno ujmuję mnie za rękę, mocno ją ściska.

– Bardzo bym chciał wrócić do Río choćby na jeden dzień i noc.

– A kto ci broni? – wtrąca się André. – Codziennie latają samoloty do Oranu i Tilimsanu. W niecałe półtorej godziny znajdziesz się po szyję w gównie.

Wybuchamy takim śmiechem, że pewnie budzimy sąsiadów.

– Poważnie – mówi Bruno.

– Co poważnie? – pytam. – Dédé ma rację. Wskakujesz w samolot i w niecałe dwie godziny jesteś u siebie. Na dzień albo na zawsze. Río nie bardzo się zmieniło. Trochę wprawdzie spsiało, kwiaty na ulicach uschły, nie ma piwnic winnych, winnic niewiele zostało, ale ludzie są wspaniali i bardzo życzliwi. Jeśli przyjedziesz do mnie, będziesz musiał odwiedzić innych i wieczność ci nie wystarczy.

Niedługo po północy jedziemy do hotelu z Michele, idzie ze mną do pokoju i tam wręcza mi metalową puszkę zamkniętą na miniaturową kłódeczkę.

– Matka kilka dni przed śmiercią zobowiązała mnie, żebym to panu przekazał do rąk własnych. Gdyby pan nie przyjechał, musiałbym wyskoczyć do Río.

Biorę puszkę, spoglądam na stare, częściowo wytarte zdobienia wieczka. To wiekowa bombonierka z obrazkami przedstawiającymi sceny z życia zamkowego: wielmożów w ogrodach, książąt z bajki zalecających się do swoich lubych przy wodotrysku; sądząc po ciężarze, niewiele w niej jest.

– Przyjadę po pana jutro o dziesiątej. Zjemy lunch u siostrzenicy pana Andrégo w Manosque.

– O dziesiątej. Dziękuję, Michel.

– Nie ma za co. Dobranoc.

Wychodzi.

Siadam na łóżku z puszką w ręku. Cóż to za postscriptum od Emilie? Jaki znak z za grobu? Ciągle mam ją przed oczami na rue Freres-Julien w Marsylii tamtego ciepłego marcowego dnia 1964 roku; widzę jej nieruchomy wzrok, kamienną twarz, blade usta niweczące moją ostatnią szansę, by nadrobić stracony czas. Ręka mi drży; chłód metalu przejmuje mnie do kości. Muszę otworzyć. Puszka Pandory albo puszka szczęścia... co za różnica? W wieku osiemdziesięciu lat człowiek ma przyszłość za sobą. Przed sobą widzi jedynie przeszłość.

Odmykam kłódeczkę, podnoszę wieko: listy!... W środku są same listy. Listy pożółkłe ze starości i z powodu długiego zamknięcia, niektóre powybrzuszane pod wpływem wilgoci, inne niezdarnie wygładzone, jakby ktoś najpierw je zgniótł, a potem próbował rozprostować. Poznaje swój charakter pisma na kopertach, znaczki z mojego kraju... i nareszcie pojmuję, dlaczego Emilie nie odpowiadała na korespondencję: żadnego listu nie otworzyła. Kartek z życzeniami także nie.

Wysypuję zawartość puszek na łóżko, przeglądam po kolei koperty w nadziei, że w którejś jest list od niej... I znajduję jeden, niedawny, papier jest jeszcze sztywny w dotyku, bez znaczka i adresu, tylko moje imię widnieje na kopercie, a na jej języczku kawałek taśmy klejącej.

Nie mam odwagi otworzyć.

Może jutro...

Zjedliśmy lunch u siostrzenicy Andrégo w Manosque. Znowu wyciągaliśmy stare anegdoty, ale powoli zaczynaliśmy mieć tego dość. Zjawił się jeszcze jeden „czarnostopy”. Kiedy usłyszałem jego głos, pomyślałem, że niespodziewanie przybył Jean-Christophe Lamy, i to mnie zdynamizowało, jakby mi ktoś wstrzyknął środek pobudzający, tak że odzyskałem wigor; tylko na chwilę, zaraz się bowiem zorientowałem, że to nie on, i znowu opadłem z sił. Nieznajomy został raptem jakąś godzinkę. Słuchając wspominków, których nie znał w szczegółach ani nie wiedział, do czego prowadzą, uzmysłowił sobie, że chociaż jest orańczykiem – urodził się w Lamoricière niedaleko Tilimsanu – wprowadza element fałszu w naszą zażyłość, burzy porządek, do którego nie należy... Bruno i Karimu pierwsi wychodzą, jadą razem do Perpignan, gdzie Karimu zatrzyma się na krótko u kolegi, zanim wróci do Hiszpanii. Koło czwartej po południu

zostawiamy Andrégo u siostrzenicy i odprowadzamy Fabrice'a na dworzec Aix-TGV.

– Koniecznie musisz jutro wracać? – pyta mnie Fabrice. – Hélène ogromnie by się ucieszyła, gdybyś nas odwiedził. Do Paryża stąd jest raptem trzy godziny jazdy. Możesz lecieć samolotem z Orły. Mieszkam niedaleko lotniska.

– Kiedy indziej, Fabrice. Uściskaj ode mnie Hélène. Dalej pisze?

– O, już jakiś czas jest na emeryturze.

Przyjeżdża pociąg, wspaniałe monstrum. Fabrice wskakuje na stopień, obejmujemy się ostatni raz, po czym idzie na swoje miejsce w wagonie. Pociąg rusza, wolno sunie po szynach. Szukam przyjaciela za dużymi szybami i widzę go, jak stoi z dłonią uniesioną do czoła w pożegnalnym geście. Po czym maszyna mi go uwozi.

Wracamy do Aix, Gustave zaprasza nas do Deux Garçons. Po obiedzie w milczeniu idziemy aleją Mirabeau. Pogoda jest ładna, kawiarniane tarasy wciąż są zatłoczone. Młodzi ludzie ustawiają się w kolejkach przed kinami. Rozczochrany muzyk stroi skrzypce, siedząc na ziemi pośrodku promenady z psem przytulonym do boku.

Przed moim hotelem dwaj przechodnie wymyślają jakiemuś piratowi drogowemu, któremu nie starcza argumentów, w końcu zatem wsiada do auta i z furią zatrzaskuje drzwi.

Zegnamy się przy recepcji. Michel i Gustave przed odejściem obiecują, że nazajutrz o siódmej rano przyjadą, aby mnie odwieźć na lotnisko.

Biorę gorący prysznic i kładę się do łóżka.

Na szafce nocnej stoi puszka od Emilie niewzruszona jak urna z prochami. Moja ręka sama wędruje ku kłódeczce, nie ośmiela się jednak podnieść wieka.

Nie mogę zasnąć. Próbuję o niczym nie myśleć. Zatykam sobie uszy, kładę się na prawym boku, na lewym, na plecach. Jestem nieszczęśliwy. Sen mnie izoluje, a nie mam ochoty być sam w ciemności. Obcowanie ze sobą nic nie daje. Potrzebuję świty, muszę się z kimś podzielić swoimi frustracjami, wynaleźć kozły ofiarne. Zawsze tak jest: kiedy człowiek nie potrafi zaradzić swojemu nieszczęściu, szuka winnego. Moje nieszczęście jest niesprecyzowane. Trapi mnie smutek, aczkolwiek nie potrafię określić przyczyny. Z powodu Emilie? Jeana-Christophe'a? Wieku? Tego listu, który w puszcze czeka na otwarcie?... Dlaczego Jean-Christophe nie przyjechał? Czyżby uraza była silniejsza od zdrowego rozsądku?

Przez okno otwarte na granatowe niebo, na którym księżyc wisi jak medalik, zobaczę zaraz w zwolnionym tempie defiladę swoich niegodziwości i radości, i znajomych twarzy. Słyszę, jak już nadciągają w łoskocie osuwających się kamieni. Jaki zastosować klucz sortowania? Jaką postawę obserwować? Krążę wokół otchłani, linoskoczek na ostrzu brzytwy, odurzony wulkanolog na skraju wrzącego krateru; stoję u bram pamięci, przed szpulami z niemającą końca taśmą, która archiwizuje ludzki żywot, przed mrocznymi obszernymi szufladami, gdzie zgromadzeni są zwykli bohaterowie, jakimi byliśmy, Camusowskie mity, którym nie potrafiliśmy nadać cielesnej postaci, wreszcie aktorzy i statyści, którymi bywaliśmy na przemian, genialni i groteskowi, piękni i potworni, przygięci pod brzemieniem drobnych podłostek, mężnych czynów, kłamstw, wyznań, złożonych przysięg i odżegnywań, popisów siły i uników, pewności i wątpliwości – krótko mówiąc, nieokiełznanych złudzeń... Co zachować z tych roboczych kilometrowych taśm? Co odrzucić? Gdyby wyruszając w wielką podróż, przyszło człowiekowi wybrać tylko jedną chwilę ze swojego życia, na którą się zdecydować? Ze szkodą dla czego i dla kogo? A przede wszystkim jak się odnaleźć pośród tylu cieni, tylu zjaw, tylu bohaterów?... Kim właściwie jesteśmy? Tymimi, którymi byliśmy rzeczywiście, czy tymimi, którymi chcieliśmy być? Krzywdami, któreśmy wyrządzili, czy tymimi, których sami doznaliśmy? Spotkaniami, na których się nie stawiliśmy, czy tymimi przypadkowymi, które zmieniły bieg naszego przeznaczenia? Kulisami, które nas ustrzegły przed próżnością, czy światłami rampy, które nam posłużyły jako stos?

Wszystkim tym jesteśmy równocześnie, całym swoim życiem ze wzlotami i upadkami, z osiągnięciami i niepowodzeniami; jesteśmy także wszystkimi upiorami, które nas nawiedzają... jesteśmy kilkoma osobami w jednej, tak przekonującymi w odegranych rolach, że niepodobna poznać, która była ta prawdziwa, kim się staliśmy ostatecznie, która z nich przetrwa.

Nastawiam ucha na niegdyś dźwięki; już nie jestem sam. Szepty wirują pośród fragmentów wspomnień podobne do odprysków wokół stosu ruin; zaszyfrowane zdania, okaleczone wezwania, śmiechy i szlochy przemieszane, nierozzerwalne... Słyszę, jak Isabelle gra na pianinie – Szopena – widzę jej długie palce przebiegające po klawiszach z rzadką biegłością, szukam jej twarzy, którą wyobrażam sobie jako napiętą w ekstatycznym skupieniu; obraz nie chce się przesunąć, uparcie zatrzymał się na klawiaturze pianina, gdy dźwięki wybuchają w mojej głowie w balecie fajerwerków... Zza wzgórzka wyłania się mój pies z brwiami ułożonymi w daszek nad melancholijnie patrzącymi ślepiami; wyciągam rękę, aby go pogłaskać; absurdalny gest, lecz wykonuję go. Przesuwam palcami po kołdrze jak po sierści. Pozwalam, by to wspomnienie zapanowało nad oddechem, bezsennością, nad całym moim jestestwem. Dostrzegam naszą chatę na końcu znikającej drogi... Jestem wiecznym dzieckiem... Człowiek nie wraca do dzieciństwa, człowiek z dzieciństwa nigdy nie wychodzi. Jestem stary? Ja? Czyż starzec nie jest po prostu dzieckiem, któremu przybyło lat albo ciała?... Moja matka schodzi ze wzgórzka, pył wzbity jej stopami przybiera kształt tysięcy konstelacji... Mama, moja kochana mama. Matka to nie tylko osoba, choćby wyjątkowa, nie tylko epoka; matka to obecność, której nie zdoła zmienić ani upływ czasu, ani niedoskonałości pamięci. Mam na to dowód każdego dnia, któremu Bóg pozwoli wstać, każdej nocy, gdy to co utajone przykuwa mnie do łóżka. W i e m, że matka jest przy mnie, zawsze przy mnie była przez całe życie, przy każdej niewysłuchanej modlitwie, była, ilekroć kogoś nieznośnie mi brakowało, przy każdej niedotrzymanej obietnicy i daremnym trudzie... Nieco dalej, kucając na stosie kamieni w słomkowym kapeluszu naciągniętym aż na uszy, ojciec patrzy, jak wiatr przeczesuje łany smukłych zbóż... Potem wszystko się rozpada: ogień trawiący nasze pola, kolaska kaida, wóz, który uwozi nas tam, gdzie dla mojego psa nie ma miejsca: do Jenane Jato... Śpiewający balwierz, Kuternoga, El Moro, Huwari i jego szczygły... Germaine chwytająca mnie w ramiona na oczach wzruszonego stryja... Potem Río, znowu Río, zawsze Río... Zamykam oczy, aby coś zakończyć, zatrzymać opowieść po tysiackroć przywoływaną i tyleż razy fałszowaną... A niech to!... Powieki stają się sekretnymi drzwiami; kiedy są zamknięte, snują opowieści; kiedy je otworzę, mam widok na siebie. Jesteśmy zakładnikami swoich wspomnień. Oczy już nas nie słuchają... Szukam Emilie na poszatowanym filmie, który przewija mi się w głowie; nigdzie jej nie ma. Nie da się już wrócić na cmentarz i pozbierać okruchów wysuszonej róży; nie da się wrócić pod numer 143 przy rue des Freres-Julien, osiągnąć statusu ludzi rozsądnych, ludzi, którzy „w końcu zawsze dochodzą do porozumienia”. Przepycham się przez gęsty tłum zapełniający port w Oranie w lecie 1962 roku; widzę oszołomionych ludzi, rodziny skupione na nabrzeżu przy nielicznych bagażach, które zdołały spakować, wyczerpane dzieci śpiące wprost na ziemi, parowiec, który ma zabrać wypędzonych i wywieźć ich na tułaczkę; na próżno biegam, patrzę na twarze, słyszę czyjś krzyk, tu uściski, tam ktoś macha chusteczką na pożegnanie – ani śladu Emilie... A ja w tym wszystkim? Jestem tylko spojrzeniem, które biegnie, biegnie, biegnie skroś białych plam nieobecności i nagości milczenia...

Cóż począć z tą moją nocą?

Komu się zwierzyć?

W gruncie rzeczy nie chcę nic robić z nocą, nie chcę się też zwierzać... Jest jedna prawda, która w naszym imieniu dokonuje pomsty za każdą inną: wszystko kiedyś osiąga kres, żadne nieszczęście nie trwa wiecznie.

Zbieram się na odwagę, otwieram puszkę, potem list. Widnieje na nim data: tydzień przed śmiercią Emilie. Oddycham głęboko i czytam:

Drogi Junusie,

czekałam na Ciebie nazajutrz po naszym spotkaniu w Marsylii. W tym samym miejscu. Czekałam następnego dnia i później codziennie. Nie wróciłeś. Maktub, jak u nas powiadają. Nic wystarczy za wszystko, za to, co jest dobre i co nie jest. Trzeba umieć się z tym pogodzić. Z czasem człowiek mądrzeje. Żałuję wszystkich wyrzutów, które ode mnie usłyszałeś. Może dlatego nie miałam odwagi otwierać Twoich listów. Zdarza się milczenie, którego nie należy przerywać. Podobnie jak stojąca woda niesie naszej duszy ukojenie.

Wybacz mi, tak jak ja wybaczyłam Tobie.

Tam, gdzie teraz jestem, z Simonem i wszystkimi bliskimi, którzy odeszli, zawsze będę myślała o Tobie.

Emilie.

I naraz jakby wszystkie gwiazdy na niebie zlały się w jedną, jakby noc, cała noc wkroczyła do mojego pokoju, by czuwać nade mną. Wiem, że teraz gdziekolwiek się znajdę, będę spał spokojnie.

Na lotnisku w Marignane panuje spokój; ludzi niewiele, łańcuchy przed stanowiskami odprawy zwisają luźno. Część zarezerwowana dla linii Air Algérie jest prawie pusta. Paru obładowanych handlarzy – *trabendistes* dla wtajemniczonych, przemytnicy nie do zdarcia zrodzeni z nędzy i instynktu przetrwania – negocjuje nadbagaż, używając wszelkich argumentów; ich podstępny nie wzruszają funkcjonariusza lotniska. Za nimi emeryci cierpliwie czekają na swoją kolej z wózkami obładowanymi walizkami.

– Ma pan bagaż? – pyta urzędniczka obsługująca stanowisko.

– Tylko tę torbę.

– Zabierają pan na pokład?

– Tak, po przylocie nie będę musiał czekać.

– Słusznie – chwali, zwracając mi paszport. – Tu ma pan kartę pokładową. O dziewiątej piętnaście zaczynamy wpuszczać pasażerów na pokład, bramka czternasta.

Mój zegarek wskazuje 8.22. Zapraszam Brunona i Michela na kawę. Siadamy przy stoliku. Bruno daremnie próbuje nawiązać rozmowę na jakiś interesujący temat. Dopijamy kawę w milczeniu zapatrzeni w dal. W myślach mam Jeana-Christophe’a Lamy’ego. Poprzedniego dnia już omal nie zapytałem Fabrice’a, dlaczego nasz s t a r s z y przyjaciel nie przyjechał; ale język stanął mi kołkiem i ostatecznie zrezygnowałem. Dowiedziałem się od Andrégo, że Jean-Christophe był na pogrzebie Emilie, że Isabelle, która także przybyła, świetnie się trzyma, że oboje wiedzieli o moim przyjeździe do Aix... Smutno mi.

Z głośników rozlega się zapowiedź, że zaczyna się wchodzenie na pokład pasażerów udających się rejssem AH 1069 do Oranu. To mój lot.

Bruno bierze mnie w ramiona, przez chwilę trzyma w uścisku, Michel całuje w policzki, mówi coś, czego nie rozumiem. Dziękuję mu za gościnę, po czym wyprawiam obu.

Nie idę do hali odlotów.

Zamawiam drugą kawę.

Czekam...

Intuicja mi podpowiada, że coś się wydarzy, że muszę cierpliwie znosić swój smutek i czekać jak przykutą na tym krześle.

„Ostatnie wezwanie pasażerów rejsu AH 1069 do Oranu – rozbrzmiewa w głośnikach kobiecy głos. – Ostatnie wezwanie pasażerów rejsu AH 1069 do Oranu”.

Moja filizanka jest pusta. Moja głowa jest pusta. Cały jestem pusty. Została we mnie tylko intuicja, która każe mi siedzieć na miejscu i czekać. Każda minuta przewala mi się przez barki niczym słoń. Bolą mnie plecy, bolą kolana, boli brzuch. Głos idący z megafonów wwierca mi się w mózg, gniewnie rezonuje w skroniach. Tym razem mnie wzywają do natychmiastowego stawienia się przy bramce numer 14. „Pasażer Mahieddine Junus proszony jest o natychmiastowe stawienie się przy bramce numer czternaście. To ostatnie wezwanie...”

Intuicja mi się zestarzała, mówię sobie. No nic, bracie, wstawaj i zbieraj się, nie ma co czekać. Pospiesz się, jeśli nie chcesz, żeby samolot ci odleciał. Za trzy dni twój wnuk się żeni.

Podnoszę torbę i ruszam ku hali odlotów. Ledwie ustawiłem się w kolejce, skądś z oddali dobiega do mnie głos:

– Jonas!

To Jean-Christophe.

Jest, stoi za żółtą linią w płaszczu, siwowłosa, przygarbiony, stary jak świat.

– Już straciłem nadzieję – mówię, wracając do niego.

– Cóż, zrobiłem co w mojej mocy, żeby nie przyjechać.

– Co świadczy, żeś dalej uparty jak muł. Ale chybaśmy już wyrosli z wieku, kiedy człowiek unosi się dumą, nie sądzisz? Jesteśmy na marginesie czasu. U kresu życia niewiele nam zostało przyjemności, a nie ma większej radości, niż ujrzeć twarz, której się nie widziało czterdzieści pięć lat.

Padamy sobie w ramiona. Przyciągani cudownym magnesem. Niczym dwie rzeki, które płynąc z antypodów, zbierają po drodze wszystkie emocje świata i naraz, pokonawszy góry i doliny, wpadają do jednego koryta w pianistym tańcu wirów. Słyszę, jak nasze ciała przywierają do siebie, szelest ubrań miesza się ze szmerem skóry. Czas staje w miejscu. Jesteśmy na świecie sami. Obejmujemy się mocno, jak ongiś chwytałyśmy swoje marzenia przekonani, że jeśli rozluźnimy uścisk, uciekną. Sterane do cna ciała wspierają się, podtrzymują nawzajem w burzy jęków. Jesteśmy teraz dwoma nagimi nerwami, dwoma odkrytymi kablami elektrycznymi grożącymi zwarcieniem, dwoma starymi smarkaczami zwróconymi sobie nawzajem i szlochającymi niepowsztrzymanie na oczach obcych.

„Pasażer Mahieddine Junus proszony jest o natychmiastowe stawienie się przy bramce numer czternaście”, ogłasza kobiecy głos w megafonach.

– Gdzieś ty się podziewał? – pytam, odsuwając go, aby lepiej mu się przyjrzeć.

– Jestem teraz tutaj i tylko to się liczy.

– Zgadza się.

Znowu się obejmujemy.

– Bardzo się cieszę.

– Ja też, Joñas.

– Byłeś gdzieś w okolicy wczoraj i przedwczoraj?

– Nie, byłem w Nicei. Fabrice zadzwonił i zwymyślał mnie od ostatnich, potem Dédé zrobił to samo. Powiedziałem, że nie przyjadę. A dzisiaj Isabelle niemal wyrzuciła mnie za drzwi. O piątej rano. Jechałem jak wariat. W moim wieku.

– Jak ona się ma?

– Nic się nie zmieniła, jest taka, jak ją znałeś. Nie do zdarcia i niereformowalna... A tobie jak leci?

– Nie narzekam.

– Wyglądasz dobrze... Widziałeś Dédégo? Jest ciężko chory, wiesz? Przyjechał wyłącznie ze

względu na ciebie... Spotkanie było miłe?

- Najpierw śmialiśmy się do łez, potem płakaliśmy.
- Nie wątpię.

„Pasażer Mahieddine Junus proszony jest o natychmiastowe stawienie się przy bramce numer czternaście”.

- A Río? Co słyhać w Río?
- Możesz sam sprawdzić.
- Ludzie mi wybaczyli?
- A czy ty wybaczyłeś?

– Jestem za stary, Jonas. Już nie starcza mi sił na urazy. Byle złość kompletnie mnie rozwała.

– No widzisz?... Mieszkam w tym samym domu naprzeciw winnic. Teraz sam. Przeszło dziesięć lat temu owdowiałem, mam żonatego syna w Tamanghiście i córkę, która jest profesorem na Uniwersytecie Concordia w Montrealu. Miejsca więc w domu nie brakuje. Wybierzesz sobie pokój, wszystkie są wolne. Drewniany konik, którego mi podarowałeś na przeprosiny po tamtej awanturze o Isabelle, nadal stoi tam, gdzie go widziałeś po raz ostatni: na kominku.

Pracownik linii Air Algérie podchodzi do mnie z niepewną miną.

- Pan leci do Oranu?
- Tak.
- Pan Mahieddine Junus?
- Owszem.
- Bardzo proszę, tylko na pana czekamy, żeby startować.

Jean-Christophe puszcza do mnie oko.

– *Tabka ala al-chajr*, Jonas. Idź w pokoju.

Bierze mnie w ramiona. Czuję, jak jego ciało drży w moim uścisku. Stoimy objęci i stoimy – przez całą wieczność ku wielkiemu ubolewaniu pracownika linii lotniczych. Jean-Christophe pierwszy się odsuwa. Z zaczerwienionymi oczami zduszonym głosem mówi cicho:

- No zmykaj już.
- Będę na ciebie czekał – zapowiadam.
- Przyjadę, słowo.

Uśmiecha się.

Szybko, by nadrobić spóźnienie, idę za pracownikiem Air Algérie, który przeprowadza mnie bez kolejki przez skaner, potem przez odprawę paszportową. Kiedy już mam wejść w strefę wolnocłową, po raz ostatni podnoszę głowę i spoglądam na to, co zostawiam za sobą – widzę wtedy ich w s z y s t k i c h, w komplecie, zmarłych i żywych, stojących przed szklaną ścianą i machających do mnie na pożegnanie.